
NORA ROBERTS



Błękitna dalia

Prószyński i S-ka

Prolog

Memphis, Tennessee

Sierpień 1892

Urodzenie bastarda nie leżało w jej planach. Kiedy się dowiedziała, że nosi dziecko kochanka, szok i panika szybko przerodziły się w gniew.

Oczywiście, mogła natychmiast rozwiązać ten problem. Kobieta o jej pozycji miała odpowiednie kontakty. Bała się jednak znachorek spędzających płód niemal tak samo, jak tego, co - niechciane - rozrastało się w jej wnętrzu.

Tylko że kochanka kogoś takiego jak Reginald Harper nie mogła sobie pozwolić na ciążę.

Utrzymywał ją prawie od dwóch lat i zapewniał życie na wysokim poziomie. Wiedziała, że utrzymywał tak i inne kobiety - łącznie z nią - ale to jej nie obchodziło.

Wciąż jeszcze była młoda i wyjątkowo piękna. A młodość i piękno zawsze można dobrze sprzedać. Więc sprzedawała je od dziesięciu lat - z zimną krwią i wyrachowaniem. Uroda oraz czarujący sposób bycia, który zyskała, podpatrując wspaniałe damy odwiedzające wielki dom, gdzie pracowała jej matka, przyniosły jej już wiele materialnych korzyści.

Liznęła te po drodze trochę wykształcenia. Ale wiedza o muzyce i literaturze była niczym w porównaniu z jej wiedzą o sztuce flirtu i uwodzenia.

Po raz pierwszy sprzedała się w wieku piętnastu lat. Ale prostytutka nie była celem jej życia - tak jak nie była nim praca służące czy wyrobniczy w fabryce, gdzie musiałaby harować dzień w dzień od wczesnego rana. Dobrze wiedziała, jaka jest różnica pomiędzy dziwką a utrzymanką. Dziwka sprzedawała szybki seks za grosze i roztapiała się w niepamięci, zanim jeszcze mężczyzna zdążył zapiąć spodnie.

Natomiast utrzymanką - mądra i utalentowana metresa - oprócz seksu oferowała romans, wyrafinowaną rozmowę, śmiech i radość. Była towarzyszką, obiektem podziwiania i erotycznych fantazji. Ambitna utrzymanka wiedziała, jak nie wymagać niczego, a jednocześnie bardzo wiele uzyskać.

A Amelia Ellen Conner miała wielkie ambicje.

I zdołała je zaspokoić. W każdym razie większość z nich.

Bardzo starannie wybrała Reginalda. Nie odznaczał się urodą ani błyskotliwością. Ale - jak zapewniły ją miarodajne źródła - był niezwykle bogaty i notorycznie zdradzał swoją chudą żonę mieszkającą w Harper House.

Utrzymywał już kochankę w Natchez i drugą, w Nowym Orleanie, ale niewątpliwie mógł sobie pozwolić na następną, więc Amelia roztoczyła przed nim swoje wdzięki, postanowiła go uwieść i

osiągnęła swój cel.

W wieku dwudziestu czterech lat mieszkała w ładnym domu przy South Main i miała troje słu ących. W jej szafie wisiały piękne suknie, a szkatułka z bi uterią lśniła od kosztownych klejnotów.

To prawda, Amelia nie była przyjmowana w domach bogatych, liczących się w towarzystwie kobiet, którym swego czasu tak bardzo zazdrościła, niemniej obracała się w modnym półświatku, gdzie błyszczała i sama była obiektem zazdrości.

Wydawała wystawne przyjęcia. Du o podró owała. yła pełną piersią.

I nagle, za ledwie rok po tym, jak Reginald ulokował ją w uroczym domu, jej przemyślnie budowany świat miał legnąć w gruzach.

Postanowiła, e będzie ukrywać cią ę przed kochankiem, póki nie zbierze odwagi, by wybrać się do dzielnicy czerwonych latarni i zakończyć sprawę. Ale pewnego dnia Reginald zobaczył, jak szarpia nią torsje, a potem bacznie jej się przyglądał tym swoim przenikliwym wzrokiem.

I, oczywiście, odgadł wszystko.

Ku jej zdumieniu, bardzo się ucieszył z cią y i surowo zakazał Amelii za-biegu. A nawet, dla uczczenia jej stanu, obdarował ją piękną bransoletką z szafirów.

Ona nie chciała tego dziecka, natomiast on go pragnął.

I wówczas Amelia zrozumiała, jak wiele mo e zyskać w obecnej sytuacji.

Jako matka potomka Reginalda Harpera - nawet nieślubnego - będzie finansowo zabezpieczona do końca

ycia. Reginald mo e stracić zainteresowanie

kochanką, gdy przeminie urok jej młodości i zblaknie uroda, ale zawsze będzie utrzymywał swoje dziecko i jego matkę.

ona nie dała mu syna. Mo e da mu go Amelia. O, tak. Na pewno. Ona urodzi syna.

Tak więc przez ostatnie chłodne dni zimy i pierwsze tygodnie wiosny Amelia snuła wielkie plany i marzenia na przyszłość. A potem wydarzyło się coś dziwnego. Poczła ruchy maleństwa. Delikatne, zabawne kopnięcia, radosne przeciąganie. Problem, którego nie chciała, stał się niespodziewanie jej upragnionym darem losu.

Rozwijał się w niej niczym kwiat, z którego istnienia tylko ona naprawdę zdawała sobie sprawę. Tylko ona mogła go poczuć. To dało początek głębokiej, nieznaney dotąd miłości.

Pomimo upalnego, duszącego lata Amelia rozkwitała. Po raz pierwszy w yciu pokochała kogoś bardziej ni siebie samą, przedkładała czyjeś dobro nad własną wygodę.

Z rękami splecionymi na olbrzymim brzuchu pilnowała urządzania pokoju dziecinnego. Bładozielone ściany i białe, koronkowe firanki. Koń na biegunach przywieziony z Francji, ręcznie rzeźbiona kołyska prosto z Włoch.

Z lubością układała maleńkie ubranka w miniaturowej szafie. Irlandzkie i bretońskie koronki, francuskie jedwabie. Wszystkie z pięknie haftowanym monogramem synka. Postanowiła, ta będzie się nazywał James Reginald Conner.

W końcu w jej yciu zjawi się ktoś, kogo pokocha prawdziwie i gorąco.

Ona i jej piękny chłopiec będą du o razem podró ować. Amelia poka e mu świat. Pośle synka do najlepszych szkół. On teraz był jej największą dumą i szczęściem. Zupełnie więc się nie przejmowała, gdy Reginald coraz rzadziej pojawiał się na South Main. A właściwie nawet ją to cieszyło.

Kochanek był tylko jednym z wielu mę czyzn na świecie. W jej łonie natomiast dojrzewało dziecko. Jej syn.

Kiedy nadszedł czas rozwiązania, nie czuła strachu. Przez wszystkie godziny pełne potu i bólu myślała tylko o jednym: o Jamesie. O synku. O swoim dziecku.

W końcu, wyczerpana widziała wszystko jak przez gęstą mgłę. A jeszcze bardziej ni cierpienie dokuczał jej lekki upał, zdający się ywym, przera a-jącym stworem.

Zauwa yła, e lekarz i akuszerka wymieniają znaczące spojrzenia: ponure i zatroskane. Nie przejęła się jednak. Była przecie młoda i zdrowa. I ona, i dziecko prze yją poród bez szwanku.

Mijały godziny. Na ścianach, w świetle gazowych lamp, migotały ruchliwe cienie. I wreszcie, pomimo wyczerpania, Amelia usłyszała cichy płacz noworodka.

—

Mój synek - wyszeptała przez łyzy. - Mój synek.

Akuszerka nie pozwoliła jej podnieść głowy, zaczęła natomiast mówić cichym, głosem:

—

Proszę le eć spokojnie. Nie ruszać się. Proszę wypić tę miksturę. Potrzebuje pani odpoczynku.

Upiła parę łyków, by ugasić palący ogień w gardle. Poczowała smak laudanum.

Zanim zdą yła coś powiedzieć, ju odpływała w sen, zapadała się w otchłań, oddalała od tego świata.

Kiedy się obudziła, w pokoju panował półmrok. Cię kie zasłony w oknach były szczelnie zaciągnięte. Poruszyła się i wówczas z krzesła zerwał się lekarz, po czym uniósł jej rękę, by zbadać puls.

—
Mój synek... Moje maleństwo... Chcę zobaczyć dziecko!

—
Ka ę natychmiast podać pani nieco bulionu.

—
Mój synek. Na pewno jest głodny. Niech go tu przyniosą.

—
Madame. - Lekarz przysiadł na brzegu łó ka. Jego bardzo blade oczy patrzyły z zatroskaniem. -
Bardzo mi przykro. Dziecko urodziło się martwe.

Miała wra enie, e w jej serce wbijają się ostre, bezlitosne szpony. Ogarnęły ją rozpacz i przera enie.

—
To kłamstwo! Wierutne łgarstwo! Słyszałam jego płacz. Czemu opowiada mi pan tak okrutne rzeczy?

—
- Nie zapłakała ani razu. - Doktor delikatnie ujął jej dłonie. - Poród był długi i ciężki. Pani ju
majaczyła. Bardzo mi przykro, madame. Urodziła pani córeczkę. Martwą córeczkę.

Nie chciała w to uwierzyć. Wyła, płakała, miotła się z wściekłości.

Dostawała środki uspokajające, a gdy się budziła, ponownie wyła, płakała i wpadała w szal

Z początku da Chciała tego dziecka. A teraz nie pragnęła niczego innego, jej rozpacz była niewyobra
alna, wszechogarniająca. I ta rozpacz wpędziła ją w szaleństwo.

Southfield, Michigan

Wrzesień 2001

Przypaliła sos śmietanowy. Stella miała do końca życia zapamiętać ów irytujący incydent i zapach - tak samo jak pozostał w jej pamięci huk grzmotu wczesnojesiennej burzy i dobiegające z salonu krzyki synów.

Na zawsze zapamiętała ostry odór spalenizny, przenikliwy dźwięk alarmu przeciwpożarowego i nagły ruch, jakim porwała rondel z palnika i cisnęła do zlewozmywaka.

Nigdy nie była rewelacyjną kucharką, ale za to wyjątkowo precyzyjną. Na powitanie męża zaplanowała kurczaka w sosie Alfredo - jedno z ulubionych dań Kevina - do którego zamierzała podać zieloną sałatę z pesto i świeżo chrupiące pieczywo.

W idealnie uporządkowanej kuchni, w swoim ładnym, podmiejskim domu, Stella ustawiła starannie wszystkie potrzebne składniki, a książkę kucharską z kartkami powleczonymi ochronną folią oparła przed sobą na specjalnej podstawce.

Czyste spodnie i koszulę zasłoniła granatowym fartuchem, a masę niesfornych, rudych loków zwinęła w węzeł na czubku głowy, by nie przeszkadzały jej w pracy.

Zabrała się do gotowania później, niż zamierzała. Tego dnia w pracy panowało istne pandemonium. W centrum ogrodniczym właśnie wystawiono na sprzedaż wszystkie jesienne kwiaty, a ponieważ pogoda wyjątkowo dopisywała, zjawiły się tłumy klientów.

Stella, oczywiście, nie miała nic przeciwko temu. Uwielbiała swoją pracę -

uwielbiała zarządzać wielką firmą ogrodniczą. Cieszyła się, że wróciła do pracy na cały etat teraz, gdy Gavin zaczął już szkołę, a Luke był dość duży, by pójść do przedszkola. Jakim cudem jej starsze małżeństwo tak szybko dorosło do pierwszej klasy?

Zanim Stella się spostrzeże, Luke rozpocznie naukę w zerówce.

Razem z Kevinem powinni aktywniej popracować nad kolejnym dzieckiem. Może nawet dzisiaj wieczorem, pomyślała z uśmiechem. Kiedy przejdą do ostatniego, intymnego punktu ceremonii, którą zaplanowała na powitanie męża.

Zaczęła starannie odmierzać składniki i w tym samym momencie z są-

siedniego pokoju usłyszała huk, a zaraz potem głośny płacz. Zachłanność ukarana, pomyślała, rzucając się w stronę salonu. Jak mogła myśleć o kolejnym dziecku, jeśli dwójka, którą już mieli, doprowadzała ją nieraz do szaleństwa?

Stanąła w progu i od razu ich zobaczyła. Jej kochane, słodkie aniołki.

Gavin - jasnowłosy, z diabolicznym błyskiem w oku, siedział grzecznie niczym ucieleśnienie niewinności i zderzał ze sobą dwa samochodziki Matchbox, podczas gdy Lukę, o rudych włosach - idealnie takich samych jak jej loki -płakał

nad bezładnie rozrzuconą stertą drewnianych klocków.

Choć Stella nie widziała, co się stało, mogłaby szczegółowo wyjaśnić zdarzenie: Lukę coś zbudował; Gavin to zburzył.

W tym domu taki schemat stał się ju regułą.

—

Gavin! Dlaczego to zrobiłeś? - Przygarnęła do siebie Luke'a, poklepując go delikatnie po plecach. - Ju w porządku, kochanie - pocieszała młodszego synka. - Ju w porządku. Zbudujesz coś nowego.

—

Mój domek! Mój domek!

—

To był wypadek - oznajmił Gavin, wciąż z tym łobuzerskim błyskiem w oku, na widok którego Stelli zawsze chciało się śmiać. - Samochód rozbił się o jego dom.

—

Bez wątpienia. Bo ty go pchnąłeś w stronę tego domu. Czemu nie mo esz grzecznie się bawić? Lukę przecie cię nie zaczepiał.

—

Ja się bawiłem. A on jest jeszcze maluchem.

—

To prawda. - Stella posłała Gavinowi takie spojrzenie, e chłopiec natychmiast spuścił wzrok. - A je eli i ty zamierzasz się zachowywać jak maluch, mo esz to robić we własnym pokoju. I w swoim własnym towarzystwie.

—

To był tylko jakiś głupi domek!

—

Nie, mamusiu! - Luke chwycił jej twarz w obie ręczki i spojrzał na nią swoimi przepastnymi oczami.
- Ten domek był bardzo ładny.

—
Jestem pewna, e zbudujesz jeszcze piękniejszy. Gavin, przestań wreszcie dokuczać bratu. Ja nie artuję. Jestem teraz bardzo zajęta w kuchni, bo wkrótce tatuś wraca do domu. Chcesz, ebym za karę wykluczyła cię z przyjemności, które szykujemy na jego powitanie?

—
Nie. Ale ja nie wiem, w co się bawić.

—
Biedactwo. Rzeczywiście, w tym domu jest tak mało zabawek! - Posadziła Luke'a z powrotem na podłodze. - Zbuduj nowy domek, synku. A ty, Ga-vin, trzymaj się od jego klocków z daleka. Je eli jeszcze raz będę musiała tu przyjść, gorzko tego po ałujesz.

—
Chcę iść na dwór! - rzucił grobowym głosem Gavin w stronę jej oddalających się pleców.

—
Jak widzisz, leje deszcz, więc nie mo esz wyjść. Wszyscy jesteśmy uzie-mieni w domu, dlatego zacznij zachowywać się przyzwoicie.

Zirytowana, znów stanęła przed ksią ką kucharską i próbowała się skoncentrować. Odruchowo, eby się uspokoić, włączyła telewizor w kuchni.

Bo e, jak bardzo brakowało jej Kevina. Przez całe popołudnie chłopcy maru-dzili, ona zaś ciągle robiła coś w biegu i pośpiechu, przytłoczona mnóstwem zajęć. Przez te ostatnie cztery dni, gdy Kevin był w podró y słu bowej, działali Al najwy szych Obrotach. Gorączkowo starała sic- pogodzić obowiązki w domu z pracą zawodową i opieką nad chłopcami.

A do tego wszystkie urządzenia tylko po prostu czekały, eby mą zniknął

na parę dni z domu i wtedy właśnie rozpoczynały strajk. Zaledwie wczoraj pralka odmówiła posłuszeństwa, dziś rano zaś przepalił się toster.

Kiedy Stella i Kevin byli razem, wszystko przebiegało równym rytmem, panowała idealna harmonia. Dzielili między siebie wszystkie obowiązki, dys-cyplinowali chłopców, wspólnie wymyślali dla nich zabawy. Gdyby Kevin był

teraz w domu, mógłby bawić się razem z synami i rozsądzać spory, podczas gdy ona kręciłaby się po kuchni.

Albo jeszcze lepiej - on zająłby się gotowaniem, a ona zabawą z dziećmi.

Bardzo tęskniła do męża, do ciepła jego policzka na jej twarzy, gdy Kevin obejmował ją od tyłu i nad nią się pochylał. Nie mogła się już doczekać, kiedy znowu będzie mogła się wtulić w niego nocą, porozmawiać w ciemnościach o planach na przyszłość i wspólnie pośmiać z tego, co akurat wyprawiali chłopcy.

Och, na Boga, przestań, zgaśniła się w duchu. Ktoś mógłby pomyśleć, że twój facet nie wyjechał na cztery dni, tylko co najmniej na cztery miesiące!

Mieszając sos i przyglądając się liściom wirującym na wietrze, jednym uchem słuchała Gavina, namawiającego brata, by wybudowali wysoki drapacz chmur, a potem wspólnie go zburzyli - a do ostatniego klocka.

Gdy tylko Kevin awansuje, nie będzie tak wiele podróży. A nastąpi to już niedługo. Przez ostatnie lata bardzo ciężko pracował i dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że nagroda czeka tu za progiem. Dodatkowe pieniądze równie się przydadzą, szczególnie gdyby na świat miało przyjść kolejne dziecko - może tym razem dziewczynka.

Dzięki podwydatkowi Kevina i powrocie Stelli do pracy na cały etat podczas wakacji będą mogli zafundować synom jakieś wyjątkowe atrakcje. Na przykład zabiorą chłopców do Disneylandu. Gavin i Luke nie posiadaliby się ze szczęścia. Nawet gdyby Stella była wtedy w ciąży, i tak uda im się wyruszyć na tę wyprawę. Już od jakiegoś czasu oszczędzała pieniądze i dokładała je do funduszu wakacyjnego.

Teraz co prawda doszedł nowy wydatek - będą musieli niezwłocznie kupić nową pralkę; no i przydałby się tak i lepszy samochód. Mimo to jakoś sobie poradzą.

Chwilę później dał się słyszeć śmiech chłopców i Stella od razu się rozluź-

niła. Oczywiście jest niezłe. A właściwie wspaniałe, bo przecie spełniły się wszystkie jej marzenia. Poślubiła cudownego męża - Kevina Rothchilda o uroczym uśmiechu - w którym zakochała się od pierwszego wejrzenia. Mieli dwóch ślicznych synów i ładny dom w dobrej dzielnicy. Oboje kochali swoją pracę i snuli wspólne plany na przyszłość. No i nadal pragnęli siebie nawzajem -

namiętność była wciąż żywa w ich związku.

Stella uśmiechnęła się pod nosem, wyobrażając sobie, jak zareaguje Kevin, gdy już zapakuje chłopców do łódek, a ona stanie przed nim w nowej, seksownej bieliźnie, którą kupiła podczas nieobecności męża.

Do tego kieliszek dobrego wina, kilka świec rozstawionych w sypialni...

Na odgłos kolejnego, jeszcze głośniejszego huku przewróciła z irytacją oczami. Na szczęście tym razem zamiast płaczu usłyszała wybuchy śmiechu i okrzyki radości.

—
Mamo! Mamusiu! - Lukę wpadł do kuchni z twarzą zarumienioną z pod-niecenia. - Zrujnowaliśmy cały dom. Czy mo emy dostać po ciasteczku?

—
Nie, niedługo będzie kolacja.

—
Ale ja proszę... Proszę, proszę, proszę!

—
Ciągnął ją za spodnie, próbując wdrapać się na jej nogę. Stella odło yła ły kę i delikatnym ruchem odsunęła synka od kuchenki.

—
Lukę, dobrze wiesz, e przed kolacją nie mo ecie nawet marzyć o sło-dyczach.

—
Ale my umieramy z głodu - wtrącił Gavin, który właśnie wpadł do kuchni, uderzając jednym samochodzikiem o drugi. - Czemu nie mo emy czegoś zjeść, kiedy jesteśmy głodni? I właściwie dlaczego mamy jeść jakieś głupie fredo?

—
Dlatego, e ja tak mówię. - Jako dziecko nienawidziła tej odpowiedzi, ale niedawno odkryła jej wyjątkową przydatność. - Zjemy wszyscy razem, gdy tylko tata wróci do domu. - Odruchowo spojrzała przez okno i nagle zdała sobie sprawę, e z powodu fatalnej pogody samolot mo e mieć opóźnienie. -

—
Je eli naprawdę jesteście bardzo głodni, zjedzcie jakiś owoc.

—
Chwyciła jabłko z miski stojącej na blacie i sięgnęła po nó , by je prze-kroić na pół.

—
Ja nie znoszę skórki - jęknął Gavin.

—
Nie mam teraz czasu na obieranie. - Szybko ujęła z powrotem ły kę i zaczęła energicznie mieszać sos. - Poza tym skórka jest bardzo zdrowa.

—

A czy mógłbym dostać soku? Chciałbym soku, mamo. - Lukę znów ciągnął

ją za nogawkę. - Bardzo chce mi się pić.

—
O Bo e. Dajcie mi trzy minuty, dobrze? Trzy minuty. Idźcie stąd. Idźcie zbudować jeszcze jakiś dom. A potem dostaniecie jabłko i sok.

W tym momencie rozległ się pierwszy huk gromu. Gavin zaczął podskakiwać i wykrzykiwać:

—
Trzęsienie ziemi!

—
To nie jest adne trzęsienie ziemi...

Zamilkła natychmiast, bo zauważyła, że Gavin wirował w radosnym podnieceniu i bez cienia strachu na twarzy wytoczył się z kuchni.

—
Trzęsienie ziemi! Trzęsienie ziemi!

Lukę natychmiast podchwycił zabawę i pobiegł za bratem, wydając z siebie bojowe okrzyki.

Stella przycisnęła palce do pulsujących skroni. Te wrzaski były koszmarne, ale mimo zainteresowanie burzą powstrzymała chłopców od powań psot i awantur - przynajmniej do czasu rodzinnego posiłku.

Z powrotem więc zajęła się sosem i tylko jednym uchem złowiła zapowiedź dziennika telewizyjnego.

Pierwsza wiadomość w niewiadomy sposób przedarła się przez ból głowy i znużenie, zmuszając ją do skupienia się na odbiorniku Katastrofa czarterowego lotu z Lansing na Detroit Metro.

Dziesięć pasażerów na pokładzie.

Nawet nie zauważyła, kiedy ręka wysunęła jej się z dłoni. Wiedziała jedynie, że serce podskoczyło jej do gardła.

Kevin... Kevin!

Dzieci wykrzyknęły radośnie, gdy niebo przecięła kolejna błyskawica; potem wszystko zagłuszył huk gromu. Stella osunęła się na kuchenną podłogę, bo w tym właśnie momencie jej świat rozpadł się na tysiące kawałków.

Przyszli poinformować ją oficjalnie, że Kevin jest jedną z ofiar katastrofy.

Nieznajomi ludzie, z pełnymi powagi twarzami stanęli na progu jej domu. Stella nie mogła w to uwierzyć, nie umiała zrozumieć ich słów. Chociaż wiedziała...

wiedziała już w chwili, gdy usłyszała głos reportera płynący z małego telewizora.

Ale przecież Kevin nie mógł tak po prostu zginąć. Był młody i zdrowy. Miał

wkrótce zjawić się w domu i zjeść na kolację kurczaka w sosie Alfredo.

Tyle że Stella przypaliła sos. Dym z rondla włączył alarm przeciwpożarowy i w jej ładnym domu rozpętało się szaleństwo.

Kiedy ci ludzie przyszli z nią porozmawiać, zaprowadziła chłopców do są-

siadki, by spokojnie wysłuchać wyjaśnień.

Jak jednak ma to wyjaśnić coś niewytłumaczalnego, zupełnie niewyobrażalnego?

Igraszka losu. Burza. Uderzenie pioruna i nagle wszystko zmienia się na zawsze. W jednej chwili męczyzna, którego kochała, ojciec jej dzieci, zniknął z tego świata.

„Czy jest ktoś, do kogo chciałaby pani zadzwonić?”.

Jedynie do Kevina. Bo to on był całą jej rodziną, najbliższym przyjacielem, jej całym życiem.

Zaczęli rozprawiać o szczegółach, które zupełnie do niej nie docierały. O

formalnościach, które trzeba załatwić. O pomocy psychologicznej. Wyrażali najgłębsze współczucie.

Wreszcie sobie poszli i została sama w domu, który kupili razem z Kevinem, kiedy chodziła w ciąży z Lukiem. W domu, na który pilnie oszczędzali, który wspólnie malowali i urządzali. W domu, w którym ona sama zaprojektowała ogród.

Burza minęła i wokół zapanowała cisza. Stella wyraźnie słyszała bicie własnego serca, szum włączającego się ogrzewania, kapanie kropli wody z rynny.

Dobiegł ją ten głuchy odgłos ciała padającego na podłogę - jej własnego, tu po tym, jak osunęła się po drzwiach. Położyła się na boku i zwinęła w kłębek w odruchu obrony, zaprzeczenia. Łzy jeszcze nie zaczęły płynąć. Na razie gromadziły się w niej, skręcały wewnątrzności w bolesny węzeł. Ból i rozpacz były zbyt głębokie. Teraz jedynie leżała skulona, a z jej gardła wydobywały się jakieś nieartykułowane, niemal zwierzęce dźwięki.

Kiedy w końcu niepewnie dźwignęła się na nogi, było już ciemno. Kevin!

Imię męczyzny wciąż dźwięczało głośnie echem w jej głowie.

Nagle Stella zdała sobie sprawy, e przecie musi pójść po dzieci - musi przyprowadzić synów do domu. Musi im o wszystkim powiedzieć.

O, Ho e. O, Bo e! Ale jak ma to zrobić?!

Po ciemku odnalazła klamkę i wyszła w chłód mroku. Zostawiła za sobą szeroko otwarte drzwi, minęła kępy wielkokwiatowych chryzantem i astrów oraz krzaczków azalii o błyszczących liściach. Wszystkie te rośliny zasadzili razem z Kevinem pewnego pogodnego, wiosennego dnia.

Niczym ślepiec przeszła na drugą stronę ulicy, wpadając w kału e, które przemoczyły jej mokasyny, i przecięła mokry trawnik, zmierzając w kierunku światła na werandzie domu naprzeciwko.

Jak miała na imię jej sąsiadka? Zabawne... znała ją od czterech lat, często jeź-

dziły razem na zakupy, a mimo to teraz nie mogła sobie przypomnieć jej imienia...

Ach, tak. Oczywiście. Dianę... Dianę, ona Adama Perkinsa, matka dwóch chłopców: Jessiego i Wyatta. To miła rodzina, pomyślała Stella beznamiętnie.

Zwyczajna, sympatyczna rodzina. Parę tygodni temu urządzili wspólne grillowanie. Kevin piekł kurczaki. Uwielbiał takie imprezy. Do posiłku pili dobre wino i opowiadali dowcipy, podczas gdy dzieci bawiły się wesoło, choć Wyatt się przewrócił i stłukł kolano.

Wszystko to sobie przypominała, chocia stojąc teraz przed drzwiami domu sąsiadów, właściwie nie wiedziała, co tutaj robi.

Och... Naturalnie... Chłopcy. Przyszła po swoje dzieci. Musi im powiedzieć o wypadku...

Byle nie myśleć. Objęła się mocno rękami. Jeszcze nie wolno jej myśleć.

Je eli zacznie się zastanawiać, załamie się, rozpadnie na kawałki. Na milion cząstek, których ju nigdy nie uda się poskładać.

Synowie jej potrzebowali. Teraz ju tylko ona im pozostała.

Ta świadomość pomogła Stelli się pozbierać i nacisnąć dzwonek.

W progu stanęła Dianę. Stella miała wra enie, e rozdzieliła je niespodziewanie cienka zasłona z wody. Twarz sąsiadki rozpływała jej się przed oczami i wydawała nierealna. Słowa docierały jakby z wielkiej odległości. Stella poczuła jej uścisk, mający wyra ać współczucie i wsparcie.

Tylko e twój mą nadal yje, pomyślała. Twoje ycie nie legło w gruzach.

Twój świat jest taki sam, jaki był pięć minut temu. Więc tak naprawdę nic nie rozumiesz. Nie wiesz, co teraz prze ywam.

Kiedy poczuła, e dr y, wysunęła się z ramion Dianę.

—
Proszę, nie teraz. Nie potrafię jeszcze się z tym zmierzyć. Chciałabym tylko zabrać chłopców.

—
Chętnie pójde do ciebie - zaproponowała Diane. Po jej policzkach płynęły łzy. - Czy chcesz, ebym z tobą posiedziała?

—
Nie. Nie teraz... Po prostu... muszę wziąć chłopców.

—
Zaraz ich przyprowadzę. Wejdz do środka, Stello. Ona jednak tylko potrząsnęła głową.

—
Dobrze. W porządku. Gavin i Lukę są w salonie. Poczekaj chwilę. Stello...

jeśli jest coś... cokolwiek, co mogłabym dla ciebie zrobić... Wystarczy, e zadzwonisz. Tak mi przykro. Tak strasznie mi przykro...

Stojąca W ciemności Stella usłyszała ostre protesty dzieci, a chwilę potem tupot małych stóp. Zobaczyła swoich chłopców: Gavina, z jasną szopą włosów swojego ojca, i Luke'a - z ustami Kevina.

—
Nie chcemy jeszcze wychodzić - oznajmił stanowczo Gavin. - Właśnie jesteśmy w środku gry. Czy nie mo emy dokończyć?

—
Nie. Musimy wracać do domu.

—
Ale ja wygrywam. To niesprawiedliwe.

—
Gavin! Musimy ju iść.

—
Czy tatuś wrócił?

Spojrzała na ufną, niewinną twarz Luke'a i niemal się załamała. -Nie.

Złapała za rękę młodszego synka i pocałowała go w usta, niemal identyczne z ustami Kevina.

—
Wracamy do siebie.

Chwyliła dłoń Gavina i ruszyli w stronę opustoszałego domu.

—
Tatusz na pewno pozwoliłby mi skończyć! - Po policzkach Gavina pociekły łzy. - Ja chcę do taty!

—
Wiem. Ja te .

—
Czy mo emy kupić sobie psa? - zainteresował się Lukę. - Zapytamy tatusia, dobrze? Zapytamy, czy mo emy mieć psa, tak jak Jessie i Wyatt?

—
Porozmawiamy o tym innym razem.

—
Ja chcę do taty! - powtórzył Gavin płacząco.

On wie, pomyślała Stella. Gavin rozumie, e stało się coś złego, coś strasznego. Muszę im powiedzieć. Muszę to zrobić natychmiast.

—
Najpierw usiądziemy spokojnie na chwilę - powiedziała, zamykając drzwi wejściowe. Podeszła do kanapy, posadziła sobie Luke'a na kolanach i ramieniem objęła Gavina.

—
Gdybym miał psa, to bym się nim opiekował - zapewnił powa nym tonem Lukę. - Kiedy wróci tatuś?

—
On nie mo e wrócić.

Z powodu swojej interesowej podróży?

—

Nie. Tata... - Pomó mi, Bo e. Pomó mi przez to przejść. - Tata miał wypadek.

—

Taki jak wtedy, kiedy zderzają się samochody? - spytał Lukę. Gavin siedział w milczeniu i niemal świdrował ją wzrokiem.

—

To był bardzo poważny wypadek. Tatuś poszedł do nieba.

—

Ale wróci do domu?

—

Nie. Ju nigdy nie będzie mógł tu wrócić. Będzie musiał zostać w niebie.

—

Nie chcę, eby tam zostawał! - Gavin próbował się wyrwać z jej objęć, Stella jednak trzymała go bardzo mocno. - Chcę, eby natychmiast wrócił do domu.

Zaraz. Teraz.

—

Ja te nie chcę, eby tam został, kochanie. Ale nasze życzenia niczego ju nie mogą zmienić.

—

Czy tatuś się na nas pogniewał? - Usta Luke'a wygięły się w podkówkę.

—

Nie. Nie, skąd e! W adnym razie. - Przycisnęła twarz do rudych włosów synka. Miała wrażenie, e zaraz pęknie jej serce – Wcale się na nas nie gniewa. On bardzo nas kocha. I Zawsze będzie kochać.

—

Tata nie yje – powiedział Gavin z furią w głosie. Chwilę później jednak gniew ustąpił miejsca rozpaczy i Gavin był znowu małym chłopcem, szlochającym w ramionach matki.

Trzymała synów w objęciach, dopóki nie zasnęli, a potem zaniósła ich do swojego łó ka, eby nie obudzili się w samotności. Jak niezliczoną ilość razy przedtem zdjęła im buty i otuliła obu kołdrą.

Nie zgasiła światła w sypialni i niczym we śnie ruszyła na obchód domu: pozamykała drzwi, posprawdzała wszystkie okna. Gdy przekonała się, e są bezpieczni, poszła do łazienki i napuściła do wanny tak gorącej wody, e całe pomieszczenie wypełniło się parą.

Dopiero kiedy zanurzyła się we wrzątku, bolesny węzeł w jej wnętrzu pękł i trzęsąc się w gorącej wodzie, Stella zalała się łzami.

Udało jej się przebrnąć przez przygotowania i samą ceremonię. Przyjaciele doradzali,

eby wzięła środki uspokajające, ale Stella nie chciała powstrzymywać emocji. Nie chciała te być oszołomiona, bo przecie musiała zajmować się chłopcami.

Ceremonia była prosta. Tego właśnie yczyłby sobie Kevin. Stella osobiście zajęła się wszystkimi szczegółami: wybrała muzykę, kwiaty, zdjęcia, a tak e prostą, srebrną urnę na prochy mę a. Postanowiła, e rozsypie je w jeziorze. Bo to właśnie w łódce, na jeziorze, Kevin poprosił ją o rękę.

Na ałobną uroczystość ubrała się na czarno. W wieku trzydziestu jeden lat została wdową z dwójką dzieci, niespłaconą hipoteką i rozpaczą w sercu. Ten ból będzie ją ju prześladował do końca ycia.

W czasie ceremonii mocno przytulała dzieci. Załatwiła te sesję terapeutyczną, by wszyscy troje nauczyli się yć z poczuciem straty.

Szczegóły. Zawsze doskonale radziła sobie z wszelkimi szczegółami. Tak długo, jak miała się czym zajmować, poniewa było coś konkretnego do zrobienia, czuła się silna.

W domu zjawili się przyjaciele. Ze łzami w oczach podchodzili do niej z kondolencjami, przynosząc smakołyki na przykrytych folią półmiskach. Stella bardziej była im wdzięczna za towarzysztwo i oderwanie jej myśli od ałoby ni za słowa pocieszenia. Bo jej nic nie mogło pocieszyć.

Z Memphis przyjechał jej ojciec z oną i to oni dawali Stelli największe wsparcie. Jolene – druga ona ojca – troszczyła się o nią, koła jej ból, tuliła nieustannie dzieci, podczas gdy rodzona matka Stelli nieustannie narzekała, e musi przebywać w jednym pokoju z „tą kobietą”.

W końcu przyjaciele rozeszli się do domów, a Stella uściskała ojca i Jolene przed ich odlotem do Memphis i wreszcie zdjęła z siebie czarną suknię.

Wcisnęła ją do plastikowej torby, by nazajutrz oddać na cele charytatywne. Nie chciała ju nigdy więcej oglądać tego stroju.

Matka nie wyjechała. Sama Stella poprosiła, eby Carla została jeszcze kilka dni. Przecie w tych okolicznościach miała prawo zwrócić się do matki o taka przysługę. Ich dawne, obecne i przyszłe

tarcia blakły w obliczu śmierci.

Kiedy weszła do kuchni, matka przygotowywała kawę. Stella, wdzięczna e nie musi zawracać sobie głowy podobnymi drobiazgami, podbiegła i ucałowała Carlę w policzek.

–

Dzięki. Na dłu szy czas mam dość herbaty.

–

Ilekroć tu wchodziłam, ta kobieta parzyła cholerną herbatę!

–

Mamo, ona chciała jak najlepiej. Zresztą nie jestem pewna, czy wcześniej mogłabym przełknąć kawę.

Carla odwróciła się od kuchenki. Była szczupłą kobietą o krótkich blond włosach. Od wielu lat regularnie odwiedzała chirurga plastycznego, by zatuszować skutki upływającego czasu. Liftingi, zastrzyki, drobne podciągnięcia tu i ówdzie rzeczywiście odmłodziły jej twarz, ale dodały rysom nienaturalnej ostrości.

Matka mogła uchodzić za czterdziestolatkę, lecz to jej nie zadowalało.

Właściwie nic jej nie zadowalało.

–

Zawsze bierzesz stronę tamtej – skarciła córkę.

–

Nie biorę strony Jolene, mamo. – Stella cię ko opadła na krzesło. Z

przera eniem zdała sobie sprawę, e teraz nie ma ju czego planować i organizować. Jak uda jej się przetrwać noc?

–

Nie rozumiem, czemu muszę ją tolerować.

–

Przykro mi, e czułaś się nieswojo. Ale Jolene była bardzo miła i autentycznie się starała. Poza tym jest oną ojca od... ilu?... dobrych dwudziestu pięciu lat. Chyba mogłabyś ju do tego przywyknąć.

–

Nie znoszę, jak pcha mi się przed oczy z tym swoim gardłowo-nosowym bełkotem. Biała hołota z przyczepy!

Stella ju otworzyła usta, ale szybko ugryzła się w język. Jolene nigdy w yciu nie mieszkała w przyczepie i nikt z jej rodziny nie nale ał do hołoty. Jaki sens jednak miałoby przypominanie o tym matce? Czy te uświadomienie jej, e sama postanowiła zerwać mał eństwo i e od tej pory zdą yła się ponownie rozwieść?

—

Teraz ju jej tu nie ma. Wyjechała.

—

No i krzy yk na drogę.

Stella westchnęła głęboko. adnych kłótni. Jest zbyt wyczerpana.

—

Dzieci zasnęły... były bardzo zmęczone. Jutro... có , jutrem zajmiemy się, gdy ju nadejdzie. Pewnie teraz właśnie tak zacznie wyglądać moje ycie: muszę starać się prze yć ka dy dzień, jakby był pierwszy i ostatni. —

Odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła oczy. — Wciąż mi się zdaje, e to jakiś straszny sen. e zaraz się obudzę i zobaczę koło siebie Kevina. Ja nie mogę...

nie mogę sobie wyobrazić ycia bez niego. Boję się nawet o tym pomyśleć. —

Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. — Mamo, nie mam pojęcia, co robić.

—

Był ubezpieczony, prawda?

Stella a zamruwała oczami z wra enia.

—

Słucham?

—

Mówię o ubezpieczeniu na ycie. Chyba wykupił polisę?

—

Tak. Ale..

—
Powinnaś porozmawiać z dobrym adwokatem i zaskarżyć linie lotnicze.

Najwyższy czas zająć się praktycznymi sprawami. Zresztą w tym właśnie jesteś najlepsza.

—
Mamo... - Cedziła słowa powoli, jakby mówiła do kogoś, kto ma problemy ze słuchem. - Kevin nie żyje.

—
Wiem, Stello. I bardzo mi przykro. - Carla poklepała córkę po dłoni. -

Przecież rzuciłam wszystko i przyjechałam, eby ci pomóc, czy nie?

—
Tak.

Powinna dobrze to sobie zapamiętać. I okazać odpowiednią wdzięczność.

—
Tylko w takim popieprzonym świecie jak nasz młodzi ludzie giną bez adnego powodu. To bezsensowna strata. Nigdy tego nie pojmę.

—
Ja te nie - mruknęła Stella, ocierając łzy.

—
Lubiłam Kevina. Co nie zmienia faktu, że znalazłaś się w paskudnym położeniu. Rachunki, dzieci na utrzymaniu. Wdowa z dwójką dzieci. Niewiele-lu mężczyzn ma ochotę wziąć sobie na głowę gotową rodzinę. Nie zapominaj o tym.

—
Na Boga! Mamo! Ja nie chcę, eby jakiś mężczyzna brał nas sobie na głowę.

—
Wkrótce zechcesz. - Carla z przekonaniem pokiwała głową. - I posłuchaj mojej rady: następnym razem postaraj się o kogoś z pieniędzmi. Nie popełniaj moich błędów. Straciłaś męża, a to cię nie przycię. Doprawdy cię -

kie. Ale kobiety na całym świecie codziennie tracą mężów. Lepiej przeżyć śmierć męża, niż przejść przez rozwód.

Stella była zbyt wyczerpana, by wybuchnąć gniewem.

—
Mamo, dzisiaj odbyła się ceremonia ałobna. Prochy Kevina wciąż stoją w jakiejś cholerniej skrzynce w mojej sypialni.

—
Prosiłaś mnie o pomoc. - Matka wojowniczo pomachała ły eczką. -Więc próbuję ci pomóc. Przede wszystkim zaskarż linie lotnicze, niech ci zapłacą porządne odszkodowanie. Zapewnij sobie wygodne życie. I nie wiaj się z takimi nieudacznikami, jacy zawsze mnie przypadają w udziale. Myślisz, że rozwód nie jest cię kimś doświadczeniem? Ty nie musiałaś przechodzić przez coś takiego, prawda? A ja tak. Dwa razy. I zapewne wkrótce będę to przeżywać po raz trzeci. Już mam po dziurki w nosie tego ałosnego sukinsyna.

—
Nie masz nawet pojęcia, co muszę znosić. Nie dość, że jest nieczułym, kłótliwym dupkiem, to na dodatek chyba mnie zdradza. - Carla poderwała się od stołu, chwyciła nóż i odkroiła porcję ciasta. - Jeśli wydaje mu się, że będę tolerować podobne rzeczy, to wkrótce bardzo się zdziwi. Chciałabym zobaczyć jego minę, gdy dostanie pozew rozwodowy. A dostanie go jeszcze w tym tygodniu.

—
Przykro mi, że nie układa ci się w trzecim małżeństwie - powiedziała Stella oschłym głosem. - Trudno mi jednak zdobyć się na współczucie, ty sama bowiem podjęłaś decyzję o wyjściu za męża po raz trzeci i o kolejnym rozwodzie. A Kevin nie żyje. Mój mąż zginął i mnie, do cholery, nikt nie pytał o zdanie w tej sprawie.

—
Myślisz, że ja mam ochotę przejść raz jeszcze przez tę gehennę?

—
Myślisz, że gdy przyjechałam tu, aby ci pomóc, miałam ochotę oglądać tę kochanicę twojego ojca?

—
To jego ona, która wobec ciebie zachowuje się zawsze bardzo uprzejmie, a wobec mnie z wyjątkową wyczynościami.

—
Bo udaje. - Carla odgryzła duży kęs ciasta. - A poza tym, czy naprawdę uważasz, że tylko ty jedna masz problemy? że tylko ty jedna cierpisz? Nie byłabyś taka pochopna w wydawaniu sądów, gdybyś dobiegała pięćdziesiątki i stanęła wobec perspektywy samotnego życia.

—
Mamo, ty ju dawno temu przekroczyłaś pięćdziesiątkę, i kolejny raz ci przypominam, e samotne ycie jest twoim własnym wyborem.

Carla zmru yła oczy i posłała córce gniewne spojrzenie.

—
Nie podoba mi się twój ton, Stello. I doprawdy, nie muszę znosić twoich impertynencji.

—
Nie. Rzeczywiście nie musisz. Prawdę mówiąc, widzę, e dla nas obu będzie najlepiej, jeśli stąd wyjedziesz. Najchętniej zaraz. Nie powinnam była cię prosić, ebyś została. Nie mam pojęcia, co mnie opętało.

—
Chcesz, ebym wyjechała? Doskonale. - Carla zerwała się z krzesła. -Ju nie mogę się doczekać, by wrócić do własnego domu. Zawsze byłaś niewdzięcznicą. Ilekroć czułaś się nieszczęśliwa, próbowałaś się na mnie odgrywać. Dlatego następnym razem, jak będziesz miała ochotę wypłakać się ko-muś w rękaw, zadzwoń do tej wieśniaczki z Południa, twojej macochy.

—
Tak właśnie zrobię - mruknęła Stella, gdy Carla wypadła z kuchni. -Mo esz być tego pewna.

Podniosła się, eby zanieść fili ankę do zmywarki, poddała się wszak e gwałtownemu impulsowi i trzasnęła porcelaną o metal. Miała ochotę porozbijać wszystko dookoła.

Chwyciła jednak tylko za krawędź zlewozmywaka, modląc się w duchu, by matka jak najszybciej się spakowała i wróciła do Nowego Jorku. Nie chciała mieć jej dłu ej pod swoim dachem. Czemu w ogóle poprosiła, eby Carla została? Przecie zawsze dochodziło między nimi do spięć i walki. Nigdy nie mogły się porozumieć.

Tyle e tak bardzo potrzebowała teraz czyjejś obecności. Tylko tej jednej nocy. Jutro wszystko będzie inaczej. Dzisiaj miała nadzieję, e ktoś ją przytuli i pocieszy.

Dr ącymi rękami pozbierała kawałki rozbitej porcelany i wrzuciła do kosza na śmieci. A potem chwyciła za słuchawkę i zamówiła taksówkę dla matki.

Na szczęście ju nie zamieniły ze sobą ani słowa. Stella zamknęła za Carla drzwi i przez chwilę wsłuchiwała się w terkot motoru odje d ającego samochodu.

Zajrzała do chłopców, otuliła ich kołdrą i musnęła delikatnie ustami czoła obu.

Teraz mieli ju tylko siebie nawzajem.

Stella przysięgła sobie w owej chwili, e będzie lepszą matką. Bardziej cierpliwą. I e nigdy, nigdy nie zawiedzie swoich synków. Nigdy się od nich nie odwróci, jeśli będą jej potrzebowali.

—

Wy jesteście dla mnie najwa niejsi - wyszeptała. - I ,tak pozostanie ju na zawsze,

W sypialni rozebrała się i wyjęła stary, flanelowy szlafrok Kevina Owinęła się w niego, wdychając tak dobrze znany zapach mę a Skuliła się na łó ku, objęła rękami i modliła, by jak najszybciej nadszedł

Harper House

Styczeń 2004

Nie mogła dopuścić, by onieśmieliły ją ten dom lub jego właścicielka. A oboje mieli szczególną reputację.

Dom był elegancki i stary, a otaczające go ogrody piękną przewyższały podobno cuda Semiramidy. To zresztą, mimo zimy, zdążyła ju dostrzec.

Pani domu prowadziła dość samotniczy tryb życia i mówiono o niej, że jest

„trudna”, co mogło oznaczać wszystko - od kobiety o silnym charakterze po bezlitosną zdiurę.

Stella opanowała odruch nerwowego spacerowania po pokoju i zaczęła powtarzać w duchu, że cokolwiek się wydarzy, ona sobie poradzi, bo przecież bywała ju w gorszych sytuacjach.

Potrzebowała tej pracy. I nie tylko ze względu na oferowaną pensję - bardzo wysoką - ale przede wszystkim, by skoncentrować się na nowym celu, odmienić swoje życie. Potrzebowała wyzwania, które zmusiłoby ją do większego wysiłku niż rutynowa praca, jaką wykonywała w Michigan.

Potrzebowała nowego rytmu - wykraczającego poza podbijanie karty obecności i odbieranie poborów, ledwo wystarczających na opłacenie rachunków. Potrzebowała - bez względu na to, jak bardzo takie określenie pachniało tanimi poradnikami - czegoś, co pozwoli jej podbudować własnego ego i da poczucie spełnienia.

Rosalind Harper była bez wątpienia kobietą spełnioną. Mieszkała w domu należącem od pokoleń do jej rodziny, prowadziła kwitnącą firmę. Ciekawe, jakie to uczucie, budzić się codziennie ze świadomością, że jest miejsce, do którego się przynależy, i wiedzieć doskonale, w którą się zmierza stronę?

Jeśli Stella mogłaby pragnąć czegoś dla siebie i swoich dzieci, to właśnie zaspokojenia owej ciekawości. Miała wrażenie, i wraz ze śmiercią Kevina zatraciła przekonanie, że istnieje miejsce na ziemi, które mogłaby nazwać swoim, i zagubiła własną drogę. W działaniu sprawdzała się bez trudu. Wystarczyło wyznaczyć jej zadanie i pozwolić spokojnie je realizować - w tym zawsze celowała.

Ale świadomość, kim jest naprawdę, opuściła ją tego tragicznego wrześ-

niowego dnia 2001 roku i nigdy na dobre nie powróciła.

Przeprowadzka do Tennessee miała być nowym początkiem nowego życia.

A prowadziła do tego rozmowa twarzą w twarz z Rosalind Harper. Jeśli Stella nie dostanie tej

posady - có ... poszuka innej. Nikt nigdy nie mógłby jej zarzucić, e nie wie, jak pracować, i nie umie zadbać o siebie i dzieci.

Ale... Bo e... jak e jej zale ało, by zostać właśnie tutaj.

Bardzo starannie wybrała strój na spotkanie. Starła się wyglądać jak na kompetentnego mened era przystało. Włó yła granatową garsonkę i dobrze wyprasowaną białą bluzkę. Eleganckie buty. Subtelna bi uteria. Nic rzucającego się w oczy. Umalowała się bardzo dyskretnie. Włosy ściągnęła w węzeł na karku. Je eli będzie miała dość szczęścia, niesforne rude loki pozostaną na miejscu a do końca spotkania.

Rosalind kazała na siebie czekać. To zapewne drobna psychologiczna gra, pomyślała Stella, kręcąc paskiem od zegarka. Miała podenerwować się trochę w tym wspaniałym salonie, podziwiając antyki i obrazy oraz zapierający dech w piersiach widok za oknem.

To ucieleśnienie elegancji i uroku Południa miało jej uświadomić, e jest Jankeską, człowiekiem z innego, gorszego świata.

Tutaj wszystko dzieje się wolniej, upominała się Stella w duchu. Będzie musiała przywyknąć do innego rytmu i do innej kultury.

Kominek był najprawdopodobniej w stylu Adama. Lampa niewątpliwie pochodziła od Tiffany'ego. A czy te draperie mo na było nazwać portierami, czy byłoby to ju za bardzo w stylu Scarlett OTłary?

Bo e, jeszcze w adnym miejscu nie czuła się tak nieswojo. Co średnio za-mo na wdowa z Michigan robi w tak pełnym przepychu miejscu?

Usłyszała czyjeś kroki dobiegające z holu i starała się przybrać neutralny wyraz twarzy.

—

Przyniosłem kawę.

To nie była Rosalind, ale pogodny mę czyzna - David - który wcześniej wpuścił ją do domu i przyprowadził do salonu.

Na oko miał koło trzydziestki. Był średniego wzrostu, bardzo szczupły i miał

wyjątkowo urzekającą twarz. Chocia nosił się na czarno, Stella od razu wiedziała, e nie jest kamerdynerem czy słu ącym. Jego strój był zbyt stylowy, zbyt elegancki.

Ustawił na stole tacę z fili ankami, herbatnikami, małymi lnianymi ser-wetkami i dzbanuszkim pełnym fiołków.

—

Roz ma lekki poślizg, ale zaraz się zjawi. Tymczasem zrelaksuj się i roz-koszuj kawą. Wygodnie ci?

—
Tak. Bardzo.

—
Czy jeszcze mógłbym coś podać, by umilić ci czekanie?

—
Nie. Dzięki.

—
W takim razie czuj się jak u siebie w domu - zakomenderował i nalał kawy do filiżanki. - Nic nie może się równać z ogniem w kominku w środku stycznia, czy nie? Człowiek od razu zapomina, że zaledwie parę miesięcy temu roztopiał się w upale. Czego sobie uczysz do kawy, skarbie?

Stella nie była przyzwyczajona, aby obcy mężczyźni zwracali się do niej przez „skarbie”. Szczególnie że David wydawał się parę lat od niej młodszy.

—
Tylko odrobinę śmietanki.

Z trudem powstrzymała się, by nie gapić się na jego twarz - doprawdy porywającą z tymi pełnymi ustami, ciemnoniebieskimi oczami, wysokimi kość-

mi policzkowymi i seksownym, delikatnym dołkiem w brodzie.

—
Czy długo pracujesz u pani Harper?

—
Od zawsze. - Uśmiechnął się czarująco i podał jej filiżankę. -1 bardzo mi się tu podoba, z wielu rozmaitych powodów. Pamiętaj, udzielaj jej prostych odpowiedzi na proste pytania i nie próbuj się podlizywać. Ona tego nienawidzi. A tak przy okazji, skarbie, masz zachwycające włosy.

—
Och. - Odruchowo dotknęła węzła. - Dzięki.

—
Tycjan wiedział, co robi, gdy wciąż malował ten odcień. Powodzenia w rozmowie z Roz. Twoje buty

te są świetne - oznajmił i ruszył w stronę drzwi.

Stella westchnęła głęboko. Zwrócił uwagę na jej włosy, a także na buty. Z

pewnością więc jest gejem. Jaka szkoda.

Kawa była doskonała i David rzeczywiście miał rację: miło posiedzieć przy ogniu w środku stycznia. Na zewnątrz panowała wilgoć, niebo zasnuwały ciemne chmury. Ona tymczasem znajdowała się w pięknym, przytulnym pokoju i popijała kawę z wytwornej porcelany - Miśnia? A może Wedge-wood?

Zaintrygowana uniosła filiżankę, aby zerknąć na znak firmowy.

—

To Staffordshire, serwis przywieziony z Anglii przez którąś z pań Harper w połowie dziewiętnastego wieku - usłyszała od drzwi.

Nie ma sensu przeklinać się w duchu, doszła szybko do wniosku Stella. Ani z ymac na fakt, że z powodu typowej dla rudzielca karnacji na jej twarzy zapłonęły rumieńce zawstydzenia. Odstawiła więc filiżankę i spojrzała Rosalind Harper prosto w oczy.

—

Przepiękne filiżanki.

—

Te tak uważałam. - Rosalind weszła do salonu, opadła na fotel i nalała sobie kawy.

Stella od razu spostrzegła, że jedna z nich pomyliła typ stroju obowiązujący w czasie takiej rozmowy.

Wysoka, smukła Roz wystąpiła w rozciągniętym, oliwkowym swetrze i roboczych spodniach postrzępionych przy mankietach. Nie miała na nogach butów, jedynie grube, brązowe skarpety. To zapewne z tego powodu Stella nie usłyszała nadejścia gospodyni.

Jej włosy były krótkie, proste i czarne.

Do tej pory komunikowały się jedynie przez telefon, faks lub e-mailami, Stella jednak poszukała w Internecie wiadomości na temat Rosalind Harper.

Chciała wiedzieć jak najwięcej o potencjalnej pracodawczyni, a poza tym była ciekawa, jak wyglądała ta kobieta.

Znalazła wiele informacji. Obejrzała fotografie Rosalind jako dziecka i dorastającej dziewczyny. Zachwycała się zdjęciami pięknej, osiemnastoletniej panny młodej i przepełniła ją empatia na widok bladej, opanowanej, dwudziestopięcioletniej wdowy.

Oczywiście Internet oferował du o więcej. Cytaty z kolorowych pism pełne były spekulacji na temat, czy i kiedy młoda wdowa ponownie wyjdzie za mą .

Sporo pisano o zało onej przez nią firmie ogrodniczej, hodowanych na sprzeda unikatowych roślinach, a tak e o yciu osobistym. Sporo doniesień dotyczyło jej krótkotrwałego drugiego mał eństwa i rozvodu.

Stella wiedziała, e będzie miała do czynienia z energiczną, inteligentną kobietą o rozwiniętym zmysle do interesów. Sądziła jednak, e uderzający wygląd Rosalind na zdjęciach był wynikiem odpowiedniego oświetlenia, makija u i ustawienia obiektywu.

Okazało się, e nie miała racji.

W wieku czterdziestu sześciu lat Rosalind Harper przywodziła na myśl ró ę w pełnym rozkwicie. Nie kwiat z oran erii, ale rosnącą na świe ym powietrzu, zahartowaną przez wszystkie mo liwe ywioły, która z sezonu na sezon kwitnie coraz piękniej i zyskuje na ywotnej sile.

Miała wąską twarz o wysokich kościach policzkowych i podłu ne, brązowozłociste oczy. Jej pełne, wyraziście zarysowane usta były nietknięte szminką.

Oczywiście, w kącikach oczu widniała drobna siateczka zmarszczek, ale to nie psuło urody tej kobiety.

Patrząc na nią, Stella pomyślała: proszę, czy ja mogłabym tak wyglądać, gdy będę w tym wieku? Tyle e - jeśli mo na - wolałabym się ubierać z nieco większą elegancją.

—

Kazałam ci czekać?

Proste, szczerze odpowiedzi - przypomniała sobie Stella.

—

Przez chwilę. Ale czekanie w podobnym wnętrzu, z dobrą kawą podaną w pięknej fili ance, nie jest specjalnie uciążliwe.

—

David uwielbia takie zawracanie głowy. Byłam w szklarni i trochę się zasiedziałam.

Mówiła energicznym tonem; oczywiście, nie ostrym - głos adnego rodo-witego mieszkańca Tennessee nigdy nie mógłby brzmieć ostro - ale zdecydowanym i pewnym siebie.

—

Wyglądasz młodziej, ni się spodziewałam. Masz... ile?... trzydzieści trzy lata?

–
Tak.

–
A twoi synowie... sześć i osiem?

–
Owszem.

–
Nie przyprowadziłaś ich ze sobą?

–
Nie. Zostali z moim ojcem i jego oną.

–
Bardzo lubię Willa i Jolene. Jak się miewają?

–
Doskonale. Cieszą się, e mogą spędzać tak wiele czasu z wnukami.

–
Wyobra am sobie. Twój tata niekiedy pokazuje ich zdjęcia i zawsze przy tej okazji pęka z dumy.

–
To między innymi dlatego sprowadziłam się do Memphis. By dzieci mogły spędzać więcej czasu z dziadkami.

–
Bardzo dobry powód. Ja równie lubię małych chłopców. Brakuje mi ich w domu. To, e masz dwóch synków, przemawiało na twoją korzyść. Choć oczywiście cv, referencje od poprzedniego pracodawcy i rekomendacja twojego ojca nie zaszkodziły.

–
Wzięła z tacy herbatnik i odgryzła kęs, nie spuszczać przy tym wzroku ze Stelli.

–
Potrzebuję osoby o doskonałym zmyśle organizacyjnym, kogoś twórczego i sumiennego,

sympatycznego i praktycznie niezmordowanego. Lubię pracować z ludźmi, którzy zdołają dotrzymać mi kroku, a narzucam bardzo ostre tempo.

—

Słyszałam o tym. - W porządku, pomyślała Stella, nale y się zrewan ować podobną konkretnością. - Pani Harper, studiowałam ogrodnictwo i spe-cjalizowałam się w zarządzaniu. Z wyjątkiem trzech lat, które poświęciłam wychowaniu synów, a tak e zajmowaniu się własnym ogrodem i ogrodami dwojga sąsiadów, zawsze pracowałam w swoim zawodzie. Od ponad dwóch lat - od śmierci mę a - sama wychowuję dzieci i jednocześnie zarabiam na nasze utrzymanie. W obu dziedzinach dobrze sobie radzę. Potrafię dotrzymać pani kroku. Mogę dotrzymać kroku ka demu.

Być mo e, pomyślała Rosalind. To się jeszcze oka e.

—

Poka mi swoje dłonie.

Nieco zirytowana tym yczeniem, Stella wyciągnęła ręcę. Roz odstawiła fili ankę i zaczęła wodzić palcami po wnętrzu jej dłoni.

—

Widzę, e umiesz pracować.

—

Tak jest.

—

Zmyliła mnie ta garsonka, skądinąd bardzo ładna. - Rosalind uśmiechnęła się i dokończyła herbatnika. - Przez ostatnie kilka dni padało. Zobaczmy, czy znajdziemy dla ciebie jakieś odpowiednie buty, ebyś nie zniszczyła tych swoich pięknych pantofelków. Oprowadzę cię po gospodarstwie.

Wielkie zielone kalosze były za du e i mało efektowne, ale rozmiękła ziemia i wir bez wątpienia zniszczyłyby eleganckie szpilki.

Poza tym, jakie znaczenie miał jej wygląd, skoro mogła obejrzeć to, co zdołała tu stworzyć Rosalind.

„Eden” zajmował całą zachodnią poać posiadłości. Sklep ogrodniczy wychodził na południową drogę, a prowadzący do niego podjazd został pięknie i przemyślnie zaprojektowany. Mimo e był dopiero styczeń, Stella zdołała dostrzec, ile wysiłku i myśli twórczej wło ono w odpowiednie wyeksponowanie roślin zimozielonych i drzew ozdobnych. Wznoszące się tu i ówdzie kopczyki kompostu zwiastowały pojawienie się, wraz z wiosennym słońcem, roślin bulwiastych - zarówno wieloletnich, jak i jednorocznych - kwitnących do późnej jesieni.

Po krótkim spacerze nie tylko marzyła o pracy w tym miejscu - po prostu nie chciała adnej innej. Zrobiłaby niemal wszystko, eby zdobyć tę posiadę.

—

- Nie chciałam, eby sprzeda odbywała się w pobli u domu - wyjaśniła Roz, tu po tym gdy zaparkowała furgonetkę. - Nie miałam ochoty patrzeć na sklep, ilekroć wyglądałabym przez okno. Harperowie zawsze odznaczali się zmysłem do interesów. Nawet wtedy, gdy większość tych terenów porastała jedynie bawełna.

Stella z wra enia wciąż nie mogła wykrztusić z siebie słowa, więc tylko skinęła głową. Rzeczywiście, z tego miejsca nie było widać domu - zasłaniał go niewielki zagajnik.

—

Sklep jest otwarty przez okrągły rok - ciągnęła Roz. - Zajmujemy się sprzeda ą wszystkiego, co ma jakkolwiek związek z ogrodnictwem: od roślin doniczkowych poczynając, na poradnikach i albumach kończąc.

Najstarszy syn pomaga mi w zarządzaniu firmą, choć najszcześniejszy jest w szklarni i na polach. W tej chwili pracuje u nas dwoje sprzedawców na pół

etatu. Ale za kilka tygodni będziemy potrzebować znacznie więcej ludzi.

—

A więc sezon tutaj rozpocznie się na początku marca.

—

Tak jest.

Roz poprowadziła ją asfaltową alejką do niskiego, białego budynku z du ą, starannie utrzymaną werandą.

Wewnątrz, wzdłu ścian, ciągnęły się dwie długie lady. Do środka wpadało wiele światła, przez co pomieszczenie wyglądało na przestronne i pogodne. Na półkach stały pojemniki z nawozami, preparatami wzmacniającymi, pestycydami oraz kuwety do kiełkowania nasion. Na kolejnych umieszczono kolorowe doniczki i skrzynki idealne na zioła lub rośliny ozdobne. Wszędzie wisiały dzwonki powietrzne. Wokół znajdowało się mnóstwo innych ogrodni-czych akcesoriów.

Kobieta o śnie nobiałych włosach odkurzała właśnie ekrany skupiające promienie słoneczne. Miała na sobie jasnoniebieski sweter haftowany w ró-

yczki, a pod spodem schludną białą koszulę.

—

Ruby, oto Stella Rothchild. Właśnie oprowadzam ją po terenie.

—

Miło mi panią poznać.

Taksujące spojrzenie starszej kobiety zdradzało, że Ruby wie, że Stella ubiega się o pracę.

—

Jesteś córką Willa Dooleya, prawda? - spytała z uśmiechem. - Tak.

—

Z... z Północy?

Ku rozbawieniu Stelli zabrzmiało to tak, jakby pochodziła z jakiejś podejrzanego bananowej republiki.

—

Owszem. Z Michigan. Ale urodziłam się w Memphis.

—

Doprawdy? - Uśmiech stał się odrobinę cieplejszy. - To już coś na początek.

Ale wyjechałaś, gdy byłaś jeszcze małym dzieckiem?

—

Tak. Matka postanowiła się przeprowadzić na Północ.

—

A ty się zastanawiasz, czy tu nie wrócić?

—

Ja już tu wróciłam - poprawiła ją Stella.

—

No cóż. - Te dwa słowa mówiły jasno: „jeszcze zobaczymy, jak to będzie”. -

Paskudna pogoda - ciągnęła Ruby. - W taki dzień najlepiej nie wysuwać nosa na dwór. Może się tu rozglądać do woli.

—

Dziękuję. Ale prawdę mówiąc, najchętniej rozejrzałam się w szklarni.

—

W takim razie świetnie wybrałaś pracę. Roz, była tu Marilee Booker i kupiła dendrobium. Robiłam, co mogłam, eby ją od tego odwieść, niestety bezskutecznie.

—

Szlag by to trafił! Ta biedna roślina nie przeżyje nawet tygodnia.

—

Hodowanie dendrobium nie nastrecza większych trudności - wtrąciła Stella.

—

Nie dla Marilee. Ta kobieta uśmierciłaby nawet nieśmiertelnik. Powinna mieć formalny zakaz zbliżania się do czegokolwiek, co żyje - i to pod karą wieloletniego więzienia.

—

Przykro mi, Roz - powtórzyła Ruby. - Ale obiecała mi, e gdy tylko roślina zacznie niedomagać, natychmiast przyniesie ją tu z powrotem.

—

Nie rób sobie wyrzutów. - Roz machnęła ręką, po czym przeszła do następnego pomieszczenia.

Stały tu rośliny doniczkowe - od najbardziej popularnych, po najbardziej egzotyczne; a tak e rozmaite pojemniki - od maleńkich, niewiele większych od naporstka, do olbrzymich, przypominających średnicą włazy kanałowe.

Znajdowały się tu ponadto jeszcze inne akcesoria ogrodowe - kamienne płyty odpowiednie do wykładania alejek, kraty do pnączy, fontanny i ławki.

—

Wymagam od pracowników, eby znali się na wszystkim po trochu - powiedziała Roz. - Gdyby zaś nie potrafili udzielić odpowiedzi na pytania klienta, powinni wiedzieć, gdzie szybko znaleźć odpowiednie informacje. W

porównaniu z niektórymi przedsiębiorstwami prowadzącymi głównie sprzedaż hurtową, nie jesteśmy wielką firmą. Ponadto u nas ceny są wyższe niż w popularnych centrach handlowych. Dlatego koncentrujemy się na sprzedaży roślin rzadkich gatunków i wyjątkowej jakości, a tak e prowadzimy dział usług dla klientów. Co oznacza wizyty w domach.

—
Czy ma pani dział zajmujący się konsultacjami u klienta?

—
Je eli pojawia się jakiś problem z rośliną kupioną w naszym centrum, załatwiam to osobiście albo wysyłam Harpera. - Wsunęła ręce do kieszeni i zaczęła kołysać się na obcasach swoich powalanych błotem, cię kich butów.

W powa niejszych przypadkach posyłam naszego architekta krajobrazu.

Zabranie go od konkurencji kosztowało mnie fortunę. Na dodatek musiałam mu zagwarantować praktycznie wolną rękę. Ale on jest najlepszy, a ja chcę rozwijać ten dział.

—
A jaki przyjęła pani modus operandi?

Roz odwróciła się i spojrzała na nią z rozbawieniem.

—
Teraz ju jestem pewna, e potrzebuję kogoś takiego, jak ty. Kogoś, kto musi w stanie z całą powagą wypowiedzieć słowa modus operandi. Niech się chwilę zastanowię. - Rozejrzała się dookoła, a potem otworzyła drzwi prowadzące do szklarni. - Powiedziałabym, e nasza działalność biegnie dwutoro-wo... a tak przy okazji, to właśnie tutaj hodujemy większość naszych jednorocznych roślin, które wywiesimy w koszach przed sklepem ju w marcu. Po pierwsze, świadczymy usługi ogrodnikom amatorom. Zarówno tym początkującym, jak i doświadczoneym, którzy wiedzą, czego chcą, a jednocześnie są skłonni poeksperymentować z nowościami. Mamy im wszystkim zapewnić wszelkie potrzebne rośliny, narzędzia i akcesoria, a tak e słu yć radą i pomocą. Po drugie, interesują nas ludzie, którzy mają spore pieniądze i chcą upiększać swoje ogrody, ale brak im czasu lub chęci, by grzebać się w ziemi. Wówczas zjawiamy się u nich w domu, opracowujemy projekt, ściągamy rośliny, wynajmujemy odpowiednią siłę roboczą. I gwarantujemy klientowi w pełni satysfakcjonujące rezultaty.

—
Rozumiem - odrzekła Stella, przesuając jednocześnie oczami po długich stołach pełnych roślin, wiszących nad nimi spryskiwaczach, systemach odpływowych w betonowej podłodze.

—
Po rozpoczęciu sezonu wystawiamy stoły na zewnątrz budynku. Wszyscy przeje d ający mogą więc obejrzeć rośliny. Te, które potrzebują cienia, ustawiamy pod daszkami. Tutaj zaś hodujemy zioła. Natomiast w tamtych szklarniach trzymamy rośliny na nasiona, a w cieplarni młode sadzonki.

Wyszły znów na zewnątrz i ruszyły przed siebie wiorną alejką, obsadzoną krzewami i ozdobnymi drzewkami. Roz wskazała na osłoniętą ywopłotem przestrzeń.

—

To miejsce zamknięte dla klientów, gdzie zajmujemy się uprawą nowych roślin i hybrydyzacją. W większości wypadków odbywa się to w zamkniętym pomieszczeniu, chociaż wygospodarowałam do tego celu również kawałek pola. Ponieważ jest tam staw, nie ma problemu z nawadnianiem.

wir skrzypiał im pod butami. Stella szybko kalkulowała, analizowała sytuację, planowała. Niczego już teraz tak nie poądała jak tej posady.

Mogłaby tu bardzo wiele zdziałać. Wycisnąć własne piętno na imponujących podwalinach wzniesionych przez Rosalind. Bez trudu rozwinęłaby ten interes -

ulepszyła, nadała mu wyrafinowany szlif. O niczym lepszym nie mogłaby nawet marzyć.

Oczami wyobraźni widziała już, jak te kopulaste szklarnie, robocze stoły oraz wystawy uginają się od kwiatów i są oblegane przez klientów. Niosąc zapowiedzi rozwoju i nowych możliwości.

Roz otworzyła drzwi kolejnego pomieszczenia - cieplarni - gdzie kiełkowały rośliny i ukorzeniały się szczepy. Stella aż zamruczała z zachwytem. Uwielbiała ten zapach - ziemi i wilgoci. Powietrze było nią przesycone i Stella wiedziała, że jej włosy natychmiast staną się jeszcze bardziej niesforne, bez wahania weszła jednak do środka.

Młode sadzonki wychylały się ze wzbogaconej gleby. Wokół wisały kosze ze świeżymi kiełkami. Po przeciwległej stronie znajdowały się rośliny hodowane na nasiona - rodzice tych rozwijających się maleństw.

Wszystkie pojemniki były starannie opisane, chociaż Stella bez trudu rozpoznawała wiele kwiatów, nawet nie patrząc na etykiety. Orliki i meksykańskie margerytki, petunie i penstemon. Tu, na głębokim Południu, już za parę tygodni będzie można przesadzić je na rabaty i do pojemników, wystawić na słońce lub ustawić w ocienionych zakątkach. Już za parę tygodni mocno się ukorzenia i rozkwitną.

A ona, Stella? Czy zdoła tu zapuścić korzenie? Czy tak się rozkwitnie? Czy rozkwitną tu jej chłopcy?

Uprawa roślin pociągała za sobą ryzyko. Ale samo życie było zdecydowanie bardziej ryzykownym przedsięwzięciem. Mądrzy ludzie szacowali ewentualne zagrożenia, minimalizowali je, a potem koncentrowali się na osiągnięciu celu.

—

Chciałabym obejrzeć magazyny i biuro.

—

Oczywiście. Czas, abyśmy się stąd zbierały. Twoją garsonkę zaraz będzie można wyjąć.

Stella spojrzęła po sobie, zerknęła na wielkie kalosze i wybuchnęła śmiechem.

—

I pomyśleć, e zale ało mi na profesjonalnym wyglądzie! Roz pokiwała głową z aprobatą.

—

Jesteś atrakcyjną kobietą, Stello, i masz dobry gust. To dobrze. Poświęciłaś czas i uwagę, by starannie ubrać się na nasze spotkanie. Ja nie zadałam sobie tego trudu. Ale doceniam twój wysiłek.

—

To pani rozdaje karty, pani Harper. Mo e się pani ubierać, jak tylko się pani podoba.

—

Fakt. - Roz ruszyła do drzwi i chwilę później wyszły na zewnątrz, gdzie właśnie zaczęła padać m awka. - Chodźmy do biura. Nie ma sensu ciągnąć cię po całym terenie w deszczu. Jakimi jeszcze powodami się kierowałaś, gdy podjęłaś decyzję o przeprowadzce?

—

Nic mnie właściwie nie trzymało w Michigan. Przeprowadziliśmy się tam z Kevinem po ślubie ze względu na jego pracę. Myślę... wydaje mi się, e po jego śmierci zostałam tam z przyzwyczajenia... a mo e dziwnie pojętej lojalności. Sama nie wiem. Lubiłam swoją pracę, ale nigdy nie nabrałam poczucia, e to moje miejsce na ziemi. yłam jedynie z dnia na dzień.

—

Masz tam rodzinę?

—

Nie. Nie w Michigan. Rodzice Kevina umarli jeszcze przed naszym ślubem.

Moja matka mieszka w Nowym Jorku, ja jednak nie chciałabym tam mieszkać. Nie chciałabym, eby chłopcy dorastali w takim miejscu. Poza tym, moje stosunki z matką są... dość skomplikowane. Jak to często bywa w wypadku matek i córek.

—

Powinnam więc dziękować Bogu, e mam samych synów.

—

Zapewne. - Stella ponownie parsknęła śmiechem. - Moi rodzice rozwiedli się, gdy byłam jeszcze

bardzo mała. Ale pani, naturalnie, dobrze zna tę historię.

—

O tyle, o ile. Jak ju wspominałam, bardzo lubię twojego ojca i Jolene.

—

Ja te . Dlatego zdecydowałam się tu przenieść. Ostatecznie urodziłam się w tym mieście. Co prawda nie zachowałam adnych wspomnień, ale chcę wierzyć, e łączą mnie z Memphis jakieś duchowe więzi. e odnajdę tu miejsce dla siebie i chłopców.

Przez sklep przeszły do małego pomieszczenia, tak zagraconego, e pedantyczna Stella mimowolnie się skrzywiła.

—

Rzadko tu pracuję - powiedziała Roz. - Część dokumentów trzymam w biurze, część w domu. Kiedy ju tu przyjdę, zazwyczaj od razu ciągnie mnie do szklarni i na pole. - Zrzuciła ksią ki o ogrodnictwie z krzesła, wskazała Stelli, by usiadła, sama zaś usadowiła się na brzegu zarzuconego papierami biurka. - Znam swoje mocne strony i wiem, jak prowadzić interes. W niecałe pięć lat doszłam do tego, co teraz mam. Kiedy firma była mniejsza i właściwie tylko ja tu pracowałam, mogłam sobie pozwolić na pomyłki. Teraz w sezonie zatrudniam osiemnaście osób, które co tydzień liczą na wypłatę.

Zale ą ode mnie. Więc ju nie mogę popełniać błędów. Wiem, jak hodować rośliny, jak je wyceniać, projektować ogrody, postępować z pracownikami i rozmawiać z klientami.

—

To nie ulega wątpliwości - zgodziła się Stella. - Ale czemu w takim razie poszukuje pani kogoś takiego jak ja?

—

Poniewa wśród tych wszystkich rzeczy, na których się znam - i którymi od lat się zajmuję - są te takie, których nie lubię robić. Nie lubię zajmować się organizacją. A teraz ju jesteśmy zbyt du ą firmą, ebym sama decydowała, jak i co sprzedawać. Potrzebuję świe ego spojrzenia, nowych pomysłów, kogoś o trzeźwym podejściu.

—

Zrozumiałam. yczy te pani sobie, by mened er ogrodnictwa mieszkał w pani domu, przynajmniej przez kilka pierwszych miesięcy.

—

To nie uczenie, tylko bezwzględny wymóg - odparła Rosalind tak stanowczo, a Stella w końcu zrozumiała, czemu niektórzy mogą uważać panią Harper za trudną. - Zaczynamy pracę wcześnie, kończymy późno. Chcę mieć najważniejszego pracownika zawsze pod ręką, w każdym razie do czasu, a złapiemy wspólny rytm. Memphis jest dość daleko, więc o ile nie kupisz domu w obrębie paru kilometrów i to jak najszybciej, musisz zamieszkać ze mną.

—

Mam dwóch wywych, dokazujących synów i psa.

—

Bardzo lubię dokazujących chłopców i nie mam nic przeciwko psom, jeżeli tylko nie kopią dołów. Dopiero jeżeli twój podopieczny spróbuje ryć nory w moim ogrodzie, zaczną się problemy. Dom jest bardzo duży. Ty i twoi synowie będziecie mieli sporo miejsca dla siebie. Zaoferowałabym ci domek go-

ścienny, ale nawet dynamitem nie udałoby mi się wykurzyć stamtąd Harpera, mojego najstarszego syna. A więc, czy chcesz tę posiadłość, Stello?

Stella wzięła głęboki oddech. Przecie skalkulowała ryzyko, już gdy tutaj jechała. I doszła do wniosku, że czas na nowe wyzwania. Adne wiążące się z tą sprawą lęki nie mogły przeważać korzyści.

—

Tak. Tak, pani Harper. Bardzo chciałabym podjąć tę pracę.

—

W takim razie jest twoja. - Roz wyciągnęła ku niej dłoń. - Jutro może przywieźć swoje rzeczy. Najlepiej z samego rana. Weź te sobie kilka dni wolnych, zadbaj, by chłopcy zaaklimatyzowali się w nowym miejscu.

—

Dziękuję bardzo. Gavin i Luke będą bardzo podekscytowani przeprowadzką, ale i nieco przerażeni. - Podobnie jak ja, dodała w myślach. - Muszę jednak być z panią do końca szczerą, pani Harper. Jeżeli chłopcy w rozsądnym okresie nie zaakceptują tego miejsca, będę musiała zmienić swoją decyzję.

—

Gdybym miała co do tego jakiegokolwiek wątpliwości, nigdy bym cię nie zatrudniła. I, proszę, mów mi „Roz”.

Chyba uczyć swój sukces, po drodze do domu ojca kupiła butelkę szampana i musującego cydru. Deszcz oraz niespodziewany objazd sprawiły, że ułknęła w paskudnym korku. I wtedy dotarło do niej, że jakkolwiek może się to wydawać dziwaczne, mieszkanie w miejscu pracy ma wyjątkowo dużo zalet.

Na Boga, a więc jednak zdobyła tę posesję! Z jej punktu widzenia - wymarzoną. Choć, oczywiście, nie miała do końca świadomości, jak będzie wyglądała współpraca z Rosalind „mów mi Roz” Harper, i musiała jeszcze wiele poczytać na temat cyklu wegetacyjnego w tym obszarze klimatycznym. Do tego dochodził problem pracowników: czy zechcą przyjmować polecenia od kogoś zupełnie im obcego, na dodatek Jankeski?

Mimo tych obaw nie mogła się już doczekać, kiedy zabierze się do działania.

Chłopcy te będą mieli mnóstwo przestrzeni w tej... rezydencji - bo chyba nie można nazwać inaczej tego domu. Poza tym Stella nie mogła w tej chwili kupić własnego domu. Potrzebowała czasu, by poznać okolicę i lokalną społeczność.

A nie ulegało wątpliwości, że w domu ojca panowała straszna ciasnota. I on, i Jolene okazali niezwykłą gościnność i życzliwość, ale przecie tak naprawdę nie mogli się gnieździć w pięć osób w trzypokojowym domu.

Stella zaparkowała swoją wiekową terenówkę tu za eleganckim, sportowym autem macochy. Chwyciła torebkę i biegiem ruszyła przez deszcz w stronę drzwi.

Zapukała. Miała co prawda własny klucz, ale zawsze czuła się zbyt skrupowana, by uczynić z niego użytek.

Jolene otworzyła drzwi. W obcisłym czarnym stroju do jogi wyglądała wyjątkowo szczupło i atrakcyjnie jak na osobę dobiegającą sześćdziesiątki.

—

Przepraszam, przerwałam ci ćwiczenia.

—

Dzięki Bogu, właśnie skończyłam. - Jolene otarła twarz niewielkim białym ręcznikiem, potrząsając przy tym gęstymi, miodowoblond włosami. - Zapomniałaś klucza, skarbie?

—

Nie. Wybacz, jakoś nie mogę się zdobyć na to, by z niego swobodnie korzystać. - Stella szybko weszła do holu. - Podejrzana cisza. Czy byś przykuła chłopców do rur w piwnicy?

—

Twój tato zabrał ich do Peabody, aby popatrzyli na kaczki. Uznałam, że wielką przyjemność sprawi im spędzenie czasu we trzech, postanowiłam więc zostać w domu w towarzystwie kasety do ćwiczeń. Pies drzemie na gili ku. Ty zaś wyglądasz na bardzo zadowoloną.

—

To naturalne. Właśnie zdobyłam wymarzoną posiadłość.

—

- Wiedziałaś! Wiedziałaś, że ci się uda! Moje gratulacje Jolene wyciągnęła ramiona i z całej siły uściskała pasierbicę. – Ani przez moment nie wątpiłam w twój sukces. Roz Harper to wyjątkowo inteligentna kobieta. Bez wątplenia umie docenić prawdziwy skarb, gdy go ma pod własnym nosem.

—

- Co nie zmienia faktu, że wciąż jeszcze mam serce w gardle. Teoretycznie nie powinniśmy poczekać na tatę i chłopców, ale... – Stella wyciągnęła z torby butelkę - ...może byśmy od razu wypity kieliszek szampana dla uczczenia mojej nowej pracy?

—

Jeśli nalegasz... - Jolene objęła ją ramieniem i poprowadziła w stronę salonu.

- A teraz powiedz mi, co sądzisz o Roz.

—

W kontakcie osobistym wzbudza mniejszy strach niż przez telefon. -Stella zaczęła otwierać butelkę, natomiast Jolene sięgnęła po wysmukłe kieliszki. -

Choć jest bardzo pewna siebie, czasami niemal obcesowa. A ten jej dom!

—

Cudo, prawda? - Jolene roześmiała się, gdy korek wystrzelił z butelki. - Och!

Cóż za dekadenski odgłos w środku popołudnia. Harper House jest w rodzinie Roz od pokoleń. Ona sama przeniosła się tam po śmierci rodziców.

—

Jolene, opowiedz mi wszystko, co wiesz, proszę. Tata tego nie zrobi.

—

Chcesz mnie spoić szampanem, by usłyszeć kilka plotek? Oj, dziękuję, skarbie. - Opadła na wysoki stół i uniosła w górę kieliszek. - Najpierw wypiję za ciebie i twoje nowe, wspaniałe życie.

Stella dotknęła kieliszkiem kieliszka Jolene.

—

Umm - mruknęła. - Doskonały trunek. A teraz opowiadaj.

—

Rosalind bardzo wcześnie wyszła za mąż, miała zaledwie osiemnaście lat. Za Johna Ashby'ego: z doskonałej rodziny, z tej samej warstwy społecznej co Harperowie. A na dodatek było to małżeństwo z miłości; w owym czasie właśnie zakochałam się w twoim ojcu, a kobieta zawsze potrafi rozpoznać taki stan u innej kobiety. Roz urodziła się, gdy jej rodzice nie byli już ludźmi pierwszej młodości. Ojciec przekroczył pięćdziesiątkę, mama zbliżyła się do czterdziestki. Matka zresztą od tamtej pory już zawsze niedomagała lub te z lubością odgrywała rolę chorowitej damy - opinia w zależności od tego, z kim rozmawiasz na ten temat. W każdym razie, rodzice Roz umarli w odstę-

—

pie dwóch lat jedno po drugim. Jak mi się zdaje, ona wówczas była w ciąży z najmłodszym synem. To znaczy... z Austinem... o ile się nie mylę. Wtedy wraz z Johnem przenieśli się do Harper House. John zginął w wypadku, gdy Austin był jeszcze maluchem. Ty zapewne wiesz, jak musiało jej być ciężko.

—

Owszem.

—

Przez następnych parę lat nie udzielała się towarzysko. A kiedy w końcu zaczęła się pokazywać na przyjęciach, wszyscy wdali się w spekulacje: czy ponownie wyjdzie za mąż? kiedy? za kogo? Widziałaś ją. To piękna kobieta.

—

Tak, wyjątkowo.

—

Na dodatek tutaj jej pochodzenie to prawdziwy skarb. Przy takim drzewie genealogicznym i z taką urodą mogłaby mieć każdego męczyznę: młodego, starego, wolnego, onatego, bogatego czy biednego. Ale Roz z nikim się nie wiązała. Skoncentrowała się na wychowaniu synów.

—

Pozostała samotna, pomyślała Stella, sącząc powoli szampana. Jak dobrze rozumiała ten wybór.

—

Pilnie chroniła swoją prywatność - ciągnęła Jolene - frustrując tym całą śmietankę Memphis. Największy szum podniósł się wtedy, gdy wyrzuciła z pracy obu ogrodników. Ponoć wygoniła ich z posiadłości widłami.

—

Naprawdę? - Stella była pod wrażeniem.

—
W ka dym razie tak słyszałam - i taka wersja wydarzeń zapadła w zbio-iow;) pamięć naszego miasta. Nikt ju się nie zastanawia, czy to prawda, czy nie.

—
My cenimy sobie barwną opowieść i zawsze będziemy ją przedkładać nad prozaiczną rzeczywistość. Tak czy owak, podobno owi ogrodnicy wytrzebili jakieś ulubione rośliny Roz. Po owym incydencie nie zatrudniła ju nikogo do opieki nad ogrodem - wszystkim zajęła się osobiście. Pięć lat później się dowiedzieliśmy, e zało yła przynoszącą spore dochody firmę ogrodniczą w zachodniej części swojej posiadłości. Trzy lata temu ponownie wyszła za mą i niemal natychmiast się rozwiodła. Skarbie, co byś powiedziała na kolejny kieliszek tego doskonałego szampana?

—
Świetny pomysł. - Stella ponownie napełniła kieliszki. - A o co jej poszło z tym jej drugim mę em?

—
Hm. To był wyjątkowo gładki facet. Niebiańsko przystojny i jeszcze bardziej czarujący. Bryce Clerk. Twierdził, e pochodzi z Savannah. Osobiście jednak nie uwierzyłabym adnemu jego słowu, nawet gdyby mi za to płacono w złocie. Nie zmienia to faktu, e oboje wyglądali wspaniale. Problem w tym, e Bryce lubił wyglądać wspaniale w towarzystwie najprzeró niejszych kobiet i nie zamierzał ograniczać swoich upodobań z powodu jakiejś ślubnej przysięgi. Tote Roz szybko wykopała go ze swojego domu i ycia.

—
Punkt dla niej.

—
Rzeczywiście. Rosalind Harper nie nale y do osób, które dają się wodzić za nos.

—
To całkiem oczywiste.

—
Jest bardzo dumna, ale nie pró na, zdecydowana, ale nie zawzięta -choć zapewne niektórzy nie zgodziliby się z tą oceną. Wspaniała przyjaciółka i groźny przeciwnik. Ty jednak, Stello, z powodzeniem sobie z nią poradzisz.

—
Ty potrafiłabyś sobie poradzić z ka dym.

No, có . To się dopiero oka e.

Samochód był po brzegi załadowany bagami. W teczce znajdowały się notatki i mnóstwo przeróżnych szkiców. Bardzo nieszczęśliwy pies zdążył już wyrazić swój pogląd na przeprowadzkę, wymiotując na przednie siedzenie. Z tyłu zaś siedziało dwóch małych chłopców, walcząc ze sobą bez litości.

Stella zjechała na pobocze, by załatwić problem psa, po czym - mimo styczniowego chłodu - pootwierała wszystkie okna. Parker, ich bostoński terier, ułożył się na podłodze auta, przedstawiając sobą wyjątkowo ałosny widok.

Nie wiedziała, o co właściwie kłócili się chłopcy, ale ponieważ do tej pory nie doszło do wymiany ciosów, postanowiła nie ingerować. Zdawała sobie sprawę, że synowie te są przejęci i zdenerwowani przeprowadzką.

Już kolejny raz Stella wyrywała ich ze znajomego środowiska. Pocieszała się jedynie, że synowie rozkwitną na tym nowym gruncie. Gdyby nie ta nadzieja, czułaby się równie fatalnie jak Parker.

—

Nienawidzę cię, śmierdzielu - oznajmił ośmioletni Gavin.

—

A ja nienawidzę twojego tłustego, ohydneho tyłka - zrewanował się sześciolatek Luke.

—

A ja nie mogę patrzeć na twoje obrzydliwe, olbrzymie uszy.

—

A ja na całą twoją paskudną gębę!

Stella westchnęła ciężko i włączyła głośniej radio. Nie odzywała się aż do momentu, gdy dotarli do podjazdu prowadzącego do Harper House. Wówczas zatrzymała samochód i siedziała w milczeniu, nie zwracając uwagi na krzyki dochodzące z tyłu i psa wywieszzonego przez okno. Po chwili wyłączyła radio.

Głosy chłopców stawały się coraz bardziej przytłumione i w końcu po ostatnim:

„a ja nienawidzę ciebie całego” zapanowała cisza.

—

Po długim namyśle doszłam do wniosku, że wobec pani Harper powinniśmy zastosować specjalną

sztuczkę - powiedziała wreszcie Stella neutralnym tonem.

Gavin od razu podchwycił jej słowa.

—
Jaką sztuczkę?

—
Bardzo przemyślną. Dlatego nie mam pewności, czy uda nam się przeprowadzić plan. Pani Rosalind Harper jest bardzo mądra. Więc eby ją prze-chytrzyć, musielibyśmy się wykazać nie lada sprytem.

—
Ja umiem być sprytny - zapewnił Luke.

—
No dobrze. W takim razie wyjaśnię wam, co wymyśliłam.

Odwróciła się i spojrzała synom prosto w oczy. Po raz tysięczny spostrzegł, i, jak niezwykłą mieszanką genetyczną są chłopcy. Jej niebieskie oczy w twarzy Luke'a. Zielonoszare, takie same jak Kevina, w twarzy Gavina. Usta Gavina, niemal jej własne, a u Luke'a - usta ojca. Jej cerę otrzymał Luke (nieszczęsne dziecko!), a koloryt Kevina przypadł Gavinowi.

—
Teraz obaj byli ju dostatecznie zaintrygowani.

—
Oj! - Stella ze smutkiem potrząsnęła lokami. -To chyba jednak niewy-konalne.

Z tyłu dobiegły ją arliwe protesty i gorące błagania przy akompaniamencie wawych podskoków na siedzeniach, co doprowadziło Parkera do hysterii.

—
Zaczął gwałtownie szczekać.

—
Och, no dobrze. - W obronnym geście uniosła dłonie. - A więc zrobimy tak: podjedziemy do domu i spokojnie podejmiemy do drzwi. Kiedy ju znajdziemy się w środku, będziecie musieli się wykazać niezwykłą przebiegło-

—
ścią.

—
Damy radę! - wykrzyknął Gavin.

—
No, nie wiem... Bo będziecie musieli udawać... to naprawdę bardzo trudne...

Będziecie musieli udawać,

e jesteście miłymi, dobrze wychowanymi

chłopcami.

—
Poradzimy sobie! My... - Lukę wykrzywił twarz.

—
Ja natomiast będę musiała udawać, e nie dziwi mnie widok grzecznych, układnych synów. Czy sądzicie, e uda nam się taka sztuczka?

—
Mo e nam się tu nie spodobać - wymamrotał Gavin.

—
Mo e. Ale to się dopiero oka e.

—
Ja tam bym wolał mieszkać z dziadkiem i babcią Jo w ich domu - oznajmił

Lukę, wyginając usta w podkówkę. - Czy naprawdę musimy się od nich wynieść?

—
Naprawdę. Będziemy ich często odwiedzać. Najczęściej, jak to mo liwe.

Pamiętacie, e przeprowadzka miała być dla nas wielką przygodą. Je eli się postaramy - je eli naprawdę wszyscy bardzo się postaramy - a i tak będziemy się tu czuć nieszczęśliwi, zamieszkamy gdzie indziej.

—
Ludzie w tym mieście mówią w dziwny sposób - poskar ył się Gavin.

—
Nie dziwny, tylko inny.

—
A na dodatek tu nigdy nie pada śnieg. Jakim cudem ulepimy bałwana i pojeżdżamy na sankach, jeśli nie będzie zwykłego, głupiego śniegu?

—
Rzeczywiście, tu mnie masz. Ale jestem pewna, e odkryjecie mnóstwo innych ciekawych zajęć.

Czemu wcześniej nie pomyślała, e chłopcom może brakować białego Bo-ego Narodzenia?

Gavin tymczasem przybrał wojowniczą minę.

—
Jeśli ona oka e się wredna, na pewno tu nie zostanę.

—
W porządku. - Stella włączyła silnik i wjechała w wirową aleję. Chwilę później Lukę wykrzyknął:

- Ale du y dom!

Stella nic wiedziała, co o tym myśleć. Czy by la dwupiętrowa budowla przerażała jej chłopców? Czy kiedykolwiek docenią jej estetyczne walory -

jasno ołty piaskowiec, majestatyczne kolumny, tarasy i bliźniacze schody, prowadzące na samą górę? Czy może jedynie będą widzieli wielką, onieśmielającą bryłę, kilkakrotnie przewyższającą rozmiarami ich uroczy domek w Southfield?

—
To bardzo stary dom - pouczyła synów. - Ma prawie dwieście lat. I od samego początku zamieszkiwała tu rodzina pani Harper.

—
Czy ona te ma prawie dwieście lat? - zainteresował się Lukę.

Jego pytanie spotkało się natychmiast z ostrym kuksańcem i pogardliwym parsknięciem brata.

—
Ty głupolu. Nie może mieć tyle lat, bo już dawno umarła. I do tej pory zjadłyby ją robaki...

—
Muszę wam przypomnieć, e grzeczni, dobrze wychowani chłopcy nie nazywają swoich braci

„głupolami”. Widzicie te trawniki? Będziecie mieli mnóstwo miejsca do zabawy. A i Parkerowi zapewne spodoba się taki wielki wybieg. Będziecie jednak musieli się trzymać z daleka od rabat kwiatowych, tak samo jak w Michigan - uprzedziła ich natychmiast. - I musimy zapytać panią Harper, gdzie tak naprawdę wolno wam się bawić.

—

Ale wielkie drzewo - mruknął Lukę. - Naprawdę olbrzymie.

—

To jawor, synku. Zało ę się, e jest nawet starszy od domu.

Zatrzymała przed wejściem, podziwiając japoński klon i złocisty cedr, otoczone azaliami, po czym przypięła smycz do obro y Parkera.

—

Gavin, zajmiesz się psem. Przyjdziemy po nasze rzeczy, kiedy ju się przywitamy z panią Harper.

—

Czy ona będzie nami rządzić?

—

Tak. Nieszczęsny i straszny los dzieci polega na tym, e rządzą nimi dorośli.

Poniewa jednak pani Harper płaci mi pensję, będzie mogła równie mnie wydawać ró ne polecenia. A więc jedziemy na tym samym wózku.

Wysiedli z samochodu i Gavin chwycił kurczowo smycz Parkera.

—

Ja ju jej nie lubię - oznajmił stanowczo.

—

To właśnie podoba mi się w tobie najbardziej, Gavinie. - Stella zmierzwiła jasne włosy starszego syna. - Zawsze wykazujesz się niezwykle pozytywnym myśleniem. No, dobrze. Ruszamy. - Chwyciła chłopców za ręce, po czym skierowali się do zadaszonego wejścia.

W tym samym momencie białe, dwuskrzydłowe drzwi otwarły się na oście .

—

Najwyszy czas! - David rozło ył szeroko ramiona. - Mę czyźni! Wreszcie nie będę tu w mniejszości!

—
Gavin, Lukę, to jest pan... przepraszam, Davidzie, ale nie znam twojego nazwiska.

—
Wentworth. Ale zostaliśmy po prostu przy Davidzie. - Ukucnął i spojrzał na rozszczękanego Parkera. -
A tobie o co chodzi, przyjacielu?

Parker natychmiast oparł mu się łapami o kolana i zaczął go serdecznie lizać po twarzy.

—
No, widzisz. Tak jest o wiele lepiej. Wchodźcie, proszę. Roz zaraz się zjawi.

Rozmawia przez telefon z jakimś dostawcą.

Znaleźli się w przestronnym holu. Chłopcy a otworzyli usta z wra enia.

—
Odjazdowe, no nie?

—
Czy to kościół? - spytał Lukę.

—
Nieeee - odparł David z uśmiechem. - Są tu ró ne cuda, ale to tylko dom.

Wyberzemy się na wyprawę po nim, ale najpierw wypijemy gorącą czekoladę, ebyście się
pokrzepili po długiej podró y.

—
David przyrządza doskonałą czekoladę - oznajmiła Roz, schodząc po ła-godnie opadających
schodach dzielących hol na dwie części. Miała na sobie to samo robocze ubranie, co poprzedniego
dnia. - Z mnóstwem bitej śmietany.

—
Pani Harper, oto moi chłopcy. Gavin i Lukę.

—
Miło cię poznać, Gavinie. - Roz wyciągnęła rękę.

—
A to Parker - szybko poinformował Gavin. - Nasz pies. Ma półtora roku.

—
Niezły z niego przystojniak. Cześć, Parker... - Roz przyjaźnie poklepała psa po łbie.

—
Ja jestem Lukę. Mam sześć lat i umiem napisać swoje imię.

—
Wcale nie - rzucił Gavin z pogardą. - On zna tylko drukowane litery.

—
Od czegoś zawsze trzeba zacząć, prawda? Bardzo miło cię poznać, Lukę.

Mam nadzieję, e spodoba ci się w moim domu.

—
Pani wcale nie wygląda staro - oznajmił Lukę, na co David parsknął śmiechem.

—
Och, dziękuję uprzejmie. Przyznaję, e ogólnie rzecz biorąc, nie czuję się staro.

Serce Stelli podskoczyło do gardła, zmusiła się jednak do uśmiechu.

—
Powiedziałam chłopcom, jak wiekowy jest ten dom. Wspomniałam równie , e pani rodzina zamieszkuje tu od jego powstania. Luke'owi wszystko się pomieszało.

—
Có , ja nie jestem tak stara, jak ta budowla. Mo e jednak teraz zajmiemy się czekoladą. Co ty na to, Davidzie? Rozsiądziemy się w kuchni i zaznajomimy ze sobą nawzajem.

—
Czy David jest pani mę em? - zainteresował się Gavin. - I czemu nosicie inne nazwiska?

—
Roz nigdy by mnie nie zechciała - ałośnie jęknął David, zagarniając chłopców w stronę kuchni. - Za to uwielbia łamać mi serce.

—
Nie wiercie mu, on tylko artuje - odrzekła Roz. - Dave zajmuje się domem, a właściwie wszystkimi codziennymi sprawami. I oczywiście mieszka tu razem ze mną.

—
Czy ona te tobą rządzi? - Gavin pociągnął go za rękę. - Mama mówi, e ona mo e rządzić nami wszystkimi.

—
Niekiedy pozwalam jej w to wierzyć - odparł szeptem David, gdy weszli do kuchni, w której były szafki z ró anego drewna z granitowymi blatami.

Pod oknem znajdowała się półkolista kanapa pokryta granatową skórą, z haczyków zwieszały się wypolerowane, miedziane rondle, a na półkach i parapecie stały niebieskie pojemniki z ziołami.

—
To moje królestwo - oznajmił David. - I tutaj tylko ja rządzę. Musicie to sobie dobrze zapamiętać. Lubisz gotować, Stello?

—
Myślę, e „lubisz” to nie jest najodpowiedniejsze słowo. Za to jestem pewna, e moje skromne umiejętności nie zasługują na tak wspaniałą kuchnię. -

Powiodła wzrokiem po olbrzymich lodówkach i zamra arkach, kilku piekarnikach oraz blatach do pracy.

Na szczęście znajdowały się tu te rzeczy nadające pomieszczeniu ciepłą atmosferę. Ceglany kominek, w którym płonął ogień, staroświecki kredens pełen pięknej porcelany, tulipany i hiacynty kwitnące w doniczkach ustawionych na solidnym stole, przerobionym z kłoca rzeźniczego.

—
Ja uwielbiam pichcić. Choć marnuję mój niezwykły talent u Roz, co jest wysoce frustrujące. Ona z powodzeniem mogłaby się ywić zimną owsianką.

A Harper prawie nigdy tu nie zagłąda.

—
Harper, czyli mój najstarszy syn. Ten z domku gościnnego. Zapewne kiedyś go poznacie.

—
To szalony naukowiec - oświadczył David, wrzucając do rondelka kawałki czekolady.

—
Czy robi potwory? Jak Frankenstein? - spytał z obawą Lukę i szybko chwycił
matkę za rękę.

—
Frankenstein to tylko fikcyjna postać - przypomniała mu Stella. - Syn pani Harper zajmuje się
roślinami.

—
Mo e swego czasu wyhoduje jakiegoś gadającego giganta. Gavin, wyraźnie zachwycony, przysunął
się do Davida.

—
Na pewno nie - roześmiał się głośno.

—
„Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi...”* , jak powiedział Szekspir. Przysuń tu stołek, mój młody
przyjacielu. Pozwalam ci popatrzeć, jak mistrz przyrządza najlepszą na świecie gorącą czekoladę.

—
Wiem, e chciałabyś jak najszybciej wrócić do pracy w szklarni - Stella zwróciła się w stronę Roz -
ale przywiozłam ze sobą kilka notatek i szkiców, które sporządziłam wczorajszego wieczoru, i które
chętnie bym przedstawiła w dogodnym dla ciebie czasie.

—
Kujon.

—
Raczej entuzjastka.

—
Lukę tymczasem puścił jej dłoń i przysiadł na stołku, zajmowanym ju przez brata.

—
Jeszcze dzisiaj mam się spotkać z dyrektorką szkoły. Je eli wszystko pójdzie gładko, chłopcy ju jutro rozpoczną naukę. Pomyślałam, e popytam w szkole o odpowiednią opiekę popołudniową...

—
Ej! - David oderwał się od ubijania w rondlu śmietany z czekoladą. - Teraz to są moi ludzie. Będą bezpłatną siłą roboczą i zapewnią mi rozrywkę.

—
Nie mogę zrzucić na ciebie...

—
Chętnie zostaniemy z Davidem - przerwał matce Gavin. - On jest w po-rządku.

—
Obawiam się, e...

—
Oczywiście, mam pewien wa ny warunek - oznajmił David, dorzucając cukier do garnka. - Je eli chłopaki nie lubią PlayStation, wycofuję ofertę.

—
Ja lubię PlayStation - wyznał natychmiast Lukę.

—
Lubienie nie wystarczy. Wy musicie to kochać.

—
Kochamy, kochamy! - zadeklarowali jednogłośnie chłopcy, podskakując na stołku.

—
Stello, mo e zanim oni przyrządzą tę czekoladę, my wniesiemy twoje бага e? - zaproponowała Roz.

—
Oczywiście. Parker...

Psu będzie tu najlepiej - wtrącił David.

—

David doskonale potrafi zaopiekować się dziećmi - powiedziała Roz, gdy tylko wyszły z kuchni.

—

To widać. - Stella złapała się na tym, e znowu kręci paskiem od zegarka. -

Ale mam wra enie, e mu się narzucamy. Zapłacę oczywiście za zajmowanie się chłopcami, jednak...

—

Załatwicie to jakoś między sobą. Chciałam ci tylko powiedzieć - jak matka matce - e Davidowi mo na zaufać. Dopilnuje chłopców, zorganizuje im zabawę i choć zapewne nie powstrzyma ich od rozmaitych psot, nie pozwoli, by wpadli w tarapaty. David właściwie wychował się w tym domu. Traktuję go jak czwartego syna.

—

Takie rozwiązanie byłoby bardzo wygodne. Nie musiałabym ciągać chłopców po jakichś opiekunkach.

Kolejnych obcych ludziach, dorzuciła w myślach.

Z kuchni tymczasem dały się słyszeć głośne chichoty dzieci.

—

Cudowny dźwięk - stwierdziła Roz. - Bardzo mi go brakowało. No dobrze, zabierajmy się do noszenia.

—

Musisz wyznaczyć reguły - powiedziała Stella. - Powiedzieć, gdzie chłopcy mogą biegać, gdzie się bawić, a gdzie w adnym wypadku nie powinni się pokazywać. Oni potrzebują określonych zasad i dyscypliny. Są do tego przyzwyczajeni. Tak było w domu... to znaczy w Michigan.

—

Zastanowię się nad tym. Chocia zapewne David - pomimo faktu, e to ja jestem od „rządzenia” wami wszystkimi - ma własne koncepcje w tej sprawie. A tak przy okazji, uroczy ten wasz psiak. - Wytaszczyła z terenówki dwie wielkie walizy. - Mój pies zdechł w zeszłym roku i jakoś nie miałam serca, by sprawić sobie następnego. Ale to przyjemnie, gdy po domu kręci się zwierzak. Daliście mu fajne imię.

—
Parker... na cześć Petera Parkera. To jest...

—
Spiderman. Przecie sama wychowałam trzech synów.

—
Naturalnie. - Stella chwyciła kolejną walizę i kartonowe pudło. Poczwała w mięśniach ból, a tymczasem zdawało się, e Roz dźwiga бага e bez najmniejszego wysiłku.

—
Czy mogłabyś mi powiedzieć, kto jeszcze mieszka w tym domu?

—
Tylko David.

—
Naprawdę? Jeśli się nie mylę, na dzień dobry wspomniiał, e jest tutaj w mniejszości.

—
Ach, tak. Zapewne miał na myśli Oblubienicę. To rezydujący w naszym domu duch.

—
Rezydujący...

—
Stary dom bez ducha nie byłby wiele wart, nie sądzisz?

—
Interesujący punkt widzenia.

—
Roz zapewne chciała dodać temu miejscu kolorytu, ubarwić rodzinną legendę.

—
Zamieszkacie w zachodnim skrzydle. Wydaje mi się, e sypialnie, które dla was przeznaczyłam, będą odpowiednie. Ja zajmuję skrzydło wschodnie, a David - pokoje poło one za kuchnią. Ka dy będzie miał zapewnioną pełną prywatność, co w moim przekonaniu jest podstawą dobrych stosunków mię-

dzyludzkich.

—

To najpiękniejszy dom, jaki widziałam w yciu.

—

Rzeczywiście, jest piękny. - Roz zatrzymała się na moment i wyjrzała przez okno wychodzące na ogród. - W zimie robi się jednak wilgotny, a poza tym wciąż musimy wzywać hydraulika lub elektryka. Ale kocham to miejsce, choć niektórzy zapewne sądzą, e tak wielka rezydencja dla samotnej kobiety to marnotrawstwo wołające o pomstę do nieba.

—

Przecie to twój rodzinny dom.

—

No właśnie. I bez względu na wszystko, tym właśnie pozostanie. A oto wasza kwatery. Ka dy pokój wychodzi na taras. Sama zdecydujesz, czy zablokować drzwi w pokoju chłopców. Uznałam, e w tym wieku i w nowych warunkach będą chcieli zamieszkać razem, przynajmniej na początku.

—

Trafiłaś w dziesiątkę. - Stella weszła do pokoju. - Och, będą zachwyceni.

Mnóstwo przestrzeni i światła. - Postawiła karton i walizkę na jednym z bliźniaczych łó ek. -Ale te antyki... - Powiodła palcem po pięknej komodzie.

- Jestem przera ona.

—

Meble są po to, eby ich u ywać. Oczywiście te cenne powinno się traktować z nale nym szacunkiem.

—

Ju ja odpowiednio pouczę chłopców, mo esz mi wierzyć. Błagam, Bo e, nie pozwól, eby coś zniszczyli!

—

Twój pokój znajduje się obok, mo na przejść przez łazienkę. - Roz wskazała głową na białe drzwi. - Pomyślałam, e zechcesz być blisko chłopców.

—

Wspaniale.

Stella weszła do łazienki. Na marmurowym podwyższeniu, naprzeciwko tarasowych drzwi z roletami, stała wanna o wygiętych nóżkach, przypominających szpony orła. Ubikację umieszczono w wysokiej kabynie z drewna sosnowego, a spłukiwało się ją za pomocą ręczki umieszczonej na łańcuszku...

Ale chłopcy będą zachwyceni!

Obok umywalki, na grzejniku z brązu, wisały grube, zielone ręczniki.

Jej pokój był zalany łagodnym, zimowym światłem. Punkt centralny stanowił

biały, marmurowy kominek, nad którym wisiał obraz przedstawiający ogród w pełnym rozkwicie.

Na łóżku z tiulowymi, białymi zasłonami leżało jedno jedwabnych poduszek w delikatnych, pastelowych kolorach. Komoda z lustrem była wykonana z mahoni, podobnie jak urocza toaleta i bogato rzeźbiona szafa.

—

Czuję się jak Kopciuszek na balu. Roz postawiła walizki.

—

Mam nadzieję, że będzie wam wygodnie i że twoi chłopcy będą tu szczę-

śliwi, ponieważ wkrótce zamierzam zaprząć cię do roboty. To wielki dom.

Pewnego dnia David cię po nim oprowadzi. W każdym razie nie będziemy na siebie wpadać. - Podwinęła rękawy koszuli i rozejrzała się po pokoju. - Nie należę do szczególnie towarzyskich osób, choć z przyjemnością przebywam z ludźmi, których darzę sympatią. Wydaje mi się, że cię polubię, Stello.

Bo twoich synów już zdążyłam polubić. - Zerknęła na zegarek. - No, dobrze.

Lecę na tę czekoladę - to coś, czego nigdy nie potrafię sobie odmówić - a potem zabieram się z powrotem do pracy.

—

Chciałabym jeszcze dzisiaj z tobą porozmawiać, przedstawić ci kilka pomysłów.

—

Dobrze. Znajdziesz mnie gdzieś na terenie.

Po spotkaniu w szkole Stella ruszyła na poszukiwania Roz. Zamierzała zabrać ze sobą chłopców, ale

nie miała serca odrywać ich od Davida.

Tym razem ubrała się o wiele stosowniej: włożyła buty z wysoką cholewką, wytarte dżinsy i obszerny czarny sweter, po czym z teczką w ręku skierowała się ku sklepowi.

Za ladą stała ta sama siwowłosa kobieta, tyle że tym razem obsługiwała klientkę. Na koncie stała mała.diffenbachia w wiśniowej doniczce, a także cztery bambusowe pnącza związane ozdobnym sznurkiem, już włożone do płaskiego, kartonowego pudełka. Na zapakowanie czekały woreczek kamieni i prostokątny, szklany pojemnik.

Doskonale.

—
Czy jest tu Roz? - spytała Stella.

—
Och - Ruby machnęła ręką w stronę szklarni - gdzieś tam na pewno ją znajdziesz.

Stella skinęła głową na radiotelefon.

—
Czy Roz ma ze sobą odbiornik? Ten pomysł wyraźnie rozbawił Ruby.

—
Uch... raczej nie sądzę.

—
Dobra. W takim razie ruszam na łowy. Tak nawet będzie zabawniej. Przed wyjściem zwróciła się w stronę klientki.

—
Łatwe w hodowli i atrakcyjne. - Skinęła głową na bambusy. - Będą doskonale wyglądać w tym pojemniku.

—
Wymyśliłam, e ustawię je w łazience. Ładny i zabawny element.

—
Świetny pomysł. Taka kompozycja byłaby te doskonałym prezentem. O

wiele oryginalniejszym od ciętych kwiatów.

—

- e te sama o tym nie pomyślałam! Naturalnie. Wezmę więc jeszcze jeden taki zestaw.

Stella posłała klientce promienny uśmiech, po czym skierowała się w stronę szklarni, gratulując sobie w duchu drobnego sukcesu marketingowego.

Nie spieszyła się z odnalezieniem Roz - chciała osobiście sprawdzić stan zapasów, popatrzeć na okna wystawowe, rozeznac się w ciągach komunikacyjnych. I zrobić kilka kolejnych notatek.

Zatrzymała się na dłużej w cieplarni, by sprawdzić stan młodych sadzonek, wschodzących kiełków i roślin matecznych.

Godzinę później dotarła do sekcji szczepów i hybrydyzacji. Usłyszała dochodzące z wnętrza szklarni dźwięki muzyki - chyba The Corrs.

Zajrzała do środka. Wzdłuż obu ścian stały długie stoły, a dwa kolejne zestawiono razem na środku. W ciepłym powietrzu unosił się zapach silikatu i torfu.

Wszędzie wokół znajdowały się donice ze świeżymi krzywkami. Z krawędzi stołów zwieszały się tabliczki, przypominające szpitalne karty przyłózków pacjentów. W kącie stał komputer, a na monitorze, w rytm muzyki, wirowały kolorowe wzory.

Na tacach leżały skalpele, nożyczki, wosk i taśma do mocowania świeżych szczepów.

W głębi szklarni Roz pochylała się nad mężem czynną pochłoniętą jakąś precyzyjną pracą.

—

To nie potrwa dłużej niż godzinę, Harperze. Ostatecznie ogrodnictwo należy również do ciebie. Musisz się więc z nią spotkać i wysłuchać, co ma do powiedzenia.

—

Tak, zrobię to, oczywiście, ale, do cholery, jestem teraz zajęty. To ty chciałaś, eby tu zarządzała, więc po prostu pozwól jej zarządzać. Mnie to nie interesuje.

—

Istnieje jeszcze coś takiego jak dobre maniery - rzuciła Roz z irytacją. -

Proszę cię więc, ebyś chociaż godzinę udawał, e udało mi się wpoić ci kilka z nich.

Ta uwaga natychmiast przypomniała Stelli o wszystkich pouczeniach, jakimi częstowała własnych synów. Parsknęła śmiechem, lecz na szczęście szybko pokryła wesołość udawanym atakiem kaszlu.

—
Przepraszam, e przeszkadzam, ale chciałam... - Przystanęła przy jednej z doniczek i zaczęła się przyglądać świe o przeszczepionym pędom. - Nie poznaję tej rośliny.

—
Wawrzynek wilcze łyko - rzucił Harper, ledwo zaszczycając Stellę prze-lotnym spojrzeniem.

—
Ach, tak. Zimozielona odmiana. Widzę, e wolisz zrazy od oczek.

Harper gwałtownie zwrócił się w jej stronę. Był uderzająco podobny do matki - te same silnie zarysowane kości policzkowe i ciepłe w kolorze oczy.

Włosy miał zdecydowanie dłu sze ni Roz, ściągnięte w kucyk kawałkiem rafii.

Był równie wysoki i smukły jak ona, i podobnie ubrany.

—
Wiesz coś o szczepieniu?

—
Poznałam tylko podstawy. Choć kiedyś samodzielnie eksperymentowałam z kameliami i mogę powiedzieć, e odniosłam sukces. Mam na imię Stelli Miło cię poznać, Harperze.

Wytarł dłoń o d insy, zanim wyciągnął ją w stronę Stelli.

—
Mama mówi, e zamierzasz nas zreorganizować.

Takie są ogólne zało enia. Mam nadzieję, e dla nikogo z nas nie będzie i o szczególnie bolesne. Nad czym teraz pracujesz? - Pochyliła się nad doniczkami.

Nad zaszczepionymi roślinami rozpięto na czterech palikach przezroczyste plastikowe torebki.

—
Nad gypsophilią. Chcę uzyskać niebieską odmianę.

—
Niebieski, mój ulubiony kolor. Nie będę ci w takim razie przeszkadzać.

Stella zwróciła się w stronę Roz. - Czy mogłybyśmy gdzieś się zaszyć i przedyskutować kilka moich pomysłów?

—

W szklarni z jednorocznymi. W biurze wciąż ten sam bałagan. Harper?

—

Dobra, okay. Zaraz do was przyjdę. Poświęcę wam pięć minut.

—

Harper...

—

W porządku. Dziesięć. Ale to moja ostateczna oferta. Roz ze śmiechem klepnęła syna lekko po głowie.

—

Niech ci będzie. Tylko ebym nie musiała tu po ciebie przychodzić.

—

Zrzęda. Jęzda i zrzęda - zaczął mruzczyć pod nosem, ale z rozbawieniem w głosie.

Kiedy wyszły na zewnątrz, Roz westchnęła teatralnie.

—

Jak ju tam wejdzie, to trzeba go dźgać widłami w tyłek, eby się w konni ruszył. On jedyny z moich synów interesuje się ogrodnictwem. Austin jest reporterem, pracuje w Atlancie. Natomiast Mason jest lekarzem - a właściwie wkrótce nim zostanie - właśnie kończy sta w Nashville.

—

Musisz być z nich bardzo dumna.

—

Jestem. Niestety, bardzo rzadko ich widuję. A choć Harpera mam teoretycznie pod ręką, muszę go ściagać, eby zechciał zamienić ze mną kilka słów.

—

Jest bardzo do ciebie podobny.

—
Wszyscy tak twierdzą. Ja tego nie zauważam. Twoi chłopcy zostali z Davidem?

—
Musiałabym ich koźmi od niego odciągać.

Weszły do szklarni i Roz przysiadła na brzegu jednego ze stołów.

—
No dobrze, pokaż, co tu masz.

—
Przygotowałam kilka propozycji. - Stella otworzyła teczkę. Roz spojrzała na plik papierów i nieznacznie się skrzywiła.

—
Wykonałam te wstępne szkice ilustrujące, w jaki sposób mogłybyśmy zmienić układ przestrzenny, by zwiększyć sprzedaż i lepiej wyeksponować akcesoria. Twoje przedsiębiorstwo ma doskonałą lokalizację, świetną architekturę krajobrazu i atrakcyjny wystrój.

—
Czuję, że zbliża się jakieś „ale”.

—
Ale... Centrum sprzedaży i detalicznej jest nieco chaotycznie zorganizowane.

Po pewnych zmianach tworzyłoby lepszy ciąg komunikacyjny ze szklarniami. A oto plan zmian funkcjonalno-strukturalnych.

—
Funkcjonalno-strukturalnych? O mój Boże!

—
Spokojnie, to wcale nie jest takie straszne, jak się zdaje. Potrzebujemy przejrzystego łańcucha odpowiedzialności personalnej za poszczególne dzia-

—
ły. To znaczy: za sprzedaż, dostawy, produkcję i rozwój hodowli roślin. Ty, oczywiście, jesteś doświadczonym i utalentowanym ogrodnikiem, mnie więc będziesz potrzebować do zarządzania sprzedażą i dostawami. Jeśli uda nam się zwiększyć sprzedaż, tak jak to pokazałam...

—
Opracowałaś tabele. -W głosie Roz zabrzmiała nuta podziwu. -1 wykresy.

Nagle... ogarnął mnie strach.

—
Wcale w to nie wierzę - odparła Stella ze śmiechem, patrząc jej prosto w oczy. - No dobrze, mo e trochę. Spójrz jednak na ten schemat. Mamy tu szefa zaopatrzenia - to ja, no i oczywiście ty, we wszystkich sprawach bowiem decydujący głos nale y do ciebie. Ta gałąź - to hodowla roślin. Za to odpowiedzialna jesteś ty, zapewne do spółki z Harperem. A tu sprzeda - to te moja działka, przynajmniej na razie. Musimy znaleźć kogoś, kto przejmie nadzór nad pracami u klienta. W tej rubryce natomiast przedstawiłam prze-widywane zatrudnienie dodatkowych pracowników oraz zakres obowiązków wszystkich zatrudnionych.

—
W porządku. Zapewne przeczytanie tego wszystkiego przyprawi mnie o ból głowy. Zanim jednak zagrzebię się w papierach, chcę ci powiedzieć, e choć rozwa am zatrudnienie większej liczby pracowników, nadzorem nad pracami u klientów zajmie się nasz architekt krajobrazu, Logan. Doskonale sobie radzi w tej dziedzinie. Ja natomiast będę pilnie doglądać tak e zaopatrzenia.

Ostatecznie nie zakładałam tego interesu po to, by siedzieć z zało onymi rękami i przyglądać się, jak pracują inni.

—
Świetnie. W takim razie w niedługim czasie powinnam zobaczyć się z Loganem, ebyśmy mogli skoordynować nasze koncepcje.

Roz uśmiechnęła się szelmowsko.

—
To będzie wyjątkowo interesujące spotkanie.

—
Teraz zaś mo e przejrzymy moje szkice reorganizacji punktu sprzeda y?

Lepiej zrozumiesz, co mam na myśli, a mnie będzie łatwiej wszystko wy-jaśnić.

Łatwiej? - pomyślała Roz. Ogarnęło ją niepokojące przeświadczenie, e od tej pory ju nic nie będzie łatwe.

Za to, do cholery, zapewne nikt nie będzie narzekać na nudę.

Wszystko działało jak w zegarku. Stella pracowała wiele godzin dziennie, ale na tym etapie zajmowała się głównie planowaniem i reorganizacją. A te sprawy lubiła najbardziej. Tym bardziej e miała ju jasną wizję, jak wszystko powinno wyglądać i funkcjonować.

Niektórzy mogliby uznać taką skłonność do porządkowania i robienia szczegółowych planów za wadę - szczególnie gdy sami nie do końca pojmowali całość zamierzeń, Stella jednak była przekonana, e ycie jest du o łatwiejsze, gdy wszystko znajduje się na właściwym miejscu.

Jej dzieciństwo było naznaczone chaosem - pełne sprzeczności i zagubie-nia. Właściwie straciła ojca, mając zaledwie trzy lata, po rozwodzie rodziców.

Jedyna rzecz, którą pamiętała z Memphis, to płacz za tatą.

Od tamtej pory ścierała się z matką niemal o wszystko - zaczynając od koloru ścian czy sposobu spędzania wakacji, a na finansach kończąc.

Ci sami ludzie, którzy sądzili, e jej zmysł do porządkowania świata jest wadą, mogliby utrzymać, i tak dzieje się zawsze, gdy pod jednym dachem mieszkają dwie kobiety o silnych charakterach. Ale Stella wiedziała swoje.

Sama była praktyczna i zorganizowana, matka natomiast roztargniona i impulsywna - co doprowadziło ją do trzech mał eństw i trzech rozwodów.

Carla uwielbiała miejski zgiełk, flirty i romanse. Stella wolała spokojne, ustabilizowane ycie. Owszem, na swój sposób równie była romantyczką, ale nawet do uczuć podchodziła z rozwagą.

Mo e właśnie dlatego zakochała się w Kevinie. Stworzyli związek pełen ciepła, radości i spokoju. Oboje chcieli tych samych rzeczy w yciu: domu, rodziny, wspólnej przyszłości. Kevin ją uszczęśliwiał - przy nim czuła się bezpieczna. I teraz bardzo jej go brakowało.

Niekiedy zastanawiała się, co by powiedział na jej przeprowadzkę do Memphis, i szybko dochodziła do wniosku, e zaufałyby jej instynktowi. Zawsze wierzył w jej rozsądek i zdolności. Wierzyli w siebie nawzajem.

Kevin był jej opoką - zapewnił solidną podstawę, na której Stella mogła budować swoje ycie po dzieciństwie pełnym niepokoju i buntu.

Ale ślepy los zgruchotał tę bazę - zabrał mę czyżnę, którego kochała. Jej najlepszego przyjaciela. Ojca jej dzieci.

Na początku rozpaczała, szybko jednak pojęła, e teraz ona musi stać się opoką dla chłopców, musi zapewnić im dobre, stabilne ycie.

Kiedy Gavin i Luke zasnęli, a w kominku jeszcze płonął ogień (ju pierwszego wieczoru postanowiła,

e we własnym domu te będzie miała kominek w sypialni), rozsiadła się na łóżku z laptopem na kolanach. Może nie było to najbardziej profesjonalne miejsce do pracy, ale Stella uznała, że nie powinna prosić Roz o dodatkowy pokój na domowe biuro. Przynajmniej na razie.

Szybko przebiegła przez listę dostawców, z którymi zamierzała się nazajutrz skontaktować telefonicznie, raz jeszcze przejrzała plany nowej ekspozycji akcesoriów ogrodowych i roślin doniczkowych. Sprawdziła, czy nowy, kolorystyczny system znakowania cen jest już gotowy do wdrożenia. Postanowiła w najbliższych dniach zainstalować komputerowy program przyspieszający wystawianie i rozliczanie faktur.

Musi też niezwłocznie pomówić z Roz na temat zatrudnienia pracowników sezonowych - ustalić ich liczbę oraz obowiązki.

A przede wszystkim musi wreszcie dorwać tego architekta krajobrazu.

Aden człowiek nie jest chyba tak zajęty, by nie mieć czasu na oddzwonienie przez cały cholerny tydzień. Zapisała w notesie wielkimi literami „Logan Kitridge”, po czym jeszcze podkreśliła nazwisko grubą kreską.

Zerknęła na zegarek i doszła do wniosku, że następnego dnia będzie lepiej pracować, jeśli przez noc dobrze się wyśpi.

Przeniosła laptop na komodę i podłączyła do ładowarki. Potem starannie zmyła makijaż i zaczęła pilnie oglądać twarz w lustrze, sprawdzając, czy nie pojawiły się nowe zmarszczki. Następnie równie starannie wklepała emulsję nawilżającą, a także krem wokół oczu i ust, które trzymała równiutko ustawione na toalecie.

Jak się ałowała, że nie jest piękniejsza - nie ma bardziej regularnych rysów i innego koloru włosów. Kiedyś próbowała je nawet ufarbować na ciepły brąz, ale skończyło się to katastrofą. Cóż, będzie więc musiała żyć z tym, czym obdarzyła ją matka natura.

Gdy tak wpatrywała się w lustro, niespodziewanie odniosła wrażenie, że z pokoju chłopców dobiega cichy śpiew. Ktoś nucił łagodnym, rozmarzonym głosem jakąś senną kołysankę.

Zastanawiając się, co na Boga skłoniło Roz do śpiewania Gavinowi i Luke'owi po jedenastej w nocy, ruszyła w stronę drzwi łączących pokoje.

Gdy je otworzyła, nucenie ustało. W łagodnym świetle nocnej lampki z Harrym Potterem nagle zobaczyła swoich synków pogrążonych we śnie.

—

Roz? - spytała szeptem i weszła do środka.

Nie ujrzała Rosalind, poczuła natomiast dojmujący chłód. Szybko sprawdziła drzwi wychodzące na taras, ale były szczelnie zamknięte, a blokada nie została zdjęta. Podobnie rzecz się miała ze wszystkimi oknami.

Stella ściągnęła w zamyśleniu brwi. Była gotowa przysiąc, e słyszała dochodzący stąd śpiew. e wchodząc tu, poczuła coś dziwnego. Teraz jednak po chłodzie nie pozostało ani śladu, a w pokoju rozlegały się jedynie rytmiczne oddechy dzieci.

Stella otuliła chłopców szczelniej kołdrami i delikatnie ucałowała ka dego w czoło.

Po czym wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Następnego ranka działo się tak wiele, e całkiem zapomniała o wieczornej przygodzie. Najpierw Lukę nie mógł znaleźć swojej ulubionej, przynoszącej szczęście koszuli. Potem Gavin wdał się w pojedynek zapaśniczy z Parkerem w czasie porannego spaceru i trzeba go było szybko przebrać. W rezultacie Stella z trudem zdołała wypić kilka łyków kawy przed wyjściem.

—

Powiesz Roz, e dzisiaj wcześniej zaczęłam pracę? - poprosiła Davida. -

Chcę przygotować ekspozycję na otwarcie o dziesiątej.

—

Roz wyszła godzinę temu.

—

Godzinę temu?! - Stella zerknęła na zegarek. Dotrzymanie kroku szefowej stało się jej yciową ambicją, do tej pory jednak wciąż niespełnioną. -Czy ona w ogóle sypia?

—

Znasz to powiedzenie, e tylko ranny ptaszek zawsze złapie smakowitego robaczka? Ona wstaje o takiej porze, e mo e go nie tylko złapać, ale ugotować w pysznym śliwkowym sosie na śniadanie.

—

Fuj. Ohyda. Muszę lecieć. - Ruszyła ku drzwiom, zatrzymała się jednak przed wyjściem. - David, czy z dziećmi wszystko w porządku?

Powiedziałbyś mi, gdyby coś było nie tak, prawda?

—

Oczywiście. Mo esz być pewna, e zapewniam im wspaniałe rozrywki. Na przykład dzisiaj po szkole będą musieli wynaleźć w domu jak najwięcej przedmiotów, którymi mo na wydłubać komuś czy sobie oko. Potem przejdziemy do materiałów łatwo palnych.

—

Dzięki. Bardzo mnie pocieszyłeś. - Schyliła się i poklepała Parkera po łbie na do widzenia. - Miej oko na tego faceta - przykazała psu.

Logana Kittridge'a gonił czas. Ostatnie deszcze uniemożliwiły mu pracę we własnym ogrodzie i teraz najprawdopodobniej będzie musiał - ju kolejny raz -

odłożyć realizację kilku bardziej skomplikowanych elementów projektu, bo inaczej nie zdoła się wywiązać ze swoich zawodowych obowiązków.

W gruncie rzeczy nie przejmował się tak bardzo, a prace na jego własnym terenie rozciągną się w czasie. Osobiście uważał, że kształtowanie krajobrazu jest nigdy niekończącym się procesem. I tak właśnie powinno być. Poza tym, kiedy pracuje się z naturą, to natura dyktuje warunki. A to kapryśny i wymagający, choć wyjątkowo fascynujący zarządca.

Trzeba trwać nieustannie w pogotowiu, godzić się na kompromisy i być elastycznym w działaniu. Planowanie w kategoriach absolutnych w adnym razie nie wchodziło w grę, jeżeli człowiek nie chciał nieustannie się denerwować - a Logan uważał, że i bez tego na świecie dość jest frustrujących rzeczy.

Skoro jednak natura postanowiła obdarzyć go pogodnym dniem, zdecydował, że część czasu wykorzysta na pracę we własnym ogrodzie. A to oznaczało również pracę w samotności - co zresztą lubił najbardziej. Będzie musiał jednak wykroić sobie trochę czasu, by wpaść do klienta i sprawdzić, jak się spisuje jego dwóch pracowników.

Oznaczało to również zajrzenie do Roz, by wziąć z centrum drzewa, które wybrał do swojego prywatnego ogrodu. Zawiezie je od razu do siebie, by wsadzić do ziemi jeszcze przed południem.

No może przed wybiciem pierwszej. Lub najdalej drugiej.

W adnym razie jednak nie mógł znaleźć czasu dla tej nowej pani menedżer, którą właśnie zatrudniła Roz. Logan nie pojmował, po co w ogóle szefowa chciała mieć kogoś na takim stanowisku i czemu, do diabła, na dodatek przyjęła Jankeskę! Przecie Rosalind Harper doskonale prowadziła własny interes i ostatnią osobą, jakiej potrzebowała, była jakaś baba, która z pewnością tylko szczerze i sprawnie działający system.

Logan lubił współpracę z Roz. Była rzeczową kobietą i nigdy nie wściubiła nosa w dziedzinę, którą mu powierzyła. Podobnie jak on kochała swoją pracę i miała do niej prawdziwy talent. Kiedy przedstawiała jej się różne sugestie, słuchała uważnie i starannie analizowała argumenty.

Do tego dobrze płaciła i nie czepiała się szczegółów.

Teraz Logan już wiedział - był tego absolutnie pewien - że ta nowa zacznie uprzykrzać mu życie. W ciągu ostatnich kilku dni codziennie zostawiała mu na sekretarce wiadomości na temat jakichś cholernych godzin pracy, systemu fakturowania i inwentaryzacji sprzętu.

Zawsze miał gdzieś podobne ceregiele i nie zamierzał zmieniać swojego nastawienia.

Do diabła, on i Roz współpracowali harmonijnie i potrafili zadowolić klientów. Po co więc zmieniać coś, co dobrze funkcjonowało?

Przejechał swoją cię arówką przez parking, minął przyzmy ściółki i piasku oraz sagi drewna budowlanego, po czym zatrzymał przy rampie załadunkowej.

Ju jakiś czas temu wybrał i oznakował te egzemplarze, które wpadły mu w oko, postanowił jednak raz jeszcze się rozejrzeć. Dojrzał parę młodziutkich świerków kanadyjskich i pomyślał, e mo e je te zabierze.

Harper zrobił dla niego parę szczeppek wierzby i przygotował peonie. Bę-

dzie mo na je zasadzić ju na wiosnę, razem z kilkoma hybrydami krzewinek, które pomogła mu wyhodować Roz.

Kiedy jednak zaczął się przechadzać wśród rzędów posadzonych w donicach drzewek i krzewów, od razu się zorientował, e coś jest nie w porządku.

Nic nie stało na swoim miejscu! Gdzie podziały się jego derenie? Gdzie, do diabła, rododendrony i wawrzyny, które dla siebie wybrał? Gdzie jego cholerna magnolia?

Ze złością spojrzął na wierzbę amerykańską, po czym starannie zaczął

przeszukiwać cały sektor.

Wszystko pozamieniane miejscami. Drzewa i krzewy nie były ju połączone w interesujące, eklektyczne grupy, ale ustawione pod sznurek niczym armia rekrutów. I do tego, na rany Chrystusa, w porządku alfabetycznym! Według ich cholernych łacińskich nazw systemowych.

W końcu znalazł swoje drzewa i - kipiąc z wściekłości - załadował je na cię arówkę. Klnąc pod nosem, postanowił tak e, e od razu wykopie rośliny, które wybrał dla siebie, ale jeszcze zostawił na rabacie. U niego będą o wiele bezpieczniejsze.

Przedtem jednak znajdzie Roz i zrobi porządek z tym bałaganem.

Stojąc na drabinie, uzbrojona w szczotkę i wiadro pełne pianistego deter-gentu, Stella energicznie szorowała najwy szą półkę regału, który właśnie opró niła. Jeszcze trochę wysiłku i będzie mogła uło yć towar. Postanowiła, e znajdą się tu - ustawione według kolorów - doniczki w ró nych rozmiarach oraz inne akcesoria: wiązki rafii, dekoracyjne spryskiwacze, kamienie dla florystów i tym podobne.

To powinno pobudzić klientów do zakupów pod wpływem impulsu - czystego, wizualnego bodźca.

Wszystkie po ywki, nawozy, preparaty odstraszające szkodniki przesunie pod boczną ścianę. Klienci przychodzą specjalnie po te podstawowe artykuły, więc nie ma potrzeby szczególnie ich eksponować. eby do nich dotrzeć, trzeba będzie przejść przez miejsce, które zamierzała zapełnić dzwonekami powietrznymi. Postanowiła te , e ustawi tu ławkę i wielki, kamienny pojemnik na dodatki zielne. Kiedy wprowadzi ju te wszystkie zmiany, klienci będą przechodzić przez sekcję z roślinami

doniczkowymi do sekcji z donicami odpowiednimi na patio i tarasy, aby dopiero na końcu dotrzeć do roślin rabatowych.

Usłyszała za plecami odgłos zbliżających się kroków i odgarnęła włosy z twarzy.

—

Jest coraz lepiej - rzuciła. -Wiem, e jeszcze tego nie widać... Na jego widok urwała w pół zdania.

Nawet stojąc na drabinie, czuła się jak karzełek. Ten facet z pewnością miał

ze dwa metry wzrostu, był potężny, muskularny i ylasty. Nosił wyblakłe dżinsy poplamione na jednej nogawce i biały t-shirt pod flanelową koszulą. Jego buty sprawiały wrażenie tak zniszczonych, e już dawno temu powinien się nad nimi zlitować i urządzić im przyzwoity pochówek. Włosy miał tego samego ciepłobrazowego koloru, na jaki kiedyś ufarbowała swoje.

Nie nazwałaby go pięknym mężczyzną - wszystko w jego twarzy było surowe i kanciaste - od ostrego nosa i wydatnych kości policzkowych po mocno zarysowaną szczękę i wyraz oczu. Były zielone, ale w innym odcieniu niż oczy Kevina. Pod prostą linią gęstych brwi zdawały się jarzyć.

Uśmiechnęła się, zastanawiając się przy tym gorączkowo, gdzie jest Roz lub Harper.

—

Przepraszam, ale jeszcze nie pracujemy. Czy mogłabym panu w czymś pomóc?

Jak dobrze znał ten chłodny głos. Dźwięczał w tych wszystkich denerwujących wiadomościach na temat planów organizacyjnych i zwiększania wydajności.

Słuchając głosu, zupełnie inaczej sobie wyobraził tę kobietę. W każdym razie na pewno nie spodziewał się rudzielca z szopą kręconych włosów, zwią-

zanych jakąś idiotyczną chustką, ani tego wyrazu nieufności w dużych niebieskich oczach.

—

Poprzestawiałaś moje drzewa!

—

Przepraszam?

—

Rzeczywiście, masz za co przepraszać. ebyś więcej tego nie robiła.

—

Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. - Na wszelki wypadek zacisnęła mocniej palce na rączce wiadra i zeszła z drabiny. - Czy zamawiał pan jakieś drzewa? Jeśli zechce pan podać swoje nazwisko, może uda mi się odszukać zamówienie. Właśnie wprowadzamy nowy system, więc...

—
Ja nie muszę niczego zamawiać. A na dodatek cholernie nie podoba mi się ten twój nowy system. Co ty tu w ogóle wyprawiasz? Jak mam teraz cokolwiek znaleźć?

—
Myślę, że będzie najlepiej, jeśli wróci pan, jak już otworzymy. W zimie zaczynamy pracę o dziesiątej. Gdyby podał mi pan swoje nazwisko... - Przesunęła się w kierunku telefonu.

—
Kitridge, i ty powinnaś wiedzieć to najlepiej, skoro niemal od tygodnia zawracasz mi głowę.

—
Nie mam pojęcia... ach, tak. Kitridge. - Słyszając znajome nazwisko, Stella nieco się rozluźniła. - Architekt krajobrazu. W adnym razie nie zawracałam panu głowy - oświadczyła gniewnie, gdy wreszcie pojęła, z kim rozmawia. -

Próbowałam się z panem skontaktować, ebyśmy mogli umówić się na spotkanie. Nie był pan jednak łaskaw odpowiedzieć na moje telefony. Mam nadzieję, że w stosunku do klientów nie jest pan tak arogancki jak w stosunku do współpracowników.

—
Arogancki? Siostrze, ty jeszcze nie wiesz, co to znaczy być aroganckim.

—
Mam dwóch synów, wiem więc dostatecznie dużo o. Roz zatrudniła mnie, ebym wprowadziła w „Edenie” jakiś ład i porządek, eby nie musiała my-

śleć o problemach systemowych...

—
Systemowych? - Uniósł w górę oczy, jakby wołał o pomstę do nieba. -Jezu, czy ty zawsze gadasz w taki sposób?

—
Stella wzięła głęboki oddech, by uspokoić nerwy.

Panie Kitridge, mam tu do wykonania określoną pracę. Do moich obowiązków należy również zajmowanie się działem architektury krajobrazu. A jest to dziedzina bardzo ważna, przynosząca spore dochody.

—
Święta prawda. Tyle to moja cholerna sekcja.

—
Która przypomina obłąkany cyrk. To kpina, nie zarządzanie. Co chwila natykam się na jakieś odręcznie nabywane zamówienia i faktury - jeśli w ogóle te świstki można nazwać fakturami.

—
I co z tego?

—
To, gdyby zechciał pan odpowiedzieć na moje telefony, miałabym szansę panu wyjaśnić, jak od tej pory będzie funkcjonować ta sekcja.

—
Doprawdy? - Pomimo miękkiej wymowy południowca, w tonie mężczyzny zabrzmiała złowieszcza nuta.

—
Owszem. Nowy system sprawdza się doskonale. Skomputeryzowane fakturowanie, inwentaryzacja zasobów oraz list klientów - wszystko to zaoszczędzi panu wiele czasu, poza tym...

Logan leniwie szacował ją wzrokiem. Była od niego co najmniej trzydzieści centymetrów niższa i pięćdziesiąt kilogramów cięższa. Miała pełne, wyjątkowo pełne usta, które chyba nigdy się nie zamykały. Jak to można na tyle gadać?

—
Jakim cudem, do cholery, ślęczenie pół dnia przed komputerem miałoby mi czegośkolwiek zaoszczędzić?

—
Tak właśnie będzie, gdy tylko do komputera zostaną wprowadzone odpowiednie dane. Natomiast teraz, jak mi się zdaje, wszystkie najważniejsze informacje upycha pan na karteluzkach i po kieszeniach lub przechowuje jedynie w swojej pamięci.

—
I co z tego? Je eli mam coś w kieszeni, bez trudu mogę to znaleźć w do-wolnej chwili. Z moją pamięcią jak na razie te wszystko jest w porządku.

—
Tylko e jutro mo e pan wpaść pod cię arówkę i następnych pięć lat spędzić w stanie śpiączki. - Piękne usta rozciągnęły się w lodowatym uśmiechu. - I z czym wówczas zostaniemy?

—
Jeśli znajdę się w stanie śpiączki, nie będę się musiał tym przejmować. A teraz chodź ze mną.

Chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę drzwi.

—
Chwileczkę! - wykrzyknęła, teraz ju nie na arty przestraszona.

—
To sprawa zawodowa - oznajmił, szarpnięciem otwierając drzwi i wlokąc ją za sobą. - Nie zamierzam ciągnąć cię do jakiejś jaskini.

—
W takim razie proszę mnie puścić.

Jego ręka była jak elazne kleszcze. Poza tym stawiał tak długie, szybkie kroki, e aby nie zaryć nosem w wir, musiała podą ać za nim uchybiającym godności truchcikiem.

—
Tylko spójrz na to - zarządził, wskazując gestem na sektor, w którym stały drzewka i krzewy.

—
O co chodzi? - spytała zdyszana i całkiem zdezorientowana.

—
Tu panuje kolosalny bałagan.

—
Wręcz przeciwnie. Cały dzień spędziłam na doprowadzeniu tego działu do porządku. - Ból w mięśniach był najlepszym dowodem. - Nasz towar jest starannie posegregowany, więc gdy klient

poszukuje ozdobnego drzewa, znajdzie je bez najmniejszego trudu. Gdy natomiast chciałby kupić krzew kwitnący wiosną lub...

—

Te wszystkie rośliny stoją jak pod sznurek. Czegoś ty, do cholery, u ywała, poziomicy? Jak teraz ktokolwiek może sobie wyobrazić, co ma zrobić, by różne gatunki dobrze ze sobą współpracowały?

—

To będzie należało do obowiązków pracowników - tak i pańskich. Jesteśmy od tego, by przedstawiać klientom różne opcje, a tak i zaspokajać ich życzenia. Jeśli mieliby błędzić godzinami tylko dlatego, że nie mogą znaleźć głupiej hortensji..,

- Po drodze jednak zapewne natknęliby się na kamelie lub tawuę, które mogłyby im równie przypaść do gustu.

Niewątpliwie miał w pewnym sensie racje i ten argument należało wziąć pod uwagę. Stella ostatecznie nie była idiotką.

—

Równie dobrze jednak mogą wyjść z pustymi rękami tylko dlatego, że nie znajdą szybko tego, na czym im najbardziej zależy. Dobrze wyszkoleni pracownicy powinni umiejętnie wybadać klienta, a tak i podsunąć mu dodatkowe propozycje. Jeden i drugi system ma swoje mocne i słabe punkty, ja jednak wolę ten, który właśnie zaczęłam tu wdawać. A to do mnie należy ostateczne słowo w tej sprawie. Przynajmniej na razie. Więc jeśli zechciałby pan...

—

Nie zechciałbym. - Odwrócił się i ruszył ku swojej ciemnej arówce.

—

Proszę poczekać. - Puściła się za nim biegiem. - Musimy porozmawiać o nowych formularzach zakupów i nowym systemie fakturowania.

—

Prześlij mi cholerne memo. Chyba tak właśnie nazywa się to w twoim świecie.

—

Nie mam ochoty wysłać panu adnego cholernego memo. Poza tym, co pan wyprawia z tymi drzewkami?

—

Zabieram je do domu. - Wskoczył do kabiny samochodu.

—

Co to znaczy: „zabieram je do domu”? Nie mam na to żadnych dokumentów!

—

Ja te . - Trzasnął drzwiami, po czym nieznacznie uchylił szybę. - Odsuń się, Rudzielcu. Chyba nie chcesz, ebym przejechał ci po palcach, co?

—

Proszę posłuchać. Nie może pan zabierać towaru, kiedy tylko ma pan na to ochotę!

—

Wyjaśnij tę kwestię z Roz. O ile ona ma tu jeszcze cokolwiek do powiedzenia. Jeśli nie, dzwoń na policję. - Włączył silnik, a gdy odskoczyła, wrzucił wsteczny bieg i odjechał z piskiem opon.

Zarumieniona z gniewu Stella weszła z powrotem do budynku. Rzeczywiście powinna dać mu popalić i zadzwonić na policję. Gdy ju niemal sięgała po słuchawkę, Roz otworzyła drzwi.

—

Czy to była cię arówka Logana?

—

Czy on ma bezpośredni kontakt z klientami?

—

Oczywiście. A o co chodzi?

—

W takim razie to szczęście, e nikt do tej pory nie pozwał cię do sądu.

Wpada tutaj jak burza, po czym cały czas ma pretensje i klnie. Cholerny gbur! - Te słowa mruknęła pod nosem. - Nie aprobeuje tego, nie pochwała tamtego, w zasadzie nic mu się nie podoba. A potem odje d a z cię arówką pełną drzewek i krzewów.

Roz w zamyśleniu zaczęła rozcierać ucho.

—

Przyznaję, e Logan miewa swoje humory.

—
Humory? Co prawda widziałam tylko jeden z nich, ale to mi wystarczyło. -

Stella gwałtownym ruchem zerwała chustkę przytrzymującą włosy.

—
Zdaje się, e cię wkurzył.

—
I to wyjątkowo. Roz, przecie ja tylko próbuję wykonywać swoją pracę.

—
Wiem. I zdaje się, e do tej pory nie usłyszałaś ode mnie ani słowa skargi czy komentarza, który mo na by uznać za... pieprzoną gburowatość.

—
Nie! Ale skąd. W adnym razie nie miałam na myśli... o, rany...

Znaleźliśmy się wszyscy w szczególnym okresie - nazwijmy go przejściowym. Niektórzy szybko i gładko przystosowują się do zmian, innym zaś przychodzi to z trudem. Podobają mi się twoje pomysły i jestem gotowa sprawdzić je w praktyce. Logan natomiast zawsze robił wszystko po swojemu co nigdy mi nie przeszkadzało. Współpraca między nami układała się zawsze harmonijnie.

—
Załadował na samochód sporą partię towaru. Jak mam skutecznie monitorować zasoby, jeśli nie wiem, co zabrał i dlaczego? Roz, ja potrzebuję na wszystko potwierdzenia w dokumentach.

—
Przypuszczam, e wziął rośliny, które wybrał do swojego prywatnego ogrodu. Jeśli zabrał coś innego, z pewnością mnie o tym poinformuje. Choć oczywiście, nie powinno to się odbywać w podobny sposób - dodała, zanim Stella zdą yła cokolwiek powiedzieć. - Porozmawiam z nim, ale myślę, e i ty powinnaś się wykazać nieco większą elastycznością. Ju nie jesteś w Michigan. Tu ycie toczy się na nieco innych zasadach. Ale nie chcę cię dłu ej zanudzać. Widzę, e masz jeszcze wiele pracy.

—
Roz? Wiem, e potrafię być strasznie upierdliwa, ale naprawdę zale y mi, by twój interes doprowadzić do jeszcze większego rozkwitu.

—

Tak. Zdaję sobie doskonale sprawę z jednego i drugiego.

Gdy Stella została sama, przez jakiś czas jeszcze płonęła gniewem. Chwyciła wiadro i ponownie weszła na drabinę. Przez niespodziewane spotkanie I Loganem Kittridge'em zaważyła swój harmonogram zajęć.

—

Nie znoszę jej - oznajmił Logan, rozsiadłszy się w salonie Roz ze szklanką piwa w dłoni. - Jest zimna, apodyktyczna, zarozumiała i krzykliwa. - Na widok uniesionych sceptycznie brwi swej pracodawczyni wzruszył ramionami. - No, dobra, może nie jest krzykliwa. Ale i tak cała reszta jest nie do zniesienia.

—

Ja natomiast bardzo ją lubię. Cenię jej entuzjazm i zaangażowanie. Poza tym potrzebuję kogoś, kto zajmie się szczegółami, Loganie. Ten interes zaczyna mnie przerastać. Dlatego chciałabym, abyście oboje spróbowali spotkać się gdzieś w pół drogi.

—

Ta kobieta nie uznaje żadnych półśrodków. To ekstremistka. A ja nie ufam takim kobietom.

—

Mnie jednak ufasz.

Zapatrzył się smętnie w swoje piwo. To była prawda. Gdyby nie miał

zaufania do Roz, nigdy nie zacząłby u niej pracować, bez względu na to, jak lukratywnymi ofertami machałaby mu przed nosem.

—

Ona wkrótce załada, byśmy wszystkie dokumenty składali w trzech kopiach i na dodatek pisemnie oświadczali, o ile centymetrów przycięliśmy gałęzie jakiegoś cholernego krzaka - odezwał się w końcu.

—

Jestem przekonana, że do tego nie dojdzie - rzuciła uspokajającym tonem Roz, po czym oparła nogi na niskim stoliku i pociągnęła spory łyk piwa.

—

Roz, jeśli już musiałaś zatrudnić jakiegoś menedżera, czemu nie zdecydowałaś się na kogoś z Memphis? Na kogoś, kto rozumie naszą mentalność i zwyczaje?

—
Bo chciałam zatrudnić właśnie ją. I kiedy ju zejdzie do nas, będziemy się wszyscy zachowywać jak na cywilizowanych ludzi przystało, a potem zjemy wspólnie kolację w miłej atmosferze. Nie obchodzi mnie, czy się lubicie. Ale musicie nauczyć się pokojowo ze sobą współdziałać.

—
Trudno. Ty jesteś tu szefem.

—
To prawda. - Poklepała go przyjaźnie po udzie. - Harper te przyjdzie.

Zmusiłam go do tego powa nymi groźbami.

Logan dumiał ponuro jeszcze przez chwilę.

—
Naprawdę ją lubisz? - zapytał w końcu.

—
Naprawdę. Poza tym brakowało mi towarzystwa jakiejś kobiety. W ka dym razie kobiety, która nie jest bezmyślną idiotką. Stella przeszła ostatnio trudny okres w yciu, Loganie. Straciła męża a w tak młodym wieku... dobrze wiem, co to znaczy. A mimo to się nie załamała, ruszyła odwa nie naprzód.

Dlatego, owszem, lubię ją.

—
W takim razie, przez wzgląd na ciebie, postaram się ją jakoś tolerować.

—
Potrafisz być doprawdy słodki. - Roz roześmiała się i cmoknęła go w policzek.

—
Tylko dlatego, e cię uwielbiam.

Stella podeszła do drzwi akurat w chwili, gdy Logan ścisnął dłoń Roz i głęboko patrzył jej w oczy.

Szlag by to trafił, pomyślała. Wdała się w kłótnię, obrzuciła inwektywami kochanka swojej pracodawczyni, a potem jeszcze długo na niego narzekała.

Pomimo ostrego działania adrenaliny, lekko popchnęła przed siebie chłopców i wkroczyła do salonu,

zmuszając się do promiennego uśmiechu.

—

Przepraszam za spóźnienie, ale w trakcie odrabiania lekcji wystąpił drobny kryzys. Witam pana, panie Kitridge. Chciałabym przedstawić moich chłopców. Oto Gavin i Lukę.

—

Jak leci? - spytał Logan, miło zaskoczony wyglądem dzieci. Sprawiały wra enie całkiem normalnych, on tymczasem byłby wcześniej przysiągł, e ta kobieta jest w stanie wyprodukować jedynie ugrzecznione półautomaty.

—

Rusza mi się ząb - oznajmił Lukę.

—

Tak? No to niech mu się przyjrzę. - Logan odstawił piwo i z powa ną miną zaczął się przyglądać, jak ząb Luke'a chwieje się pod naciskiem języka. -

Super. Wiesz, co? W mojej skrzynce z narzędziami na pewno znajdą się jakieś obcęgi. Jedno dobre szarpnięcie i będzie po kłopotcie.

—

Pan Kitridge tylko artuje - wtrąciła natychmiast Stella, zwracając się w stronę chłopca, który tymczasem wpatrywał się w mę czyznę zafascynowa-ny. - Twój ząb sam wypadnie w odpowiednim czasie.

—

A kiedy wypadnie, przyjdzie po niego Zębowa Wró ka i zostawi mi w zamian dolca.

Logan z trudem zachował powagę.

—

Dolca, powiadasz? To niezły interes.

—

Kiedy ząb wypada, to leci trochę krwi, ale ja się wcale nie boję.

—

Pani Roz? Czy mo emy iść do kuchni, do Davida? - spytał Gavin, zerkając na Stellę spod oka. -

Mama powiedziała, e musimy najpierw zapytać panią o pozwolenie.

—

Jasne, biegnijcie.

—

Tylko adnych słodyczy przed kolacją! - zawołała za chłopcami Stella.

—

Logan, mo e nalejesz Stelli kieliszek wina?

—

Proszę nie wstawać. Sama się obsłu ę.

Teraz, w salonie, nie wyglądał ju na aroganckiego dupka. Nic dziwnego, e Rosalind uwa ała go za pociągającego mę czynę. Oczywiście, jeśli gustowało się w takich supersamcach.

—

Czy mi się wydawało, czy Harper te miał się zjawić? - spytała Stella.

—

Na pewno w końcu przyjdzie - odrzekła Roz. - Najpierw jednak się przekonajmy, czy umiemy być mili dla siebie nawzajem. Myślę, e powinni-

śmy zająć się tym przed kolacją, by potem cieszyć się posiłkiem i nie narazić na niestrawność. A więc do rzeczy. Stella zarządza zaopatrzeniem i sprzeda ą, dba o to, by wszystko funkcjonowało gładko z dnia na dzień. I ja, i ona

- przynajmniej na razie - będziemy zarządzać personelem, natomiast Harper wraz ze mną będzie odpowiedzialny za rośliny.

Pociągnęła łyk piwa i spojrzała po twarzach pozostałych - chocia dobrze wiedziała, e nikt nie ośmieli się wejść jej w słowo.

—

Logan zarządza samodzielnie działem architektury krajobrazu. W związku z tym cieszy się pewnymi przywilejami: mo e składać specjalne zamówienia, ma pierwszeństwo wyboru roślin spośród naszych zasobów, organizuje zakup bądź wynajem koniecznego sprzętu i materiałów. Natomiast zmiany wprowadzone przez Stellę - które, nawiasem mówiąc, zostały w pełni przeze mnie zaaprobowane - mają być respektowane przez wszystkich pracowników. Przynajmniej do czasu, a

uznam, e coś nie spełnia swojego zadania bądź nie odpowiada mi osobiście. Czy jak do tej pory wszystko jasne?

—

Całkowicie - oświadczyła chłodno Stella. Logan jedynie wzruszył ramionami.

—

To zaś oznacza, e będziecie musieli ściśle ze sobą współpracować w dziedzinach, które - siłą rzeczy - w takim czy innym stopniu się zazębiają.

Sama zbudowałam „Eden” od podstaw, i mogłabym nim zarządzać, gdybym została do tego zmuszona. Tyle e wolałabym tego nie robić. Chciałabym mieć u boku was oboje oraz Harpera, abyśmy wspólnie mogli dzielić między siebie odpowiedzialność i obowiązki. Mo ecie sprzeczać się do woli, mnie to nie przeszkadza. Natomiast bezwzględnie musicie wypełniać swoje zadania.

Jednym długim łykiem dopiła piwo.

—

Jakieś pytania? Uwagi? - Zgodnie z przewidywaniami, odpowiedziała jej cisza. - Doskonale. W takim razie siadajmy do kolacji.

Ostatecznie ten wieczór okazał się całkiem przyjemny. Aden z synów nie porzucił jedzenia na obrus ani nie zaczął głośno mlaskać, co według standardów Stelli zawsze zasługiwało na pochwałę. Rozmowa przy stole była swobodna, a nawet chwilami ożywiona - szczególnie, gdy chłopcy odkryli, że pan Kitridge ma takie samo imię jak X-Man Wolverine.

To w ich oczach uczyniło z niego bohatera, a ów podziw wzrósł jeszcze bardziej, kiedy się okazało, że Logan jest równie zagorzałym fanem komiksów jak Gavin.

—
 Wie pan, myślę, że gdyby Hulk i Spiderman musieli ze sobą walczyć, to Spidey na pewno by wygrał.

Logan odkroił kawałek krwistej pieczeni wołowej i z powagą pokiwał głową.

—
 Bo Spiderman jest szybszy i zwinniejszy. Gdyby jednak Hulk go dorwał, ze Spideya zostałby tylko mokry placek. - Gavin nadział na widelec mały ziemniak i uniósł w górę, niczym głowę wroga nabitym na włócznię. - No a gdyby Hulk znalazł się pod wpływem jakiegoś naprawdę złego gościa, takiego jak na przykład...

—
 Mister Hyde?

—
 No właśnie! Mister Hyde. To wtedy Hulk musiałby zacząć ścigać Spidermana. Choć i tak uważam, że Spidey by wygrał.

—
 To dlatego właśnie Spiderman jest zachwycający, a Hulk jedynie zdumiewający - stwierdził Logan. - Aby pokonać zło, trzeba się wykazać czymś więcej niż tylko potęgą nymi mięśniami.

—
 - Aha. Trzeba być odważnym i mądrym, i w ogóle. «

—
 Najmądrzejszy jest Peter Parker - oznajmił Lukę i, naśladując brata, zaczął również wywijać nabitym na widelec kawałkiem ziemniaka.

—
Bruce Banner też jest sprytny - oznajmił Logan. Widząc, jak wymachiwanie kartoflami bawi chłopców, tak e uniósł widelec. - Bo zawsze jakoś udaje mu się znaleźć odpowiednie ubranie, kiedy ju przestaje być Hulkiem.

—
Gdyby był naprawdę taki inteligentny - wtrącił Harper - wynalazłby jakiś sposób, aby rozciągać swoje ubrania, kiedy staje się tym zielonym monstrum.

—
Och, wy, naukowcy - westchnął cię ko Logan. - Nigdy nie godzicie się z prozaicznością.

—
Czy „prozaiczność” to jakiś czarny charakter? - zainteresował się Lukę.

—
Prozaiczny oznacza codzienna, zwyczajni' sprawy - wyjaśniła Stella, -

Na przykład, o wiele bardziej prozaiczne wydaje się jedzenie ziemniaków ni wymachiwanie nimi nad głową. Ale z przykrością muszę cię poinformować, e jest to jednocześnie o wiele grzeczniejsza forma zachowania przy stole.

—
Uch. - Lukę posłał matce rozbrajający uśmiech i zrzucił ziemniak z widelca na talerz. -W porządku.

Po kolacji Stella od razu poszła do siebie, wymawiając się koniecznością położenia synów do łó ek. Musiała ich wykapać, odpowiedzieć na codzienną porcję niezliczonych pytań, a potem spokojnie poczekać, a chłopcy wyrzucą z siebie energię całego dnia - co z reguły polegało na bieganiu bez pi am po pokoju.

Następnie nadchodził jej ulubiony czas. Stawiała krzesło między łó kami i czytała dzieciom na dobranoc, podczas gdy Parker pochrapywał u jej stóp.

Ostatnio czytali o koniu zwanym Majestic. Kiedy Stella zamknęła ksią kę, zakończywszy kolejny rozdział, chłopcy tradycyjnie zaczęli prosić o jeszcze trochę.

—
O dalszych przygodach poczytamy jutro, bo teraz nadszedł czas na całuski.

Tylko nie całuski! - Gavin przewrócił się na brzuch i schował twarz w poduszkę. - Ja nie chcę adnych całusków.

—
Nie masz innego wyjścia! Musisz się poddać. - Zaczęła pokrywać tył jego głowy pocałunkami, chłopiec zaś skręcał się ze śmiechu.

—
A teraz czas na moją drugą ofiarę. - Stella zwróciła się w stronę Luke'a, teatralnie zacierając dłonie.

—
Poczekaj, mamusi! Poczekaj. - Luke wyciągnął ręce przed siebie, by odeprzeć atak. - Czy myślisz, e mój ząb wypadnie ju tej nocy?

—
Niech zerknę na niego raz jeszcze. - Usiadła przy synku na brzegu łóżka i z powagą miną przyglądała się, jak językiem dotykał zęba. - Myślę, e to całkiem mo liwe.

—
Czy w zamian mogę dostać konia?

—
Koń nie zmieściłby się pod poduszką.

Luke wybuchnął śmiechem, a Stella zaczęła całować jego policzki, czoło i usta.

W końcu podniosła się i zgasiła górne światło.

—
Wolno wam śnić tylko o fajnych rzeczach.

—
Ja będę śnił, e dostaję konia, bo czasami sny się spełniają w prawdziwym yciu.

—
To prawda. Niekiedy się spełniają. A teraz dobranoc.

Poszła do siebie, ale wciąż słyszała szepty dochodzące z pokoju chłopców.

Przez ostatnie dwa lata - od śmierci Kevina - był to ju rytuał. Na szczęście od jakiegoś czasu pośród szeptów pojawiały się te radosne chichoty.

Ona w końcu te przestała odczuwać rwący ból ka dej nocy, gdy kładła się do łó ka. Owszem, tęskniła za przeszłością, ale ju nie rozpaczała.

Zerknęła na laptop i przypomniała sobie natychmiast, e miała jeszcze popracować tego wieczoru, ale najpierw wyszła na taras.

Powietrze było chłodne, lecz lubiła ten chłód, idealny spokój i mrok.

Wciąż jeszcze trudno jej było uwierzyć, e w środku stycznia mo e stać tak lekko ubrana na tarasie, i nie zmarznąć przy tym na kość. Chocia według ostatnich prognoz pogody powinno padać, niebo było czyste i usiane gwiazdami, a w bladym świetle księ yca Stella mogła ju dostrzec pierwsze pączki na kameliach.

Kwiaty w zimie! To niewątpliwa zaleta przeprowadzki na Południe.

Podobnie jak praca, którą zdą yła pokochać, mimo e była tu zaledwie od dwóch tygodni. Chciała być tutaj wiosną, zobaczyć, jak wszystko gwałtownie rozkwita. Zdała sobie z tego sprawę dopiero w czasie stanowczej przemowy Roz tego wieczoru. Zapewne zbytnio się zaangażowała. Ale na tym zawsze polegał

jej problem. Cokolwiek rozpoczynała, musiała to doprowadzić do końca. Matka nazywała tę jej cechę „religijnym credo Stelli”.

Tym razem jednak chodziło o coś więcej - Stella czuła się związana emocjonalnie z tym miejscem, a to zapewne było błędem. Ale nie mogła się ju doczekać, kiedy stoły i donice w sklepie zaczną się uginać od rabatowych roślin, z koszy będą się zwieszać wielobarwne kwiaty, a wszędzie zaroi się od klientów.

Ponadto, czy to się spodoba Loganowi, czy te nie, postanowiła, e niedługo obejrzy jego ró ne dzieła oraz poobserwuje go podczas pracy. By zobaczyć, jak w praktyce funkcjonuje jego dział.

Oczywiście o ile wcześniej Logan nie namówi Roz, by wyrzuciła ją z pracy.

Tak czy owak, Stella nie mogła się zrelaksować ani skupić na obowiązkach, jeśli jak najszybciej nie wyjaśni sytuacji.

Zejdzie na dół pod pretekstem zaparzenia sobie herbaty. Je eli nie zauwa y przed domem cię arówki Logana, postara się zamienić z Roz parę słów.

Na dole panowała idealna cisza i nagle Stellę ogarnęło przeświadczenie, e Roz i Logan poszli razem na górę. Z jakiegoś bli ej nieokreślonego powodu nie spodobała jej się ta wizja. Przeszła na palcach do okna w salonie i wyjrzała na zewnątrz. Nie zobaczyła cię arówki Logana, szybko jednak dotarło do niej, e przecie nie wie, gdzie zaparkował ani jakim samochodem tu przyjechał.

Musi więc poczekać do jutra. Z samego rana poprosi Roz o chwilę rozmowy i wyjaśni całą sprawę. Tak nawet będzie lepiej, bo przez noc się zastanowi, co i jak powinna powiedzieć.

Ale skoro ju była na dole, zdecydowała, e jednak zaparzy sobie herbatę.

Zabierze kubek na górę i spróbuje skoncentrować się na pracy.

Cicho weszła do kuchni i w tym samym momencie wrzasnęła, bo w bladej poświacie ujrzała jakąś postać. Postać odpowiedziała krzykiem i gwałtownie przycisnęła włącznik światła.

—

Następnym razem lepiej od razu mnie zastrzel - powiedziała Roz, unosząc dłoń do serca.

—

Przepraszam. Ty te nieźle mnie przestraszyłaś. Wiedziałaś przecie , e David pojechał poszaleć do miasta, byłam więc pewna, e nikogo tu nie za-siane.

—

A tymczasem natknęłaś się na mnie. Właśnie parzę kawę.

—

Po ciemku?

—

Pali się światełko piekarnika. Poza tym to mój dom, wiem dobrze, gdzie CO stoi. Przyszłaś pobuszować po lodówce?

—

Słucham?... Nie, nie! Skąd e! - Nie czuła się na tyle swobodnie w tym domu, by się odwa yć na coś podobnego. - Chciałam zrobić sobie herbatę, a potem jeszcze popracować na górze.

—

No to rób. A mo e miałabyś ochotę na kawę?

—

Jeśli napiłabym się teraz kawy, ju do rana nie zmru yłabym oka. Stella poczuła się nieswojo, stojąc w nocy pośrodku kuchni obok Roz.

Przecie nie była nawet gościem tej kobiety, jedynie jej pracownicą. I choć Roz okazywała jej du o

yczliwości, nie mogła zapominać, e wszystko wokół

należało do szefowej.

—

Czy pan Kitridge ju wyszedł?

—

Najwyszy czas, ebyś zaczęła nazywać go Loganem, Stello. Forma, którą przyjęłaś, jest dla wszystkich wkurzająca.

—

Przepraszam. Nie chciałam nikogo wkurzyć. - No mo e trochę. - Po prostu nasza znajomość zaczęła się niefortunnie, to wszystko, no i... o, dzięki -

rzuciła, gdy Roz podała jej czajnik. - Zdałam sobie sprawę, e nie powinnam była tak na niego narzekać.

Nalewała wodę do czajnika, klnąc w duchu, e jednak nie przygotowała się lepiej do tej rozmowy.

—

A to czemu? - spytała Roz.

—

Bo przecie twój mened er i szef wa nego działu muszą dojść ze sobą do porozumienia, by sprawnie współdziałać, a bieganie do ciebie ze skargami było kompletnie bezsensowne.

—

Rozsądne podejście. Bardzo dojrzałe.

Roz oparła się o kontuar. Stella jest jeszcze bardzo młoda, pomyślała. Łą-

czyły je wspólne, przykre doświadczenia, ale przecie było między nimi ponad dziesięć lat różnicy.

—

Staram się - odparła Stella, stawiając czajnik na kuchenkę.

—

Ja te kiedyś starałam się być rozsądna i dojrzała. A potem powiedziałam sobie: pieprzyć to, zakładam własny interes.

Stella odgarnęła włosy z twarzy. Jaka właściwie jest ta kobieta, która zawsze mówiła bez ogródek to, co myślała, miękkim głosem arystokratki z Południa, i nosiła - zamiast eleganckich pantofli - wiekowe, wełniane skarpety?

—

Nie umiem cię przejrzeć. Nie umiem zakwalifikować, przyłożyć do ciebie odpowiedniej miary.

—

A w ten sposób zazwyczaj funkcjonujesz, prawda? Wszystkich i wszystko próbujesz zaszufladkować. - Roz sięgnęła po kubek do kawy. - To bardzo cenna cecha u menedżera. Na gruncie prywatnym jednak może być irytująca.

—

Nie byłabyś pierwszą osobą, którą to irytuje. - Stella wzięła głęboki oddech.

- A jeśli już o gruncie prywatnym mowa, chciałabym cię dodatkowo przeprosić. Nie powinnam dzisiaj rano wygłaszać tak przykrych uwag pod adresem Logana. Ale wówczas nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś w tę sprawę zaangażowana emocjonalnie.

—

Doprawdy? - Roz zdecydowała, że najw szybciej czas pokrzepić się herbatnikiem. Zdjęła z półki puszkę, zawsze dobrze zaopatrzoną przez Davida. - A zdałaś sobie z tego sprawę wtedy, gdy...

—

Gdy zesłam na dół, tu przed kolacją. Nie miałam zamiaru podsłuchiwać czy podglądać, ale przypadkiem spostrzegłam...

—

Weź ciastko.

—

Nie jadłam słodczy po...

—

Bierz herbatnika - rozkazała Roz. - Logan i ja rzeczywiście jesteśmy zaangażowani emocjonalnie. Mamy wspólne cele. On u mnie pracuje, choć sam nieco inaczej to widzi. - Spojrzała na Stellę z rozbawieniem. - Uważa, że pracuje ze mną, nie u mnie, co mi zupełnie nie przeszkadza. Przynajmniej tak długo, jak robota jest wykonana solidnie i w terminie, do kasy napływają pieniądze, a klienci są w pełni zadowoleni. Poza tym jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Prywatnie te bardzo go lubię. Ale ze

sobą nie sypiamy. W

naszym zaangażowaniu nie ma ani śladu romantycznych uczuć.

—

Uff - sapnęła Stella. -Ach, tak. No có ... Przepraszam. Ale gafa. Ktoś powinien mnie zakneblować, zanim zdążyłam otworzyć usta.

—

Nie czuję się obrażona, Stello. Uważam wręcz, że mi pochlebiłaś. Obiektywnie muszę przyznać, że Logan to wspaniały mąż czyżna. Choć nie patrzę na niego w taki sposób.

—

Dlaczego?

Roz powoli nalewała do kubka świeżo zaparzoną kawę, Stella tymczasem zdjęła buchający parą czajnik z palnika.

—

Przecie jestem od niego dziesięć lat starsza.

—

A tak naprawdę?

Na twarzy Roz pojawił się cień zdumienia, a zaraz potem szczerze rozbawienie.

—

Masz rację. To nie jest adekwatny argument. Tylko że ja dwukrotnie byłam już żoną. Jeden z tych związków był doskonały. Drugi beznadziejny. Przestałam więc szukać męża - facet w domu to straszne zawracanie głowy.

aby związek był naprawdę udany, trzeba mu poświęcić wiele czasu i energii. A ja wolę poświęcić tę energię i czas na coś innego.

—

Czy nigdy nie czujesz się samotna?

—

Jasne, że tak. Choć dawno temu wydawało mi się, że nigdy w życiu nie będę mogła sobie pozwolić na luksus odczuwania samotności. Wychowywałam trzech chłopców, wciąż miałam ręce pełne roboty,

cią yła na mnie wielka odpowiedzialność. A kiedy ju moi synowie dorośli - choć matką jest się do końca ycia, w pewnym momencie trzeba jednak się usunąć - doszłam do wniosku, e miło byłoby znowu dzielić dom i ycie z mę czyzną. I popełniłam powa ny bład. - Wyraz twarzy Roi pozostał pogodny, ale w jej tonie alu brzmiała ostra, twarda nuta. - Szybko jednak go naprawiłam.

—
Nie wyobra am sobie, ebym raz jeszcze mogła wyjść za mą - stwierdziła Stella. - Kiedy trzeba zarabiać na ycie i zajmować się dziećmi, na pielęgowanie nowego związku ju nie ma czasu.

—
Ja nigdy nie musiałam godzić tych wszystkich rzeczy naraz. Za ycia Johna z największą przyjemnością zajmowałam się domem, dziećmi i nim samym.

Kiedy zostałam jedynie z synami, jeszcze bardziej skoncentrowałam się na nich. I nigdy tego nie ałowałam. - Roz wypiła łyk kawy. - Robiłam to, co kochałam najbardziej, chciałam, eby tak właśnie wyglądało moje ycie.

Karierę bizneswoman rozpoczęłam późno. Niemniej podziwiam kobiety, które umieją onglować tym wszystkim naraz.

—
Kiedyś byłam w tym dobra. To wyczerpujące, jednak przynosi wiele satysfakcji. Ale teraz? Wydaje mi się, e zatraciłam tę umiejętność. Nie zdoła-

łabym ju pracować, poświęcać czasu chłopcom i jednocześnie dzielić na co dzień ycia z mę czyzną. - Potrząsnęła głową. - Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

—
Mo e po prostu jeszcze nie natrafiłaś na właściwego faceta. Stella lekko wzruszyła ramionami.

—
Niewykluczone. Za to doskonale mogę sobie wyobrazić ciebie razem z Loganem.

—
Doprawdy?

W tonie Roz było tyle rubasznej wesołości, e Stella nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

Nie w takim sensie! Chciałam powiedzieć, e doskonale wyglądaliście jako para. Dwoje atrakcyjnych ludzi na pełnym luzie. Dobrze być z kimś, z kim mo na się czuć swobodnie.

—

Rozumiem, e tak było z tobą i Kevinem.

—

To prawda. Nadawaliśmy na tych samych falach.

—

Zauwa yłam, e nie nosisz obrączki.

—

Nie. - Stella zerknęła na serdeczny palec. - Zdjęłam ją mniej więcej rok temu, jak znowu zaczęłam umawiać się na randki. Uznałam, e nie powinnam mieć jej na palcu, kiedy spotykam się z innym mę czyzną. Poza tym ju nie czuję się mę atką. Choć dojście do tego przekonania było długotrwałym i bolesnym procesem.

Roz skinęła głową.

—

Tak, wiem.

—

W końcu jednak przestałam się zastanawiać, co by Kevin pomyślał o tym czy o owym. Jak by zareagował na moje decyzje, czego by sobie yczył. I wówczas zdjęłam obrączkę. To była trudna chwila.

—

Ja zdjęłam swoją w dniu czterdziestych urodzin - powiedziała Roz. -Zdałam sobie sprawę, e ju nie noszę jej na znak pamięci o Johnie. e raczej stała się dla mnie ochronną tarczą przed ewentualnymi nowymi związkami.

Dlatego wło yłam ją do szkatułki. Człowiek albo idzie naprzód, albo zapada się w nicość.

—

Na szczęście zazwyczaj nie mam czasu, eby się zastanawiać nad psy-chologicznymi uwarunkowaniami moich decyzji. Dzisiaj te nie zamierzałam się na ten temat rozwodzić. Po prostu chciałam cię przeprosić.

—
Przeprosiny przyjęte. A teraz, jeśli pozwolisz, pójdę z kawą do siebie.

Zobaczymy się rano.

—
Oczywiście. Dobranoc.

Bardzo podniesiona na duchu, Stella naląła do kubka herbaty. Jutro od rana będzie mogła spokojnie działać dalej. Większość posunięć organizacyjnych miała ju za sobą. Teraz powinna porozmawiać z Roz i Harperem na temat aktualnych zasobów. No i w najbliższym czasie musi te znaleźć sposób na pokojową, efektywną współpracę z Loganem.

Jeszcze była na schodach, gdy usłyszała cichy, melancholijny śpiew. Serce zaczęło walić jej w piersi i niemal biegiem ruszyła w stronę pokoju chłopców.

Kiedy otworzyła drzwi, nie zobaczyła nikogo poza uśpionymi dziećmi. Poczła jedynie ten sam chłód w powietrzu. Odstawiła kubek z herbatą, zajrzała do szafy i pod łóka. Nie znalazła niczego niezwykłego.

Usiadła na podłodze pomiędzy łókami synów, by się uspokoić. Parker obudził się i otrząsnął, po czym wdrapał Stelli na kolana i zaczął lizać jej dłoń.

W niedzielę Stella wybrała się na wczesny lunch do ojca. Jolene uszczęśliwiła ją ju na dzień dobry, wręczając drinka i zakazując wstępu do kuchni.

To był właściwie pierwszy wolny dzień Stelli od chwili, gdy rozpoczęła pracę w „Edenie”, postanowiła więc, e przeznaczy ten czas na pełen relaks.

Chłopcy z Parkerem biegali po niewielkim trawniku, mogła więc spokojnie usiąść koło ojca.

—
Musisz mi wszystko opowiedzieć - zarządził.

—
Wówczas musielibyśmy rozmawiać non stop a do jutrzejszego śniadania.

—
W takim razie przeka co smakowitsze kąski. Polubiłaś Rosalind?

Bardzo ją polubiłam. Chocia nie potrafię jej rozgryźć. Udaje jej się być osobą prostolinijną, a jednocześnie skrytą i wymyka się wszelkim definicjom.

—

Ma szczęście, e u niej pracujesz. A ponieważ jest mądrą kobietą, na pewno świetnie zdaje sobie z tego sprawę.

—

Obawiam się, e nie jesteś całkiem obiektywny.

—

Ale prawie.

Ojciec zawsze bardzo ją kochał, Stella dobrze o tym wiedziała. Co prawda widywali się tylko raz na kilka miesięcy, ale często do niej dzwonił i pisał, przysyłał prezenty-niespodzianki.

Nie przera ało go, e się starzeje. Podczas gdy matka Stelli prowadziła za-artą walkę z czasem, Will Dooley zdecydował się na zupełny rozejm. Jego niegdyś rude włosy były teraz prawie całkiem siwe, przybrał te nieco na wadze i nie mógł się ju poszczycić młodzieńczą sylwetką. Wokół oczu i ust miał wiele zmarszczek mimicznych i zazwyczaj pokazywał się światu z okularami zsuniętymi na czubek nosa.

Jego twarz była zawsze ogorzła od słońca, uwielbiał bowiem golfa i pracę w ogródku.

—

Chłopcy wyglądają na szczęśliwych - zauwa ył.

—

Pokochali dom Roz. Ja się nieprzytomnie zamartwiałam, jak zniosą przeprowadzkę, a tymczasem oni tak gładko dostosowali się do sytuacji, jakby mieszkali w Harper House od urodzenia.

—

Przecie ty, kochanie, nie byłabyś sobą, gdybyś się czymś nie zamartwiała.

—

Choć bardzo mi się to nie podoba, muszę przyznać ci rację. Ale wracając do chłopców, wciąż jeszcze mają drobne problemy w szkole. Niełatwo jest być nowym uczniem w klasie. Niemniej uwielbiają nasze obecne mieszkanie i tę wielką przestrzeń. A poza tym zupełnie oszaleli na punkcie Davida. Znasz Davida Wentwortha?

—
Tak. Właściwie całe dzieciństwo spędził w domu Roz, a teraz wszystkim tam zarządza.

—
Kapitałnie dogaduje się z dziećmi. To dla mnie wielka ulga, e po szkole chłopcy znajdują się pod opieką kogoś, kogo naprawdę lubią. Harper zresztą te jest bardzo sympatyczny, chocia nieczęsto go widuję.

—
Ten chłopak zawsze był samotnikiem. Najlepiej się czuje wśród swoich roślin. Jest te bardzo przystojny - dodał Will znaczącym tonem.

—
To prawda, tato, ale nasze kontakty ograniczają się do wymiany uwag na temat szczeppek i hybryd. I zapewniam cię, e tak ju pozostanie.

—
Nie mo esz przecie mieć ojcu za złe, e chce dla córki stabilizacji u boku porządnego mę czyzny.

—
Jak na razie moje

yacie jest ustabilizowane. W przyszłości jednak chciałabym mieć własny dom. Teraz jestem zbyt zajęta, eby sobie zaprzętać tym głowę, no i nie chcę psuć swoich obecnych stosunków z Roz. Ale jest to na mojej liście priorytetów. W odpowiednim czasie zacznę poszukiwać czegoś własnego, byle w tym samym rejonie szkolnym. Nie chciałabym kolejnych zmian w yciu chłopców.

—
Na pewno uda ci się znaleźć miejsce, o jakim marzysz.

—
Innego nie ma sensu szukać. Tylko muszę jeszcze poczekać. Na razie tkwię po uszy w reorganizacji. A właściwie to nietrafne określenie - tkwię po uszy w organizacji firmy na nowo. Zaprzęają mnie umowy z dostawcami, dokumentacja, wystrój poszczególnych sektorów.

—
I, oczywiście, jesteś tym wszystkim zachwycona. Parsknęła śmiechem, po czym przeciągnęła się leniwie.

—
To prawda. Przedsiębiorstwo Roz jest po prostu cudowne, a jeszcze mo na tam tak wiele zdziałać! Chciałabym znaleźć kogoś, kto sprawnie zająłby się sprzeda ą i potrafiłby doskonale uło yć sobie relacje z klientami, ebym sa-ma mogła się skoncentrować na zaopatrzeniu, dokumentach i wdra aniu kolejnych pomysłów. Do tej pory jeszcze nie zabrałam się do reorganizacji działu architektury krajobrazu. Na razie tylko ścięłam się powa nie z facetem, który się tym zajmuje.

—
Z Kittridge'em? - Will uśmiechnął się lekko. - Spotkałem go parę razy w yciu. Słyszałem, e to dość szorstki typ.

—
Mało powiedziane.

—
Ale świetnie zna się na rzeczy. Zresztą Roz inaczej by go nie zatrudniła.

Jakieś dwa lata temu zajmował się działką jednego z moich przyjaciół, który kupił stary dom. Chciał, między innymi, odrestaurować ogrody wokół

budynku, bo był to wyjątkowo łośny widok. Zatrudnił więc Kittridge'a. Teraz to prawdziwa perła. Nawet pisali o jego ogrodach w jakimś fachowym magazynie.

—
A co mo esz mi powiedzieć o samym Loganie?

—
Miejscowy chłopak. Tu się urodził i wychował. Na jakiś czas wyniósł się na Północ. Wkrótce po ślubie.

—
Nie wiedziałam, e jest onaty.

—
Bo nie jest. Był - sprostował Will. - Ale coś się im nie uło yło. Nie znam szczegółów. Mo e Jo powie ci więcej, ona ma lepszą pamięć do takich spraw. Logan wrócił tu jakieś sześć czy siedem lat temu. Pracował w du ej firmie w centrum miasta. Potem Roz go ściągnęła do siebie. Jo! Co wiesz o tym chłopaku Kittridge'ów, który pracuje dla Rosalind?

—
O Loganie? - Jo stanęła w progu. Miała na sobie fartuch z napisem: „Kuchnia Jo”, wokół szyi sznur pereł, a na stopach puchate, ró owe kapcie. - Jest bardzo seksowny.

—
Stelli chyba nie chodziło o ten rodzaj informacji.

—
Pewnie, e nie. To mo e stwierdzić sama. Ostatecznie ma oczy, a w jej yłach płynie gorąca krew, czy nie? Jego rodzice przenieśli się do Montany, wyobra asz sobie? Dwa albo trzy lata temu. Ma starszą siostrę, która obecnie mieszka w Charlotte. Dawno temu umawiał się na randki z córką Marge Peters, Terri. Pamiętasz Terri, prawda, Will?

—
Nie powiedziałbym.

—
Ale z pewnością ją pamiętasz. W szkole średniej była królową balu ma-turalnego i miss piękności hrabstwa Shelby. A potem wicemiss stanu Tennessee. Ludzie twierdzą, e nie zdobyła korony, bo nie popisała się w konkursie talentów. Jej głos był - jak to mawiają? - zbyt słaby.

Stella przysłuchiwała się opowieści macochy z wielką przyjemnością. e te Jolene potrafiła to wszystko spamiętać! Ona ju nie mogła sobie przypomnieć, kto został królową na jej własnym balu maturalnym. A tymczasem Jo nie miała trudności z relacjonowaniem wydarzeń co najmniej sprzed dekady.

To musi być jakaś cecha typowa dla południowców.

—
Terri uznała, e jak dla niej Logan zbyt powa nie zapatruje się na ycie -

dorzuciła Jo. - No ale dla tej dziewczyny makówka byłaby zbyt powa na i zasadnicza.

Wróciła do kuchni, mówiła jednak nadal, tyle e nieco podniesionym głosem.

—
Logan o enił się w końcu z jakąś Jankeską i przeprowadził do Bostonu lub Filadelfii, czy te podobnego miejsca. Parę lat później wrócił w rodzinne strony, ale ju sam. Nie mieli dzieci.

Ponownie zjawiła się w salonie z kolejnym drinkiem dla Stelli.

—
Słyszałam, e ona kochała wielkowiejskie ycie, a on go nie znosił, więc się rozstali. Chocia zapewne sprawa okazała się bardziej skomplikowana, tak to zazwyczaj bywa. Logan nie lubi o sobie opowiadać, stąd moje informacje są dość ogólne. Przez jakiś czas pracował w Fosterly Landscaping. Wiesz, Will, to ci, co głównie zajmują się biurkami i centrami handlowymi. A potem, jak niesie fama, Roz zaoferowała mu gwiazdkę z nieba i kilka układów słonecznych na dodatek, eby tylko zgodził się u niej pracować.

Will mrugnął w stronę córki.

—
Mówiłem ci, e będzie znała wszystkie szczegóły. Jo roześmiała się i machnęła ręką.

—
Parę lat temu Logan kupił starą posiadłość Morrisa, tę nad rzeką. Cały czas ją remontuje. Słyszałam te , e pracuje teraz u Tully'ego Scopesa. Ty go nie znasz, Will, ja natomiast widuję się z jego oną, Mary, w Klubie Ogrodniczym. Ta kobieta nigdy nie przestaje narzekać - dla niej niebo jest zbyt niebieskie, a deszcz zbyt mokry. Wiecznie ze wszystkiego niezadowolona. Tully jest podobno taki sam. Czy chcesz jeszcze jedną krwawą mary, kochanie? -

zwróciła się do Willa.

—
Nie miałbym nic przeciwko temu.

Jolene ruszyła do kuchni, by przyrządzić drinka, nie przestawała jednak przy tym mówić.

—
Podobno Tully wynajął Logana do urządzenia ogrodu - chciał, eby mu posadził krzewy, drzewa, wszystko, co potrzeba. A potem ka dego bo ego dnia zjawiał się i narzekał - wciąż ądał zmian, yczył sobie raz tego, innym razem owego. A w końcu Logan powiedział mu, eby się pieprzył - czy te coś mniej więcej w tym stylu.

—
Rewelacyjne podejście do klienta - zauważyła Stella.

—
Po czym po prostu sobie poszedł. Oznajmił, e jego noga nie postanie w tym miejscu, a aden z jego pracowników nie posadzi choćby stokrotki, je eli Tully nie zgodzi się trzymać od niego z daleka. Czy tego właśnie chciałaś się dowiedzieć, skarbie?

—
Mniej więcej - odparła Stella, unosząc szklankę z drinkiem w stronę Jolene.

—
Doskonale. Jedzenie ju gotowe, więc mo e zawołasz chłopców?

Po wysłuchaniu rewelacji Jolene Stella opracowała plan działania. W poniedziałek, wczesnym rankiem, uzbrojona w mapę okolicy, wybrała się na in-spekcję ogrodu, w którym - według planu - miał właśnie pracować Logan.

Postanowiła, e będzie miła do bólu, spolegliwa i elastyczna. Przynajmniej dopóki nie obejrzy wszystkiego, co chciała zobaczyć.

Po krótkiej jeździe znalazła się na peryferiach Memphis. Urocze, stare domy stały blisko siebie, ale w du ym oddaleniu od ulicy. Zadbane trawniki opadały miękko w stronę drogi. Przy ka dej posesji mo na było dostrzec wielkie, piękne drzewa: dęby i klony, dające w lecie du o cienia, oraz derenie i grusze, wiosną pokrywające się obfitością kwiatów. Oczywiście Południe nie byłoby Południom, gdyby wokół nie zasadzono licznych magnolii, wielkich azalii i rododendronów.

Stella oczami wyobraźni zobaczyła siebie i chłopców w jednym z tych do-mostw z du ym ogrodem, któremu z przyjemnością poświęcałaby ka dą wolną chwilę. Zapewne byliby tu szczęśliwi - zaprzyjaźniliby się z sąsiadami, za-praszali się nawzajem na kolacje, by spędzać czas na wspólnych zabawach i grillowaniu.

Niestety, przypuszczalnie nie byłoby ją stać na nieruchomości w tej dzielnicy - oszczędności i kapitał po sprzeda y domu w Michigan zapewne by nie wystarczyły. Poza tym, gdyby tu zamieszkała, musiałaby znowu zmienić chłopcom szkołę i na domiar złego tracić du o czasu na dojazdy do pracy.

Ale, ostatecznie, ka dy mo e sobie pofantazjować.

Na końcu ulicy dostrzegła cię arówkę Logana i du ego pikapa zaparko-wanego przed piętrowym, ceglany domem.

Stella od razu zauwa yła, e ten teren nie jest tak zadbany jak sąsiednie ogrody. Frontowy trawnik nie był strzy ony od lat. Wszystkie wieloletnie ro-

śliny gwałtownie wymagały odpowiedniego trymowania, a dawne kwiatowe rabaty zniknęły pod bujnie pieniącymi się chwastami.

Skrećając za róg, usłyszała ryk piły łańcuchowej i muzyki country - od-twarzanej zdecydowanie za głośno. Wszystko, łącznie ze ścianą budynku, było tu zarośnięte nieprzytomnie panoszącym się bluszczem. Powinno się go wytrzebić, zdecydowała Stella w duchu. Klon te nale ałoby ściąć, zanim zwali się komuś na głowę, trzeba równie zrobić coś z ywopłotem zduszonym przez je ynowe chaszczce i wiciokrzew.

Logan wisiał na uprzę y przymocowanej mniej więcej w połowie wysoko-

ści uschniętego dębu. Machając piłą, odcinał większe konary. Powietrze było chłodne, ale twarz mężczyzny pokrywał pot, odznaczający się ciemną plamą na plecach koszuli.

Owszem, to seksowny facet. Ale ostatecznie ka dy dobrze zbudowany mężczyzna wykonujący fizyczną pracę wygląda seksownie. Gdy jeszcze na dodatek ma w ręku niebezpieczne narzędzie, od razu budzi w kobiecie pierwotne instynkty.

Nie przyszła tu jednak, eby się zastanawiać nad męskim urokiem Kittridge'a.

Interesowała ją praca, jaką tu wykonywał, a w zasadzie wydajność i dynamika tej pracy. Nie podeszła więc do niego, tylko spokojnie rozglądała się po ogrodzie.

Kiedyś było to zapewne piękne miejsce, teraz jednak królowały tu zielska i pousychane krzewy. W rogu przy ogrodzeniu rozwalająca się szopa niemal całkowicie ginęła pod pnączami dzikiego wina.

Całość ma mniej więcej tysiąc metrów kwadratowych, oszacowała w duchu Stella, po czym zaczęła się przyglądać potężnemu, czarnoskóremu mężczyźnie ciągnącemu obcięte konary w stronę pilarki, obsługiwanej przez niskiego, chudego, białego mężczyznę. W pobliżu stała te pękata rozdrabniarka, która miała przerobić mniejsze gałęzie na cenną ściółkę.

Po chwili kontemplacji Stella doszła do wniosku, e piękno tego miejsca nie zaginęło całkowicie. Po prostu czekało, by je ponownie odkryć. Trzeba było jednak nie lada wyobraźni i umiejętności, by przywrócić ogród do życia.

Ponieważ czarnoskóry mężczyzna również zaczął się jej przyglądać, podeszła do niego i jego drobnego towarzysza.

—

Mogę w czymś pani pomóc? - zapytał potężny Murzyn. Z uśmiechem wyciągnęła ku niemu dłoń.

—

Nazywam się Stella Rothchild. Jestem menedżerem pani Harper.

—

Miło mi panią poznać. Ja jestem Sam, a ten tu to Dick.

Drobny mężczyzna miał świeżą, piegowatą twarz dwunastolatka i rzadką kocią brodkę, która wyglądała, jakby wyrosła przez pomyłkę.

—

Słyszeliśmy o pani - oznajmił i mrugnął w stronę kolegi.

—
Naprawdę? - Starła się zachować przyjazny ton i uśmiech na twarzy, choć miała wra enie, e łapie ją
szczękościsk. - Pomyślałam, e powinnam wpaść i zobaczyć, jak przebiegają prace. - Znowu
rozejrzała się po ogrodzie, celowo nie podnosząc oczu na tyle wysoko, by spojrzeniem objąć Logana.
-Czeka was tu powa ne wyzwanie.

—
Sporo czasu zajmie uprzątnięcie tego bałaganu - zgodził się Sam, opierając swoje wielkie dłonie na
biodrach. - Ale widywałem ju gorsze miejsca.

—
Czy istnieje formalny harmonogram prac z opracowanym konspektem

—
godzin roboczych?

—
Konspektem! - Dick parsknął kpiąco, szturchając łokciem Sama. Sam posłał
jej pełne politowania spojrzenie.

—
Jeśli chce pani dowiedzieć się czegoś o harmonogramach i... hm... kon-spektach, proszę
porozmawiać z szefem. On się na tym zna.

—
Ach, tak. Dziękuję. W takim razie nie będę panów dłu ej zatrzymywać.

Odeszła od nich, wyjęła mały aparat fotograficzny i zaczęła robić zdjęcia, by
- jak sobie wmawiała - monitorować postępy robót.

Od razu zauwa ył, gdy się zjawiała w eleganckim, wyprasowanym ubraniu, z niesfornymi włosami
ściągniętymi w węzeł na karku i w ciemnych okularach osłaniających du e, błękitne oczy.

Zastanawiał się, kiedy podejdzie i zacznie zatruwać mu ycie - bo ta kobieta bez wątpienia była
urodzoną zrzędą. Na szczęście okazało się, e miała dość zdrowego rozsądku, by nie przeszkadzać mu
w pracy.

No có , przecie - poprawił się natychmiast w duchu - Stella Rothchild jest jednym wielkim

chodzącym zdrowym rozsądkiem.

Mo e dzisiaj go czymś zaskoczy. Lubił niespodzianki, a jedną ju mu sprawiła swoimi dziećmi. Podejrzewał, e ujrzy ugrzecznione roboty, spoglądające pytająco na władcą matkę, zanim w ogóle odwa ą się otworzyć usta. Tymczasem jej synowie byli swobodni, interesujący i zabawni. A przecie sensowne wychowanie wymagało sporej dozy wyobraźni.

Mo e więc była taka upierdliwa jedynie w pracy.

Có , uśmiechnął się łobuzersko pod nosem. O nim mo na by powiedzieć to samo.

Nie spieszył sir. Niech solne poczeka. Przez następne pół godziny całkowicie ignorował jej obecność. Nie zareagował nawet wtedy, gdy - na Boga! - wyjęła z torebki aparat i notes.

Zauwa ył te , e podeszła do jego pracowników, a potem Dick od czasu do czasu rzucał w jej stronę ukradkowe spojrzenia.

Dick był beznadziejnym kretynem w sytuacjach towarzyskich, szczególnie gdy chodziło o kobiety. Za to pracował bez wytchnienia i podejmował się najgorszych zajęć z błogim, idiotycznym uśmiechem na ustach. Sam, mający więcej rozsądku w małym palcu ni Dick w całej głowie, nale ał - dzięki Bogu -

do ludzi wyjątkowo tolerancyjnych i cierpliwych.

Sam i Logan chodzili razem do szkoły i ponieważ znali się od ponad dwudziestu lat, rozumieli się bez słów, co bardzo odpowiadało Loganowi. Wyja-

śnianie tych samych rzeczy po kilka razy nadwerę ało jego cierpliwość, na której ju i tak mu zbywało.

W trójkę osiągali wyjątkowo dobre rezultaty, często wręcz olśniewające.

Dzięki sile i roztropności Sama oraz pracowitości Dicka Logan rzadko musiał

zatrudniać dodatkowych robotników.

Co te mu się podobało. Zawsze wolał pracę w małych zespołach. W ten sposób to, co robił, nabierało kameralnego wymiaru i stawało się bardziej osobiste.

Ten element był w ogóle zasadniczy w jego pracy. To przecie jego wizja, jego pot i krwawica przesądzały o ostatecznym kształcie krajobrazu. I z jego nazwiskiem dana praca była kojarzona ju na zawsze.

Ta Jankeska mo e sobie gędzić o formularzach i systemach przez cały bo y dzień. Natura miała gdzieś podobne bzdury. I on te .

Krzyknął ostrzegawczo w stronę swoich ludzi, a potem przewrócił uschnięty pień. Gdy dąb zwałił się na ziemię, Logan chwycił za butelkę z wodą i opró nił

ją do połowy, nie odrywając szyjki od ust.

—

Panie... - zaczęła Stella, ale szybko urwała. Nie. Ma być przecie przyjazna i bezpośrednia. Uśmiechnęła się więc i zaczęła raz jeszcze: - Świetna robota.

Nie wiedziałam, e sam zajmujesz się usuwaniem drzew.

—

To zale y. W tym przypadku sprawa była prosta. Wybrałaś się na przeja d kę?

—

Nie, choć z przyjemnością rozejrzałam się po okolicy. Jest piękna. -

Przesunęła wzrokiem po otoczeniu. -Tu zapewne te było kiedyś pięknie. Co się stało?

—

Przez pięćdziesiąt lat mieszkało tu pewne mał ństwo. Mą zmarł.kilka lat temu. Wdowa nie radziła sobie sama z rozległą działką, a wszystkie dzieci rozjechały się po kraju. Zachorowała i wówczas ogród zupełnie popadł w ruinę. Kiedy stan matki się pogorszył, dzieci umieściły ją w domu opieki.

—

To smutne.

—

Có , tak bywa w yciu. Sprzedali dom. Nowi właściciele nabyli go bardzo okazjnie i teraz chcą doprowadzić teren do porządku. My się tym zajmujemy.

—

I co zamierzasz tu zrobić?

Pociągnął kolejny, długi łyk wody. Stella zorientowała się, e rozdrabniarka przestała pracować, wystarczyło jednak, e Logan spojrział gniewnie na stwoich pracowników i maszyna natychmiast ruszyła z powrotem.

—

Wiele rzeczy.

—

A dokładniej?

—

A czemu pytasz?

—

Poniewa bardzo ułatwiłbyś mi pracę, gdybyś informował mnie o swo ich planach. Poza tym dębem, zapewne zamierzasz usunąć równie klon sprzed wejścia?

—

Owszem. No, dobrze, posłuchaj. Sprawa wygląda następująco: usuniemy stąd wszystko, czego nie mo na lub nie powinno się zachować. Poło ymy nową darń, postawimy nowe ogrodzenie. Zburzymy starą szopę, a na jej miejscu wzniesiemy inną. Obecni właściciele chcą, by ich ogród był bardzo kolorowy. Przytniemy więc odpowiednio azalie, a na frontowym trawniku, na miejscu klonu, posadzimy drzewo wiśniowe. Tam bzy, a po tej stronie magnolie. Na rabacie peonie, pnące ró e wzdłu tylnego ogrodzenia. Widzisz to niewielkie wzniesienie po prawej? Nie zrównamy go, tylko obsadzimy odpowiednimi roślinami.

Szybko przedstawił resztę swoich zamierzeń, rzucając od niechcienia nazwy łacińskie i zwyczajowe z szybkością karabinu.

Miał ju dokładną wizję tego ogrodu. Zawsze tak było, gdy zabierał się do pracy. Oczami wyobraźni widział ka dy szczegół składający się potem na atrakcyjną całość. Wiedział dokładnie, jakie prace trzeba wykonać i w jakiej kolejności, by osiągnąć po ądany efekt. I do tych prac tęsknił tak samo, jak do ostatecznego efektu.

Uwielbiał zanurzać ręce w ziemi - jak e inaczej mógłby wykonywać swój zawód i z radością kształtować krajobraz? Zerknął na dłonie Stelli i uśmiechnął

się kpiąco na widok wypielęgowanych paznokci powleczonych bladoro owym lakierem.

Panienska od przekładania papierów, pomyślał lekcewa ąco. Prawdopodobnie nie umie odró nić dzikiej trawy od sumaku.

Mimo wszystko postanowił, e ją i ten jej notes potraktuje z pełnymi honorami. Byle jak najszybciej mieć babę z głowy. Zaczął jej więc opowiadać o patio, które zamierzał zrobić na tyłach domu, i o roślinach, jakie tam ustawi.

Kiedy doszedł do wniosku, e nagadał się ju więcej ni normalnie przez tydzień, wypił do końca wodę i wrzucił ramionami. Zapewne nie zrozumiała wiele z tego, co mówił, ale w ka dym razie nie mogła narzekać na brak współpracy z jego strony.

—

To wspaniałe - oznajmiła. - A co z rabatą po południowej stronie, od frontu?

Ściągnął lekko brwi.

—

Usuniemy tylko bluszcz. Ten kawałek ziemi właściciele będą mogli sobie zagospodarować samodzielnie, według własnego uznania.

—

Świetny pomysł.

Ponieważ zgadzał się z jej opinią, nie odezwał się słowem, tylko przerzucał

palcami drobne w kieszeni.

—

Chociaż osobiście wokół szopy zamiast cisów posadziłabym niskopienne sosny. Ich koloryt i mniej regularny kształt będą się lepiej prezentować w tej części ogrodu.

—

Być może.

—

Pracujesz na podstawie szkiców czy masz wszystko w głowie?

—

To zależy.

Czy powinnam od razu wybić mu wszystkie zęby, czy te usuwać je z wolna i po kolei? - zastanawiała się Stella, dzielnie rozciągając usta w uśmiechu.

—

Chciałabym po prostu kiedyś obejrzeć jeden z twoich projektów rozrysowanych na papierze. Poza tym, przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł.

—

Jestem pewien, że ci na nich nie zbywa.

—

Szefowa kazała mi zachowywać się miło i uprzejmie - rzuciła chłodnym tonem. - Co ty na to?

Wzruszył ramionami.

—

Pomyślałam, e po reorganizacji mogłabym dla ciebie wygospodarować w centrum ogrodniczym niewielkie biuro.

Posłał jej takie samo spojrzenie, jak chwilę wcześniej rzucił swoim ludziom.

Kobieta o mniejszym harcie ducha zapewne w tym momencie wzięłaby nogi za pas.

—

Nie pracuję w adnym cholernym biurze.

—

Nie proponuję, ebyś siedział tam godzinami, tylko ebyś miał dla siebie trochę miejsca, gdzie mógłbyś pozalać telefony, wypełnić dokumenty, przechowywać kartoteki.

—

Do tego słu y mi cię arówka.

—

Czy próbujesz utrudnić mi ycie?

—

W adnym razie. A ty moje?

—

W porządku. Nie chcesz biura, nie ma o czym mówić. Zapomnij o biurze.

—

Ju zapomniałem.

—

Cudnie. Ale ja potrzebuję biura. Poza tym muszę wiedzieć, jakich roślin, materiałów i sprzętu potrzebujesz do wykonania swojej pracy. - Ponownie gwałtownym ruchem otworzyła notes. - A więc jeden czerwony klon i jedna magnolia - jakiego rodzaju?

—
Grandiflora glońska.

—
Doskonały wybór dla planowanej lokalizacji. Jedno drzewko wiśniowe -

ciągnęła, a potem ku jego zdumieniu wymieniła wszystkie rośliny, które uwzględnił w swoim planie. Spojrzał na nią z niechętnym podziwem. W po-rządku, Rudzielcu, pomyślał. A więc mo e co nieco wiesz o ogrodnictwie.

—
Cisy czy niskopienne sosny?

Zerknął w stronę szopy, wyobra ając sobie obie rośliny. Do diabła, rzeczywiście miała rację, co nie znaczy jednak, e od razu powinien się z nią zgodzić.

—
Dam ci znać.

—
Jak najszybciej, proszę. Podaj mi tak e dokładną liczbę i odmianę roślin, zanim je zabierzesz.

—
A znajdę cię... w twoim biurze?

—
Po prostu gdzieś mnie znajdziesz. - Odwróciła się i skierowała z powrotem do samochodu.

—
Hej, Stella! Nie bądź taka sztywna!

Kiedy się odwróciła, uśmiechnął się od ucha do ucha.

Dawno chciałem to powiedzieć. Spojrzała gniewnie i znowu pomaszzerowała przed siebie. Jezu, oka czasami odrobinę humoru. - Ruszył za nią długimi krokami. Nic odchodź taka wkurzona.

—
Tylko po prostu odejdz?

—
Właśnie. Nie ma przecie powodu, ebyśmy się na siebie wściekali. Chocia , ogólnie rzecz biorąc, złość mi nie przeszkadza.

—
Nigdy bym nie zgadła.

—
Ale teraz nie ma do tego powodu. - Jakby sobie nagle przypomniał, e wciąż nosi robocze rękawice, zerwał je więc i włożył do tylnej kieszeni spodni. - Ja wykonuję swoją pracę, ty swoją. Roz uwa a, e cię potrzebuje, a ja mam do niej zaufanie.

—
Ja te .

—
Wiem. Więc spróbujmy wzajemnie nie załazić sobie za skórę, bo oboje w końcu nabawimy się alergii.

Przechyliła głowę, uniosła brwi.

—
Czy to ugodowa strona twojej osobowości?

—
Mniej więcej. Staram się być ugodowy, ebyśmy oboje mogli dobrze robić to, za co nam płaci Roz. I ponieważ twój syn ma sto dwudziesty pierwszy zeszyt „Spidermana". Jeśli się na mnie wściekniesz, nie pozwoli mi go obejrzeć

Zsunęła w dół okulary i spojrzała na niego ponad oprawką.

—
Chyba nie próbujesz być czarujący?

—
Nie. Jedynie szczerzy. Naprawdę chcę przejrzeć ten komiks. Gdybym był

czarujący, gwarantuję, e padłabyś mi do stóp. Mam nad kobietami potężną władzę, dlatego rzadko z niej korzystam.

—
No jasne - rzuciła.

Ale gdy wsiadała do samochodu, ju się uśmiechała.

Hayley Phillips jechała na końcówce paliwa. Radio, łaska boska, jeszcze działało, więc na cały regulator słuchała Dixie Chicks. Ta muzyka działała na nią pobudzająco.

Wszystko, co posiadała, zapakowała do tego pontiaca grandville, zdecydowanie od niej starszego i o wiele bardziej chimerycznego. Prawdę mówiąc, samochód nie był przeładowany rzeczami, sprzedała bowiem wszystko, co udało jej się spieniężyć. Nie warto teraz bawić się w sentymenty. Z pomocą gotówki można na o wiele więcej zdziałać, niż kierując się sentymentem.

Nie miała sporo pieniędzy, ale wiedziała, że za to, co złożyła w banku, zdo-

ła przetrwać pierwsze, najtrudniejsze chwile. A jeśli się okaże, że w owych trudnych chwilach będzie więcej, niż przewidywała, zawsze można jakoś zarobić na życie.

Nie jechała przed siebie bez celu. Wiedziała, dokąd zmierza. Nie miała jednak pojęcia, co się wydarzy, gdy już dotrze do miejsca przeznaczenia.

Postanowiła teraz tym się nie przejmować. Ostatecznie, gdyby wszystko wiedziała z góry, nie czekałyby ją już w życiu żadne niespodzianki.

Nie przypuszczała, że od razu zostanie wyrzucona za drzwi. Ale gdyby tak się stało, to sobie poradzi.

Podobała jej się okolica, zwłaszcza gdy znalazła się na obwodnicy Memphis. Na północnych obrzeżach miasta teren był lekko pofałdowany, udało jej się tak łatwo dostrzec rzekę. Stały tu piękne, duże domy, niewątpliwie kosztowne - a w ogrodach rosły rozłożyste, stare drzewa. I choć niektóre z posesji były otoczone ceglаныmi czy kamiennymi murami, wydawały się przyjazne dla gości.

Zobaczyła tabliczkę z napisem „Eden” i zwolniła. Bała się zatrzymać - bała się, że jak wyłączy silnik, stary pontiac już nie zapali. Ale zwolniła na tyle, by przyjrzeć się głównym zabudowaniom centrum ogrodniczego i alejkom oświetlonym ostrymi reflektorami.

A więc niemal dojechała. Długo się zastanawiała, co i jak powiedzieć, lecz nadal nie mogła się zdecydować na ostateczną wersję. Wciąż stawały jej przed oczami nowe sytuacje, wciąż w myślach odgrywała inne scenariusze. Dzięki temu podróż mijała szybciej, chociaż sytuacja Hayley wciąż pozostawała taka sama.

Niektórzy mogliby sądzić, że częste zmiany poglądów są przyczyną jej życiowych problemów, sama jednak tak nie uważała. Hayley poznała zbyt wielu ludzi, którzy zbyt przywiązywali się do swoich opinii, nie czyniąc żadnego wyjątku z umysłu, jakim obdarował ich dobry Pan Bóg.

Kiedy zbliżyła się do podjazdu, silnik zaczął się dławić. No, już. Jeszcze tylko kawałek. Gdybym była mniej roztargniona, nie wzięłabym ci benzyny na ostatnim postoju.

Samochód stanął jednak na dobre w bramie wjazdowej, dokładnie między dwiema ceglаныmi kolumnami.

Uderzyła dłonią w kierownicę, jednak bez specjalnego przekonania.

Ostatecznie to jej wina, e zapomniała zatankować. Mo e zresztą wyjdzie jej to na dobre. Trudniej wyrzucić natychmiast niespodziewanego gościa, którego samochód - bez kropli benzyny w baku - blokuje dojazd do domu.

Otworzyła torebkę i wyjęła szczotkę, by doprowadzić do ładny włosy. Po wielu eksperymentach pozostała w końcu przy swoim własnym kolorze -

ciemnobrązowym. Spoglądając we wsteczne lustro, cieszyła się, e przed wyjazdem i poszła do fryzjera. Jej włosy były teraz półdługie, modnie wycieniowane i sprawiły, e Hayley wyglądała na swobodną, pewną siebie młodą kobietę.

Pociągnęła usta szminką i przypudrowała najbardziej świecące miejsca l warzy.

—

No dobrze. A więc w drogę.

Wygramoliła się z samochodu, zarzuciła torbę na ramię i ruszyła długim podjazdem. Trzeba być bardzo bogatym, eby mieszkać tak daleko od pu-blicznej drogi. Domek, w którym Hayley się wychowała, stał tak blisko jezdni, e kierowcy mogli praktycznie wło yć rękę przez okno i uściskać komuś dłoń.

Nie miałyby nic przeciwko temu. To był dobry dom, lubiła go i do tej pory w pewnym sensie ałowała, e musiała go sprzedać. Tyle e ten mały dom na przedmieściach Little Rock nale ał do przeszłości. A ona postanowiła skoncentrować się na przyszłości.

W połowie podjazdu przystanęła z wra enia. Bezwiednie zamrugnęła oczami i otworzyła usta z wra enia. To była najprawdziwsza rezydencja. Olbrzymia!

Hayley widywała w swoim yciu du e domy, ale nic a tak wielkiego. I tak pięknego. Podobnie imponujące budowle oglądała do tej pory jedynie w czasopiśmie. To były Tara i Manderley w jednym.

W oknach paliły się światła, rzucając ciepłą poświatę na trawniki. Jakby na jej serdeczne powitanie. Czy to nie urocze?

Nawet jeśli wykopią ją za drzwi, nie będzie ałować, e tu przyjechała.

Mo liwość zobaczenia takiego domu warta była długiej podró y.

Wdychając aromat sosnowego igliwia i dymu drzewnego, skrzy owała palce na szczęście i podeszła do drzwi. Chwyciła za kołatkę z brązu i stanowczo zapukała trzy razy.

Stella właśnie schodziła z Parkerem po schodach, bo na nią wypadła kolej wyprowadzenia psa na spacer. Słyszając pukanie, wykrzyknęła:

—
Ju otwieram!

Ujrzała dziewczynę z prostymi, modnie postrzępionymi włosami, o ostro zarysowanej twarzy i ogromnych, lazurowych oczach. Nieznajoma uśmiechnęła się i schyliła, by pogłaskać Parkera, który przestał szczeleć i zabrał się do obwąchiwania butów gościa.

—
Cześć - powiedziała.

—
Cześć - odrzekła Stella, zastanawiając się przy tym, skąd na Boga wzięła się ta dziewczyna. Nigdzie w zasięgu wzroku nie ujrzała adnego samochodu.

Przybyła wyglądała na kilkanaście lat i była w zaawansowanej ciąży.

—
Szukam Rosalind Ashby. Pani Rosalind Ashby Harper - poprawiła się natychmiast. - Czy zastałam ją w domu?

—
Tak. Jest na górze. Wejdz, proszę.

—
Dzięki. Nazywam się Hayley. - Wyciągnęła przed siebie dłoń. - Hayley Phillips. Pani Ashby jest moją powinowatą - łączą nas zawile, typowe dla Po-

łudnia związki rodzinne.

—
Stella Rothchild. Wejdz, proszę. Zaraz poszukam Roz.

—
Wspaniale. - Hayley z uwagą rozglądała się wokół, gdy Stella prowadziła ją do salonu. - O, rany - jęknęła w końcu. - Mogę tylko powiedzieć: o, rany!

—
To samo pomyślałam, gdy po raz pierwszy weszłam do tego domu. Czy mogłabym ci coś podać? Na przykład do picia?

—
Nie, dziękuję. Powinam chyba poczekać, a do... - Urwała i podeszła do kominka. Coś podobnego widywała jedynie na filmach. - Czy pracujesz tutaj? Jesteś zarządzającą lub kimś takim?

—
Nie. Pracuję w firmie Roz. Jestem menedżerem. Pójdę jej poszukać. Ty natomiast powinnaś usiąść.

—
Wszystko w porządku - zapewniła Hayley, gładząc swój duży brzuch. - Oboje dzisiaj sporo się nasiedzieliśmy.

—
W takim razie zaraz wracam. - Stella ruszyła do drzwi.

Wbiegła na górę i skręciła w stronę skrzydła zamieszkiwanego przez Roz.

Wcześniej była tu tylko raz, gdy David oprowadził ją po domu. Ale usłyszała włączony telewizor i kierując się tym dźwiękiem, odnalazła Roz w prywatnym saloniku.

Stał tam stary, czarno-biały odbiornik, Roz jednak nie oglądała programu.

Siedziała przy zabytkowej sekretarce i, ubrana w luźne dżinsy i bawełnianą bluzę, rysowała coś w szkicowniku. Tym razem miała białe stopy, a paznokcie pomalowane na jaskrawo-oryzowy kolor, co ze zdumieniem zauważyła Stella.

Zastukała w futrynę.

—
Tak?... O, Stella. Dobrze, e cię widzę. Właśnie zajmuję się ogrodem w północno-zachodniej części naszego centrum. Pomyślałam, e może stać się źródłem inspiracji dla klientów. Podejdz i popatrz na te szkice.

—
Z wielką przyjemnością, ale na dole jest ktoś, kto bardzo chciałby się z tobą zobaczyć. Niejaka Hayley Phillips. Twierdzi, e jest twoją kuzynką.

—
Hayley? - Roz ściągnęła brwi. - Ja nie mam żadnej kuzynki o imieniu Hayley. Chyba nie mam?

—

Młodziutka. Wygląda na nastolatkę. Ładna. Brązowe włosy, niebieskie oczy, wysza ode mnie. I w zaawansowanej ciąży.

—

Och, na Boga! - Roz zaczęła masować dłonią kark. - Phillips. Phillips...

Siostra - a mo e kuzynka - babki mojego pierwszego męża a chyba rzeczywiście wyszła za jakiegoś Phillipsa. A przynajmniej tak mi się wydaje.

—

Powiedziała, e łączą was zawile, typowe dla Południa związki rodzinne.

—

Phillips - mruknęła Roz. Zamknęła oczy i przycisnęła palec do czoła, jakby chcąc w ten sposób pobudzić pamięć. - To musi być córka Wayne'a Phillipsa.

Zmarł w zeszłym roku. Powinnam więc zejść i zobaczyć, o co chodzi. -

Podniosła się z krzesła. - Chłopcy już w łózkach?

—

Przed chwilą zasnęli.

—

Więc chodź ze mną.

—

Nie sądzisz, e byłoby lepiej, gdybyś...

—

Masz wyjątkowo du o zdrowego rozsądku. Nie zapomnij zabrać go ze sobą.

Idziemy.

Stella wzięła Parkera na ręce i modląc się, by psi pęcherz wytrzymał zwłokę, ruszyła za Roz.

Gdy weszły do salonu, Hayley zwróciła się w ich stronę.

—

To najfantastyczniejszy pokój, jaki widziałam w yciu. Człowiek czuje się tu jak w bajce. Mam na imię Hayley, jestem córką Wayne'a Phillipsa. Mój ojciec był krewnym Johna Ashby'ego od strony jego matki. Kiedy tata odszedł w zeszłym roku, dostałam od ciebie bardzo ujmujący list kondolencyjny, kuzynko Rosalind.

—

Pamiętam twojego ojca. Kiedyś się poznaliśmy. Polubiłam go.

—

Ja te . Przepraszam, e przyjechałam bez uprzedzenia, ale nie sądziłam, e dotrę tu a tak późno. Miałam pewne problemy z samochodem.

—

Nie ma o czym mówić. Usiądź, Hayley. W którym jesteś miesiącu?

—

W szóstym. Dziecko ma się urodzić na początku maja. Muszę cię, kuzynko, przeprosić za coś jeszcze. Tu przy bramie prowadzącej na podjazd skoń-

czyła mi się benzyna.

—

Zajmiemy się tym. Czy nie jesteś głodna, Hayley? Mo e coś byś przekąsiła?

—

Nie, kuzynko Roz. Dziękuję bardzo. Zatrzymałam się po drodze i zjadłam solidny posiłek. Zapomniałam jedynie napoić samochód. Mam pieniądze. Nie chcę, ebyś pomyślała, e jestem bez grosza przy duszy i zjawiłam się po jałmu nę.

—

Dobrze to słyszeć. W takim razie napijmy się herbaty. Wieczór jest chłodny.

Gorąca herbata wszystkim dobrze zrobi.

—

Jeśli nie sprawi to zbyt wiele kłopotu. I jeśli macie herbatę ziołową. -

Mimowolnie pogładziła brzuch. - Dla mnie z całej cią y najgorsza jest konieczność wyrzeczenia się kofeiny.

—
Ja się tym zajmę - zaoferowała się Stella. - Za chwilę wracam.

—
Dzięki - rzuciła Roz, po czym zwróciła się w stronę Hayley. - A więc przyjechałaś tu samochodem a z... Little Rock, czy tak?

—
Owszem. Ale ja lubię prowadzić. Co prawda sprawiałoby mi to większą przyjemność, gdyby samochód nie płatał figli, ale jeśli nie ma się tego, co się lubi, trzeba się zadowolić tym, co jest. - Nerwowo odchrząknęła. - Mam nadzieję, e miewasz się dobrze, kuzynko Rosalind.

—
Doskonale, dziękuję. A ty? I twoje dziecko?

—
Czujemy się świetnie. Lekarz powiedział, e oboje jesteśmy zdrowi jak ryby.

—
Mnie nic nie dolega. Co prawda odnoszę wrażenie, e niemiłosiernie się rozrastam, ale nie mam nic przeciwko temu. To nawet dość interesujące. A jak twoi synowie, kuzynko? Czy wszystko u nich w porządku?

—
Tak. Są ju dorośli. Harper, mój najstarszy, mieszka tutaj, w domku gościnnym i pracuje ze mną w centrum ogrodniczym.

—
Widziałam je, znaczy się centrum, kiedy tu jechałam. - Hayley złapała się na tym, e wyciera dłonie o d insy, i natychmiast przestała to robić. - Wygląda na olbrzymie, o wiele większe, ni się spodziewałam. Musisz być z niego bardzo dumna, kuzynko.

—
I jestem. Czym się zajmujesz w Little Rock?

—
Pracowałam w małej, niezależnej księgarni połączonej z kawiarenką.

Właściwie nią kierowałam.

—
Zarządzałaś? W twoim wieku?

—
Skończyłam dwadzieścia cztery lata. Wiem, e nie wyglądam na tyle -

powiedziała Hayley z cieniem uśmiechu. - Ale chętnie poka ę ci, kuzynko, swoje prawo jazdy. Skończyłam college, miałam częściowe stypendium. Jestem bystra i szybko się uczę. Na początku zostałam zatrudniona w tej księ-

garni, bo tata znał właściciela. Potem jednak zapracowałam na swoją posadę.

—
Powiedziałaś „zarządzałam”. A więc ju tam nie pracujesz.

—
Nie. - Ona mnie słucha, pomyślała Hayley z ulgą. Zadaje właściwe pytania.

To du o, jak na początek. - Parę tygodni temu odeszłam z pracy. Ale mam referencje od właściciela. Postanowiłam wyprowadzić się z Little Rock.

—
To chyba nie najwłaściwszy czas na zmianę domu i rezygnację ze stabilnej pracy.

—
Mnie wydawał się odpowiedni. - Obejrzała się, gdy Stella wtoczyła wózek z herbatą. - Teraz jest ju zupełnie jak w kinie - zauwa yła. - Wiem, e zachowuję się jak prostaczka, ale po prostu nie mogę się powstrzymać.

Stella parsknęła śmiechem.

—
Myślałam dokładnie to samo, gdy ładowałam ten wózek. Zaparzyłam rumianek.

—
Dziękuję - powiedziała Roz. - Stello, Hayley właśnie mi oznajmiła, e sprzedała dom i zrezygnowała z pracy. Mam nadzieję, e zechce nam wyja-wić, czemu akurat teraz zdecydowała się na tak drastyczne zmiany.

Nie drastyczne, jedynie powa ne - poprawiła Hayley. - A zdecydowałam się na nie ze względu na dziecko. A raczej ze względu na nas oboje. Zapewne ju się panie domyśliły, e nie jestem mę atką.

—
Nie znalazłaś oparcia w rodzinie? - spytała Stella.

—
Matka odeszła od nas, gdy miałam pięć lat. Mo e nie pamiętasz tego, kuzynko... - zwróciła się do Roz - ...lub jesteś na tyle delikatna, by o tym nie wspominać. Tata zmarł w zeszłym roku. Mam ciotki i wujów, dwie babki i kilkoro kuzynów. Niektórzy nadal mieszkają w okolicach Little Rock. Ale jeśli chodzi o mój obecny stan... mają dość mieszane uczucia. Dzięki - rzuciła, gdy Roz podała jej fili ankę. - Kiedy tata umarł, autentycznie się załamałam. Został potrącony przez samochód, gdy przechodził przez ulicę.

To było jedno z tych niewytłumaczalnych zrządeń losu. niesprawiedliwych, na linienie jesteśmy przygotowani. W ka dym razie w ciągu minuty ju go nie było.

Wypiła łyk napoju i poczuła, jak przyjemnym ciepłem rozlewa się po jej cirle. A do tej pory nie zdawała sobie sprawy, e jest tak bardzo zmęczona.

—
Byłam smutna, wściekła, czułam się bardzo samotna. I wtedy poznałam i chłopaka. Nie chodziło o jednorazową przygodę. Lubiliśmy się. Przychodził i lii księgarni i ze mną flirtował. Ja odwzajemniałam mu się tym samym. Kiedy czułam się samotna, podnosił mnie na duchu. Był słodki... tak czy owak, jedno pociągnęło za sobą drugie. On jest studentem prawa. Wrócił na uczel-nię, a ja kilka tygodni później odkryłam, e jestem w cią y. Nie wiedziałam, CO począć. Czy mu o tym powiedzieć. Czy w ogóle komukolwiek się zwierzyć. Odkładałam decyzję przez kolejne tygodnie.

—
I co w końcu zrobiłaś?

—
Pomyślałam, e jednak trzeba go zawiadomić, i e powinnam zrobić to osobiście. Poniewa nie pokazywał się ju w księgarni, pojechałam do niego do college'u. Dowiedziałam się, e zakochał się w innej. Przyznał mi się do tego z pewnym za enowaniem - ostatecznie ze sobą sypialiśmy. Ale nigdy niczego sobie nie obiecywaliśmy i nie byliśmy w sobie zakochani. Po prostu się lubiliśmy, to wszystko. Kiedy mówił o nowej dziewczynie, twarz mu się rozjaśniała - nie ulegało wątpliwości, e szaleje na jej punkcie. Więc mu nie powiedziałam o dziecku.

Zawahała się, po czym sięgnęła po jeden z herbatników, które Stella starannie uło yła na talerzyku.

Nie mogę się oprzeć słodyczom - dodała przeproszającym tonem. - Po dłuższym zastanowieniu doszłam do wniosku, e mówienie mu o ciąż y nikomu nie wyjdzie na zdrowie.

—

To musiała być bardzo trudna decyzja - zauważyła Roz.

—

Nie tak bardzo. Kiedy jechałam do tego chłopaka, sama nie wiedziałam, czego od niego oczekuję. Nie chciałam, ebyśmy się pobrali. Pomyślałam jedynie, e ma prawo dowiedzieć się o ciąż y, choć na tym etapie jeszcze nie byłam pewna, czy zdecyduję się urodzić dziecko. Chyba przede wszystkim miałam ochotę porozmawiać, zapytać, co on o tym wszystkim sądzi. Kiedy jednak usłyszałam, jak opowiada o swojej dziewczynie... - Potrząsnęła głową. - Doszłam do wniosku, e jeśli zawiadomię go o ciąż y, sprawię jedynie, e poczuje się przerażony, znienawidzi mnie, a jednocześnie ogarną go wyrzuty sumienia. Wprowadzę wielki zamęt w jego życie, a przecie on wcześniej chciał mi jedynie pomóc, kiedy przeżywałam ciężkie chwile.

—

I w ten sposób zostałaś sama - stwierdziła Stella.

—

Gdybym mu o wszystkim powiedziała, równie zostałabym sama. Ale kiedy w końcu zdecydowałam, e urodzę to dziecko, zaczęłam się znowu

zastanawiać, czy nie powinnam mu powiedzieć o swoim postanowieniu.

Najpierw jednak poprosiłam różnych znajomych, co u niego słyhać. Dowiedziałam się, e nadal jest z tą dziewczyną, e nawet myślą o ślubie. Wówczas doszłam do wniosku, e w pierwszym odruchu postąpiłam słusznie. Niemniej kiedy ciąża stała się widoczna, pojawiło się wiele pytań i plotek. Pomyśla-

łam, e muszę zacząć wszystko od nowa. I dlatego tu jestem.

—

Bo szukasz nowego życia - podsumowała Roz.

—

Bo szukam pracy. - Hayley nerwowo oblizwała usta. - Wiem, e wiele osób w adnym razie nie zatrudniłoby kobiety w szóstym miesiącu ciąż y. Po-myślałam jednak, e rodzina - nawet daleka - może okazać większą wyrozumiałość.

Ku jej przerażeniu, Roz siedziała w milczeniu.

—

Studiowałam literaturę i zarządzanie - ciągnęła dzielnie Hayley. -

Ukończyłam studia z wyróżnieniem. Zdobyłam niezłe doświadczenie zawodowe. Mam pieniądze - niedużo, ale mam. Ojciec był nauczycielem, więc nie zarabiał wiele, a moje częściowe stypendium nie pokrywało wszystkich kosztów. Stać mnie jednak na wynajęcie skromnego mieszkania, na utrzymanie siebie i dziecka. Teraz najbardziej potrzebuję pracy -

jakiegokolwiek pracy. Ty, kuzynko, masz dużą firmę i wielki dom. Zapewne potrzebujesz ludzi, aby pomogli ci to wszystko ogarnąć. Więc proszę cię jedynie o szansę.

—

Czy wiesz coś o ogrodnictwie, znasz się na roślinach?

—

Co roku sadziliśmy kwiaty w skrzynkach i wspólnie z ojcem zajmowaliśmy się ogródkiem. Ale mogę wszystkiego się nauczyć. A uczę się chętnie i szybko.

—

Nie wolałabyś jednak pracować w księgarni? Hayley prowadziła małą, niezależną księgarnię w Little Rock - wyjaśniła Roz na użytek Stelli.

—

Tylko że ty nie masz księgarni, kuzynko Rosalind. Chętnie popracuję w twojej firmie przez dwa tygodnie, na próbę, bez żadnego uposażenia.

—

Kiedy, kto u mnie pracuje, dostaje wynagrodzenie. Za kilka tygodni zacznę nabór sezonowych pracowników. Tymczasem jednak... Stello, czy Hayley mogłaby ci się do czegoś przydać?

—

Uch... - Jakże, patrząc na tę niemal dziecięcą buzię i olbrzymi brzuch, mogłaby powiedzieć „nie”? - Gdy prowadziłaś księgarnię, jaki miałaś zakres obowiązków?

—

No, cóż... oficjalnie nie byłam menedżerką, ale praktycznie pełniłam tę funkcję. Ponieważ księgarnia była rzeczywiście niewielka, zajmowałam się wszystkim po trochu. Inwentaryzacją, zakupami,

kontaktami z klientami, planami sprzeda y, reklamą. Ale tylko części księgarskiej. Kawiarnią kierował kto inny.

—

A co uważasz za swoją najmocniejszą stronę?

Hayley wzięła głęboki oddech, by uspokoić nerwy. Wiedziała, że musi teraz udzielać jasnych i zwięzłych odpowiedzi. I nie będzie błagać, bo na tym za bardzo ucierpiałaby jej własna duma.

—

Kontakty z klientami, bezpośrednio przekładające się na wyniki sprzeda y.

Dobrze sobie radzę z ludźmi, chętnie poświęcam klientom sporo czasu, by dowiedzieć się, czego szukają i na czym im zależy. A kiedy ludzie są zadowoleni z zakupów, zawsze wracają. Jeśli włożę się trochę wysiłku, wejdzę w bliższe relacje z klientem, zdobywa się jego lojalność.

Stella skinęła głową.

—

A twoje słabości?

—

Zaopatrzenie - odparła Hayley bez zastanowienia. - Zawsze miałam ochotę kupić wszystko, co wpadło mi w ręce. Wciąż musiałam sobie powtarzać, że nie wydaję przecie własnych pieniędzy. Choć czasami zdarzało mi się głuchnąć na to wewnętrzne przykazanie.

—

W tej chwili jesteśmy w trakcie reorganizacji. Przydałaby mi się pomoc we wdrażeniu nowych struktur. Trzeba wprowadzić do komputera wiele danych, co, ostrzegam, jest bardzo nudnym zajęciem.

—

Sprawnie posługuję się komputerem. Zarówno PC-tem, jak i macintoshem.

—

W takim razie przyjmijmy cię na dwa tygodnie, na okres próbny - zdecydowała Roz. - Oczywiście, zapłacę ci za pracę. W tym czasie przekonamy się, czy możemy dobrze współdziałać. Jeśli okaże się, że nie, zrobię, co w mojej mocy, by pomóc ci znaleźć inną pracę.

—

To bardzo wspaniałomyślne warunki. Dziękuję, kuzynko Rosalind.

—

Proszę, mów mi Roz. Je eli mnie pamięć nie myli, w szopie mamy kanister z benzyną. Zajmę się tym, a potem pojedziemy pod dom twoim samochodem, ebyś mogła wnieść do środka swoje rzeczy.

—

Tutaj? Do tej rezydencji? - Hayley, kręcąc głową, odstawiła fili ankę. -Jak mówiłam, nie chcę jałmu ny. Bardzo dziękuję za mo liwość pracy, ale nie mogę zwałać ci się na głowę.

—

Rodzina, nawet daleka, jest zawsze mile widziana pod tym dachem. Poza tym, jeśli tu zamieszkas, będziemy mogły wszystkie lepiej się poznać, sprawdzić, czy potrafimy zgodnie koegzystować.

—

Ty te tu mieszkasz? - zwróciła się Hayley do Stelli.

—

Owszem, razem z moimi synami: ośmio- i sześciolatkiem. Teraz ju śpią.

—

Czy my te jesteśmy kuzynkami? -Nie.

—

Pójdę po tę benzynę - zdecydowała Roz, wstając z fotela.

—

Będę płacić czynsz - oświadczyła Hayley, równie się podnosząc. - Zawsze płacę za swoje utrzymanie.

—

W takim razie ustalimy wysokość twojej pensji na takim poziomie, by z góry potrącać ci za mieszkanie.

Chwilę później Hayley została sam na sam ze Stellą i wreszcie głęboko odetchnęła.

—

Myślałam, e Roz jest starsza. I bardziej przera ająca. Chocia zało ę się, e jeśli tylko zechce, potrafi

ka dego onieśmielić. Trzeba być twardym i nieugiętym, eby zdobyć to, co ona osiągnęła.

—

Masz rację. Ja zresztą te bywam bardzo twarda w pracy.

—

Postaram się to zapamiętać. Przyjechałaś z Północy?

—

Tak. Z Michigan.

—

To daleko stąd. Przeprowadziłaś się tylko z synkami?

—

Mój mąż zginął w katastrofie samolotu dwa i pół roku temu.

—

- To smutne. Musiało być ci ciężko. Trudno pogodzić się z utratą najbliższej osoby. Zdaje się, e wszystkie trzy mogłybyśmy coś powiedzieć na ten temat.

Najgorzej jest, oczywiście, gdy człowiek zostaje sam - nie ma ju kogo kochać. Ja na szczęście mam teraz dziecko.

—

Wiesz ju , czy to chłopiec czy dziewczynka?

—

Nie. W trakcie badania USG maluch był odwrócony plecami. Myślę, e powinnam iść do Roz, pomóc jej z tą benzyną.

—

Pójdę z tobą - zdecydowała Stella. - Zajmiemy się tym wszystkie razem.

Godzinę później Hayley została ulokowana w gościnnym pokoju w zachodnim skrzydle. Idąc do swojej sypialni, wiedziała, e nieprzyzwoicie wy-trzeszcza oczy. Ale pierwszy raz była w tak wspaniałym domu. I w tak pięknym pokoju. Nigdy przedtem nie przypuszczała, e zamieszka w równie eleganckim miejscu, choćby tymczasowo.

Odstawiła bagaż, po czym przesunęła palcem po błyszczącym blacie biurka i drzwiach szafy, po rzeźbionych kloszach lamp i łobieniach zagłówek łóżka.

Zrobi wszystko, by zasłużyć na to, co ją dziś spotkało, obiecywała sobie, gdy leżała w ciepłej kąpieli. Odwdzięczy się Roz za jej dobroć ciężką pracą i lojalnością.

Po wyjściu z wanny wtarła w brzuch i piersi pachnący olejek. Nie bała się porodu, nie chciała jednak w tak młodym wieku nabawić się rozstępów.

Poczuła nieznaczny chłód i szybko naciągnęła koszulę nocną. Miała wrażenie, że w lustrze, kątem oka, pochwyciła jakiś cień, nieznaczny ruch.

Rozcierając ramiona, by odpędzić chłód, wyszła szybko z łazienki. W pokoju nie było jej duszy.

Jestem bardzo zmęczona, wyjaśniła to sobie w duchu i przetarła oczy. Tego dnia odbyła długą podróż - i to nie tylko w sensie odległości.

Wyciągnęła z walizki książkę - jedną z wielu, których nie miała serca sprzedać, a które nadal leżały w bagażniku samochodu - i wśliznęła się do łóżka.

Otworzyła powieść w zaznaczonym miejscu, szykując się, jak zwykle, na godzinną lekturę przed snem.

Zasnęła, zanim zdołała przeczytać do końca jedną stronę. I nawet nie zgasiła światła.

Na prośbę Roz Stella poszła wraz z nią do prywatnego saloniku na górze.

Roz naląła do kieliszków wina. ,

—

Co o niej myślisz? Tylko szczerze - zwróciła się do Stelli.

—

Młoda, bystra, ambitna. Uczciwa. Mogła nas uraczyć rozziewającą serce historią, jak to ojciec dziecka zdradził ją i porzucił, mogła błagać o dach nad głową, zasłaniając się ciężką. Tymczasem przyznała się do odpowiedzialności za własną sytuację i poprosiła o pracę. Oczywiście, sprawdzę jej referencje.

—

Oczywiście. Jestem zdumiona, że zupełnie nie przeraża jej perspektywa urodzenia dziecka.

—

Bo dopiero jak się je urodzi, człowieka ogarnia strach.

—
Racja. - Roz przeczesła palcami włosy. - Podzwonię tu i ówdzie. Spróbuje się dowiedzieć czegoś więcej o tej gałęzi rodziny Ashbych. Prawdę mówiąc, nie pamiętam za dobrze jej ojca. Spotkaliśmy się raz, mo e dwa razy w yciu. Pamiętam natomiast świetnie skandal związany z odejściem jej matki -

zostawiła Phillipsa z maleńkim dzieckiem. Patrząc jednak na tę dziewczynę, odniosłam wra enie, e doskonale poradził sobie z wychowaniem córki.

—
Jej doświadczenie w zarządzaniu księgarnią mo e się okazać dla nas cenne.

—
Jeszcze jeden mened er. - Roz teatralnie wzniosła oczy ku niebu. - Bo e, miej mnie w opiece.

Nie trzeba było a dwóch tygodni. Minęły dwa dni, a Stella doszła do wniosku, e Hayley została zesłana w odpowiedzi na jej wszystkie modlitwy. Miała teraz u boku kogoś młodego, dynamicznego i pełnego entuzjazmu, kto rozumiał i doceniał racjonalną organizację w miejscu pracy.

Hayley doskonale radziła sobie z zestawieniami tabularycznymi, fakturami i zamówieniami, nigdy niczego nie trzeba było jej powtarzać i natychmiast pojęła kolorystyczny system oznaczania cen. Jeśli była choć w połowie tak dobra w kontaktach z klientami, jak w pracy biurowej, Stella miała przed sobą prawdziwą perłę.

Gdy chodziło o rośliny, jej wiadomości nie wykraczały poza podstawowe minimum - umiała zaledwie odrócić geranium od bratka. Ale tego mo na się przecie nauczyć w praktyce.

Stella zamierzała więc błagać Roz, by zaproponowała Hayley pracę na stałe.

—

Hayley? - Wsunęła głowę do biura, teraz ju idealnie uporządkowanego. -

Mamy jeszcze godzinę do otwarcia. Mo e poszłabyś ze mną do szklarni numer trzy - opowiem ci co nieco o roślinach ceniolubnych.

—

Super. Jeśli chodzi o wieloletnie, doszłam do litery „H”. Do tej pory o połowie z nich nigdy nie słyszałam, ale wieczorami wciąż o nich czytam. Nie wiedziałam, e słoneczniki są nazywane Helia... czekaj, nie podpowiadaj...

Helianthus.

—

Helianthus to cała rodzina. Jako rośliny ozdobne hodowane są trzy gatunki.

Różnią się wielkością i nieco kształtem. Niektóre odmiany są jednoroczne - z nich głównie pozyskuje się nasiona do celów przemysłowych. Mo na je rozmnażać na różne sposoby. I łatwo je się krzyżuje. Ale zdaje się, e wygłaszam ci wykład...

—

Nie szkodzi. Przecie dorastałam z nauczycielem. Chętnie słucham po-gadanek.

Kiedy przechodziły przez centrum, Hayley wyrzała przez okno.

—

Właśnie podjechała jakaś cię arówka i zatrzymała przy... jak wy je na-zywacie? Płyty ogrodowe - dorzuciła, zanim Stella zdążyła otworzyć usta. -

To materiał na ścieki i alejki, prawda? I... mniem, mniem... tylko popatrz, jakie чудо właśnie z niej wysiada. Wysoki, idealnie zbudowany przystojniak.

Kto to taki?

Stella wzruszyła ramionami.

Zapewne Logan Kilridge, architekt krajobrazu pracujący u Roz. Przyznaje, wysoko się plasuje na skali dobrze zbudowanych przystojniaków.

A mi ślinka leci. - Widząc minę Stelli, Hayley parsknęła śmiechem i przycisnęła dłoń do brzucha. - Jestem w ciąży, ale nie przestałam być kobietą. I choć nie szukam teraz męża, nie znaczy to, że nie mogę z przyjemnością popatrzeć. Szczególnie gdy mam przed oczami tak smakowity okaz. Posępny twardziel. Co takiego jest w posępnych twardzielach, że na ich widok od razu czuje się mrowienie w dole brzucha?

Nie mam pojęcia. Co on tam robi?

Zdaje mi się, że ładuje płyty na cię arówkę. Gdyby nie było tak chłodno, zdjąłby kurtkę, a wtedy miałybyśmy prawdziwy pokaz muskulatury. Bo e, ale z niego ciacho!

Z rodzaju tych, od których dostaje się próchnicy - mruknęła Stella. -Rzecz w tym, że on wcale nie miał dzisiaj przyjechać po płyty. W ogóle nie było na nie zamówienia. Niech to szlag trafi!

Ku zdumieniu Hayley Stella wypadła na zewnątrz, trzaskając drzwiami.

Dziewczyna przycisnęła nos do szyby, by popatrzeć na scenę, która miała się rozegrać.

Przepraszam?

Nie szkodzi... - odparła w roztargnieniu Hayley, próbując stanąć tak, by mieć jak najlepszy widok na to, co się będzie działo na zewnątrz. Natychmiast jednak odskoczyła od okna, przypominając sobie, e podglądać kogoś to jedno, a dać się na tym przyłapać to zupełnie coś innego. Odwróciła się, przywołując na usta najbardziej niewinny uśmiech. Tymczasem naprzeciwko niej stało kolejne „ciacho”.

Ten męczyzna nie był potężny i ponury, tylko smukły i jakby rozmarzony. I niezwykle seksowny. Musiało upłynąć kilka sekund, zanim Hayley oprzytomniała na tyle, by zdać sobie sprawę, z kim ma do czynienia.

Cześć! Ty zapewne jesteś Harper. Bardzo przypominasz wyglądem swoją mamę. Do tej pory jeszcze nie mieliśmy okazji się poznać. Ja jestem Hayley.

Kuzynka Hayley z Little Rock. Mo e mama ci mówiła, e teraz tu pracuję.

Tak. Jasne. - Nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Nagle w ogóle stracił zdolność myślenia. Miał takie wrażenie, jakby trafił go grom z jasnego nieba.

Czy ty te uwielbiasz to miejsce? Bo ja zdążyłam się ju w nim zakochać.

Jest tu tyle pięknych roślin i przedmiotów, a wszyscy klienci są bardzo przyjacielscy. No i Stella... ona jest wprost niesamowita. Natomiast twoja mama przypomina... bo ja wiem... jakąś boginię. Jestem jej do zgonnie wdzięczna, e dała mi szansę pracy w swojej firmie.

- Tak. - Zachowywał się jak nierozgarnięty półgłówek. Ju chyba nie mo na robić z siebie większego idioty. - Obie są wspaniałe. Wszystko jest wspaniałe. - A jednak mo na. Co się z nim dzieje, do cholery! Normalnie w kontaktach z kobietami był swobodny i pewny siebie. Tymczasem jedno spojrzenie na tę dziewczynę sprawiło,

e doznał czegoś na kształt

wstrząśnienia mózgu. - Hm... czy czegoś sobie yczysz?

Nie. - Spojrzała na niego ze zdumieniem. - Wydawało mi się, e to ty czegoś chciałeś.

Naprawdę? A czego?

—

Nie mam pojęcia. - Położyła dłoń na brzuchu, który go wyjątkowo fascynował, i zaśmiała się swobodnie, radośnie. - To przecie ty przyszedłeś tu do mnie.

—

A tak, oczywiście. Nie, niczego nie chciałem. Przynajmniej na razie. Mo e potem. Muszę wracać.

Było tylko wyjść na zewnątrz, gdzie będzie mógł wreszcie swobodnie oddychać.

—

Miło było cię poznać, Harper.

—

Ciebie te .

Wychodząc, spojrzął za siebie. Hayley znowu stała przy oknie.

Stella pospieszyła w stronę parkingu. Dwa razy zawołała Logana po imieniu, on jednak za ledwie na nią spojrzął i lekceważąco machnął ręką. Tote kiedy przed nim w końcu stanęła, wprost kipiała z wściekłości.

—

Co ty wyprawiasz?!

—

Gram w tenisa. A tobie co się wydawało?

—

e zabierasz towar, na który nie złożyłeś zamówienia.

—

Doprawdy? - Wrzucił na platformę cię arówki następną porcję płyt. -W

takim razie nic dziwnego, e nieco zardzewiał mi bekhend.

—

Słuchaj...

Ku jej zdumieniu, nachylił się nad nią i pociągnął nosem.

—

Zmieniłaś szampon. Ładny zapach.

—

Przestań mnie obwąchiwać! - Odepchnęła jego twarz i odskoczyła do tyłu.

—

Nic nie mogę na to poradzić. Stoisz tu obok. Nie jestem jeszcze pozbawiony węchu.

—

Nie wolno ci zabierać tych materiałów bez wypełnienia stosownych dokumentów.

—

Tak, tak, tak. W porządku. Wiem. Przyjdę i zajmę się papierkami, gdy tylko załaduję cię arówkę.

—

Powinieneś się nimi zająć, zanim zabierzesz się do ładowania. Odwrócił się i wbił w nią ostre spojrzenie ciemnozielonych oczu.

—

Jesteś strasznie upierdliwa, Rudzielcu.

—

Bo powinnam. Ostatecznie jestem menedżerem.

Roześmiał się i spojrzał na nią znad przeciwsłonecznych okularów.

—

Muszę przyznać, e świetnie ci idzie. Spójrz jednak na nasz problem z innej strony. Płyty leżą po drodze do biura. Ładując je najpierw, jestem bardziej efektywny. - Jego uśmiech stał się teraz kpiący. - To przecie wa ne.

Sz szczególnie gdy opracowuje się - na przykład - konspekt godzin roboczych.

Oparł się o samochód i patrzył na nią chwilę z ironicznym wyrazem twarzy, po czym wrzucił na platformę kolejne płyty.

—
Kiedy tak stoisz i mi się przyglądasz, marnujesz czas, niepotrzebnie zwiększając ilość pustych przebiegów.

—
Słuchaj, Kittridge, jeśli nie przyjdiesz załatwić formalności, będziesz miał ze mną do czynienia.

—
Nie kuś.

Ładowanie płyt zajęło mu więcej czasu niż zazwyczaj, ale w końcu zjawił się w biurze.

W tym czasie zastanawiał się, czym by tu mógł dodatkowo rozdrażnić Stellę.

Kiedy się wściekała, jej oczy nabierały pięknego, fiołkowego odcienia. Ale gdy tylko wkroczył do budynku, pierwszą osobą, którą zobaczył, była Hayley.

—
Cześć - rzucił.

—
Cześć - odpowiedziała z miłym uśmiechem. - Nazywam się Hayley Phillips.

Jestem krewną pierwszego męża a Roz. Teraz tu pracuję.

—
A ja mam na imię Logan. Miło cię poznać. Nie daj się zastraszyć tej Jankesce. - Skinął głową w kierunku Stelli. - Gdzie są święte formularze i rytualny nóż, bym mógł przekłuć sobie żyłę i podpisać się własną krwią?

—
W moim biurze.

—
Jak e by inaczej. - Zanim jednak podążył za Stellą, zatrzymał się na moment przy Hayley. - Na kiedy masz termin?

—
Na maj.

—
I wszystko w porządku?

—
Jak najlepszym.

—
To doskonale. Firma Roz jest wspaniałym miejscem do pracy - i zazwyczaj bardzo przyjaznym. Tak więc, witaj na pokładzie.

—
Leniwym krokiem wkroczył do biura, gdzie Stella już siedziała przed monitorem, na którym widniał odpowiedni formularz zamówienia.

—
Tym razem wystukam wszystko sama, eby oszczędzić na czasie. Cała masa tych formularzy leży w tamtej teczce. Weź ją. Będziesz musiał jedynie wpisać odpowiednie dane w określone rubryki, postawić datę i parafkę. Po czym podrzucić papiery na moje biurko.

—
Uhm.

—
Rozejrzał się po pomieszczeniu. Ani śladu przepełnionych kartonów czy stosów książek leżących na krzesłach i podłodze. Szkoda, pomyślał. Lubił ten artystyczny chaos, atmosferę gorączkowej pracy.

—
Gdzie są graty, które tu się walały?

—
Na swoim miejscu. Czy płyty, które załadowałeś, to były okrągłe osiemnastki typu A-dwadzieścia trzy?

—
To były okrągłe osiemnastki. - Wziął do ręki zdjęcie ustawione na biurku, przedstawiające synów Stelli i ich psa. - Urocze.

—
Te tak uważam. Czy te płyty są do twojego osobistego użytku, czy do realizacji zlecenia klienta?

—

Rudzielcu, czy ty nigdy nie mo esz wyluzowac? «*- Nie. To ju taka nasza jankeska przywara.

—

Oczywiście. Ju zapomniałem, jacy są Jankesi.

—

Czy przynajmniej zdajesz solne sprawę, e po prostu robi mi się niedobrze, ile razy ktoś mówi o mnie „Jankeska”? Jakbym była biologicznie obcym gatunkiem lub przera ającą, śmiertelną zarazą. Polowa przychodzących tu klientów mierzy mnie od stóp do głów, uznając prawdopodobnie, e przy-leciałam z innej planety i bynajmniej nie w pokojowych zamiarach. A potem, na Boga, muszę odpowiedzieć na rozmaite pytania w rodzaju: dlaczego się tu przeniosłam i z kim jestem spowinowacona. Dopiero później mo emy przejść do konkretów. Przecie , do cholery, przyjechałam zaledwie z Michigan, nie z Księ yca, a pieprzona wojna secesyjna skończyła się ju dawno temu.

Tak jest. Kolor leśnych dzwonków.

—

To nie była adna wojna secesyjna, tylko walka na śmierć i ycie pomiędzy Mason-Dixie a jakimiś cholernymi zjednoczonymi stanami, skarbie. I widzę, e jeśli cię dobrze wkurzyć, to potrafisz się w końcu wyluzować.

—

Nie mów do mnie „skarbie" i to jeszcze w tym nosowym narzeczu!

—

Wiesz co, Rudzielcu? O wiele bardziej mi się podobasz, kiedy się wściekasz.

—

Och, zamknij się. Wracajmy do płyt. Do prywatnego u ytku czy do wykonania zlecenia?

—

Có , to zale y od punktu widzenia. - Poniewa biurko było teraz właściwie puste, swobodnie przysiadł na brzegu. - Są przeznaczone dla znajomej.

Wykładam nimi ście kę w jej ogrodzie - w moim prywatnym czasie, nie li-cząc kosztów robocizny. Powiedziałem, e kupię materiał w firmie i tylko za to przedstawię jej rachunek.

—

W takim razie uznamy, e to płyty do twojego u ytku osobistego, i za-stosujemy zni kę dla

pracowników. - Zaczęła uderzać w klawisze. - Ile wzią-

łeś tych płyt?

—

Dwadzieścia dwie.

Wstukala w komputer jednostkową cenę za płytę, przed i po upuście. Choć Logan nigdy by tego nie przyznał, był pod wraeniem jej zmysłu organizacyjnego.

—

Uwięziłaś tam jakiegoś geniusza matematycznego? - spytał, wskazując na monitor.

—

To jedynie cuda techniki dwudziestego pierwszego wieku. Są efektywniejsze niż liczenie na palcach.

—

- Nie byłbym taki tego pewien. Moje palce są wyjątkowo zwinne. - Bębniąc wspomnianymi palcami po udzie, uparcie wpatrywał się w twarz Stelli. -

Potrzebne mi te trzy bale sosnowe. ,

—

Dla tej samej znajomej?

—

Nie. - Uśmiechnął się szelmowsko. Je eli uwa ała, e za określeniem

„znajoma" tak naprawdę kryje się kochanka, to ju jej sprawa - nie zamierzał

wyjaśniać, e chodzi o panią Kingsley, jego wiekową nauczycielkę jeszcze ze szkoły podstawowej. - Sosny są dla klienta. Niejakiego Rolanda Guppy'ego.

Zapewne masz jego dane gdzieś w swojej tajemniczej, przepastnej kartotece, bo pracowaliśmy u niego zaledwie ubiegłej jesieni.

Na stoliku przystawionym do ściany stał ekspres do kawy. Logan chwycił

pili wszy lepszy kubek i napełnił go bez pytania.

Czuj się jak w domu - rzuciła sarkastycznie Stella. Dzięki. A wracając do sprawy, zaproponowałem bale sosnowe do budowy ekranu osłaniającego od wiatru. Potrzeba mu było a tyle czasu, by

zdecydować e chciałby mieć taką ochronę. Zadzwoił do mnie wczoraj do domu. Powiedziałem, e dziś wezmę materiał i wykonam pracę. Do tego zlecenia potrzebujemy innego formularza.

Po kosztował kawę. Nie najgorsza.

Jakimś cudem mnie to nie dziwi.

Czyli do u ytku osobistego bierzesz jedynie płyty?

Dziś tak.

Uderzyła w klawisz „drukuj”, po czym zabrała się do następnego dokumentu.

A więc trzy sosnowe bale. Jakiej wielkości?

Widziałem tu całkiem ładne dwuipółmetrowe.

Okorowane?

Tak.

Puk, puk, puk w klawiaturę i ju gotowe, zauwa ył ze zdumieniem. Przy okazji te dostrzegł, e Stella ma bardzo ładne palce. Długie, wysmukłe, /, migdałowatymi paznokciami, powleczonymi jasnoró owym lakierem, przywodziły na myśl podstawę ró anego płotka.

Czy coś jeszcze?

Zaczął przeszukiwać kieszenie, by w końcu wyciągnąć świstek papieru.

Na tyle wyceniłem robociznę u Guppy'ego.

Dodała zapisaną przez niego wartość do ceny materiału, podsumowała wszystko razem i wydrukowała dokument w trzech kopiach, podczas gdy on powoli sączył kawę.

—

Podpisz lub parafuj - zarządziła. - Jeden egzemplarz jest dla mnie, drugi dla ciebie, trzeci dla klienta.

—

Pojąłem.

Powstrzymała go ruchem dłoni, kiedy podniósł długopis.

—

Hej, poczekaj. Muszę iść po ten nó . Którą yłę postanowiłeś otworzyć?

—

Urocze. - Skinął głową w stronę drzwi. - Podobnie jak twoja nowa siła robocza.

—

Masz na myśli Hayley? Tak, jest przemiła. Lecz du o za młoda dla ciebie.

—

Nie powiedziałbym. Choć przyznaję, e wolę kobiety trochę bardziej... -

Urwał i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Myślę, e na tym poprzestane, by pozostać przy yciu.

—

Bardzo roztropnie.

—

Jak tam wiedzie się twoim synom w szkole? Dzieciaki dają im wycisk?

—

Słucham?

—

Pamiętam, co powiedziałaś przed chwilą o Jankesach.

—

- Ach, tak. Czasami nie jest im lekko. Ale nowych kolegów raczej fascynuje fakt, że Gavin i Luke mieszkali na Północy i to w pobliżu jednego z Wielkich Jezior. Nauczycielki obu chłopców już na pierwszej lekcji wyciągnęły mapy, by wszystkim pokazać miasto, z którego pochodzą. - Twarz jej złagodniała, gdy opowiadała o synach. - Miło, e pytasz.

-
Polubiłem twoje dzieci.

Podpisał szybko formularze, a potem o mało nie wybuchnął śmiechem, gdy Stella jęknęła - autentycznie jęknęła! - widząc, jak zgniół swoją kopię i wsunął

niedbale do kieszeni.

-
Czy następnym razem mógłbyś to zrobić dopiero po wyjściu z biura? Bo naprawdę ten widok rozdziera mi serce.

-
Nie ma sprawy.

Może sprawił to miłszy ton jej głosu, który złagodniał tu po tym, jak zapytał

o chłopców, a może jej uroczy uśmiech. W każdym razie dopiero jakiś czas później Logan zaczął się zastanawiać, co go opętało, gdy zapytał:

-
Byłaś już w Graceland?

-
Nie. Prawdę mówiąc, nie przepadam za Elvisem.

-
Szz! - Zerknął konspiracyjnie w stronę drzwi. - W tych okolicach wygłaszanie podobnych opinii jest prawnie zabronione. Grozi ci za to kara więzienia, a nawet - jeśli tak zechce wielka ława przysięgłych - publiczna chłosta.

-
Niczego podobnego nie pisali w przewodniku po Memphis.

To akurat umieszczono na dole, małym drukiem. W takim razie muszę cię tam zabrać. Kiedy masz najbliższy wolny dzień?

—

Ja... To zależy. Chcesz mnie zabrać do Graceland?

—

Póki tam nie pojedziesz, nie będziesz mogła na dobre się tu zadomowić.

Wybierz dzień. Ja się dostosuję.

—

Wybacz, ale nie do końca pojęłam miejscowe zwyczaje. Czy zapraszasz mnie na randkę?

—

W adnym razie. Traktuję to jako wycieczkę integracyjną dwojga ludzi skazanych na współpracę. - Odstawił pusty kubek na biurko. - Zastanów się i daj mi znać.

Miała zbyt wiele na głowie, eby się nad tym zastanawiać. No i nie mogła przecie tak, ot, wyskoczyć sobie do Graceland. A nawet gdyby mogła, i gdyby ogarnęła ją jakaś niewytłumaczalna ochota odwiedzenia tego miejsca, i tak nie zrobiłaby tego w towarzystwie Logana.

Fakt, e podziwiała jego zdolności i - no, dobrze - muskulaturę, nie znaczył

jeszcze, e ma go lubić. I spędzać w jego towarzystwie jak e cenny wolny czas.

Jednocześnie wciąż się zastanawiała, czemu właściwie zaprosił ją na tę wycieczkę. Mo e krył się za tym jakiś podstęp - dziwaczna inicjacja dla Jankeski. Zabiera się taką do Graceland, a potem pozostawia samą, zagubioną w gąszczu pamiątek po Elvisie, by sprawdzić, czy odnajdzie drogę do domu.

A mo e, na swój pokrętny sposób, Logan doszedł do wniosku, e podrywając ją, łatwiej wywinie się od stosowania nowego systemu, ni z nią walcząc.

Tyle e, prawdę mówiąc, on jej wcale nie podrywał, jego propozycja sprawiała wrażenie przyjaznego, spontanicznego gestu. A na dodatek zapytał u chłopców. Niczym innym nie mógłby tak jej rozbroić, jak okazując szczerze zainteresowanie dziećmi.

Ale skoro starał się być przyjacielski, grzeczność nakazywała, by odpłacić mu tym samym.

Swoją drogą ciekawe, w co nale y się ubrać na wycieczkę do Graceland.

Nie, eby zdecydowała się na tę wyprawę. Najprawdopodobniej tam nie pojedzie. Tyle e inteligentni

ludzie są zawsze przygotowani na ró ne sytuacje.

Tak na wszelki wypadek.

Stella poruszyła tę kwestię, gdy w szklarni numer trzy uczyła Hayley, jak umiejętnie podlewać młode pędy roślin jednorocznych.

—

Czy kiedykolwiek byłaś w Graceland? - spytała.

—

Jasne. To niecierpki, prawda? Stella zerknęła na płaską skrzynkę.

—

Owszem. Odmiana „Busy Lizzies”. Świetnie się zapowiadają.

—

A to te niecierpki, tylko odmiana „New Guinea”?

—

- Tak jest. Muszę przyznać, e rzeczywiście szybko się uczysz.

—

Niecierpki rozpoznaję z łatwością, bo swego czasu sadziłam je w naszym ogródku. A wracając do tematu, pojechałam do Graceland z paczką przyjaciół, gdy jeszcze studiowałam w college'u. Było super. Kupiłam sobie nawet zakładkę do książki z wizerunkiem Elvise - ciekawe, co z nią zrobi-

łam? Czy wiesz, e Elvis to jedna z postaci imienia Elvin, oznaczającego

„przyjaciela elfów”. Dziwne, no nie?

—

Mnie wydaje się dziwniejsze, e^) tym wiesz.

—

To jedna z tych informacji, które gdzieś, kiedyś wpadają ci w ucho i zapamiętujesz je na całe ycie.

—

No dobrze. Jak tam nale y się ubrać?

—
Słucham? - Hayley próbowała zidentyfikować sadzonki w kolejnej skrzynce i uwa nie wpatrywała się w świe o rozwinięte listki, starając się przy tym nie podejrzeć nazwy wypisanej na wetkniętym w ziemię patyczku. - Bo ja wiem?

Ludzie wkładają, co chcą. D insy i tym podobne.

—
A więc strój niezobowiązujący.

—
Właśnie. Szalenie lubię zapach szklarni: zapach wilgotnej ziemi.

—
W takim razie idealnie pokierowałaś swoją karierą.

—
To rzeczywiście mo e być wybór na całe ycie, prawda? - Spojrzała na Stellę swoimi intensywnie niebieskimi oczami. - Gdybym się pilnie uczyła, mogłabym stać się naprawdę dobra. Zawsze wierzyłam, e pewnego dnia zacznę prowadzić własny interes. Sądziłam, e będzie to księgarnia, ale przecie ta praca jest bardzo podobna do pracy z ksią kami.

—
Jak to?

—
- No, có . Tutaj te macie nowości i klasykę. Operujecie kategorią gatunku.

Są rośliny jednoroczne, dwuletnie i wieloletnie. Krzewy, drzewa i rozmaite trawy. Rośliny wodne i ceniolubne. Wszystko skatalogowane i zaszerego-wane.

—
Wiesz, chyba masz rację. Choć nigdy przedtem nie myślałam o tym w podobny sposób.

Zachęcona słowami Stelli, Hayley ruszyła przejściem pomiędzy długimi stołami.

—
Uczysz się i studiujesz, tak samo jak w wypadku ksią ek. Poza tym my -

mam na myśli pracowników - staramy się wskazać ludziom, co będzie dla nich najodpowiedniejsze, co ich uszczęśliwi, a przynajmniej przyniesie im satysfakcję. Sadzenie kwiatów to jak otwieranie nieznannej książki, ponieważ w jednej i drugiej sytuacji rozpoczyna się coś nowego. A ogród jest całą biblioteką. Dlatego wiem, że mogłabym się temu poświęcić całym sercem.

—

Ani przez chwilę w to nie wątpię. - Stella uśmiechnęła się ciepło do dziewczyny.

—

A kiedy tak się stanie, nie będzie to już tylko zwykła praca zapewniająca cotygodniową wypłatę. Pieniądze są oczywiście ważne, ale po pewnym czasie już nie o nie chodzi, a w każdym razie nie przede wszystkim.

—

Tak. Doskonale wiem, co masz na myśli. Chodzi ci o to, co udało się osiągnąć Roz. Własnego miejsca w życiu i satysfakcji z pracy. Chcesz zapuścić korzenie - powiedziała Stella, wzdając delikatnie palcem po listkach sadzonki.

—

A potem rozkwitnąć. Świetnie cię rozumiem, bo pragnę tego samego.

—

Ale ty już to osiągnęłaś. Jesteś przecież taka mądra, masz jasno określony cel w życiu. No a do tego dwóch świetnych chłopaków i... doskonałą posadę.

Ja natomiast dopiero zaczynam.

—

I ogarnia cię zniecierpliwienie. Byłam taka sama w twoim wieku.

—

Wybacz, przez moment zapomniałam, jak bardzo już jesteś stara i zniedołała.

Stella parsknęła śmiechem i odgarnęła włosy z twarzy.

—

Starsza od ciebie o dziesięć lat. Mnóstwo może się wydarzyć w takim czasie i wiele zmienić - łącznie z tobą samą. Poza tym, w pewnym sensie ja również zaczynam, i to o całą dekadę później od ciebie. Przeflancowałam na nową grządkę siebie i moje dwie cenne roślinki.

—
Czy niekiedy ogarnia cię strach?

—
Chyba ka dego dnia. - Stella poło yła dłoń na brzuchu Hayley. - Strach jest ściśle związany z dobrodziejstwem tego inwentarza.

—
Dobrze mi robią rozmowy z tobą. To znaczy ty, oczywiście, byłaś mę atką, ale teraz... No có ... i ty, i Roz musiałyście i musicie zmagać się z samotnym macierzyństwem. Wiele wiecie na ten temat. Dobrze mieć obok siebie kobiety, które mogą się podzielić własnym doświadczeniem.

Kiedy ju wszystkie rośliny dostały odpowiednią porcję wody, Hayley za-kręciła kran.

—
No więc jak? Jedziesz do Graceland?

—
Jeszcze nie wiem. Ale mo e się wybiorę.

Wyznaczywszy podwładnym zadania na posesji Guppy'ego, Logan zabrał się do pracy w ogrodzie dawnej nauczycielki. Uło enie alejki nie zajmie mu du o czasu, zdą y więc jeszcze wrócić do Sama i Dicka. Lubił pracować w kilku miejscach naraz. Tak było ciekawiej.

Monotonna praca nad jednym projektem nie pozostawiała czasu na zastanowienie czy nagłą inspirację. A Logan uwielbiał owo kliknięcie w głowie, gdy nagle jawiła mu się wizja tego, co mo e stworzyć własnymi rękami.

Od wczesnych lat nauczył się szanować ziemię i kaprysy natury, chocia raczej z punktu widzenia rolnika. Kiedy dorasta się na małej farmie, gdy się aa niej pracuje, rozumie się wymagania i mo liwości gleby. I wie, jak wykorzystać jej walory.

Jego ojciec równie kochał ziemię, ale w inny sposób. Dostarczała środków do ycia całej rodzinie, wymagała cię kiej pracy, a w końcu zapewniła im drobną fortunę, gdy ojciec zdecydował się ją sprzedać.

Logan nie był sentymentalnie przywiązany do rodzinnej farmy. I nie chciał, eby jego ycie sprowadziło się do uprawy rosnących na równych polach zbó i zamartwiania o ceny skupu. Niemniej pragnął nadal pracować w ziemi.

Brakowało mu tej szczególnej magii, gdy wyjechał na Północ. Zbyt wiele budynków, betonu i ograniczeń. Nie mógł się przyzwyczaić do tamtego klimatu i kultury, tak jak Rea nie mogła się

zaaklimatyzować do ycia na Południu.

I ich związek się rozpadł. Bez względu na to, jak bardzo się starali, uczucie umierało.

Więc powrócił w rodzinne strony i w końcu - kiedy przyjął propozycję Roz -

na nowo odnalazł się w yciu i to pod ka dym względem: osobistym, zawodowym, twórczym. Był wreszcie zadowolony.

Chwycił szpadel i energicznie wbił ostrze w ziemię.

Co te właściwie mu odbiło, eby zapraszać na wycieczkę tę kobietę?!

Mógł sobie to nazywać jakkolwiek chciał, ale fakt pozostawał faktem: gdy facet zabierał dokądś dziewczynę, to była cholerna randka. Koniec, kropka.

A tymczasem on nie miał zamiaru spotykać się z pedantyczną Stellą Rothchild. Ona nawet nie jest w jego typie.

No, dobra. Jasne, e jest - zdecydował, ubijając i wyrównując ziemię, by położyć pod płytami czarną folię. Prawdę mówiąc, jeszcze nie spotkał kobiety, która nie byłaby w jego typie.

Po prostu podobały mu się wszystkie. Młode i stare, naiwne prowincjuszki i wielkomięjskie profesjonalistki. Wyrafinowane intelektualistki i słodkie idiotki

- jednym słowem kobiety go pociągały.

Przecie oenił się z jedną z nich, czy nie? I choć ów związek okazał się pomyłką, nie należało z tego wyciągać zbyt pochopnych wniosków - ostatecznie wszyscy ludzie kiedyś popełniają błędy.

Choć nigdy dotąd nie pociągały go chorobliwie pedantyczne kobiety, zawsze jednak musi być pierwszy raz. A Logan lubił pierwsze razy. Dopiero drugie czy trzecie mogły zniechęcić męczyznę.

Tyle e Stella w zasadzie go nie pociągała.

No, dobrze. Niech to szlag! Pociągała go. Odrobinę. Ostatecznie była ładną kobietą o ponętnych kształtach. I zachwycających włosach. Chętnie wsunąłby w nie palce, tylko po to, by się przekonać, czy w dotyku są równie seksowne, jak w wyglądzie.

Co absolutnie nie oznaczało, e miałyby ochotę umawiać się ze Stellą na randki. Ju sama praca z nią była dostatecznie męcząca. Ta kobieta musiała wszystko szufladkować, wtlaczać w ramy jakiegoś cholernego systemu.

Prawdopodobnie to samo robiła w łóku. Miała całą listę nakazów i zakazów układających się w ściśle określony „modus operandi”.

Brakowało jej spontaniczności, odstępstwa od idiotycznych reguł. On jednak nie zamierzał być

człowiekiem, który wprowadzi więcej luzu w jej życie.

Rzecz w tym, że tego ranka wyglądała tak ładnie, a jej włosy pachniały wprost zniewalająco. Plus - miała na ustach ten leciutki, seksowny uśmiech.

Dlatego zanim się zorientował, co robi, już ją zaprosił na wycieczkę do Graceland.

Ale nie ma się czym przejmować, zapewnił sam siebie w duchu. Stella i tak się nie wybierze. To nie w jej stylu.

Wkrótce oboje zapomną, że coś podobnego w ogóle przyszło mu do głowy.

Stella uważa, że przynajmniej przez pierwsze pół roku powinna składać cotygodniowe sprawozdania z postępów prac. Wołałaby, żeby te spotkania odbywały się w określonym czasie i miejscu, ale jej pracodawczynię trudno było do tego nakłonić.

Zdarzało się więc, że Roz wysłuchiwała raportów w cieplarni albo na polu.

Tym razem jednak udało się Stelli przyłapać szefową w jej prywatnym saloniku, skąd nie bardzo mogła uciec.

—

Chciałam ci przedstawić cotygodniowe sprawozdanie.

—

Uch... cóż, no, dobrze. - Roz odłożyła na bok książkę o hybrydyzacji, grubą jak cegła, po czym zdjęła wąskie okulary do czytania. - Czas zaczyna nas gonić. Gleba staje się coraz cieplejsza.

—

Wiem. Lada chwila pojawią się onkile. Nie mogę uwierzyć, że tak wcześnie. W tej chwili cebulki kwiatowe idą jak ciepłe bułeczki. Na Północy sprzedawano je późnym latem lub wczesną wiosną.

—

Tęsknisz za dawnym życiem?

—

Niekiedy, ale z każdym dniem coraz mniej. Nie ażuję, że nie mieszkam w Michigan teraz, w połowie lutego. Wczoraj spadło tam dwadzieścia centymetrów śniegu, a tymczasem tutaj mogę oglądać kielkujące kwiaty.

Roz rozsiadła się wygodnie na krześle i skrzyżowała nogi w kostkach.

—
Coś cię gnębi? - spytała Stellę.

—
O, rany. Właśnie rozwiałaś moje iluzje, e potrafię doskonale ukrywać emocje. Nie, nic mnie nie gnębi. Po prostu z poczucia obowiązku zadzwoni-

łam do matki i wciąż jeszcze dochodzę do siebie po naszej rozmowie.

—
Aha.

Reakcja Roz była tak neutralna, e Stella nie wiedziała, czy powinna zinterpretować ją jako całkowity brak zainteresowania czy te raczej subtelną zachętę do zwierzeń. Poniewa wciąż jeszcze wszystko się w niej gotowało, postanowiła wyrzucić z siebie gniew.

—
Przez piętnaście minut, które łaskawie zgodziła się wykroić dla mnie ze swojego napiętego planu dnia, musiałam wysłuchiwać skarg na temat jej obecnego „chłopaka” - bo tak nazywa męczyzn, z którymi się spotyka, choć skończyła ju pięćdziesiąt osiem lat, a dwa miesiące temu rozwiodła się po raz trzeci. A kiedy nie narzekała, e Rocky (spytałam - on naprawdę ma na imię Rocky) nie jest dość czuły i na dodatek nie chce jej zabrać na zimowe wakacje na Bahamy, rozwiodła się na temat głębokiego peelingu i cierpień, jakich doświadczyła podczas wstrzykiwania botoksu. Ani słowem nie spytała o chłopców ani o moją pracę, chciała natomiast wiedzieć, czy nie mam ju dość tego palanta i jego kochanicy - tak bowiem zawsze określa ojca i Jolene.

—
Stella przetarła twarz dłońmi. - A niech to szlag! - zaklęła pod nosem.

—
Mnóstwo wyrzekań, lamentów i sączenia jadu, jak na krótkie piętnaście minut. Twoja matka musi być niezwykle utalentowaną kobietą.

Stella oderwała ręce od twarzy i niemal przez minutę wpatrywała się w Roz.

A potem zanosła się śmiechem.

—
O, tak. To prawda. Nie brakuje jej talentu. Dzięki.

—
Nie ma za co. Moja mama przez większość czasu na tym świecie -a w ka dym razie czasu, który dane było nam spędzić razem - wzdychała tęsknie za utraconym zdrowiem. „Nie, ebym się u alała”, zwykła przy tym powtarzać. Niewiele brakowało, a umieściłabym te słowa na jej nagrobku.

—
Ja zaś w przyszłości powinnam umieścić na nagrobku mojej matki zdanie:

„Przecie nie ądam wiele”.

—
No proszę. Moja wywarła na mnie tak piorunujące wra enie, e stałam się jej zupełną odwrotnością. Prawdopodobnie mogłabym odciąć sobie rękę lub nogę, nie wydając przy tym ani jednego jęku.

—
Rany, mam wra enie, e moja reakcja na matkę była analogiczna. Muszę się nad tym powa nie zastanowić. Ale przejdźmy wreszcie do rzeczy.

Sprzedaliśmy ju wszystkie doniczki z flancami kwiatów cebulkowych, pobudzonych do wcześniejszego kwitnienia. Nie wiem, czy chciałabyś, ebyśmy przygotowali ich więcej, skoro sezon na nie właściwie ju się kończy.

—
Myślę, e tak. Niektórzy lubią obdarowywać nimi znajomych i krewnych na Wielkanoc.

—
W porządku. Mo e w takim razie poka ę Hayley, jak je przygotowywać?

Wiem, e zazwyczaj robisz to osobiście, ale...

—
Nie. To dobre zajęcie dla Hayley. Obserwuję ją ju od dłu szego czasu.

—
Roz spojrziała na minę Stelli i uśmiechnęła się lekko. - Staram się, by pracownicy nie zauwa ali, e mam na nich oko, ale zazwyczaj pilnie się wszystkim przyglądam. Doskonale wiem, co się dzieje w mojej firmie, Stello, choć niekiedy, z przyczyn oczywistych, umykają mi pewne szczegóły.

—

A ja jestem od tego, by dopilnować właśnie tych szczegółów.

—

Owszem. Jeśli ju o Hayley mowa, czy uwa asz, e nam się przyda?

—

Jest naprawdę świetna. Niczego nie trzeba jej powtarzać, a kiedy mówiła, e szybko się uczy, ani trochę nie przesadzała. Ta dziewczyna jest wprost głodna wiedzy.

—

Tutaj niewątpliwie zdoła zaspokoić swój głód.

—

Ma te doskonałe podejście do klientów: jest yczliwa i miła, nigdy nie traci cierpliwości. Nie brak jej te asertywności - śmiało przyznaje, e czegoś nie wie, ale zapewnia, e zaraz się dowie - i to robi. Teraz właśnie urzęduje w twoim ogrodzie, przyglądając się pilnie rabatom i krzewom. Chce wiedzieć jak najwięcej o tym, co sprzedaje. - Mówiąc to, Stella podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Powoli zapadał zmierzch, Hayley jednak wciąż spacerowała z psem i bacznie studiowała rośliny wieloletnie. - Gdy byłam w jej wieku, planowałam swój ślub. Wydaje mi się, e od tamtej pory upłynęło kilka lat świetlnych.

—

Ja w jej wieku wychowywałam dwójkę maluchów i chodziłam w cią y z Masonem. To dopiero było eony lat temu! A jednocześnie jakby zaledwie wczoraj.

—

Roz, wiem, e znowu zbaczam z tematu, ale co zrobimy, gdy nadejdzie maj?

—

To dla nas wciąż jeszcze bardzo gorący okres. Klienci chcą dosadzać nowe rośliny na lato, więc sprzedajemy...

—

Nie. Miałam na myśli Hayley i jej dziecko.

—

Có , przede wszystkim to ona sama będzie musiała zdecydować. Jeśli jednak zechce pozostać tutaj, znajdziemy dla niej jakąś siedzącą pracę.

—
Będzie potrzebowała opiekunki do dziecka, gdy powróci do pracy. A jeśli ju mówimy o opiece...

—
Hm.. Chyba nie musimy wybiegać a tak daleko w przyszłość.

—
Czas szybko biegnie - upierała się Stella.

—
Coś wymyślimy. - Roz podniosła się z krzesła i równie podeszła do okna, po czym ponad ramieniem Stelli wyjrzała na zewnątrz.

—
To piękny widok, pomyślała. Młoda kobieta, nosząca w sobie obietnicę ycia, spacerująca po zimowym ogrodzie.

—
Kiedyś ona była taką kobietą - snuła marzenia o zmierzchu i wyczekiwała niecierpliwie wiosny, by wydać na świat pierwsze dziecko.

—
Teraz wydaje się szczęśliwa i pewna swoich decyzji. Niewykluczone jednak, e po porodzie zmieni zdanie i postanowi nawiązać kontakt z ojcem dziecka.

—
- Roz pilnie przyglądała się Hayley, która swoim zwyczajem przycisnęła dłoń do brzucha, po czym spojrzała na słońce, które zniknęło za linią zagajnika, opadając ku rzece. - Kiedy trzyma się noworodka w ramionach i nagle uświadamia sobie, e cała odpowiedzialność spoczywa tylko na tobie, rzeczywistość mo e stać się bolesna. Zobaczymy, co ostatecznie postanowi Hayley, gdy przyjdzie na nią czas.

—
Masz rację. Poza tym adna z nas nie zna jej na tyle dobrze, by wiedzieć, co dla niej najlepsze. A gdy ju wspominałyśmy o dzieciach - nadszedł czas, bym wrzuciła chłopców do wanny. Zostawiam ci więc cotygodniowe zestawienia.

—
Dobrze. Obiecuję, e się nimi zajmę. Chciałam ci te powiedzieć, Stello, e podobają mi się twoje pomysły. Zarówno te widoczne na pierwszy rzut oka -

—
jak restrukturyzacja punktu sprzeda y detalicznej i zmiana ekspozycji, jak i te, które nie są tak spektakularne, ale mo e nawet wa niejsze - a mianowicie uporządkowanie dokumentów. Nadchodzi

wiosna, a ja pierwszy raz od wielu lat nie jestem przepracowana i zestresowana.

—

Mimo e wciąż zawracam ci głowę jakimiś drobiazgami?

—

Owszem. A tak przy okazji - od kilku dni nie słyszałam adnej skargi n.i Logana. Ani vice versa. Czy bym była w błogiej nieświadomości, czy mo e oboje zdołaliście jakoś złapać wspólny rytm?

—

Wciąż jeszcze zdarzają nam się drobne nieporozumienia i prawdopodobnie nie unikniemy ich w przyszłości, ale w tej chwili nie masz powodów do niepokoju. Prawdę mówiąc, Logan - w ramach poprawy relacji zawodowych

- zaproponował mi wycieczkę do Graceland.

—

Doprawdy? - Roz uniosła w zdziwieniu brwi. - Logan?

—

Czy to coś niezwykłego w jego przypadku?

—

Nie mam pojęcia. Wiem natomiast, e do tej pory nigdy nie umawiał się na randki z kobietami, z którymi łączyły go relacje zawodowe.

—

To nie ma być randka, tylko wycieczka.

Zaintrygowana Roz a wyprostowała się na krześle. Nigdy nie wiadomo, czego mo na się dowiedzieć od młodszego pokolenia, zauwa była w duchu.

—

A co to za ró nica?

—

Randka to kolacja, która mo e się rozwinąć w coś więcej - na przykład w gorący romans. Wyprawa z dziećmi do zoo to wycieczka.

Roz znowu opadła na oparcie i wyciągnęła przed siebie nogi.

—

Pewne pojęcia ulegają przewartościowaniu - stwierdziła filozoficznie. -

Niemniej nadal jestem przekonana, że jeśli męczyzna zaprasza gdzieś kobietę, to jest randka.

—

Na tym polega i mój problem. - Ponieważ Roz wyraźnie miała ochotę na dalszą rozmowę, Stella przysiadła naprzeciwko niej na krześle. - Ja też tak pomyślałam w pierwszym odruchu. Ale przyznaję, że to zaproszenie sprawiało wrażenie przyjacielskiego gestu i to Logan określił swoją propozycję jako „wycieczkę”. Odniosłam wrażenie, że to swoista gałązka oliwna. Jeśli ją przyjmę, może wreszcie uda nam się osiągnąć porozumienie i doprowadzić do harmonijnej współpracy.

—

O ile więc dobrze zrozumiałam, jeżeli wybierzesz się z Loganem do Graceland, to wyłącznie dla dobra „Edenu”.

—

Poniekąd.

—

A nie dlatego, że Logan jest atrakcyjnym, seksownym, dynamicznym mężczyzną?

—

Nie. To jedynie dodatkowy plus. - Poczekała, a Roz przestanie się śmiać. -

Nie zamierzam się zapuszczać na tak niebezpieczne tereny. Chodzenie na randki przypomina spacer po polu minowym.

—

Mnie nie musisz tego mówić. Ostatecznie spędziłam kilka lat więcej w tej strefie nieustannej wojny.

—

- Lubię mężczyzn - wyznała Stella, przesuwając w jej gumkę ściągającą jej włosy w koński ogon. - Lubię ich towarzystwo. Ale zaangażowanie emocjonalne jest zbyt stresujące i powoli komplikuje życie.

—

Lepiej, eby ycie było skomplikowane ni przeraźliwie nudne - zauwa yła Roz.

—

Tak czy inaczej, określenie „wycieczka” o wiele bardziej przypada mi do gustu ni „randka”. Słuchaj, wiem, e Logan jest twoim przyjacielem. Powiedz mi więc, czy jeśli wybiorę się z nim do Graceland, popełnię wielki błąd lub wyślę niewłaściwe sygnały? Albo przekroczę granicę, której nigdy nie powinni przekraczać ludzie pracujący ze sobą na co dzień? A mo e...

—

Wyjątkowo się przejmujesz, jak na nic nieznaczący wypad do miasta.

—

To prawda. Sama jestem na siebie wściekła. - Stella z irytacją potrząsnęła głową. - Chyba czas, ebym zagoniła chłopców do kąpieli.

—

Doskonale. I, Stello?... Czy zamierzasz wybrać się na tę wycieczkę?

—

Jeszcze nie wiem. Muszę się z tym przespać.

Śniły jej się kwiaty. A właściwie czarowny ogród, właśnie budzący się do życia

- idealny, doskonale zaprojektowany, o perfekcyjnych w kształcie rabatach wyraźnie odcinających się od starannie przyciętych trawników.

Kolory przenikały się i uzupełniały nawzajem - róże przechodziły w biele, ołtości w srebrzyste zielenie; subtelne, eleganckie pastele kapały się w słonecznym blasku.

Unoszące się wokół aromaty miały kojącą moc, a jednocześnie przyciągały chmary motyli oraz połyskujące tęczo kolibry. Ani żdźbło zielska nie kalało tego ogrodu, wszystkie kwiaty rozwijały płatki, dziesiątki pąków zaczynało się rozchyłać.

To ona, Stella, go zaprojektowała, więc teraz z dumą i satysfakcją przechadzała się pośród rabat. Sama spulchniła i uźniła glebę, a potem własnymi rękami posadziła każdą roślinę na jej obecnym miejscu.

Wiele lat zajęło jej zaplanowanie i stworzenie tego ogrodu. I wiele znoej pracy. Teraz jednak mogła cieszyć się efektami swych wysiłków.

A nagle, na jej oczach, z ziemi zaczęła wyrastać łodyga - jaskrawozielona, ostra w rysunku - burząca nieskazitelną symetrię układu. Tu nie jest jej miejsce, pomyślała Stella bardziej zirytowana niż zdumiona widokiem rośliny strzelającej w górę, rozrastającej się i rozwijającej liście.

Dalia?! Ale ona nie posadziła tu żadnych dali. Dalia - zgodne trio róży owej barwy - znajdowały się z tyłu rabaty.

Zdumiona, przyglądała się, jak łodygi gwałtownie grubieją, a na ich szczytach formują się zdrowe, wielkie pąki. Jakie to fascynujące. Fascynujące i nieoczekiwane.

Już zaczynała się uśmiechać, gdy nagle w jej głowie rozległ się gniewny szept.

Trzeba ją usunąć. Zacznie się rozrastać i zdusi wszystko wokół.

Stella zadrżała. Nagle ogarnął ją chłód, poczuła jakieś wilgotne zimno, a na niebie, nad jej czarownym ogrodem, pojawiły się ciemne chmury pełzające powoli w stronę słońca.

Poczuła strach.

Nie pozwól, by się rozrosła. Zniszczy owoce twojej pracy.

W rzeczy samej. Ten głos niewątpliwie miał rację. Dalia nigdy nie powinna się tu pojawić - rozpycha się wśród pozostałych roślin, burząc całą aranżację.

Stella musi ją wykopać, znaleźć dla niej inne miejsce. Zmienić wszystko w momencie, gdy uznała, że

jej praca dobiegła końca. Coś takiego, pomyślała, patrząc, jak pękają pąki, odsłaniając niemal granatowe płatki - nienaturalnie ciemne, wyzywające.

Ta dalia była przepiękna. Prawdę mówiąc, Stella nigdy nie widziała równie zachwycającego okazu. Taka silna i pełna ycia. Wysoka jak Stella, a jej kwiaty miały wielkość talerzy obiadowych.

Ona cię zwodzi. Zwodzi.

Znowu w jej myśli wdarł się ów gniewny, kobiecy głos. Stella jęknęła i przekręciła się na drugi bok w wychłodzonym łó ku.

Zabij ją! Zabij! I pospiesz się, bo będzie za późno.

Nie. Stella nie mogłaby zniszczyć czegoś tak pięknego, tak pulsującego yciem. Nie mogła jednak zostawić tej rośliny w tym miejscu, gdzie psuła harmonię całego ogrodu.

Tyle cię kiej pracy, przygotowań, starannego planowania - i nagle coś podobnego! Musi szybko przygotować nową rabatę i tam przenieść niezwykłą dalię. Z westchnieniem wyciągnęła dłoń i zaczęła przebierać palcami niebieskie płatki. Czeka ją mnóstwo wysiłku i zachodu, ale...

—

Mamusi...

—

Prawda, e jest piękna? - wymruczała przez sen. -Tak intensywnie niebieska.

—

Mamusi, obudź się.

—

Co? Co takiego? - Stella, wyrwana ze snu, ujrzała Luke'a klęczącego przy łó ku.

Na Boga, w pokoju panowało lodowate zimno.

—

Luke? - Odruchowo nakryła synka kołdrą. - Co się stało, skarbie?

—

Jakoś mi tak dziwnie w brzuszku.

—

Och. - Natychmiast usiadła i przyłożyła dłoń do czoła chłopca. Ciepłe, pomyślała. - Boli cię?

Pokręcił głową, ale zobaczyła w jego oczach łzy. - Tylko jakoś mi w nim dziwnie. Czy mogę dziś spać w twoim łóżku?

—

Oczywiście. - Przygarnęła synka do siebie. - Zwiń się w kłębuszek, kochanie.

Nie mam pojęcia, czemu tu jest tak zimno. Muszę ci zmierzyć temperaturę -
na wszelki wypadek.

Luke opadł na poduszkę, a Stella przycisnęła usta do jego czoła. Zdecydowanie cieplejsze niż normalnie.

Włączyła lampkę i poszła do łazienki po termometr.

—

Otwórz buzię, zobaczymy, czy uda mi się zajrzeć ci do głowy - za artowalą, wkładając mu termometr pod pachę. - Czy było ci już tak dziwnie, gdy kładłeś się do łóżka?

—

Nie, wszystko... - Zesztywniał lekko i jęknął cicho.

Stella natychmiast się zorientowała, że będzie wymiotował. Chwyciła go szybko w ramiona i pobiegła do łazienki. Wpadła tam w ostatniej chwili. Luke zrzucił kolację, a ona głaskała go i szeptała kojące słowa.

W końcu odwrócił ku niej buzię.

—

Młotowałem – oznajmił z powagą.

—

Wiem, kochanie. Bardzo mi przykro. Ale już za chwilę poczujesz się dużo lepiej.

Dała Luke'owi odrobinę wody do picia, wilgotnym ręcznikiem otarła mu i włosy i zaniósła go do łóżka. Dziwnie, pomyślała. Temperatura w pokoju wydawała się normalna.

—

Już nie jest mi tak dziwnie w brzuszku.

—
To świetnie. - Stella spojrzała na termometr: trzydzieści siedem stopni - nie jest tak źle. Podniosła się i przysunęła do łóżka pojemnik na śmieci. -Czy na pewno nic cię nie boli?

—
Nie. I ju nie chce mi się miotować. Ale mam niedobry smak w buzi. I rusza mi się drugi ząb. Jeśli znowu będę chorować, to jeszcze go zgubię i nie będę mógł położyć pod poduszką.

—
Nie martw się. Na pewno go nie zgubisz. Le spokojnie, a ja pójdę na dół i przyniosę ci trochę napoju imbirowego. Zajmie mi to tylko chwilkę. Dobrze?

—
Dobrze.

—
Jeśli znowu zrobi ci się niedobrze, spróbuj skorzystać z tego. - Podsunęła pojemnik na śmieci bliżej łóżka. - Ja zaraz wracam.

Zbiegła po schodach tylko w samej koszuli nocnej. Jedną z nielicznych niedogodności mieszkania w wielkim domu były wielkie odległości dzielące kuchnię od sypialni.

Musi zainstalować w swoim pokoju małą lodówkę, tak samą, jaką miała w akademiku.

Stan podgorączkowy, myślała, wpadając do kuchni. Jutro prawdopodobnie wszystko będzie w porządku. Jeśli nie, ściągnie lekarza.

Znalazła napój imbirowy, wsypała lód do wysokiej szklanki, chwyciła butelkę z wodą mineralną i wróciła na górę.

—
Dostanę napoju imbirowego. - Usłyszała głos Luke'a, kiedy szła holem do sypialni. - Bo chorowałem. Teraz ju czuję się lepiej, ale mama i tak pozwoli mi się napić. Ty te mo esz trochę dostać, jeśli chcesz.

—
Dziękuję, skarbie, ale...

Stella wpadła do pokoju. Luke siedział oparty o poduszki, odwrócony plecami do drzwi. W pokoju znowu panował przeraźliwy chłód - Stella ze zdumieniem zobaczyła mgiełkę własnego oddechu.

—
Poszła sobie - oznajmił Lukę.

—
Kto sobie poszedł, synku? - spytała, wstrząsana dreszczem.

—
Ta pani. - Zaspiane oczy chłopca rozjaśniły się wyraźnie na widok napoju. -

Siedziała przy mnie, kiedy poszłaś na dół.

—
Jaka pani, Lukę? Pani Roz? Hayley?

—
Nieeee. Ta pani, która przychodzi nam śpiewać. Jest miła. Czy mogę wypić wszystko?

—
Mo esz wypić tylko trochę. - Ręce jej dr ały, gdy napełniała szklankę. -

Gdzie widziałeś tę panią?

—
Tutaj. - Wskazał na skraj łó ka, po czym chwycił szklankę dwoma rączkami i zaczął zachłannie pić. -
Dobre - pochwalił.

—
A czy widywałeś ją ju wcześniej?

—
Mhm. Czasami, jak się budziłem w nocy, siedziała w naszym pokoju. Śpiewa nam piosenkę „fa-la-la”.

„Błękitna lawenda, fa-la-la. Lawenda zielona...”. Stella z przera eniem zdała sobie sprawę, e tę właśnie kołysankę słyszała pierwszej nocy.

—
Czy ta pani... - Nie, nie mo e go przestraszyć. - A jak ona wygląda?

—
Jest ładna i ma jasne włosy. Myślę, że jest aniołem, panią-aniołem.

Pamiętasz tę opowieść o aniele strażniku?

—
Aniele stróżu.

—
Tyle że ona nie ma skrzydeł. Gavin mówi, że ona może być wróżką - taką dobrą czarodziejką jak w „Harrym Potterze”.

Stella poczuła przerażającą suchość w gardle.

—
To Gavin te ją widział?

—
Tak, kiedy przychodziła nam śpiewać. - Luke oddał Stelli szklanekę i potarł

oczy. - Mój brzusek czuje się już lepiej. Czy mimo to mogę spać z tobą w łóżku, mamusiu?

—
Oczywiście.

Zanim położyła się koło niego, zapaliła światło w łazience i przeszła do pokoju chłopców. Gavin spał spokojnym snem i Stella w ostatniej chwili się powstrzymała, by nie chwycić go w ramiona i nie zanieść do swojej sypialni.

Zostawiła drzwi łączące ich pokoje otwarte na oścież i wróciła do łóżka. Zgaszyła lampkę i przytuliła mocno do siebie Luke'a, po czym bezskutecznie czekała na sen.

Następnego ranka Luke był już radosny i pełen energii. W trakcie śniadania z zapałem opowiedział Davidowi, że w nocy zachorował i mama dała mu napoju imbirowego.

Stella zastanawiała się, czy nie zostawić synka w domu, ale w końcu zdecydowała, że Luke może iść do szkoły - stan podgorączkowy ustąpił, a sądząc po apetycie chłopca, po dolegliwościach ołdkowych nie zostało śladu.

—
Jest zdrowy jak ryba - zawyrokował David, gdy chłopcy pobiegli na górę po książkę. - Ty natomiast

wyglądasz jak z krzy a zdjęta. - Nalał Stelli kolejną fili ankę kawy.

—

Miałam okropną noc. I to nie tylko z powodu choroby Luke'a. Jak ju zwymiotował, od razu poczuł się lepiej i zasnął niczym niemowlę. Wcześniej jednak powiedział mi coś takiego, e nie mogłam zasnąć.

David podparł się na łokciach i zwrócił twarz ku Stelli.

—

Mnie mo esz się zwierzyć ze wszystkiego.

—

Powiedział... - Zerknęła przez ramię i nadstawiła ucha, by słyszeć, jak nadejdą chłopcy. - Powiedział, e w nocy przychodzi do ich pokoju pani o jasnych włosach i śpiewa.

—

Ach, tak. - David chwycił zmywak i zaczął wycierać blaty.

—

Nie mów „ach, tak” z takim idiotycznym uśmiezkiem na twarzy.

—

Ej e, to tylko moja rozbawiona mina, nie ma w niej nic idiotycznego.

—

David!

—

Stello, przecie Roi mówiła d O duchu, prawda?

—

Coś wspominała. Problem jednak w tym, e duchy nie istnieją.

—

Sądysz więc, e jakaś blondynka zakrada się co noc do tego domu, po czym wślizguje do pokoju chłopców, by sobie pośpiewać? Takie wyjaśnienie wydaje ci się bardziej prawdopodobne?

—

Nie mam pojęcia, co się dzieje. Sama kiedyś słyszałam dziwny śpiew i poczułam... - Zagniewana, zaczęła kręcić paskiem od zegarka. - Tak czy owak, pomysł z duchem jest niedorzeczny. Ale nie ulega wątpliwości, e z chłopcami dzieje się coś złego.

—

Czy Lukę jej się boi?

—

Nie. A mnie zapewne wydawało się jedynie, e słyszę śpiew, natomiast Luke... có , on ma zaledwie sześć lat. W tym wieku dzieci odznaczają się bujną wyobraźnią.

—

Rozmawiałaś na ten temat z Gavinem?

—

Nie. Lukę powiedział, e obaj ją widzieli, ale...

—

Ja te ją widziałem.

—

Ale , proszę cię...

David przepłukał zmywak, wy ął z wody i poło ył na krawędzi zlewu.

—

Nie ukazała mi się od czasu, gdy dorosłem. Kiedy byłem dzieckiem, widziałem ją kilkakrotnie. Za pierwszym razem bardzo się przeraziłem, ale ona nigdy nie robiła nic złego. Mo esz zapytać Harpera. On bardzo często miał z nią do czynienia.

—

A kim niby miałby być ów wymaginywany duch? - spytała Stella, ale ostrzegawczo uniosła dłoń, bo usłyszała dudniący odgłos dziecięcych stóp na schodach. - Porozmawiamy o tym później.

Stella próbowała zapomnieć o rozmowie z Davidem, lecz jego słowa wciąż do niej wracały, podobnie jak melodia starej kołysanki.

W południe, gdy Hayley była zajęta przygotowaniem nowej partii doniczek z wiosennymi flancami, chwyciła podkładkę z klipsem i ruszyła do szklarni, w której urzędował Harper.

Upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu.

Dzisiaj w szklanym pomieszczeniu rozbrzmiewała muzyka Rachmaninowa -

a w ka dym razie utwór, w którym wiodącą rolę odgrywały smyczki i flety.

Stella ruszyła śmiało przed siebie, wiedząc, e znajdzie Harpera na końcu szklarni, przy jego roboczym stole. I rzeczywiście - siedział na wysokim stoiku, a przed nim stały doniczki, kilka kaktusów i taca z zapinkami, recepturkami, kawałkami rafii i butelką denaturatu.

Harper właśnie odcinał delikatnie w węzle odnogę od macierzystego kaktusa.

—

Będiesz szczepił od góry? To trudne, ale pewnie idealne dla tego gatunku z powodu płytkiego ukorzenia. Chcesz uzyskać formę standardową czy zhybrydowaną?

Harper starannie nacinał roślinę, cały czas przy tym milcząc.

—

Zastanawiam się nad tym, ponieważ ... - Położyła dłoń na jego ramieniu, a wówczas Harper podskoczył, z trudem tłumiąc krzyk. Stella zatoczyła się do tyłu i wpadła na sąsiedni stół.

—

Jasna cholera! - Harper upuścił nó i wsunął skaleczony kciuk do ust. - Niech to szlag! - wymamrotał, wciąż trzymając palec w ustach, po czym zerwał z głowy słuchawki.

—

Przepraszam! Tak strasznie mi przykro! Głęboko się zaciąłeś? Poka , niech to obejrzę.

—

Tylko draśnięcie. - Wyjął kciuk z ust i odruchowo wytarł o brudne spodnie. -

Ani w połowie tak groźne, jak zawał, o jaki niemal e mnie przyprawiłaś.

—

Poka mi ten palec. - Chwyciła jego dłoń. - Powalałeś ranę ziemią. Zobaczył, e jej wzrok wędruje w stronę butelki z denaturatem, i natychmiast wyrwał

rękę.

—

Nawet o tym nie myśl!

—

Słuchaj, to przecięcie trzeba przynajmniej zdezynfekować. Raz jeszcze cię przepraszam. Nie zauważyłam, e masz na uszach słuchawki. Byłam pewna, e mnie słyszysz.

—

Nie ma sprawy. Nic się nie stało. Muzyka klasyczna jest dla roślin. Jeśli słucham jej zbyt długo, oczy zachodzą mi mgłą.

—

Ach, tak? - Przyłożyła do ucha słuchawki. - Metallica?

—

Owszem. To mój klasyk. - Spojrzał ze znużeniem na jej notes. - O co chodzi?

—

Chciałam się dowiedzieć, które rośliny będą gotowe na nasze wielkie wiosenne otwarcie sezonu. To już w przyszłym miesiącu. I co jest w takim stadium, by mogło zostać przeniesione do innych szklarni.

—

Uch... - Rozejrzał się wokół. - Wiele ze stojących tu roślin. Tak mi się zdaje.

Wszystkie odpowiednie dane mam w komputerze.

—

Super. Moje więc w takim razie przeniesiesz mi je na dyskietkę.

—

Jasne. Natychmiast. Poczekaj. - Przesunął stołek w stronę komputera.

—

Nie musisz robić tego teraz, kiedy jesteś tak zajęty.

—

Jeśli nie zrobię od ręki, to zapewne w ogóle o tym zapomnę. Szybko odnalazł odpowiednie pliki i rozpoczął transfer danych.

—
A jak... hm... sprawuje się Hayley? - spytał.

—
Bóg mi ją zesłał.

—
Naprawdę? - Sięgnął po puszkę coli i wypił długi łyk. - Mam nadzieję, e niczego nie dźwiga ani nie pracuje z toksycznymi substancjami?

—
W adnym razie. W tej chwili wsadza flance do doniczek.

—
To dobrze. - Wręczył Stelli dyskietkę. - Proszę.

—
Dzięki, Harper. To bardzo ułatwi mi ycie. Widzę, e masz rękę do szcze-pienia.

—
To pewnie geny. Mama pokazała mi, jak to robić, gdy byłem mniej więcej w wieku Luke'a.

—
A gdy ju o dzieciach mowa... Dziś rano David opowiadał mi o waszej rodzinnej legendzie.

—
To dobrze - odparł machinalnie, biorąc w dłoń kolejny kaktus. - O jakiej legendzie?

—
No, wiesz. O duchu.

—
A, tak. Blondynka o smutnych oczach. Śpiewała mi, kiedy byłem mały.

—
Daj spokój, Harper.

Wzruszył ramionami i pociągnął kolejny łyk coli.

—

Chcesz te ? - Potrząsnął puszką w jej stronę. - Mam w lodówce więcej.

—

Nie, dzięki. A więc twierdzisz, e przychodził do ciebie duch i śpiewał ci do snu.

—

Do czasu a skończyłem dwanaście, mo e trzynaście lat. Tak samo było z moimi braćmi. Kiedy wchodzi się w okres pokwitania, ona przestaje się pojawiać.

Spojrzała na niego spod oka.

—

Harper, ty przecie uwa asz się za naukowca? Obrzucił ją marzycielskim uśmiechem.

—

Tylko w pewnym sensie. Część z tego, co robię, mo na określić nauką, do mojej pracy potrzeba te pewnej wiedzy. Ale tak naprawdę jestem ogrodnikiem.

Wrzucił pustą puszkę do śmietnika i sięgnął do lodówki po następną.

—

Zapewne tak naprawdę chcesz mnie zapytać, czy uwa am, e wiara w duchy przeczy w nauce. Moim zdaniem w adnym razie. Bo czym e jest nauka?

Poszukiwaniem, eksperymentowaniem i odkrywaniem nowych światów.

—

Zgadzam się z twoją definicją, ale... Z trzaskiem otworzył puszkę.

—

Chcesz się bawić w detektyw Scully? Parsknęła śmiechem.

—

Rozumiem, e mały chłopiec wierzy w duchy i Świętego Mikołaja, ale...

—

Czy byś próbowała mi powiedzieć, e Święty Mikołaj nie istnieje? -spytał, patrząc na nią przera onym wzrokiem. - To chore.

—

Ale jest zupełnie inaczej... - ciągnęła, ignorując jego słowa - ...gdy mamy do czynienia z dorosłym mę czyzną.

—

Kogo nazywasz dorosłym mę czyzną? Jak tak dalej pójdzie, będę musiał cię wyekspediować z mojego domu, Stello. - Poklepał ją po ramieniu, po czym strzepnął z jej koszuli grudki wilgotnej ziemi. - Posłuchaj. Widziałem, co widziałem, i wiem swoje. Ten duch to integralna część dorastania w Harper House. Ona jest... bardzo łagodna. A w ka dym razie zawsze taka była dla mnie i moich braci. Choć od czasu do czasu dołowała mamę.

—

W jakim sensie „dołowała”?

—

O to ju musisz ją samą zapytać. Nie wiem tylko, po co miałabyś sobie zawracać tym głowę, skoro absolutnie nie wierzysz w duchy. - Uśmiechnął się znowu. - Wedle rodzinnych opowieści to oblubienica któregoś z Harperów, nigdzie jednak nie ma jej adnego portretu. Mo e była jedną ze słu ących, które zmarły w naszym domu. Niewątpliwie porusza się bardzo swobodnie po całym terenie.

—

Lukę powiedział mi, e ją widział.

—

Naprawdę? Jeśli się martwisz, e mogłaby w jakikolwiek sposób skrzywdzić chłopców, to sobie odpuść. Ta kobieta ma wiele... uczuć macierzyńskich.

—

Cudnie. A wiec mam się pogodzić z faktem, e niezidentyfikowany duch 0

instynktach macierzyńskich co noc nawiedza moich synów w ich pokoju?

—

To tradycja domu Harperów.

Po takiej rozmowie Stella musiała zająć się czymś sensownym, by wrócić do rzeczywistości. Wzięła

ze szklarni płytką skrzynkę z bratkami i drugą z barwinkiem, znalazła kilka nieregularnych w kształcie betonowych donic i razem z workiem ziemi załadowała na wózek. Potem dorzuciła narzędzia, rękawice i nawóz, i zaciągnęła wszystko przed główne wejście.

Bratki dobrze znosiły chłód, więc jeśli nawet w nocy temperatura znacznie spadnie, nie powinno im to zaszkodzić. A gdy ustawi je przy drzwiach, ich żywa barwa będzie zwiastowała nadejście wiosny.

Zanim zabrała się do pracy, wyjęła notes i zapisała, co wzięła. Gdy tylko wróci do biura, wprowadzi te dane do komputera.

A potem przykucnęła i oddała się zajęciu, które zawsze sprawiało jej najwięcej przyjemności - sadzeniu kwiatów.

Wypełniła pierwszą donicę - ostra ółc i fiolet pięknie odbijały od szarego tła

- po czym wstała, by obejrzeć kompozycję z pewnej odległości. Chciała, aby druga była lustrzanym odbiciem tej pierwszej - a to wymagało nieco wysiłku.

Była w połowie obsadzania drugiej donicy, gdy usłyszała chrzęst kół na wirze. Obejrzała się i zobaczyła znajomą cię arówkę. Logan. Ju zamierzał

skręcić do działu z materiałami, zmienił jednak zdanie i ruszył w stronę budynku.

Wyskoczył z kabiny. Stella zauważyła jego zniszczone buty, znoszone dżinsy i ciemne okulary na nosie i poczuła mrowienie między łopatkami.

—
Cześć! - wykrzyknął.

—
Witaj, Logan.

—
Przyjechałem po drewno i plastikową folię do ogrodu Dawsonów. - Na jego przedramieniu, tu pod podwiniętym rękawem, widniały trzy świeżo zadrapania.

—
Szybko posuwacie się z tą pracą.

—
Rzeczywiście. - Podszedł bliżej i uważnie przyjrzał się donicom z bratkami. -

Dobrze wyglądają. Przydadzą mi się.

—

Mam zamiar postawić je przed wejściem.

—

Przed wejście zrobisz następne. Te zabiorę do pani Dawson, na pewno się na nie rzuci. Ostatecznie, grunt to maksymalizacja sprzedaży, Rudzielcu.

—

Niech ci będzie. - Przecie jeszcze nie zdążyła się do nich przyzwyczaić. -

Pozwól tylko, e skończę tę drugą kompozycję. Powiedz pani Dawson, e gdy zrobi się gorąco, musi wsadzić coś innego na miejsce bratków. A gdyby chciała zastąpić je roślinami wieloletnimi, powinna-potem owinąć czymś donice na zimę.

—

Tak się składa, e sam wiem co nieco o roślinach.

—

Ja zaś dbam jedynie o pełną satysfakcję klienta - powiedziała Stella i natychmiast się zreflektowała. Przecie Logan był dziś bardzo miły. Chętny do współpracy. Zamiast się szarogęsić, najpierw przyniósł jej listę materiałów. Powinna mu odpłacić jakimś przyjaznym gestem.

—

Je eli wycieczka do Graceland jest wciąż aktualna, mogłabym sobie wygospodarować trochę czasu w przyszły czwartek - rzuciła zdawkowym tonem.

—

W czwartek?

Na wypadek gdyby wróciła do jego propozycji, przygotował sobie rozmaite wymówki: e gonią go terminy, ma mnóstwo pracy i zabierze ją przy innej okazji.

A tymczasem widział tylko tę masę niesfornych kręconych włosów i du e, niebieskie oczy. W uszach zaś dźwięczał mu chłodny, jankeski głos.

—

Jasne, czwartek będzie doskonały. Mam przyjechać po ciebie tutaj czy do domu?

—
Tutaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Która godzina odpowiada ci najbardziej?

—
Mo e koło pierwszej. W ten sposób będę mógł przepracować spokojnie ranek.

—
Doskonale. - Podniosła się, otrzepała rękawice i starannie uło yła na wózku.

-Teraz szybko obliczę cenę tych donic i wydrukuję zamówienie. Gdyby się nie spodobały pani Dawson, po prostu przywieź wszystko z powrotem.

—
Na pewno jej się spodobają, śmiało więc księguj wszystko jak zwykle. -

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kilkakrotnie zło oną kartkę z notesu. - Zapisałem rodzaj i ilość potrzebnych mi materiałów. Pójdę je teraz załadować.

—
Świetnie. - Ruszyła w stronę biura. Mrowienie z okolic łopatek przeniosło się ni ej.

To przecie nie randka. Nie randka, zapewniała się w duchu. Tak naprawdę nawet nie wycieczka. Jedyne gest dobrej woli z obu stron.

Jakim, cudem mamy czwartek?

—

Bo czwarty dzień tygodnia był poświęcony nordyckiemu bogu Thorowi i stąd jego nazwa - wyjaśniła Hayley i uśmiechnęła się z zakłopotaniem. -W

głowie siedzi mi mnóstwo nikomu nieprzydatnych wiadomości. Sama nie wiem, skąd się tam wzięły.

—

Nie zastanawiałam się nad pochodzeniem tego słowa, tylko nad tym, jak szybko mija czas. Po prostu nie mogę uwierzyć, e ju nadszedł czwartek.

Bóg Thor, powiadasz? - powtórzyła Stella, odwracając się od lustra w łazience dla pracowników.

—

Jestem tego pewna.

—

W takim razie wierzę ci na słowo. No dobrze. - Rozpostarła ramiona. -Jak wyglądam?

—

Bardzo ładnie.

—

A mo e nazbyt ładnie? No, wiesz, jakbym się specjalnie wystroiła?

—

Nie. Wyglądasz w sam raz.

Hayley w głębi ducha zazdrościła Stelli, e tak fantastycznie prezentowała się w prostych, szarych spodniach i czarnym swetrze. Elegancko, a jednocześnie -

dzięki swoim kobiecym kształtom - bardzo ponętnie. Przed nią a Hayley była zawsze chuda, o raczej chłopięcej sylwetce.

—

W tym swetrze wyglądasz naprawdę seksownie - dorzuciła.

—
Jezu! - Stella z przerażeniem skrzyła ręce na piersiach. - Pewnie za seksownie? W rodzaju: „Patrzcie na moje cycki”.

—
Skąd e! - Hayley ze śmiechem odciągnęła w dół dłonie Stelli. - Uspokój się.

Przecie masz piękny biust.

—
Jestem zdenerwowana. To idiotyczne, ale bardzo się denerwuję. A nienawidzę tego uczucia. - Pociągnęła za rękaw swetra, potem strzepnęła z niego niewidzialny pyłek. - Czemu narażam się na coś, co wprowadza mnie w stan, którego nie znoszę?

—
Słuchaj, wybierasz się na miłą wycieczkę, to wszystko. Po prostu rozluźnij się i baw dobrze.

—
Tak. Oczywiście. Zachowuję się jak idiotka. - Potrząsnęła głową. - Masz numer mojej komórki?

—
Ka dy ma numer twojej komórki, Stello. - Hayley zerknęła w stronę Ruby, która zachichotała pod nosem. - Myślę, że nawet burmistrz ma numer twojej komórki i to wbiły w opcję szybkiego wybierania.

—
Jeśli pojawią się jakiegokolwiek problemy, dzwońcie do mnie natychmiast.

Gdybyście miały jakiegokolwiek wątpliwości, zgłóście się do Roz lub skontaktujcie ze mną bez wahania.

—
Tak, mamusi. I nie przejmuj się.

—
Cha, cha. Bardzo śmieszne.

Grupa męskiego striptizu nie potwierdziła jeszcze swojego przybycia, więc mo esz się wyluzować.

—

Przy tak napiętym planie pracy nie mam zamiaru się wyluzowywać.

—

Słuchaj, je eli mogę spytać... Kiedy ostatni raz byłaś na randce... to znaczy na wycieczce?

—

Wcale nie tak dawno. Kilka miesięcy temu. - Hayley ze zgrozą przewróciła oczami. - Byłam zajęta - broniła się Stella. - Musiałam sprzedać dom, spakować wszystkie rzeczy, znaleźć odpowiedni magazyn na meble, sprawdzić tutaj szkoły i pediatrów. Nie było czasu na rozrywkę.

—

I nie miałaś nikogo, komu miałabyś ochotę poświęcić trochę czasu. Więc wreszcie dzisiaj zabaw się jak nale y.

—

To nie tak, jak ci się zdaje. A właściwie, czemu on się spóźnia? - spytała ostrym tonem, spoglądając na zegarek. - W zasadzie powinnam się tego spodziewać. Wygląda na chronicznego spóźnialskiego.

Kiedy pojawił się klient, Hayley delikatnie poklepała Stellę po ramieniu.

—

Czas na mnie. Pamiętaj, baw się dobrze. - Podeszła do mę czyzny. -W czym mogę panu pomóc?

Stella poczekała chwilę, by przekonać się, e dziewczyna radzi sobie doskonale. Ruby rozmawiała z kolejnym klientem przez telefon. A więc wszystko toczyło się gładko i Stelli pozostało jedynie cierpliwie czekać.

Równie dobrze jednak mo e czekać na zewnątrz. Chwyciła kurtkę i wyszła ze sklepu.

Donice wyglądały doskonale. To zapewne dzięki nim w ostatnich dniach sprzedali mnóstwo bratków. Dobrze więc byłoby przygotować jeszcze podobne z innymi roślinami, a tak e powiesić kilka koszyków z kwiatami.

Zaczęła krą yć wokół budynku, wybierając najlepsze miejsca do ekspozycji wczesnowiosennych kompozycji, by mogły słu yć klientom za inspirację.

Kiedy Logan podjechał piętnaście po pierwszej, siedziała na schodkach i robiła szczegółowe notatki, kalkulowała koszty.

—
Coś mnie zatrzymało - oznajmił na dzień dobry.

—
Nic nie szkodzi. Ja te pracowałam.

—
Nie masz nic przeciwko cię arówce?

—
W adnym razie. - Wskoczyła do kabiny, zapięła pas, po czym zaczęła się przyglądać licznym notatkom, szkicom i obliczeniom przyklepionym do deski rozdzielczej.

—
Twoje biuro?

—
Owszem. - Włączył odtwarzacz i z głośników popłynął „Heartbreak Hotel”

Elvisa. - To powinno wprowadzić nas w odpowiedni nastrój.

—
Jesteś jego zagorzałym fanem?

—
Trzeba mieć nale ny szacunek dla Króla.

—
Ile razy byłeś w Graceland?

—
Nie mam pojęcia. Ilekroć ktoś przyje d a do Memphis, chce odwiedzić dom Elvisa. A tak e Beale Street oraz Peabody. No i ka dy chce spróbować naszych eberek.

—
Mo e jednak uda się mi rozluźnić, pomyślała Stella. Ta rozmowa była swobodna i przyjemna.

—

A więc eberka będą kolejnym punktem na mojej liście.

Logan zwrócił się w jej stronę. Mimo że miał ciemne okulary, Stella była pewna, że patrzy na nią zmrużonymi oczami.

Przyjechałaś tu... kiedy? ...ponad miesiąc temu i jeszcze na nie się nie wybrałaś?

Nie. Czy zostanę za to aresztowana?

Jesteś wegetarianką?

Nie. I bardzo lubię eberka.

Skarbie, jeśli nie jadłaś naszych miejscowych eberek, to tak naprawdę nie masz pojęcia, co to w ogóle są eberka. Jak to w ogóle może być? Przecież mieszkają tu twoi rodzice, prawda? Mam nawet wrażenie, że kiedyś ich spotkałem.

Mieszka tu mój ojciec ze swoją drugą żoną, Will i Jolene Dooley.

I nigdy nie zabrali cię na eberka?

Nie. Czy zostaną za to aresztowani?

To byłoby niewykłuczone, gdyby sprawa wyszła na jaw. Ale postanowiłem odpuścić im, i tobie, i zatrzymać tę wiadomość tylko dla siebie. Przynajmniej na razie.

A więc jestem twoją dłużniczką.

„Heartbreak Hotel” przeszedł w „Shake, Rattle and Roli”. Stella uświadomiła sobie, że to muzyka czasów młodości jej ojca. Było coś nostalgicznego w tym, że jedzie ulicami Memphis, słuchając piosenek, którymi jej ojciec zachwycał się jako nastolatek.

—

W najbliższym czasie musisz więc zabrać synów do Reunion na eberka -

oznajmił Logan. - Stamtąd już będziesz miała tylko dwa kroki na Beale Street. Natomiast zanim pójdziecie na ucztę, powinniście wybrać się do Peabody. Chłopaki muszą obejrzeć kaczki.

—

Mój ojciec już ich tam zabrał.

—

To może uchronić go od pudła.

—

Super. - Wszystko toczyło się sympatyczniej i bardziej gładko, niż przypuszczała. Teraz głupio jej było na myśl, że przygotowała sobie wcześniej kilka bezpiecznych tematów do rozmowy. - Czy poza tym krótkim czasem, gdy wyjechałeś na Północ, zawsze mieszkałeś w okolicach Memphis?

—

Tak.

—

Dziwnie się czuję w Memphis. Wiem, że się tu urodziłam, ale nic nie pamiętam. Bardzo mi się tu jednak podoba i chciałabym wierzyć, że łączy mnie coś szczególnego z tym miastem. No i uwielbiam pracę u Roz.

—

Roz jest wyjątkowa.

—

Ona mówi to samo o tobie. Jeśli mam być szczerą, z początku myślałam, że ty i Roz...

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

—

Poważnie?

—
Roz jest piękna, inteligentna i wiele was łączy. Znacie się od lat.

—
Wszystko prawda. Ale właśnie z racji tych lat podobny pomysł wydaje mi się dziwny. Niemniej, dzięki. Pochlebiłaś mi.

—
Bardzo lubię Roz, a przede wszystkim podziwiam ją za to, co osiągnęła. I to sama jedna. Wychowała chłopców, prowadziła wielki dom i zbudowała od podstaw du ą firmę. Na własnych warunkach, nie idąc na adne ustępstwa.

—
Czy tego chciałabyś dla siebie?

—
Nie. Nie chciałabym mieć własnej firmy. Kilka lat wcześniej zastanawiałam się nad tym, ale doszłam do wniosku, e przy dwójce małych dzieci na utrzymaniu byłby to zbyt ryzykowny krok. - Pokręciła głową. - Roz jest o wiele odwa niejsza ode mnie. Poza tym, w pewnym momencie zdałam sobie sprawę, e tak naprawdę lubię pracować dla kogoś, lubię ulepszać i rozwijać to, co ju istnieje. Dlatego najlepiej sprawdzam się w zarządzaniu. adnych sarkastycznych komentarzy? - spytała, gdy Logan nie odzywał się przez dłu szy czas.

—
Zachowam je na chwilę, kiedy znowu mnie wkurzysz.

—
Ju nie mogę się doczekać. A wracając do tematu, podoba mi się tworzenie ogrodu od podstaw. Ale jeszcze większą przyjemność sprawia mi poprawia-nie ogrodu niezbyt dobrze zaplanowanego, wymagającego udoskonalenia. -

Urwała i zmarszczyła brwi. - To zabawne. Właśnie coś sobie przypomniałam.

Kilka dni temu śniłam o ogrodzie. Przedziwny sen... było w nim coś demonicznego. Nie pamiętam dokładnie szczegółów, ale przypominam sobie wielką, błękitną dalię. Dalie są moimi ulubionymi kwiatami, a niebieski to mój ulubiony kolor. Tylko e ten kwiat nie powinien znajdować się w tym ogrodzie, zupełnie nie pasował do całości. Ja go nie posadziłam, a jednak tam wyrósł. Niezwykłe.

—

I co zrobiłaś z tą dalia?

—

Nie pamiętam. Lukę mnie obudził, więc ogród i dalia natychmiast się rozwiały. - A w pokoju, pomyślała, panowało lodowate zimno. - Źle się poczuł. Drobne problemy ołądkowe.

—

Ale teraz ju wszystko w porządku?

—

Tak. - Punkt dla niego, zdecydowała w duchu. - W porządku. Dzięki.

—

A jak tam jego ząb?

Oho, drugi punkt. Logan pamiętał o ruszającym się mleczaku jej synka.

—

Sprzedany Zębowej Wró ce za nowiutkiego szeleszczącego dolara. Za moment wypadnie drugi. Teraz Lukę przeuroczo sepleni.

—

Czy starszy brat ju nauczył go pluć przez szczerbę?

—

Nic mi na ten temat nie wiadomo.

—

Có , czego oczy nie widzą... Zało ę się, e magiczna dalia wciąż czeka na ciebie w krainie snów.

—

Cudna myśl. - „Zabij ją”. Na Boga, skąd jej przyszły do głowy podobne słowa? - Jak sobie przypominam, była wyjątkowo piękna.

Rozejrzała się wokół, gdy Logan skręcił na pobliski parking.

—

Ju dojechaliśmy?

—
Graceland znajduje się po drugiej stronie drogi. Kupimy bilety, a potem wsiądziemy do specjalnego mikrobusu i zwiedzimy ogrody oraz sam dom.

Wyłączył silnik i spojrzał uwa nie na Stellę.

—
Stawiam pięć dolarów, e gdy stamtąd wyjdiesz, będziesz nawrócona.

—
Nawrócona? Ja nie muszę się nawracać, bo nie mam nic przeciwko Elvisowi.

—
A więc pięć dolców, e kupisz przynajmniej płytę CD z jego hitami.

—
W porządku. Zakład stoi.

Graceland było o wiele mniejsze, ni sobie wyobra ała. Spodziewała się du ego, rozległego budynku, a właściwie rezydencji w stylu Harper House.

Tymczasem ujrzała średniej wielkości dom, a w nim niewielkie pokoje -

przynajmniej te, po których oprowadzano wycieczki.

Stella posuwała się wolno razem z grupą turystów, wsłuchując się, przez wręczone jej przy wejściu słuchawki, w nagrane na taśmę wspomnienia Lisy Marie Presley.

Zdumiał ją kraciasty materiał w kolorach curry, błękitu i ciemnego brązu, pokrywający ka dy skrawek ścian i sufitu w niedu ym pokoju bilardowym całkowicie zdominowanym przez stół do gry. Zaskoczył wodospad, maoryska chata i tkaniny o wzorach przypominających skóry dzikich zwierząt w pokój u-d ungli o suficie wybitym zieloną, włochatą wykładziną.

Ktoś mieszkał w tym dziwnym domu. A właściwie nie ktoś, ale ikona popkultury - artysta o niespotykanym talencie, cieszący się wielką, światową sławą.

Największe wra enie jednak wywarł na Stelli pokój, w którym pokazano trofea Elvisa. Ściany zdawały się ciągnąć kilometrami i były pokryte złotymi oraz platynowymi płytami. Wprost trudno uwierzyć, jak wiele ten człowiek zdołał osiągnąć w swoim stosunkowo krótkim yciu.

W słuchawkach brzmiały teraz przeboje Ehdsa, Stella zaś zachwycała się jego wymyślnymi kostiumami scenicznymi, urokliwymi fotografiami portre-towymi i plakatami z filmów, w których

zagrał główne role.

Zwiedzając Graceland w towarzystwie Stelli, Logan doszedł do wniosku, że wiele może na się dowiedzieć o ludziach, obserwując ich reakcje na przed-stawione eksponaty. Jedni kpili z niemodnego, kiczowatego wystroju. Drudzy wpatrywali się we wszystko szklistym wzrokiem, pełnym podziwu i miłości do zmarłego Króla. Jeszcze inni przechodzili obojętnie przez pokoje, rozmawiając o czym innym lub czule się obściskując, byle jak najszybciej dotrzeć do kiosku z pamiątkami, a potem wrócić do domu i chwalić się, że na własne oczy obejrzeliby dom Elvise.

Stella natomiast wszystkiemu się przyglądała. I uwa nie słuchała taśmy.

Widać to było po sposobie, w jaki nieznacznie przechylała głowę. Słuchała z powagą i Logan gotów byłby się założyć o to, że więcej niż pięć dolarów, że pilnie wypełniała instrukcje i wciskała na odtwarzaczu właściwy guzik dla pomieszczenia oglądanego w tym czasie.

Co skądinąd uznał za urocze.

Dopiero kiedy wyszli na zewnątrz, by przejść do grobu Elvise, usytuowanego w pobliżu basenu, Stella pierwszy raz zdjęła słuchawki.

—

Nie miałam o tym wszystkim pojęcia - powiedziała. - Do tej pory znałam zaledwie podstawowe fakty. Ponad miliard sprzedanych płyt? To wprost niewyobrażalne. Nie wiem, jak w ogóle można dokonać czegoś podobnego i to na dodatek... z czego się śmiejesz?

—

Żałuję się, że gdybyś teraz miała przystąpić do testu ze znajomości biografii Elvise, zdałabyś śpiewając.

—

Och, daj spokój - odrzekła ze śmiechem, szybko jednak spowaśniała, gdy zbliżyli się do Ogrodu Zadumy i grobu Króla.

Leżały tu ywete cięte kwiaty, mdlejące w ciepłe dnia, i plastikowe, blaknące na słońcu. Niewielki grób był dość ekscentryczny, ale pasował do atmosfery tego miejsca. Wokół trzaskały migawki aparatów fotograficznych, nieopodal ktoś cicho szlochał.

—

Niektórzy utrzymują, że widzieli tu jego ducha - powiedział Logan. -

Zakładając, oczywiście, że Elvis naprawdę zmarł.

—

Ale ty w to nie wierzysz.

—

W adnym razie. Elvis opuścił to miejsce dawno temu.

—

Miałam na myśli ducha.

—

No, có , jeśli miałby ju nawiedzać jakieś miejsce, to tylko to. Krętą ście ką przeszli do mikrobusu obwo ącego turystów po terenie.

—

W tych okolicach ludzie rozprawiają o duchach z niezwykłą nonszalancją -

zauwa yła Stella.

Logan potrzebował niemal minuty, eby zrozumieć, co miała na myśli.

—

Ach, tak. Oblubienica Harperów. Miałaś ju okazję ją zobaczyć?

—

Nie. I to zapewne z najbardziej banalnego powodu: ona po prostu nie istnieje.

Chyba nie chcesz mi powiedzieć, e tobie się kiedyś ukazała?

—

Mnie nie. Choć wiele osób twierdzi, e ją widziało. Z drugiej strony mnóstwo ludzi gotowych jest przysiąc, e widziało Elvisa w jakiejś podrzędnej jadłodajni, jedzącego sandwicza z masłem orzechowym i bananami, dziesięć lat po jego śmierci.

—

Otó to! - wykrzyknęła Stella tak zachwycona zdroworozsądkowym podejściem Logana, e a przyjacielsko poklepała go po ramieniu. - Ludzie wi-dzą to, co chcą zobaczyć. Lub co im się zasugeruje. Ponosi ich wyobraźnia, szczególnie w niezwykłych warunkach i w określonej atmosferze. A tak na marginesie, nie uwa asz, e tu, w Graceland, powinni bardziej się przyło yć do pielęgnacji ogrodów?

—

Lepiej mnie nie podpuszczaj.

—

Masz rację. adnych rozmów o pracy. Pozwól w takim razie, e podziękuję ci za dzisiejszą wycieczkę. Nie wiem, czy sama bym się tu wybrała.

—

No i co sądzisz o tym miejscu?

—

Jest smutne, ale jednocześnie pełne uroku i fascynujące. - Stella oddała słuchawki przewodnikowi i weszła do mikrobusu. - Niektóre pomieszczenia są... powiedzmy... niezwykle w wystroju.

Fotele w mikrobusie były tak wąskie, e siedzieli przyciśnięci do siebie.

Włosy Stelli opadły na ramię Logana, zaraz jednak odgarnęła je do tyłu. Szkoda.

Wolałby, eby tego nie zrobiła.

—

Znam pewnego faceta, który jest tak wielkim fanem Elvisa, e postanowił z własnego domu uczynić kopię Graceland. Kupił identyczną tkaninę, taką jak widziałś w pokoju bilardowym, i obił nią ściany oraz sufit.

Odwróciła się ku niemu z niedowierzaniem.

—

artujesz.

Logan uroczyście poło ył dłoń na sercu.

—

Nawet zrobił głęboką ryse na stole bilardowym, eby wyglądał identycznie jak stół Elvisa. Kiedy jednak zaczął przebąkiwać coś o zainstalowaniu tych złocistych ozdób, ona ju nie wytrzymała. Postawiła sprawę jasno: albo ona, albo Elvis.

Stella uśmiechnęła się szeroko i nagle do Logana przestały docierać głosy innych pasa erów. W jej uśmiechu, tak szczerym i radosnym, było coś szczególnego, poruszającego do głębi.

—

I na co się zdecydował? -Hm?

—
Czy wybrał onę, czy Elvisa?

—
Cóż. - Logan wyciągnął przed siebie długie nogi, ale waden sposób nie mógł się tak przesunąć, aby nie dotykać Stelli. Słońce wpadało do mikrobusu przez tylne szyby, atrakcyjnie podświetlając jej rude, kręcone włosy.

- Przeniósł swoją kopię Graceland do piwnicy, no i próbuje namówić onę, aby we własnym ogrodzie stworzyć - w odpowiednio zmniejszonej skali -

replikę Ogrodu Zadumy.

Teraz już roześmiała się na całe gardło. Jak było miły ten dźwięk! Kiedy odchyliła głowę, znowu włosami dotknęła jego ramienia.

—
Jeśli kiedykolwiek ją przekona, mam nadzieję, że to my dostaniemy tę pracę.

—
Możesz być tego pewna. To mój wuj. Znowu wybuchnęła śmiechem.

—
Rany, już nie mogę się doczekać, kiedy poznam twoją rodzinę - wykrztusiła w końcu. Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. - Muszę przyznać, że wybrałam się tu z tobą tylko dlatego, aby nie odrzucać przyjaznego gestu.

Ani przez chwilę nie sądziłam, że będę się tak dobrze bawić.

—
To nie był przyjazny gest, raczej spontaniczny odruch. Twoje włosy pachniały tak pięknie, że zatraciłem zdolność logicznego myślenia.

—
No i?... Teraz ty powinieneś powiedzieć, że ci dobrze się bawiłeś.

—
Prawdę mówiąc, rzeczywiście bawiłem się doskonale.

Mikrobus się zatrzymał. Logan wyskoczył pierwszy, po czym odsunął się, aby przepuścić Stellę.

—
Z drugiej Strony, twoje włosy nadal pięknie pachną, więc być może znowu nie wiem, co mówię.

Obejrzała się przez ramię, posłała mu szelmowski uśmiech i - niech to szlag!

- poczuł w brzuchu szczególne łaskotanie. Zazwyczaj zwiastowało ono dobrą zabawę i spełnienie. W wypadku tej kobiety mogło oznaczać jedynie kłopoty.

Nie mógł jednak tak od razu zniknąć. Ostatecznie otrzymał staranne wychowanie - jego mama byłaby przerażona, gdyby nie nakarmił kobiety, z którą spędził popołudnie.

—
Głodna? - zapytał.

—
Och... Bo ja wiem... Jeszcze za wcześnie na kolację, a zbyt późno na lunch.

Poza tym powinnam...

—
Zaszalej raz w życiu, Rudzielcu, i zjedz coś między posiłkami. - Chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę kafejki. Była tak zaskoczona, że nie zdążyła zaprotestować.

—
Naprawdę powinnam już wracać. Obiecałam Roz, że będę koło czwartej.

—
Wiesz co, jak będziesz się tak spinać, to w końcu odetniesz sobie dopływ krwi do mózgu.

—
Wcale nie jestem spięta - zaprotestowała. - Tylko obowiązkowa i odpowiedzialna.

—
Roz nie zainstalowała w firmie zegara do podbijania kart pracowników, poza tym zjedzenie hot dogów nie zajmuje dużo czasu.

—
Nie, ale...

Nieoczekiwanie zdała sobie sprawę, e polubiła Logana Kittridge'a. Było to dla niej równie zaskakujące, jak przyjemne mrowienie ręki w miejscu, gdzie chwycił ją swoją twardą, dużą dłońią. Ju od tak dawna nie spędzała przyjemnie czasu w towarzystwie męczyzny. Czemu właściwie miałyby sobie tego odmawiać?

—

W porządku - odrzekła, ponieważ zdając sobie sprawę, e jej zgoda nie była do niczego potrzebna, bo Logan ju wciągnął ją do środka i podprowadził do lady. - Skoro mnie tu przywiozłeś, to jednak wpadnę na chwilę lub dwie do sklepu z pamiątkami.

Uśmiechnął się, po czym zamówił dwa hot dogi i dwie cole.

—

No dobra, mądralo. - Otworzyła torebkę i z portmonetki wyjęła pięć dolarów.

- Zamierzam kupić tę płytę CD. Przypilnuj, eby moja cola była dietetyczna.

Zjadła hot dog, napiła się coli. Kupiła CD. W odróżnieniu jednak od innych znanych mu kobiet nie dotykała z uwagą wszystkich rzeczy oferowanych w sklepie. Załatwiła, co chciała, i na tym koniec - szybko, gładko, bez zwracania głowy.

Kiedy wracali do cię arówki, wyciągnęła komórkę i zerknęła na wyświetlacz.

Ju nie pierwszy raz w czasie ich wycieczki.

—

Problemy?

—

Nie. - Wsunęła telefon z powrotem do torebki. - Sprawdzam tylko, czy nie ma jakiejś wiadomości.

Okazało się jednak, e wszyscy obeszlili się bez niej tego popołudnia. Chyba e nastąpiła awaria telefonów. Albo Roz zgubiła jej numer. Albo...

—

Być mo e centrum zostało zaatakowane przez bandę psychopatów sfiksowanych na punkcie peonii. - Logan otworzył drzwi od strony pasa era.

- I teraz wszyscy pracownicy siedzą związani i zakneblowani w waszej cieplarni.

Stella ostentacyjnie zaciągnęła zamek torebki.

—
Gdyby się okazało, e tak właśnie jest, wcale nie byłoby ci do śmiechu.

—
Dopiero wtedy bym się uśmieł.

Obszedł przód samochodu i usiadł za kierownicą.

—
Mam obsesyjną osobowość - jestem silnie zorientowana na osiągnięcie celu i pedantycznie zorganizowana w działaniu.

—
Dobrze, e mi powiedziałaś, bo ju zacząłem odnosić wra enie, e jesteś roztrzepana i chaotyczna.

—
Dość ju o mnie. Dlaczego...

—
Dlaczego wciąż to robisz?

Właśnie starała się doprowadzić do ładu włosy i zamarła w pół ruchu.

—
Co takiego?

—
Czemu nieustannie wpinasz szpilki we włosy?

—
Poniewa dzięki nim mogę je poskromić.

Oniemiała z wra enia, gdy wyciągnął z jej poluzowanego węzła na karku spinki i rzucił na podłogę cię arówki.

—
Tylko po co chcesz je poskramiać?

—
Och, na Boga! - wykrzyknęła gniewnie. - Ile razy w tygodniu ktoś ci mówi, e jesteś arogancki i apodyktyczny?

—
Ju przestałem liczyć. - Wyjechał z parkingu i płynnie włączył się do ruchu. -

Masz seksowne włosy. Powinnaś je pokazywać światu.

—
Wielkie dzięki za tak inspirujące rady stylistyczne.

—
Kobiety zazwyczaj się nie dąsają, gdy męczyźni mówią im, e są seksowne.

—
Po pierwsze, wcale się nie dąsam. Po drugie, nie powiedziałeś, e ja jestem seksowna, tylko e seksowne są moje włosy.

Oderwał wzrok od drogi i zmierzył Stellę od stóp do głów.

—
Reszta te jest niczego sobie.

Uff, coś z nią nie w porządku, jeśli taki durny komplement sprawił, e poczuła łaskotanie w brzuchu. Najlepiej więc, jeśli wróci do bezpiecznych tematów.

—
A wracając do mojego pytania, przerwane go w tak niezwykły sposób, dlaczego zostałeś architektem krajobrazu?

—
Wakacyjna praca, która mi się spodobała. Czekala chwilę. Dwie. Trzy.

—
Doprawdy, Logan, czy musisz tak nieprzytomnie nadawać i zarzucać mnie tymi wszystkimi nudnymi szczegółami?

—

Wybacz, nigdy nie wiem, kiedy powinienem się zamknąć. Wychowywałem się na farmie.

—

Tak? I co? Lubiłeś to życie czy wręcz przeciwnie?

Uważałem ją za coś normalnego, jak sądzę. Podobała mi się praca na świeżym powietrzu, ale nie znosiłem wiecznej harówki.

—

Ale z ciebie gawędziarz - rzuciła, gdy znów zamilkł na dłużej.

—

Nie mam nic ciekawego do powiedzenia na ten temat. Nie chciałem zostać na farmie i mój ojciec sprzedał ją kilka lat temu. Ale lubię grzebać w ziemi, kształtować krajobraz. I umiem to robić. Inaczej bym się tym nie zajmował.

—

Zacznijmy więc z innej beczki. Skąd wiedziałeś, że umiesz to robić i że masz do tego talent?

—

Pierwszym sygnałem było to, że nie zostałem wylany z tamtej wakacyjnej pracy. - Nie miał pojęcia, czemu tak ją interesuje ta kwestia, ale ponieważ drażniła temat, postanowił zaspokoić jej ciekawość. - Wiesz, jak to bywa w szkole, na przykład na lekcjach historii? Słuchasz o bitwie pod Hastings czy przekroczeniu Rubikonu, potem zdajesz test i od razu wszystko zapominasz.

Natomiast gdy w pracy szef powiedział mi, że w tym miejscu mają rosnąć berberysy, a w tamtym pigwy, zapamiętywałem to natychmiast. Równie łatwo i szybko nauczyłem się, czego potrzebują określone rośliny. Lubiłem je sadzić. Lubiłem zmieniać krajobraz. Kształtować jego wygląd.

—

Wierz mi lub nie, mam identyczny stosunek do swoich dokumentów.

Spojrzał na nią z ukosa.

—

Nigdy bym na to nie wpadł. Ale wracając do sprawy, w pewnym momencie zacząłem spostrzegać, że może pigwy lepiej wyglądałyby w innym miejscu, a złotokap zamiast berberysu prezentowałby się oryginalniej i uwypukliłby dany fragment ogrodu. I w ten sposób zacząłem interesować się projektowaniem.

—
Ja te przez pewien czas myślałam o architekturze krajobrazu. Ale ostatecznie doszłam do wniosku, e się do tego nie nadaję. Nie umiałam jasno przedstawić swojej koncepcji ekipie bądź w pełni dostosować się do yczeń klienta. I zbyt du o czasu poświęcałam szczegółom - wymierzaniu i wyliczaniu - które potem kłóciły się z moją artystyczną wizją.

—
Kto więc zajmował się twoim ogrodem na Północy?

—
Ja - odparła ze śmiechem. - Je eli do wykonania danej czynności potrzebowałam specjalistycznego sprzętu lub większej siły mięśni ni moja i Kevina, sporządzałam listę i szkic. Bardzo szczegółowy szkic, na papierze milimetrowym. A potem sterczałam wszystkim nad głową i pilnowałam, eby ka dy detal znalazł się na swoim miejscu.

—
I udało ci się wyjść z tego cało?

—
Owszem. Ale tylko dlatego, e jestem bardzo miła i yczliwa światu. Mo e gdy w odpowiednim czasie kupię sobie własny dom, poproszę cię o kon-sultacje w sprawie ogrodu.

—
Ja nie jestem ani miły, ani yczliwy światu.

—
To zdą yłam ju zauwa yć.

—
Poza tym, skoro widziałaś tylko jedną moją pracę i to na tak wczesnym etapie, czy to nie byłoby zbyt pochopne posunięcie dla obsesyjnego dziwadła, pedantycznie zorganizowanego w działaniu?

—
Protestuję przeciwko określeniu „dziwadło”. A jeśli chodzi o twoje ogrody -

widziałam ich ju całkiem sporo. Wynałazałam w kartotece adresy klientów i pojechałam obejrzeć twoje dzieła. To, między innymi, nale y do moich obowiązków - wyjaśniła, gdy gwałtownie zatrzymał się przed znakiem „stop”

i zwrócił w jej stronę. - Przez jakiś czas obserwowałam Harpera przy pracy, a tak e Roz i pozostałych pracowników. Postanowiłam więc, e obejrzę i twoje dokonania. Bardzo mi się spodobały.

—
A gdyby było inaczej?

—
Wówczas nie rozmawiałabym z tobą na ten temat. To firma Roz, a jej niewątpliwie odpowiadają twoje projekty. Niemniej, popytałabym po cichu tu i ówdzie, obejrzała dzieła innych architektów, a potem opracowała stosowny raport i przedstawiła Roz. Na tym polega moja praca.

—
A ja sądziłem, e ogranicza się ona do przestawiania wszystkiego w firmie i zatruwania mojego ycia formularzami.

—
Nie. To tylko drobny wycinek. Nale y do niej równie troska o to, by wszyscy pracownicy, podwykonawcy i dostawcy byli najlepsi w swojej brany, a jednocześnie nie zdierali z nas skóry. Ty jesteś drogi - dodała - ale ja-kość twojej pracy to uzasadnia.

Kiedy Logan wciąż siedział nachmurzony, trąciła go lekko w ramię.

—
Męczyźni zazwyczaj się nie dąsają, gdy kobiety chwalą ich dzieła.

—
Męczyźni nigdy się nie dąsają, tylko popadają w posępny nastrój - odparł, ale wciąż marszczył brwi. Nagle dotarło do niego, e Stella bardzo du o wie o jego prywatnych sprawach. Na przykład, zna wysokość jego dochodów. I wcale mu się to nie podobało.

—
To, ile zarabiam, jakie przyjmuję zamówienia i na ile wyceniam swoją pracę, to sprawa jedynie pomiędzy mną i Roz.

—
Ju nie - oznajmiła radośnie. - Chocia we wszystkich kwestiach ostatnie słowo zawsze nale y do niej. Chciałam ci tylko powiedzieć, e Roz wykazała się doskonałym zmysłem do interesów i przezornością, gdy zatrudniała cię u siebie. A płaci ci du e pieniądze, bo jesteś tego wart. Czy

mógłbyś więc potraktować moje słowa jako komplement i odpuścić sobie fazę posępną za-dumy?

—

Jeszcze nie wiem. A ile ty zarabiasz?

—

To ju naprawdę dotyczy tylko mnie i Roz, chocia oczywiście moesz ją o to spytać. -W tym momencie z torebki Stelli dobiegły dźwięki tematu prze-wodniego „Gwiezdných wojen”. - Znak rozpoznawczy Gavina - mruknęła, sięgając po komórkę. Numer na wyświetlaczu wskazywał, e syn dzwoni z domu. - Halo? Witaj, skarbie.

Irytacja Logana zniknęła natychmiast, gdy ujrzał, jak rozjaśniła się twarz Stelli.

—

Naprawdę? To cudownie. Mhm. Oczywiście, e tak. Z pewnością nie zapomnę. Do zobaczenia.

Wrzuciła telefon z powrotem do torebki.

—

Gavin napisał celująco dyktando. -Jej!

—

Nawet sobie nie wyobraasz, jak bardzo „jej”. Będę musiała zjawić się w domu z wielką pizzą pepperoni. W naszej rodzinie motywacją - a właściwie najzwyklejszą łapówką - nie jest marchewka na końcu kija, tylko właśnie pizza.

—

Przekupujesz własne dzieci?

—

Często i bez najmniejszych skrupułów.

—

Sprytne. A więc ju dobrze im się układa w szkole?

—

Owszem. Całe moje zamartwianie się i wyrzuty sumienia były niepotrzebne.

Có , zachowam je na przyszłość. Dla chłopców to prawdziwa rewolucja w yciu - nowa szkoła, nowy

dom, nowi ludzie. Lukę szybko się ze wszystkimi zaprzyjaźnia, ale Gavin niekiedy bywa nieśmiały.

—

Na mnie nie zrobił takiego wrażenia. Wydawał się bardzo swobodny i radosny.

—

Bo łączy was zamiłowanie do komiksów. Ka dy przyjaciel Spideya i tak dalej... dlatego tak śmiało sobie poczynał w twoim towarzystwie. Ale przyznaję, e teraz obaj chłopcy dobrze sobie radzą. Wreszcie więc mogę wymazać ze swojej listy „Powodów do zamartwiania się” wyrzuty sumienia, e wyrwałam chłopców z ich środowiska.

—

Wcale by mnie nie zdziwiło, gdybyś rzeczywiście miała gdzieś w szufladzie taką listę.

Roześmiała się, a potem westchnęła z zadowoleniem, gdy wjechali na teren centrum ogrodniczego Roz.

—

Czy to nie wspaniałe miejsce? - spytała retorycznie. - Tylko popatrz.

Atrakcyjne dla oka, przyjazne dla klientów, zaprojektowane z rozmachem.

Zazdroszczę Roz jej wizji, a przede wszystkim odwagi.

—

Mam wrażenie, e i tobie na niej nie zbywa.

—

Czy to komplement? Wzruszył ramionami.

—

Zwykłe spostrzeżenie.

Ponieważ zawsze chciała uchodzić za silną kobietę, nie zamierzała przyznać, e jej życiem często rządzi strach. e rutyna i pedantyczny porządek są tarczami obronnymi, mającymi minimalizować obawy.

—

Có , dziękuję ci za wnikliwe spostrzeżenie i urocze popołudnie. - Otworzyła drzwi i wyskoczyła z kabiny cię arówki. - Pierwszym punktem na mojej liście priorytetów jest teraz wyprawa do miasta na eberka.

—
Nie będzie to zmarnowany czas, zaręczam. - Logan te wysiadł i stanął obok niej. Sam nie wiedział, dlaczego tak zrobił - prawdopodobnie z przyzwyczajenia. Kłaniały się zasady wpojone przez matkę w dzieciństwie. Chociaż teraz nie była to sytuacja, gdy chłopak odprowadza dziewczynę pod drzwi domu i całuje ją na dobranoc.

Stella w pierwszej chwili chciała mu uścisnąć rękę, ale szybko doszła do wniosku, że byłoby to idiotycznie oficjalne. Uśmiechnęła się więc tylko promiennie.

—
Jeszcze dziś puszcze chłopcom tę płytę. Dowiem się, co sądzą o Elvisie.

—
Doskonale. A więc do zobaczenia.

Odwrócił się, zaklął jednak pod nosem, rzucił okulary na maskę i ruszył w stronę Stelli.

Nie była nierozgarnięta ani naiwna. Dobrze wiedziała, co zamierzał zrobić, kiedy znajdował się jeszcze dobry krok przed nią, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa i stała niczym wmurowana.

Wsunął dłonie we włosy Stelli i przyciągnął do siebie jej twarz. Pierwszy raz spojrzała mu z bliska w oczy: na zielonym tle widniały złociste cętki.

Wszystko jednak rozmazało się przed jej oczami, gdy poczuła jego usta na swoich. W tym pocałunku nie było wahania. Logan zachowywał się jak męczyzna, który robił to, co zamierzał zrobić, i z elazną konsekwencją wypełniał swoje postanowienie, mimo że wcale nie sprawiało mu to szczególnej przyjemności.

Oderwał się od niej na chwilę.

—
Szlag by to trafił! - mruknął i znowu przywarł wargami do jej warg, tym razem przyciskając jej ciało do swojego.

Nie powinien w ogóle jej całować. Jednak kiedy już to zrobił, bez sensu byłoby zatrzymywać się w pół drogi. A teraz znalazł się w opałach, bo zniewoliły go jej seksowny zapach i miękkie, pełne usta.

No i włosy. Te gęste, jedwabiste, skrecone pasma. Im bardziej przyciskał do siebie Stellę, im wyraźniej wyczuwał jej kobiece kształty, tym szybciej cichły wszystkie dzwonki alarmowe w jego głowie.

W końcu zdołał się od niej oderwać. Kiedy postąpił krok w tył, zobaczył na jej twarzy rumieńce

uwytatniające ciemny błękit oczu, które na dodatek wydawały się jeszcze większe niż zazwyczaj. Na ten widok miał ochotę zarzucić sobie Stellę na ramię i porwać ją w jakieś ustronne miejsce, gdzie mogliby skończyć to, co zaczęli pocałunkiem. Ten impuls był tak silny, że na wszelki wypadek Logan cofnął się jeszcze parę kroków.

—

No cóż. - Wydawało mu się, że panuje nad swoim głosem, ale nie był tego całkiem pewien, bo wciąż jeszcze krew pulsowała mu w uszach. - To do zobaczenia.

Wsiadł do ciężarówki, włączył silnik i wrzucił wsteczny bieg. Kiedy oślepiło go słońce, szybko nacisnął na hamulec.

Tymczasem Stella schyliła się i podniosła okulary przeciwsłoneczne, które spadły z maski samochodu na wir. Logan opuścił okno i patrząc jej w oczy, wyciągnął rękę.

—

Dzięki.

—

Nie ma za co.

Wsunął okulary na nos, wycofał samochód i wyjechał za bramę.

Stella ze świstem wypuściła powietrze, wzięła głęboki oddech, a potem na miękkich nogach skierowała się ku gankowi. Gdy tylko doszła do schodków, usiadła ciężko na pierwszym stopniu.

—

Wielki Boże - wyszeptała.

Nie ruszyła się nawet wtedy, gdy mijali ją wchodzący i wychodzący z centrum klienci, bo wciąż nie mogła dojść do siebie. Czowała się tak, jakby zepchnięto ją z klifu i ledwie trzymała się czubkami palców niewielkiego występu.

I co miała teraz począć? Jak mogła dojść do sensownych wniosków, jeśli w ogóle nie była w stanie jasno myśleć?

Z trudem dźwignęła się ze schodka i otarła wilgotne dłonie o spodnie. Za chwilę pójdzie spokojnie do swojej pracy, a potem zamówi pizzę i pojedzie do domu, do chłopców. Powróci do normalności.

Harper podsypał świeżą ziemię pod powojnik pnący się po kracie z kutego elaza. W tym zakątku ogrodu panowała cisza. Domek gościnny od głównej rezydencji oddzielały krzewy, ozdobne drzewa i rabaty kwiatowe.

W ostatnich dniach zakwitły onkile i teraz odcinały się ostrym ółtym kolorem od soczystej zieleni. Wkrótce rozwiną się tulipany. Poniewa Harper uwielbiał wczesnowiosenne kwiaty, zasadził je tu przy tylnym wejściu.

Ten domek, w którym mieszkał od kilku lat, był niegdyś powozownią.

Wszystkie kobiety, jakie tu przyprowadzał, uważały, e jest przeuroczy, i naj-częściej określały go mianem „domku dla lalek”. Osobiście mu to nie przeszkadzało, choć sam wolał myśleć o dawnej powozowni jako o chacie zarządcy

- dobrego gospodarza dogładającego posiadłości.

Kilka kroków od tylnego wejścia stała mała szklarnia - jego niepodzielne królestwo. Sam dom był na tyle oddalony od rezydencji, e jego właściciel mógł

bez skrępowania przywozić tu kobiety, a jednocześnie stał dość blisko, by Harper w ciągu paru minut mógł znaleźć się u boku matki, gdyby go pilnie potrzebowała.

Nie podobało mu się, e mieszkała sama. Dzięki Bogu, e miała pod ręką Davida. Harper wiedział, e Roz jest niezależna i wyjątkowo silna psychicznie, mimo to przykro mu było na myśl, e snuje się samotnie po tym wielkim, starym domiszczu.

Ale te zdecydowanie wolał, eby była sama, ni gdyby wciąż miała przy sobie tego dupka, którego poślubiła parę lat temu. adne słowa nie mogły wyrazić, jak bardzo pogardzał Bryce'em Clerkiem. Fakt, e matka dała się mu zwieść, wskazywał zapewne, e nie jest nieomylna. Na szczęście błyskawicznie naprawiła ów fatalny błąd.

Szybko i bezlitośnie wykopała Bryce'a z domu. Harper jednak przez długi czas niepokoił się, jak ów palant zniesie pozbawienie go eleganckiego, wygodnego lokum i pieniędzy Roz.

I rzeczywiście, na kilka dni przed uprawomocnieniem rozvodu ten chciwy, kłamliwy, niewierny sukinsyn próbował włamać się do rezydencji. Harper nie miał wątpliwości, e matka sama poradziłaby sobie w tej sytuacji, dużą jednak przyjemność sprawiło mu własnoręczne wywalenie tego typu z domu na zbity łeb.

Od tamtej pory, na szczęście, minęło ju trochę czasu, a na dodatek teraz Roz z pewnością nie mogła narzekać na samotność. Dwie kobiety i dwójka dzieci to całkiem spore towarzystwo.

Mo e i on powinien wreszcie pomyśleć o zmianie adresu? Problem w tym, e nie widział powodu, dla którego miałby się stąd wyprowadzać. Kochał to miejsce tak, jak nigdy nie kochał adnej kobiety.

arliwie. A jednocześnie i traktował je z szacunkiem i wdzięcznością.

Jego całym światem były ogrody. Bóg jeden wie, e nie mógłby mieszkać w mieście - nie zniosłby tego hałasu i tłumów. Memphis świetnie się nadawało na wypad do klubu, spotkanie z przyjaciółmi czy randkę. Gdyby jednak przeniósł się tam na stałe - w ciągu miesiąca by się udusił.

Przykucnął i poprawił baseballówkę przytrzymującą jego długie włosy.

Wiosna zbliżała się wielkimi krokami. A dla Harpera nie było nic piękniejszego niż wiosna w „Edenie”. Uwielbiał tutejsze widoki, zapachy, a nawet odgłosy.

Wraz z nadchodzącym wieczorem światło nabrało szczególnej miękkości.

Kiedy słońce zajdzie na dobre, w powietrzu zapanuje chłód, ale nie będzie już tego ostrego podmuchu zimy.

Wkrótce Harper skończy sadzić flance, a wtedy pójdzie po piwo, potem zaś rozsiądzie się w ciemności na ganku i zacznie rozkoszować się samotnością.

Wyjął z kartonu dorodny, ólty bratek i wetknął w przygotowany dołek.

Był tak zaabsorbowany pracą, e nie usłyszał zbliżających się kroków ani nie zwrócił uwagi na kładący się przed nim cień. Gdy więc usłyszał przyjazne:

„cześć”, o mało nie wyskoczył ze skóry.

—

Przepraszam. - Hayley ze śmiechem pogładziła dłonią brzuch. - Zdaje się, e byłeś tysiące kilometrów stąd.

—

Najwyraźniej. - Nagle odniósł wrażenie, e jego palce grubieją i stają się niezdarne, a mózg odmawia mu posłuszeństwa. Hayley stała pod słońce; gdy na nią spojrzał, jej głowę otaczała aureola, ale twarz spowijał cień.

—

Przechodziłam w pobliżu i usłyszałam muzykę. - Wskazała głową na okno, skąd dobiegał utwór REM. - Kiedyś byłam na ich koncercie. Rewelacja.

Sadzisz bratki? Idą teraz jak woda.

—

Lubią chłód.

—
Wiem. Dlaczego jednak wybrałaś dla nich akurat to miejsce? Przecie rośnie tutaj ta pnąca roślina.

—
Powojnik. Lubi mieć zacienione korzenie. Więc... więc najlepiej posadzić na nich coś jednorocznego.

—
Ach, tak. - Przykucnęła, by lepiej się przyjrzeć jego pracy. - A jakiego koloru są kwiaty powojnika?

—
Jasnofioletowe. - Chyba cię arne kobiety nie powinny kucać. W ten sposób przygniatały sobie wszystko w brzuchu. - Czy przynieść ci krzesło?

—
Nie, dzięki. Podoba mi się twój dom.

—
Uhm. Mnie te .

—
Przypomina chatkę z bajki. To znaczy - du y dom jest fantastyczny, ale jednocześnie trochę onieśmielający. - Wykrzywiła się lekko. - Nie chciałabym w adnym razie wyjść na niewdzięcznicę.

—
Nie. Wiem, co masz na myśli. - Nie pachniała jak kobieta w cią y. Aromat, który wokół niej się unosił, był cholernie seksowny. To chyba nie w po-rządku. - Rezydencja jest wspaniała i adna siła nie wygnałaby z niej mojej matki. Ale nie da się ukryć, e to wielkie, majestatyczne domiszcze.

—
Dopiero po tygodniu przestałam chodzić na palcach i przewycię yłam odruch mówienia szeptem. Czy mogę te coś posadzić?

—
Nie masz rękawiczek. Poczekaj, przyniosę ci...

Do diabła, nie przeszkadza mi odrobina ziemi pod paznokciami. Dzisiaj przyszła do centrum klientka, która powiedziała, e sadzenie roślin przynosi szczęście kobietom w ciąży. Zdaje się, e ma to coś wspólnego z płodnością.

Harper nie chciał myśleć o płodności. Z jakichś względów go to przerażało.

—
A więc bardzo proszę.

—
Dzięki. Chciałam ci coś powiedzieć... Wiem, jak to może wyglądać. Zjawiłam się znikąd i wylądowałam w domu twojej mamy. Ale nie mam zamiaru jej wykorzystywać czy naciągać. Chciałam, ebyś wiedział, e nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła.

—
Znam tylko jedną osobę, której udawało się to przez jakiś czas, ale bardzo krótki.

—
Drugi mąż. - Hayley pokiwała głową, uklepując ziemię. - Zapytałam o niego Davida, eby nie popełnić jakiejś głupiej gafy. Dowiedziałam się, e ten facet wyciągał od Roz pieniądze, a na dodatek ją zdradzał. - Chwyciła następny bratek. - A kiedy twoja mama zwietryła pismo nosem, wykopała go tak energicznie, e zatrzymał się dopiero w Memphis. Podziwiam ją za to, bo nawet jeśli była wściekła, ta cała sprawa musiała ją głęboko zranić. To e-nujące, gdy... uff!

Gwałtownie przycisnęła rękę do brzucha, a Harper pobiełał na twarzy.

—
Co takiego? Co się stało?

—
Nic. Dziecko się trochę wierci. Czasami kopnie mnie zbyt mocno - to wszystko.

—
Powinnaś wstać... Powinnaś usiąść.

—
Niech skończę z tym bratkiem. W Little Rock, kiedy moja ciąża stała się widoczna, niektórzy doszli do wniosku, e porzucił mnie chłopak, e wpadłam w poważne tarapaty. Jezu, przecie jesteśmy w dwudziestym pierwszym wieku! Wkurzało mnie to, ale jednocześnie czułam się zaenowana. Myślę, e

to jeden z powodów, dla których się stamtąd wyniosłam. Nie miałam ochoty przez cały ten cholerny czas czuć się za enowana. Proszę. - Ostatni raz uklepała ziemię. - Wyglądają bardzo pięknie.

Harper zerwał się na równe nogi, by pomóc Hayley się podnieść.

—

Chcesz usiąść na moment? A mo e mam cię odprowadzić? Poklepała się po brzuchu.

—

Widzę, e mój stan przyprawia cię o nerwowość.

—

Na to wychodzi.

—

Nie przejmuj się. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. A ty na pewno chciałbyś zasadzić resztę tych bratków przed zapadnięciem zmroku. -

Zerknęła na flance, a potem na dom i ogród.

W końcu spojrzała mu w oczy i Harper poczuł, e nagle zaschło mu w gardle.

—

Bardzo mi się tutaj podoba. Do zobaczenia w pracy.

Stał jak wmurowany, gdy wąską ście ką odchodziła w zmierzch.

W końcu zniknęła mu z oczu na zakręcie i wówczas zdał sobie sprawę, e jest wyczerpany, jakby przed chwilą brał udział w jakimś szaleńczym wyścigu.

Chyba od razu napije się tego piwa i złapie oddech. Ostatecznie bratki mogą poczekać.

Dzieci zabrały Parkera na spacer i wreszcie Stella mogła się zabrać do uprzątnięcia kuchni. Nie do wiary, jaki bałagan mo e zrobić dwóch chłopców do spółki z psem podczas jedzenia jednej pizzy.

—

Następnym razem ja funduję - oznajmiła Hayley, wkładając szklanki do zmywarki.

—

- Dobra. Trzymam cię za słowo. - Stella zerknęła na dziewczynę przez ramię. - Kiedy chodziłam w cią y z Lukiem, miałam ochotę tylko na włoskie jedzenie. Objadałam się pizzą, spaghetti i manicotti.

A dziw, e Lukę nie wyskoczył mi z brzucha, śpiewając „Amore mio”. .

—

Ja nie miewam jakichś szczególnych zachcianek. Mam po prostu apetyt na wszystko. - Chłopcy ścigali się z psem przy świetle ogrodowych reflektorów.

- Dziecko jest bardzo ruchliwe. To chyba normalne?

—

Jasne. Co prawda Gavin był dość leniwy i du o spał, tak e niekiedy musiałam go szturchnąć palcem lub pić colę, eby się poruszył. Za to Lukę wiecznie się wiercił i ćwiczył przedziwne figury. Czy maleństwo budzi cię po nocach?

—

Czasami, ale to mi nie przeszkadza. Mam wtedy wra enie, e na świecie jest jedynie nas dwoje. Tylko ja i on... lub ona.

—

Rozumiem, co masz na myśli. Ale pamiętaj, Hayley, e jeśli się obudzisz i zaczniesz czymś martwić lub poczujesz się gorzej, mo esz do mnie w ka dej chwili przyjść.

—

Naprawdę? Mówisz powa nie?

—

Oczywiście. Czasami rozmowa z kimś, kto ju przez to samo przeszedł, mo e wiele pomóc.

Hayley poczuła, e coś ściska ją w gardle. Do oczu napłynęły jej łzy.

—

A jednak nie zostałam sama - powiedziała cicho, wpatrując się w chłopców hasających po trawniku. - A byłam przekonana, e tak się stanie i muszę się na to przygotować. - Łzy pociekły jej po policzkach, więc szybko otarła je palcami. - Hormony. O Bo e.

—

Płacz te niekiedy pomaga. - Stella zaczęła masować jej ramiona. -A gdybyś chciała, eby ktoś ci towarzyszył w czasie wizyty u lekarza, powiedz tylko słowo.

—

Kiedy byłam u niego ostatnio, powiedział, e wszystko jest w najlepszym porządku, ale chciał, ebym zapisała się do szkoły rodzenia. Tymczasem oni tam wymagają, by przychodzić z partnerem.

—

Weź mnie!

—

Naprawdę?- Hayley spojrzała na Stelle z uśmiechem pełnym niedowierzania.

- Jesteś pewna? To byłby dla ciebie du y kłopot.

—

Zrobię to z największą przyjemnością. Będzie prawie tak, jakbym oczekiwała własnego dziecka.

—

A miałybyś następne, gdyby...

—

Zapewne. Planowaliśmy tylko dwójkę, ale po urodzeniu Luke'a pomyślałam, e bardzo chciałabym prze yć to wszystko jeszcze raz i byłoby fajnie mieć te córeczkę. Chocia oczywiście nie mielibyśmy nic przeciwko kolejnemu chłopcu. - Stella pochyliła się do przodu i wyjrzała przez okno. - Czy moje urwisy nie są fantastyczne?

—

Są super.

—

Kevin był z nich bardzo dumny i bardzo ich obu kochał. Myślę, e chętnie miałby nawet sześcioro dzieci.

Hayley usłyszała subtelną zmianę w głosie Stelli i teraz to ona zaczęła głaskać ją po ramieniu.

—

Czy wciąż jeszcze cię ko ci o nim mówić?

—

Ju nie. Przez jakiś czas to bardzo bolało. - Złapała zmywak; by powycierać blaty. - Ale teraz są to tylko przyjemne, nostalgiczne wspomnienia. Muszę zawołać chłopców do domu.

Z holu dał się słyszeć stukot obcasów. Kiedy Roz weszła do kuchni, Stella mimowolnie otworzyła usta z podziwu.

Przy pierwszym spotkaniu uznała ją za piękność, ale dopiero teraz zobaczyła, jak wygląda Roz, gdy w pełni wykorzystuje atrybuty, jakimi obdarzyła ją natura.

Miała na sobie dopasowaną suknię w kolorze miedzi, który pięknie uwy-pukłał złocistą cerę. Natomiast delikatne sandały na wysokiej szpilce podkreślały smukłość jej długich nóg.

—

David? - Roz rozejrzała się po kuchni, po czym teatralnie przewróciła oczami. - Jak tak dalej pójdzie, to się przez niego spóźnię.

Stella gwizdnęła głośno.

—

O rany! Nic innego nie mogę z siebie wykrztusić, jak tylko: „O rany!”.

—

Hm - Roz uśmiechnęła się i wykonała półobrót. - Nie wiem, co mnie opętało, gdy kupowałam te buty. Całkowicie maltretują mi nogi. Ale kiedy ju daję się zawlec na którąś z tych charytatywnych imprez, lubię wyrazić zaznaczyć swoją obecność.

—

Jeśli przez „wyraziście” rozumiesz przesłanie: „Spójrzcie, jaka ze mnie laska!”, to idealnie ci się udało.

—

Taki właśnie miałam zamiar.

—

Wyglądasz oszałamiająco. Seksownie i z klasą. Ka dy obecny tam facet będzie marzył, eby cię zabrać dzisiejszego wieczoru do domu.

—

Tak sądzisz? - Roz wybuchnęła śmiechem. - Jak e miło mieszkać z kobietami. Kto wie, co się wydarzy? Teraz muszę pogonić Davida, bo inaczej będzie się szykował przez następną godzinę.

—

Baw się dobrze. Ta kobieta w adnym razie nie wygląda na czyjąkolwiek matkę - mruknęła Stella pod nosem.

Ciekawe, jak będę wyglądać za dwadzieścia lat, zastanawiała się Hayley, Studiując swoją twarz w lustrze i jednocześnie wcierając w skory olejek Z wi-taminą E. Czy wówczas jeszcze będzie mogła zrobić się na bóstwo?

Natura nie obdarzyła jej tak hojnie jak Roz. Babcia Hayley zwykła mawiać, e piękno kryje się w układzie kości. Ale Hayley w pełni pojęła sens "tego powiedzenia dopiero wtedy, gdy poznała Rosalind.

Ona nigdy nie będzie równie piękna jak kuzynka czy tak efektowna jak Stella. Ale zawsze dbała o cerę, stosowała te ró ne sztuczki wiza ystów, o których czytała w magazynach.

I faceci na nią lecieli.

Co dla wszystkich musi być oczywiste, pomyślała, z ironicznym uśmiechem spoglądając na swój du y brzuch.

—
Teraz ty jesteś dla mnie najwa niejsze, moje maleństwo - powiedziała, wciągając przez głowę wielki t-shirt.

Weszła do łó ka, poprawiła poduszki i sięgnęła po jedną z ksią ek le ących na stoliku. Były to głównie prace dotyczące cią y, porodu i faz rozwoju dziecka.

Hayley codziennie czytała którąś z nich przez co najmniej kwadrans przed snem.

Kiedy powieki zaczęły jej cią yć, zgasiła światło. Uło yła się wygodnie, po czym szepnęła:

—
Dobranoc, dziecinko.

Ju odpływała w sen, gdy poczuła dziwny chłód i nabrała niemiłego przekonania, e nie jest sama w pokoju. Puls jej przyspieszył i po chwili nie słyszała nic poza własnym tętnem. Zbierając się na odwagę, ostro nie otworzyła oczy.

Obok łó ka ujrzała kobiecą postać o jasnych włosach i ślicznej twarzy. Miała ochotę krzyknąć, jak za ka dym razem, gdy widziała tę kobietę. Powstrzymała się jednak, zebrała w sobie i wyciągnęła rękę.

Kiedy jej dłoń przeszła ramię nieznamomej, Hayley wydała z siebie zduszony okrzyk. I nagle znowu była sama, gdy trzęsącą się dłonią sięgnęła do włącznika lampki.

—

To nie halucynacja! - wyszeptała nerwowo. - To nie halucynacja.

Stella weszła na drabinkę, by zawiesić kolejny koszyk obsadzony kwiatami.

Przestudiowawszy wyniki ubiegłorocznej wiosennej sprzedaży, postanowiła w tym roku zwiększyć zyski o piętnaście procent.

—

Przecież ja mogę to zrobić - upierała się Hayley. - Chyba nie sądzisz, że spadnę z jakiejś głupiej drabiny.

—

Nawet o tym nie myśl. Podaj mi teraz te begonie.

—

Są przepiękne. Wyjątkowo dorodne.

—

Roz i Harper pracowali nad nimi przez całą zimę. Begonie i niecierpki zazwyczaj najlepiej się sprzedają. Przy takich ogrodnikach jak Roz i Harper nie powinno nam ich zabraknąć do końca sezonu, a w wypadku tych gatunków nasze koszty własne są dość niskie. Zarobimy więc kupę pieniędzy.

—

Ludzie mogliby przecież sami je wyhodować.

—

Jasne. - Stella zeszła z drabiny, przesunęła ją kawałek dalej i znowu weszła na górę. - Ale nie potrafią się oprzeć tym pięknym kształtom i kolorom.

Nawet doświadczeni ogrodnicy, sami zajmujący się hodowlą z nasion, nie potrafią przejść obojętnie obok wielkich, pięknych kwiatostanów.

—

Dlatego właśnie wszędzie rozwieszamy te kosze.

—

Pokusa. Chcemy uwieść naszych klientów. A poczekaj, co się stanie, kiedy ustawimy przed wjazdem wszystkie kwitnące rośliny. Nie opędzimy się od tłumów.

Wybrała kolejny koszyk.

—

Zadzwoń na pager Roz, dobrze? Potrzebuję jej zgody, eby zawiesić więcej koszyków w szklarni numer trzy. A potem wybierz jakąś doniczkę spośród tych największych, które nie poszły w zeszłym roku. Chcę jedną z nich obsadzić kwiatami i postawić na ladzie, tu przy kasie. Jestem pewna, e sprzedamy ją jeszcze dzisiaj. A właściwie, wiesz co? Wybierz dwie. I usuń z nich ceny po obni ce. Sprzedamy je wszystkie i to z du ym zyskiem.

—

Pojmuję.

—

Jedna z nich niech będzie kobaltowa! - wykrzyknęła w stronę oddalających się pleców Hayley. - Wiesz, o którą mi chodzi? Tylko, broń Bo e, sama jej nie dźwigaj!

Stella zaczęła w myślach układać kompozycję. Same białe kwiaty: heliotrop, niecierpki i zwisające, śnie ne petunie, a do tego srebrne akcenty -szałwia i firletka. Do diabła, powinna powiedzieć Hayley, eby przygotowała te jedną kamienną donicę. Jej szarość będzie pięknie kontrastować z szafirem kobaltu.

Tym bardziej e obsadzi ją kwiatami w gorących odcieniach czerwieni: pelargoniami, lobelią, werbeną i karminowymi niecierpkami.

Szybko skalkulowała cenę roślin, donic, ziemi i od ywek. Zadowolona z wyniku, uśmiechnęła się z satysfakcją i zabrała do wieszania kolejnego kosza.

—

Nie powinnaś siedzieć w swoich papierkach?

Zachwiała się i gdyby du a dłoń nie przytrzymała jej za pośladek, zapewne spadłaby na ziemię.

—

Nie zajmuję się tylko dokumentami - odparła. Gdy stała na drabinie, ich twarze znajdowały się na jednym poziomie. - Mo esz ju zabrać rękę, Logan.

—

Kiedy jej jest tam bardzo dobrze. - Oderwał jednak dłoń i schował do kieszeni. - Ładne kwiaty.

—

Dzięki.

—

Kiedy wchodziłem, miałaś szczególną minę.

—

To naturalne dla istot posiadających twarz.

—

Nie, nie. Wyglądałaś jak kobieta, która się zastanawia, co zrobić, by cał-

kowicie pograżyć faceta.

—

Doprawdy? Mógłbyś mi go podać? - Wskazała na kolejny koszyk. - Trafiłeś jak kulą w płot. Bo akurat myślałam o tym, eby dwie wielkie donice, te z towarów przecenionych, obsadzić kwiatami i sprzedać ze znacznym zyskiem.

Logan podniósł następny koszyk i zawiesił bez trudu, jedynie wyciągając rękę do góry.

—

Szpaner.

—

Kurdupel.

Hayley stanęła w drzwiach, ale obróciła się szybko na pięcie i z powrotem ruszyła w stronę zaplecza.

—

Hayley!

—

Zapomniałam czegoś! - krzyknęła przez ramię.

Stella a sapnęła ze złości. Chciała poprosić Logana o kolejny koszyk, ale nie miało to większego sensu, bo zdążył ju go powiesić.

—

Ostatnio byłeś bardzo zajęty.

—

Cały tydzień bez deszczu.

—

Je eli przyjechałeś po te krzewy dla Pitta, mogę wypełnić za ciebie formularze.

—

Moi pracownicy ju je ładują. Ja natomiast chciałem cię zobaczyć.

—

No więc widzisz.

Nie spuszczał z niej wzroku.

—

Przecie nie jesteś idiotką.

—

Nie jestem. Ale nie jestem te pewna...

—

To tak jak ja - wszedł jej w słowo. - Niemniej, miałem ochotę znów się z tobą spotkać. Choć mnie irytuje, e tak natrętnie włączysz w moje myśli.

—

Dzięki. Jak słyszę podobne wyznanie, mam ochotę natychmiast paść ci w ramiona.

—

Nie chcę, ebyś padła. Gdybym tego chciał, po prostu podciąłbym ci teraz nogi.

Poło yła dłoń na sercu i zatrzepotała teatralnie rzęsami.

—

O rany, te romantyczne uniesienia to dla mnie zbyt wiele.

—

Lubię cię, Rudzielcu - powiedział z uśmiechem. - Przyjadę po ciebie o siódmej.

—

Co takiego? Dzisiaj? - Rozbawienie natychmiast przerodziło się w panikę. -

Nie mogę tak, ot, wyjść sobie wieczorem. Mam dwoje dzieci.

—

A w domu, oprócz tych dzieci, mieszka troje dorosłych. Jestem pewien, e ktoś z nich bądź wszyscy razem mogą się zaopiekować twoimi synami przez kilka godzin.

—

Nie. Bo nikogo nie poprosiłam o taką przysługę. Rozumiem, e podobny pomysł jest ci zupełnie obcy, a poza tym... - odgarnęła nerwowo włosy -

...mogłam ju coś zaplanować na dzisiejszy wieczór.

—

A zaplanowałaś?

—

Ja zawsze mam plany.

—

Oczywiście. Więc je zmień, wyka odrobinę elastyczności. Zabrałaś ju chłopców na eberka?

—

Tak. W zeszłym tygodniu, tu po...

—

To dobrze.

—

Czy zdajesz sobie sprawę, jak często przerywasz mi w środku zdania?

—

Nie. Ale od tej pory zacznę liczyć... Cześć, Roz.

—
Witaj, Logan, Slollo, le kosze wyglądają wspaniale. - Roz zatrzymała się w połowie przejścia i rozejrzała dookoła, odruchowo otrzepując rękawice o d insy, ju powalane ziemią. - Nie byłam pewna, czy taka ilość roślin nie będzie działać przytłaczająco, ale widzę, e miałaś rację. Ta rónorodność kwiatów zachwyca.

Zdjęła baseballówkę i wło yła do tylnej kieszeni spodni. Do drugiej wetknęła rękawice, po czym spojrziała Stelli prosto w oczy.

—
Czy w czymś przeszkodziłam? - spytała. -Nie.

—
Tak - poprawił Stellę Logan. - Ale to nie szkodzi. Czy mogłabyś dziś wieczorem popilnować Luke'a i Gavina?

—
Jeszcze nie powiedziałam...

—
Oczywiście. Z największą przyjemnością. Gdzieś się razem wybieracie?

—
Na małą kolację. - Zwrócił się w stronę Stelli: - Zostawię fakturę na twoim biurku. Do zobaczenia o siódmej.

Gdy Logan zniknął jej z oczu, opadła na pobliski stołek.

—
Nie bardzo mi pomogłaś.

—
Odniosłam wręcz przeciwne wra enie. - Roz zaczęła obracać jeden z koszyków, by sprawdzić symetrię kompozycji. - Wyjdiesz z domu, rozerwiesz się. A ja z przyjemnością spędzę trochę czasu z chłopcami. Poza tym, gdybyś naprawdę nie miała ochoty na tę kolację, to byś nie poszła. Ostatecznie na-le ysz do kobiet, które potrafią głośno i zdecydowanie powiedzieć „nie”.

—

Mo e masz rację. Ale zdecydowanie wolałabym otrzymać zaproszenie z większym wyprzedzeniem.

—

Logan jest, jaki jest. - Roz poklepała Stellę po kolanie. - Ma jednak swoje zalety. Nie musisz się zastanawiać, co ten facet ukrywa w zanadrzu czy te jaką prowadzi grę. Logan to... nie mogę powiedzieć „miły męczyzna”, bo potrafi być wkurzający, ale jest szczery i uczciwy. A wierz mi, to wyjątkowo cenne cechy.

Randki z reguły nie są tego warte, pomyślała Stella. Zdesperowana, stała w samej bieliźnie przed szafą, nie mogąc zdecydować, co na siebie włożyć.

Przecie nawet nie miała pojęcia, dokąd się wybierają. Nienawidziła takich sytuacji. Jak mogła się odpowiednio przygotować, jeśli nie wiedziała na co?

Samo słowo „kolacja” to adna wskazówka. Czy mieli pójść do miejsca, gdzie najodpowiedniejszym strojem byłaby mała czarna, czy raczej elegancka, ale mniej oficjalna sukienka? Czy może designerska garsonka? Albo raczej spodnie, koszula i marynarka, czy te dżinsy i jedwabna bluzka?

Na dodatek, decydując, że przyjedzie po nią o siódmej, Logan nie zostawił

jej czasu na przygotowanie, nie mówiąc jej o starannym doborze stroju.

Randka. Jak coś tak pożądanego i ekscytującego w latach wczesnej młodości, tak naturalnego i zajmującego po dwudziestce, mogło się przekształcić w skomplikowaną, a nawet denerwującą sytuację po skończeniu trzydziestki?

Zapewne dlatego, że ludzie dorośli, umawiający się na kolację, zazwyczaj mieli już za sobą co najmniej jeden poważny związek, przeżyli rozstanie, złałi komuś serce lub sami cierpieli. Byli obciążeni określonym bagażem do-

świadczeń. Mieli własne nawyki, jasno zdefiniowane oczekiwania i na dodatek znali ten rytuał tak dobrze, że chcieli od razu przejść do konkretów.

Do tego wszystkiego wystarczy dorzucić faceta, który nie stąd, nie zowąd zaprasza gdzieś kobietę wieczorem i nie ma dość zdrowego rozsądku, by dać jej choćby drobne wskazówki co do stroju - i potencjalne zawirowanie gotowe.

W porządku. W razie czego będzie mógł mieć pretensje tylko do siebie.

Właśnie wciągała krótką, czarną sukienkę, gdy drzwi łazienki otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadł Gavin.

—

Mamo! Skończyłem lekcje! Lukę jeszcze siedzi nad książką, ale ja wszystko zrobiłem. Mogę już iść na dół? Mogę, mamo?

Parker wbiegł za Gavinem i zaczął skrobać łapami nogę Stelli. Jak dobrze, że postanowiła włożyć sandały i nie wciągnęła pończoch.

—

Czy nie zapomniałeś o czymś, synku?

—

Nieeee. Przepisałem dokładnie wszystkie słowa.

—

A nie zapomniałeś przypadkiem w coś zapukać?

—

Ach! - Uśmiechnął się niewinnie. - Ładnie wyglądasz, mamusiu.

—

Niezły z ciebie czarodziej. - Pochyliła się i pocałowała chłopca w czubek głowy. -Ale musisz zapamiętać, e jak drzwi są zamknięte, nale y zawsze pukać.

—

No dobra. Czy mogę ju iść na dół?

—

Za chwilę. - Podeszła do toaletki i wsunęła w uszy du e, srebrne koła. -Masz mi obiecać, e będziesz grzeczny i nie sprawisz adnych kłopotów pani Roz.

—

Zjemy na kolację cheeseburgery, a potem pogramy w gry komputerowe. Pani Roz mówi, e nas ogra, ale ja jej nie wierzę.

—

I adnych kłótni z bratem. - Pobo ne yczenie, uznała w myślach. - Dzisiejszego wieczoru postaraj się zapomnieć o swojej głównej misji yciowej.

—

Mogę ju iść?

—

Biegnij. - Klepnęła go lekko w pupę. - Pamiętaj, e mam przy sobie telefon.

Jakbyś mnie potrzebował, natychmiast dzwoń.

Kiedy wypadł na korytarz, Stella wsunęła stopy w sandały, a na ramiona zarzuciła cienki sweter. Zerknęła w lustro i z zadowoleniem skinęła głową -

osiągnęła zamierzony efekt: wyglądała elegancko, ale nieoficjalnie.

Chwyciła torebkę i ruszyła w stronę pokoju chłopców. Łukę leżał na brzuchu na podłodze - w swojej ulubionej pozycji - i z nieszczęśliwą miną wpatrywał się w książkę do arytmetyki.

—

Kłopoty, przystojniaku?

Uniósł głowę i wykrzywił usta w podkówkę.

—

Nienawidzę prac domowych.

—

To tak jak ja.

—

Gavin odtańczył taniec wojownika, bo skończył pierwszy. Stella usiadła na podłodze obok synka.

—

Popatrzmy, co tu masz.

Wiedziała, że to demoralizujące, ale nie mogła patrzeć na jego ałosną minę.

—

Po co właściwie muszę wiedzieć, ile jest dwa dodać trzy?

—

A skąd inaczej byś wiedział, ile palców ma twoja ręka? Zmarszczył

brwi, a po chwili spojrział na nią z promiennym uśmiechem.

—

Pięć!

Po zaegnaniu pierwszego kryzysu pomogła mu z resztą obliczeń.

—
No, proszę. Wszystko gotowe. Nie było tak źle, prawda?

—
Ale i tak nie znoszę odrabiania lekcji.

—
Rozumiem. A teraz czas na taniec wojownika.

—
Luke poderwał się z podłogi i dumnie przemaszerował wokół pokoju, wy-machując nad głową rękami.

—
Dlaczego nie chcesz dziś jeść z nami kolacji? Przecie będą cheeseburgery.

—
Sama nie wiem. Nie sprawisz pani Roz kłopotu, prawda?

—
Prawda. Pani Roz jest fajna. Lubię ją. Kiedyś wyszła przed dom i rzuciła piłkę Parkerowi. Wcale jej nie przeszkadzało, a piłka była obśliniona.

Niektórym dziewczynom to przeszkadza. Pójdę ju teraz na dół, dobrze? Bo jestem głodny.

- To leć.

Stella wsiała z podłogi i machinalnie zaczęła porządkować porozrzucone zabawki. Przesunęła palcami po niektórych skarbach chłopców. Po ukochanych komiksach Gavina i jego baseballowej rękawicy. Po najulubiejszej cię arówce Luke'a i sfatygowanym misiui, z którym wciąż jeszcze sypiał.

Po chwili jednak przeszył ją zimny dreszcz i poczuła, jak, pomimo swetra, jej ciało pokrywa gęsia skórka. Kątem oka pochwyciła jakiś refleks w lustrze stojącym na komodzie.

Kiedy odwróciła się gwałtownie, ujrzała w progu Hayley.

—
Logan właśnie zajechał przed dom i... - Dziewczyna urwała, przyglądając się uwa nie Stelli. - Czy wszystko w porządku? Jesteś blada jak płótno.

Oczywiście. W jak najlepszym. - Przejechała po włosach dr ąc ą dłonią. -

Wydawało mi się... och, nieważne. Nic takiego. Poza tym, jestem blada, to jak wyglądam?

Zmusiła się, by raz jeszcze zerknąć w lustro, ale tym razem ujrzała tylko odbicie własnej twarzy i Hayley idącej w jej stronę.

—
Super. Twoje włosy są naprawdę zachwycające.

—
Łatwo ci mówić. To nie ty budzisz się z nimi na głowie co rano. Zastanawiałam się, czy ich nie upiąć, ale doszłam do wniosku, że wyglądałabym zbyt oficjalnie.

—
Masz doskonałą fryzurę. - Hayley podeszła jeszcze bliżej i nachyliła się ku Stelli. - Kiedyś ufarbowałam się na rudo. To była prawdziwa katastrofa.

—
W tym głębokim brązie wyglądasz szalenie - stwierdziła Stella, patrząc uważnie na dziewczynę. Cóż za twarz, pomyślała z ukłuciem zazdrości. Ani śladu choćby najdrobniejszej zmarszczki.

—
Może. Ale rudy jest teraz bardzo modny. No, dobra, idę na dół. Zajmę czymś naszego gościa. A ty poczekaj chwilę, zanim zejdziesz, żeby wszyscy domownicy zeszli tu do kuchni i by nikt nie absorbował uwagi Logana.

Na Boga, Stella wcale nie planowała żadnego wielkiego wejścia! Ale Hayley już zniknęła. Trudno.

Musi jeszcze poprawić makijaż i ochłonąć przez moment.

Przynajmniej napięcie związane z randką - tym razem była to już randka -

ustąpiło innemu zdenerwowaniu. Bo to nie odbicie Hayley Stella ujrzała wcześniej w lustrze. Mimo że pochwyciła obraz tylko kątem oka, była pewna, że kobieta, którą widziała, była blondynką.

Odetchnęła głęboko i wyszła do holu. Już u szczytu schodów usłyszała śmiech Hayley.

—
Stella zaraz zejdziesz. Rozgość się, proszę. A ja wracam do kuchni, na hamburgerową ucztę. Przekaj Stelli, że w jej imieniu powiem wszystkim dobranoc. Bawcie się dobrze.

Ta dziewczyna miała chyba szósty zmysł. Zniknęła akurat w chwili, gdy Stella znalazła się w połowie schodów.

Na dźwięk jej kroków Logan uniósł wzrok.

Porządne, czarne spodnie, niebieska koszula - bez krawata, ale ze sportową marynarką.

—

Ładnie wyglądasz - powiedział.

—

Dzięki, Ty te .

—

Hayley powiedziała, e po egną wszystkich w twoim imieniu. Gotowa?

—

Gotowa.

Wyszła z nim przed dom, gdzie stał czarny mustang.

—

Widzę, e jednak masz samochód.

—

Tylko kobieta mogłaby to nazwać samochodem.

—

Wyjątkowo seksistowska uwaga. A więc co to jest, jeśli nie samochód?

—

Wspaniała maszyna.

—

W porządku. Przyjęłam do wiadomości i zastosuję się do yczenia. Nie powiedziałeś mi, dokąd się wybieramy.

Otworzył przed nią drzwi.

—
Zobaczysz.

Z głośników sączyła się muzyka, której nie rozpoznawała. Przypuszczała, e to blues, ale nie była pewna. Gdy o tym napomknęła, Logan spojrział na nią zszokowany, a potem przez całą drogę nie mówił o niczym innym.

Stella miała niejaki pojęcie o muzyce Johnny'ego Lee Hookera, Muddy'ego Watersa czy B.B. Kinga. Ale na tym kończyła się jej wiedza o bluesie.

Kiedy zajechali na parking, Logan oparł się o drzwi i posłał jej przeciągłe spojrzenie.

—
Jesteś pewna, e urodziłaś się w tym mieście?

—
Tak napisano w mojej metryce. Potrząsnął głową i wysiadł z samochodu.

—
Myślę, e powinnaś jeszcze raz ją przestudiować.

Weszli do restauracji ju pełnej gości. Usiedli przy zarezerwowanym stoliku, a Logan ruchem dłoni odprawił kelnera.

—
Mo e zanim wybierzemy dania, posiedzimy chwilę przy drinku?

—
Oczywiście. Otworzyła menu.

—
Podają tu doskonałego zębacza. Jadłaś kiedyś tę rybę? Uniosła wzrok znad karty.

—
Nie. I choć być mo e czyni to ze mnie typową Jankeskę, zdecyduję się na kurczaka.

—
W porządku. Dam ci spróbować, ebyś wiedziała, co tracisz. W karcie win oferują przyzwoite chardonnay, o interesującej górnej nucie, które będzie się dobrze komponować zarówno z rybą, jak i

twoim nielotem.

Odło yła menu i pochyliła się w jego stronę.

—

Wiesz to na pewno czy po prostu zmyślasz?

—

Lubię wino. A ponieważ je lubię, staram się o nim du o wiedzieć. Przywołał kelnera i zło yli zamówienie.

—

No, dobrze, Loganie. Co my tu robimy?

—

Jeśli o mnie chodzi, zamierzam zjeść pysznego zębacza i napić się niezłego wina.

—

Do tej pory doszło między nami do kilku rozmów, głównie na tematy słu bowe.

—

Do tej pory doszło między nami do kilku rozmów i kilku kłótni.

—

Prawda. Poza tym byliśmy na przyjemnej wycieczce, która zakończyła się niespodziewanym akcentem.

—

Czasami lubię cię słuchać, Rudzielcu. To niemal tak, jakbym przysłuchiwał

się komuś mówiącemu obcym językiem. Wykładasz wszystko po kolei, bo próbujesz uło yć równą ście kę od jednej myśli do drugiej?

—

Być mo e. Faktem jednak jest, e znaleźliśmy się tu dzisiaj, bo umówiliśmy się na randkę. Jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu coś podobnego nie przyszło by mi do głowy. Przecie łączą nas stosunki słu bowe.

—
Uh-hm. A gdy ju o tym mowa, wciąż okropnie mnie wkurza twój nowy system.

—
To ci niespodzianka. A gdy ju o tym mowa, nie zostawiłeś na moim biurku tej faktury.

—
Tak? - wzruszył ramionami. - W takim razie na pewno mam ją jeszcze w kieszeni.

—
Rzecz w tym...

Urwała, bo do stolika podszedł kelner z winem i zaprezentował Loganowi etykietę na butelce.

—
Właśnie o to mi chodziło. Proszę nalać pani do skosztowania. Stella niespiesznie uniosła kieliszek do ust i wypła mały łyk.

—
Bardzo dobre... o interesującej górnej nucie. Logan uśmiechnął się szeroko.

—
W takim razie pijmy.

—
Zmierzałam do tego - podjęła wątek - e, skoro pracujemy razem, zapewne rozsądnie i korzystnie byłoby, eby łączyła nas przyjaźń, ale w adnym razie coś powa niejszego.

—
Uh-hm. - Spróbował wina, po czym spojrzał na nią swoimi kocimi oczami. -

—
Sądziś więc, e nie powinienem cię więcej całować, bo nie byłoby to ani rozsądne, ani korzystne?

—
Znalazłam się w innym mieście, rozpoczęłam nową pracę. Przeniosłam chłopców w obce warunki. A dzieci są dla mnie najwa niejsze.

—

To zrozumiałe. Przypuszczam jednak, że nie po raz pierwszy od śmierci męża wybrałaś się na kolację z mężem.

—

Zawsze byłam bardzo ostro na.

—

Co ty powiesz? Nigdy bym na to nie wpadła. Jak straciłaś męża?

—

Zginął w katastrofie samolotu. Wracał z podróży służbowej. Usłyszałam o tym w telewizyjnych wiadomościach. Nie podali listy pasażerów, ale od razu wiedziałam, że to samolot czarterowy, którym leciał Kevin. Wiedziałam, że zginął, zanim przyszli mnie o tym oficjalnie powiadomić.

—

I oczywiście doskonale pamiętasz, co miałaś na sobie, gdy słuchałaś tych telewizyjnych wiadomości, co robiłaś, gdzie dokładnie stałaś - powiedział

cichym głosem, nie spuszczać z niej wzroku. - Nigdy nie zapomnisz żadnego szczegółu związanego z tamtym dniem.

—

Skąd wiesz?

—

Bo to był najgorszy dzień w twoim życiu. Kiedyś szczegół już na zawsze utkwił w twojej pamięci.

—

Masz rację. - Zdumiała ją i wzruszyła jego intuicja. - Czy ty też straciłaś kogoś bliskiego?

—

Nie. Ale wiem, że gdy taka kobieta jak ty zdecyduje się związać z mężem -

czymś, to uczyni z niego centrum swojego świata. A gdy to centrum nagle zniknie, nigdy tego nie zapomni.

—

To prawda. Nie zapomnę. - Jak to mogła? - Muszę powiedzieć, że to najbardziej wnikliwa i dokładna ocena mojego stanu. Nikt z większym tak-tem nie wyraził mi swojego współczucia. Nie

obraż się, ale to dla mnie wielka niespodzianka.

—

Ja się tak szybko nie obrażam. Twoje dzieci straciły ojca, ty jednak zapewniłaś im dobre życie. To wymagało cię kiej pracy. Kilka razy w życiu umawiałem się z kobietami, które mają dzieci. Szanuję macierzyństwo i jego priorytety. Co nie przeszkadza mi zastanawiać się, kiedy wreszcie będę mógł cię trzymać nagą w ramionach.

Stella odchrząknęła, przełknęła głośno ślinę i wypła łyk wina.

—

Nie owijasz rzeczy w bawełnę.

—

Z inną kobietą od razu poszedłbym do łóżka. - Uniósł kieliszek do ust i poczekał, a kelner poda im sałatę. - Ale wiem, że ty jesteś... Có , skoro siedzimy tu w takiej miłej atmosferze, powiem jedynie, że jesteś bardzo ostrożna.

—

Chciałeś powiedzieć: obsesyjnie spięta. Uśmiechnął się szeroko.

—

Nigdy się nie dowiesz, co chciałem powiedzieć. Natomiast faktem jest, że oboje pracujemy u Roz. Świadomie nie zrobiłbym niczego, co mogłoby w jakikolwiek sposób skomplikować jej życie. Ty masz dzieci, o które musisz się troszczyć. Poza tym nie wiem, na ile pogodziłaś się ze stratą męża. Dlatego w tej chwili nie uprawiamy seksu, tylko prowadzimy tę uroczą rozmowę.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Rzeczywiście, nie mogła zaprzeczyć logice jego wyводу. Prawdę mówiąc, zgadzała się z każdym słowem.

—

W porządku. Zaczniemy więc od Roz. Ja również nie zrobiłabym niczego, co mogłoby utrudnić jej życie. Więc bez względu na to, co sobie dziś powiemy, w pracy będziemy się do siebie odnosić z pełną kurtuazją.

—

Nie rękę za tę kurtuazję, ale na pewno będziemy oboje mieli na sercu interesy Roz.

—

W porządku. To uczciwe postawienie sprawy. Po drugie, chłopcy są dla mnie najwłaśniejsi na świecie. Nie tylko dlatego, że tak być powinno, ale ponieważ tak chcę. I nic ani nikt tego nie zmieni.

—

Gdyby było inaczej, straciłbym do ciebie szacunek.

—

Có ... - Zaniemówiła na chwilę. Choć jego odpowiedź była ponownie obcesowa, doceniła jej wymowę. - Je eli zaś chodzi o Kevina... - podjęła na nowo wątek - ...to bardzo go kochałam. Kiedy zginął, cały mój świat się zawalił. Jakaś częśćka mnie miała ochotę zaszyć się w ciemnym kącie i skonać.

Wiedziałam jednak, że ze względu na chłopców muszę przejść przez rozpacz i gniew - i iść dalej.

—

To wymagało dużej odwagi.

—

Dziękuję. - Z trudem opanowała łzy. - Ju nigdy do nikogo nie będę czuła tego, co czułam do Kevina. Nie znaczy to jednak, że nie pociągają mnie mężczyźni. I skazałam się na samotne życie.

Logan przez chwilę siedział w milczeniu.

—

Jak taka rozsądna kobieta może być równie przywiązana do formularzy i faktur? - spytał w końcu.

—

Jak tak utalentowany mężczyzna może być równie niezorganizowany? A tak przy okazji, niedawno zajrzałam na posesję Dawsona.

—

I co?

—

Niewątpliwie czekasz z pracami wykończeniowymi, a przestaną nam grozić przymrozki, ale chciałam ci powiedzieć, że to bardzo dobra robota. Choć, nie. Użyłam złego słowa. To fantastyczne osiągnięcie.

—

Dzięki. Zrobiłaś kolejne zdjęcia?

—
Owszem. Chcę je wykorzystać do witryny internetowej naszego centrum.

Właśnie nad nią pracuję.

—
artujesz.

—
W adnym razie. Zamierzam pomnożyć zyski Roz, Loganie. Jeśli ona będzie zarabiać więcej, to i twoje dochody znacznie wzrosną. Jestem pewna, e ta witryna zwiększy liczbę zamówień dla działu architektury krajobrazu. Mogę to wręcz zagwarantować.

—
Doskonale.

—
Wiesz, czego ci zazdrościć najbardziej?

—
Mojej skrzącej dowcipem osobowości.

—
Nie. Nie widzę w niej nic skrzącego. Twoich mięśni.

—
Zazdrościsz mi mięśni? Obawiam się, e nie byłoby ci z nimi do twarzy, Rudzielcu.

—
Ilekoć, jeszcze na Północy, brałam się do zakładania jakiegoś ogrodu, nigdy nie mogłam zrobić wszystkiego sama. Nie byłam mo e tak kreatywna jak ty, ale wiedziałam, czego chcę, miałam określoną wizję. A tak e odpowiednie umiejętności. Kiedy jednak zaczyna się cię ka fizyczna praca, wysiadam. I bardzo mnie to frustruje, bo naprawdę miałabym ochotę zrobić wiele rzeczy własnymi rękami. A nie mogę. Dlatego ci zazdrościć.

—
Nie wątpię jednak, e czy wykonujesz coś osobiście, czy tylko dogładasz robót, wszystko musi iść zgodnie z twoim planem.

Stella uśmiechnęła się, wpatrzona w kieliszek.

—

To się rozumie samo przez się. A zmieniając nieco temat, słyszałam, e masz dom niedaleko posiadłości Roz.

—

Mniej więcej trzy kilometry dalej.

W tym momencie kelner przyniósł główne dania. Logan natychmiast odkroi!

kawałek ryby i poło ył na talerzu Stelli.

—

Hm, bo ja wiem... - mruknęła, spoglądając podejrzliwie na zębacza.

—

Swoim dzieciom na pewno powtarzasz, e nic mogą mówić, e czegoś nie lubią, zanim tego nie spróbują.

—

Jedną z zalet bycia dorosłym jest to, e mo esz wygłaszać ró ne mądrości, lecz niekoniecznie musisz się do nich stosować. Ale niech będzie. -Skubnęła widelcem mały kęsek i odwa nie podniosła do ust. - O dziwo, nie ma w smaku nic wspólnego z zębami. Prawdę mówiąc, bardzo mi smakuje ta ryba.

—

Mo e więc jednak drzemie w tobie południowa dusza. Jak tak dalej pójdzie, zaczniesz jadać kleik na śniadanie.

—

Nie sądzę. Kleiku ju próbowałam. A wracając do naszej rozmowy, sam doprowadzasz swój dom i ogród do porządku?

—

Mo na tak powiedzieć. Ogród znajduje się na wzniesieniach, co zapewnia naturalny drena ziemi. Od północnej strony teren jest porośnięty starymi drzewami - pełnymi uroku jaworami i orzechami, pod którymi bujnie rozrastają się dzikie azalie i wawrzyny. Ogród ma południową wystawę, a na je-go tyłach płynie niewielki strumień.

—
A dom?

—
Co masz na myśli?

—
Jaki to rodzaj domu?

—
Och. Piętrowy, drewniany. Zapewne dla mnie za duży, ale kupiłem go razem z ziemią.

—
Za kilka miesięcy będę poszukiwać czegoś w tym stylu dla siebie. Jeśli usłyszysz, e podobny dom został wystawiony na sprzedaż, daj mi znać.

—
Nie ma sprawy. A jak chłopcom podoba się u Roz?

—
Są zachwyceni. Ale wcześniej czy później powinni mieć własny dom. Nie szukam niczego wymyślnego i nawet nie mogłabym sobie na to pozwolić.

Chętnie jednak kupię budynek wymagający remontu. Nieźle sobie radzę z majsterkowaniem. Najważniejsze, eby w pobliżu nie było adnych duchów.

Zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała, dopiero gdy Logan spojrzał na nią pytająco. Pokręciła z zaniepokojeniem głową.

—
To zapewne z powodu wina. Nie uświadamiałam sobie a do tej chwili, e ów incydent wciąż siedzi mi w głowie.

—
Jaki incydent?

—
Widziałam... to znaczy zdawało mi się, e widziałam tego ducha, który ponoć nawiedza Harper House.

W lustrze w mojej sypialni, tu zanim po mnie przyjechałeś. Chwilę później wpadła do pokoju Hayley, ale to, co zobaczyłam, nie było jej odbiciem. Z drugiej strony, przecie nie mógł to być nikt inny, bo... cóż za nonsens.

—

Jak widzę, usilnie chcesz samą siebie o czymś przekonać.

—

Jestem rozsądną kobietą, pamiętasz? - Postukała się palcem w skroń. -

Rozsądne kobiety nie wierzą w duchy. Nie widują ich, nie słyszą śpiewanych przez nie kołysanek, nie wyczuwają ich obecności.

—

A jak wyczuwasz ową obecność?

—

Pewien szczególny chłód... niejasne wra enie. - Stella wzdygnęła się i zmusiła do śmiechu. - Nie umiem tego precyzyjnie wyjaśnić, bo to bardzo irracjonalne. A dziś te moje doznania były wyjątkowo intensywne. Miałam wra enie, e jest przy mnie jakaś wroga siła. Chocia nie, „wroga” to zbyt ostre określenie. Powiedzmy - nieprzychylna.

—

Porozmawiaj na ten temat z Roz. Na pewno powie ci wszystko, co wie o tym duchu.

—

Chyba tak właśnie zrobię. Ty natomiast jesteś pewien, e nigdy go nie

—

widziałeś? -Tak.

—

Ani nie czułeś jego obecności?

—

Nie. Chocia czasami, gdy kopię w ziemi, wyczuwam jakieś niewytłumaczalne fluidy. Wierzę, e jak roślina umiera, pozostawia po sobie pewien szczególny ślad. Czemu podobnie nie miałyby być z ludźmi?

Stella postanowiła, e zastanowi się nad tym później, bo w tej chwili mogła myśleć jedynie o tym, jak miło upływa jej czas w towarzystwie Logana. I jak bardzo pociąga ją ten męczyzna. I e jeśli nadal jego towarzystwo będzie takie urocze, a po ądanie nie osłabnie, w końcu wyładują razem w łóku.

Co pociągnie za sobą pewne komplikacje. Ostatecznie pracowali u tej samej osoby, w tym samym miejscu. W takich warunkach ka dy natychmiast będzie wiedział o ich romansie.

Nad tym te powinna się zastanowić. Jak bardzo będzie ją stresować świadomość, e jej prywatne ycie jest publiczną tajemnicą?

Po kolacji poszli na Beale Street, gdzie co noc panowała atmosfera karna-wału. Roilo się tam od turystów, a tak e mieszkańców Memphis spędzających wieczór na mieście, zakochanych par i grup młodzie y. Z powodu neonów było niemal tak widno jak w dzień. Z licznych barów i klubów sączyła się muzyka, a w sklepach otwartych dzień i noc pełno było kupujących.

—

Tu w pobli u znajdował się niegdyś klub o nazwie „Monarch”. Czy te buty nie zmaltretują ci stóp?

—

Nie.

—

To dobrze. A tak przy okazji, masz fantastyczne nogi.

—

Dzięki. Mam je ju od lat.

—

A więc „Monarch”... - wrócił do poprzedniego wątku Logan - ...dzielił

zaplecze z zakładem pogrzebowym. Co bardzo ułatwiało właścicielom pozbywanie się ofiar porachunków rewolwerowych.

—

To przeuroczy epizod z historii Beale Street.

—

Och, znam ich du o więcej. To tu narodziły się blues i rock - a poza tym kwitły nielegalne bimbrownie, krwawe obrzędy wudu, mord, hazard i skan-dale, a tak e grasowali kieszonkowcy.

Przyłączyli się do grupki ludzi obserwujących trzech nastolatków wykonujących akrobatyczny taniec na środku ulicy.

—

Ja te tak potrafię. - Stella skinęła głową w stronę chłopaka, który podszedł do nich na rękach.

—

Akurat.

—

- Naprawdę. Nie zademonstruję ci tego w tej chwili, ale to dla mnie nie problem. Przez sześć lat trenowałam gimnastykę. Potrafię wygiąć ciało w precel. No, teraz mo e za ledwie w połowe precla, ale swego czasu...

—

Usiłujesz mnie podniecić?

—

Skąd e - zaprzeczyła ze śmiechem.

—

A więc to jakiś skutek uboczny twoich opowieści. A jak wygląda połowa precla?

—

Mo e kiedyś ci poka ę, jak będę stosowniej ubrana.

—

A jednak chcesz mnie podniecić.

Znów się roześmiała i popatrzyła na akrobatyczne popisy chłopców. Po chwili Logan wrzucił do ich pudełka garść drobnych i znów ruszyli przed siebie.

—

Kto to jest Betty Paige i czemu jej podobizna widnieje na tych koszulkach?

Logan stanął jak wryty.

—
Chyba artujesz.

—
W adnym razie.

—
Ty chyba nie tylko mieszkałaś na Północy, ale na dodatek w jakiejś cholernej jaskini. Betty Paige to legendarna seksbomba lat pięćdziesiątych.

—
Skąd wiesz? Przecie wtedy nie było cię jeszcze na świecie.

—
Bo interesuje mnie moje dziedzictwo kulturalne - szczególnie gdy ma coś wspólnego ze wspaniałą kobietą, która chętnie zrzuciła z siebie ubranie.

Tylko popatrz na nią. Dziewczyna z sąsiedztwa o figurze Wenus.

—
Zało ę się, e nie potrafiła chodzić na rękach - rzuciła nonszalanckim tonem Stella i ruszyła przed siebie leniwym krokiem przy akompaniamencie śmiechu Logana.

Kiedy przeszli ju Beale Street tam i z powrotem, Logan próbował namówić Stellę, by posiedzieli jeszcze w klubie, gdzie grano na ywo bluesa. Po krótkim wahaniu jednak pokręciła stanowczo głową.

—
Naprawdę nie mogę, zrobiło się ju bardzo późno. Prawdę mówiąc, sądziłam, e o tej porze dawno będę w domu. Jutro czeka mnie kolejny ciężki dzień, a na dodatek ju i tak nadużyłam uprzejmości Roz.

—
W takim razie przeło ymy to na następną okazję.

—
Klub bluesowy będzie następny na mojej liście. Dzisiaj ju zaliczyłam parę istotnych punktów: zębaczka i Beale Street. Powoli upodabnam się do rodowitych mieszkańców Tennessee.

—

Ani się obejrzyysz, a sama zaczniesz smażyć zębaczka i wrzucać fistaszki do coli.

—

Czemu, na Boga, miałabym wrzucać do coli jakiejkolwiek orzechy? Och, nieważne. - Machnęła ze zniecierpliwieniem dłonią. - To zapewne jakiś wspaniały południowy obyczaj. Słuchaj, chciałam ci powiedzieć, że to był

uroczy wieczór.

—

Cieszę się.

Okazało się, że randka z Loganem nie była ani stresująca, ani nudna. Stella rozluźniła się już po pierwszych kilku minutach. I wówczas uświadomiła sobie, że niemal zapomniała, jak wspaniale może na siebie czuć w towarzystwie męża.

Roz zostawiła zapalone światła - na frontowej werandzie, w holu i w sypialni Stelli. Gdy podjechali pod dom, ujrzała ich blask i poczuła przyływ ciepłych uczuć.

Jej własna matka była zbyt zajęta własnym życiem, by zawracać sobie głowę podobnymi drobiazgami. Możliwe dlatego teraz Stella przywiązywała do nich taką wagę.

—

To naprawdę zachwycający dom - westchnęła. - Nic dziwnego, że Roz tak go kocha.

—

Poczekaj, a nadejdzie wiosna - wówczas widok ogrodów wprost zapiera dech w piersiach.

—

Roz powinna oprowadzać wycieczki po swojej posiadłości.

—

Kiedyś robiła to raz do roku. Ale przestała tu po tym, jak wyrzuciła tego dupka, Clerka. Na twoim miejscu nie podnosiłbym tej kwestii - rzucił

szybko, zanim Stella zdążyła otworzyć usta. - Jeśli będzie chciała do tego wrócić, sama podejmie stosowną decyzję.

Wyszli z samochodu i stanęli pod drzwiami.

—

Ju nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę wreszcie ogrody w pełnej krasie.

Jestem wdzięczna Roz, e pozwoliła mi tu zamieszkać, bo dzięki temu dzieci lepiej poznają tradycję tych stron.

—
Jest jeszcze jedna wa na tradycja, której przestrzegają południowcy. Po randce trzeba koniecznie pocałować dziewczynę na dobranoc.

Kiedy przycisnął usta do jej warg, gdy jego dłonie zaczęły przesuwać się po jej włosach i ramionach, Stella poczuła rozkoszny dreszcz.

Logan ujął ją za biodra i z całej siły przycisnął do siebie, a potem przesunął

się tak, e znalazła się pomiędzy nim a drzwiami. Gorące pocałunki wywoływały zawrót głowy, rozbudzając w niej coraz silniejsze po ądanie.

—
Poczekaj chwilę - zdołała wyszeptać. - Poczekaj.

—
Najpierw muszę skończyć, co zacząłem.

Pragnął o wiele więcej ni namiętnego pocałunku, ale wiedział, e na razie tylko tym będzie się musiał zadowolić. Nie zamierzał przyspieszać naturalnego biegu wydarzeń, nie zamierzał poganiać Stelli. Jej pełne usta i delikatne dr enie ciała podniecały go a do bólu. Logan miał ochotę posiąść ją natychmiast i gwałtownie, a potem smakować powoli.

Odsunął się jednak. Na to będzie musiał jeszcze poczekać.

—
Czy uwa asz, e na tym poprzestaniemy? - zapytał.

—
Ja nie mogę...

—
Nie miałem na myśli dzisiejszego wieczoru - powiedział, gdy Stella nerwowo zerknęła na drzwi. - W takim razie wcale tak nie uwa am. - To doskonale.

- Ale nie mogę rzucić się w coś takiego bez zastanowienia. Muszę najpierw wszystko...

—

Przemyśleć - wszedł jej w słowo. - Zaplanować i zorganizować.

—

Spontaniczne reakcje nigdy nie były moją mocną stroną, a gdy ma się dzieci, działanie pod wpływem impulsu nie wchodzi w rachubę.

—

W takim razie zajmij się planowaniem i organizacją. A potem daj mi znać. Ja nie mam problemu ze spontanicznym działaniem. - Znowu przywarł ustami do jej warg. - Masz mój numer telefonu. Zadzwoń. - Delikatnie odsunął ją od siebie. - Wejdź ju do środka, Stello. Zgodnie z tradycją, nie tylko całujesz dziewczynę na dobranoc, ale czekasz, a zniknie za drzwiami domu. Dopiero wówczas odchodzisz w mrok, marząc o chwili, gdy znowu będziesz mógł ją wziąć w ramiona.

—

A więc dobranoc.

Weszła do holu i ruszyła po schodach, zapominając pogasić światła.

Jeszcze gdy szła korytarzem, była tak oszołomiona, e usłyszała śpiew, dopiero jak znalazła się dwa kroki od drzwi pokoju dzieci.

Jednym skokiem znalazła się w środku. I wówczas zobaczyła - naprawdę zobaczyła! - niewyraźny zarys postaci. Jasne włosy połyskiwały w świetle nocnej lampki, du e oczy wpatrywały się w nią z niezwykłą mocą.

Nagle uderzył ją ostry powiew lodowatego powietrza i postać zniknęła.

Na miękkich nogach Stella podbiegła do chłopców. Dotknęła włosów Gavina, pogłaskała Luke'a po głowie. Położyła dłonie na ich plecach jak wtedy, gdy byli jeszcze niemowlętami i nerwowo sprawdzała, czy na pewno oddychają.

Parker przewrócił się leniwie na drugi bok, zamruczał cicho na powitanie, uderzył o podłogę ogonem, po czym znowu zapadł w sen.

Pies mnie wyczuwa, rozpoznaje. A co z nią? Czemu na nią nie szczeka?

A mo e po prostu zaczynam tracić zmysły?

Stella przygotowała się do snu, a potem wzięła poduszkę i koc, i przeszła do pokoju dzieci. Położyła się między łó kami chłopców, by nad nimi czuwać.

W szklarni numer trzy Roz podlewała flance, które wyhodowała jeszcze zimą.

Ju niedługo będą się nadawały do sprzedaży. W takich chwilach zawsze ogarniał ją smutek. Wiedziała, że nie wszystkie rośliny będą otoczone należytą opieką. Niektóre umrą, całkowicie zaniedbane, inne zostaną posadzone w zbyt nasłonecznionym lub zbyt cieniastym miejscu. Ale teraz jeszcze były dorodne, piękne i pełne obietnic.

I jej własne.

Będzie jednak musiała oddać je w inne ręce.

Z roślinami jest podobnie jak z dziećmi, pomyślała. W pewnym momencie trzeba pozwolić im odejść. Bardzo tęskniła do czasów, gdy jej synowie byli jeszcze mali. Zdała sobie z tego sprawę dopiero wtedy, kiedy w domu znów zabrzmiał tupot dziecięcych stóp, dziecięce krzyki i chichoty. Dobrze, że miała przy sobie Harpera. Tylko że on był już dorosły, miał własne życie i nie należał do niej. Dlatego bardzo się pilnowała, by nie obarczać go swoimi emocjami, nie okazywać, jak ogromnie go potrzebuje.

Jeśli zaś chodzi o pozostałych synów - musiała się zadowolić sporadycznymi wizytami, telefonami, e-mailami. I świadomością, że są szczęśliwi, pochłonięci budowaniem własnego świata.

Zapewniła im dobrą podstawę, potem ich doglądała i troskliwie pielęgnowała. A w końcu pozwoliła im odejść.

Nigdy nie zamierzała być apodyktyczną, toksyczną matką. Dzieci, podobnie jak rośliny, potrzebowały przestrzeni i powietrza. Jak że chętnie jednak cofnęłyby czas o dziesięć, dwadzieścia lat, by wciąż jeszcze mieć w domu swoich ukochanych chłopców.

Takie sentymentalne wspominki tylko wprawiają mnie w smętny nastrój, napomniała się ostro w duchu. Zakręciła energicznie wodę - i właśnie w tym momencie do szklarni wkroczyła Stella.

—

Nie ma nic piękniejszego od zapachu wilgotnej ziemi, prawda? - odezwała się Roz, wciągając głęboko powietrze.

—

Dla nas na pewno. Tylko spójrz na te margerytki. Ludzie będą wyrywać je sobie z rąk. Nie udało mi się złapać cię rano w domu.

—

Musiałam przyjść tu dziś jak najwcześniej. Po południu idę na spotkanie Klubu Ogrodniczego. Zamierzam ustawić na stołach dwa tuziny doniczek z kwiatami.

—

Doskonałą reklama. Chciałam ci jeszcze raz bardzo podziękować, e zajęłaś się chłopcami wczoraj wieczorem.

—

Zrobiłam to z największą przyjemnością. A jak ty się bawiłaś?

—

Prawdę mówiąc, doskonale. Czy nie miałabyś nic przeciwko temu, ebyśmy się z Loganem spotykali na stopie towarzyskiej?

—

A czemu miałabym mieć coś przeciwko temu?

—

Có , skoro wszyscy razem pracujemy...

—

Dorośli powinni umiejętnie kierować swoim życiem w każdej sytuacji. Oboje jesteście dorośli i wolni. Sama musisz zdecydować, czy spotkanie się z nim na gruncie towarzyskim może spowodować jakieś problemy.

—

Oczywiście „grunt towarzyski” to w tym wypadku eufemizm.

Rozabrała się do oskubywania krzaczka begonii z niepożądanymi odnośnikami.

—

Stello, gdybyś nie miała ochoty na seks z takim mężczyzną jak Logan, zaczęłabym się poważnie o ciebie martwić.

—

W takim razie nie masz powodów do zmartwienia. Niemniej, chciałam ci powiedzieć... pracuję u ciebie, mieszkam w twoim domu, więc chcę, ebyś wiedziała, e nie śpiam z kim popadnie.

—

Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. - Zerknęła na Stellę spod oka. - Jesteś na to zbyt ostro na, zbyt rozsądna i zbyt obowiązkowa.

—

Chcesz powiedzieć: obsesyjnie spięta.

—

Nie to dokładnie miałam na myśli. Ale nawet gdybyś sypiała z kim popadnie, i tak nie byłaby to moja rzecz. Nie potrzebujesz mojej zgody w takich sprawach.

—

Wiem, ale mówię ci o tym wszystkim, bo mieszkam pod twoim dachem i bardzo cię szanuję.

—

No, dobrze. Porozmawiajmy. - Roz przeszła do skrzynek z niecierpkami. -

Chciałam, ebyś u mnie zamieszkała, głównie dlatego, eby lepiej poznać twój charakter. Zatrudniając cię, oddawałam w twoje ręce coś dla mnie bardzo wa nego i cennego. Gdybym więc w ciągu pierwszych paru tygodni przekonała się, e nie jesteś osobą, którą mogę darzyć szacunkiem i zaufaniem, natychmiast bym cię zwolniła, bez względu na twoje kwalifikacje. Ostatecznie nie tak trudno znaleźć ludzi o odpowiedniej wiedzy merytorycznej.

—

Dziękuję. Bo to chyba komplement.

—

Myślę, e wezmę na to spotkanie kilka pelargonii. Ju są w doniczkach, więc oszczędzę sobie czasu i zachodu, a mamy ich wyjątkowo du o w tym roku.

—

Powiedz mi tylko, ile czego bierzesz, ebym mogła wszystko zakسیęgować.

Roz... wiesz... chciałabym z tobą porozmawiać jeszcze na inny temat.

—

Zamieniam się w słuch - odparła Roz, przyglądając się roślinom.

—

Chodzi o tego ducha - tę kobietę.

Roz uniosła doniczkę z łososiową pelargonią i zaczęła oglądać ją uwa nie ze wszystkich stron.

—

A dokładniej?

—

Głupio mi, e w ogóle o tym mówię, ale... czy kiedykolwiek czułaś się przez nią zagro ona?

—

Zagro ona? Nie. Nie u yłabym tak ostrego określenia. - Roz odstawiła pelargonię na plastikową tacę, po czym wybrała następną. - A dlaczego pytasz?

—

Bo... najprawdopodobniej ją widziałam.

—

Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego. Oblubienica często ukazuje się matkom i małym chłopcom. Niekiedy te dziewczynkom, ale du o rzadziej.

Jak byłam dzieckiem, sama widziałam ją kilka razy, ale regularnie zaczęła mi się ukazywać, kiedy na świecie pojawili się moi synowie.

—

Powiedz mi, jak ona wygląda.

—

Jest mniej więcej twojego wzrostu. - Roz nie przestawała wybierać pelargonii na spotkanie członków Klubu Ogrodniczego. - Bardzo szczupła, niemal wychudzona. Między dwudziestką a trzydziestką, choć to trudno powiedzieć. Nie wygląda dobrze. To znaczy... - uśmiechnęła się z lekką ironią -

...nawet jak na ducha. Zrobiła na mnie wra enie bardzo pięknej kobiety, która jednak od dłu szego czasu chorowała. Ma jasne włosy i pełne smutku szarozielone oczy. Ubrana jest w szarawą suknię, a przynajmniej sprawiającą wra enie szarej, która na niej wisi, jakby ta kobieta w krótkim czasie straciła sporo na wadze.

Stella z wolna wypuściła powietrze.

—

Widziałam właśnie taką istotę. Wiem, e to niesamowite, ale kobieta, którą widziałam, odpowiada twojemu opisowi.

—

W takim razie spotkało cię wielkie wyró nienie. Oblubienica rzadko pokazuje się komuś spoza rodziny - tak przynajmniej głosi legenda. Tak czy owak, nie masz powodu jej się bać.

—

Wczoraj wieczorem jednak poczułam lęk. Gdy wróciłam, chciałam sprawdzić, co u chłopców. Jeszcze w korytarzu usłyszałam jej śpiew - melodia przypominała kołysankę.

—

„Błękitna lawenda”. To jej, e tak powiem, znak firmowy. - Roz wzięła małe no yczki i odcięła rachityczny pęd od łodygi jednej z pelargonii. -Nigdy nie słyszałam, eby coś mówiła. Natomiast chętnie śpiewa dzieciom w nocy.

—

„Błękitna lawenda”. Tak. To właśnie słyszałam. Wpadłam do pokoju i zobaczyłam ją pomiędzy łó kami chłopców. Patrzyła na mnie. Było to tylko przelotne spojrzenie, ale dostrzegłam wyraźnie jej oczy. Nie było w nich smutku, Roz, tylko gniew. A potem poczułam ostry powiew lodowatego powietrza, jakby czymś we mnie cisnęła.

Roz, teraz ju zaintrygowana, z uwagą spojrzała na Stellę.

—

Ja te kilkakrotnie miałam wra enie, e czymś ją zdenerwowałam. Wy-glądało to wówczas mniej więcej tak, jak opisałaś.

—

Roz, ja to naprawdę prze yłam.

—

Przecie ci wierzę. Z moich doświadczeń natomiast wynika, e Oblubienica jest łagodna i nieszkodliwa. Te ataki złości czy gniewu zawsze uwa ałam za przejawy złego nastroju.

—

Złego nastroju? - powtórzyła powoli Stella. - Nie mam pojęcia, co przez to rozumiesz.

—

Ludzie miewają niekiedy humory, prawda? Dlaczego miałyby się to zmienić po ich śmierci?

—

Dobrze - odezwała się Stella po chwili milczenia. - Przez moment więc uznam, że to nie jest jedynie czyste szaleństwo, i spróbuję logicznie się zastanowić nad sytuacją. Moje po prostu Oblubienicy się nie podoba, a mieszkam pod twoim dachem.

—

Przez ponad sto lat w Harper House przebywało wielu gości, zapewne więc już do nich przywykła. Jeśli jednak wolałabyś się przenieść do innego skrzydła...

—

Nie. Nie sądzę, by to cokolwiek zmieniło. I choć byłam wczoraj tak zdenerwowana, a zostałam na noc w pokoju chłopców, muszę obiektywnie przyznać, że jej gniew nie miał nic wspólnego z dziećmi. Jej z pewnością chodziło o mnie. Kim była za życia?

—

Nikt tego nie wie na pewno. Grzecznościowo mówimy o niej „Oblubienica Harperów”, ale najprawdopodobniej była służącą. Albo nianką lub guwernantką. Według mojej teorii została uwiedziona przez któregoś z Harperów, a potem porzucona, zapewne gdy się okazało, że jest w ciąży. Ponieważ wywi szczególne uczucia wobec dzieci, wydaje się logiczne, że jej życie bądź

śmierć tak i miały coś wspólnego z dzieckiem. Najprawdopodobniej zmarła w Harper House lub gdzieś w pobliżu.

—

Przecież na pewno masz dokumenty rodzinne, prawda? Akty urodzin i zgonów, listy, fotografie, dagerotypy czy miniatury i tym podobne pamiątki.

—

Całe tony.

—

Jeśli pozwolisz, chętnie bym je przejrzała. Może uda mi się odkryć, kim była.

—

Dobra myśl - uznała Roz. - A dziw, że nikomu, łącznie ze mną, nigdy wcześniej nie przyszło to do głowy. Pomogę ci w poszukiwaniach. Mogą się okazać bardzo interesujące.

—
Ale super. - Hayley wbiła wzrok w stół, na którym Stella ułożyła albumy ze zdjęciami, grubą Biblię Harperów z rodzinnymi zapiskami, pudła pełne starych dokumentów, laptop i kilka dużych notatników. - Jesteśmy niczym gang Scooby'ego.

—
Nie mogę uwierzyć, że cię ją widziałaś i słowem o tym nie pisałaś. Hayley zaczęła krążyć po bibliotece.

—
Bałam się, że uznacie mnie za pomyloną. Poza tym, prócz jednego razu, dostrzegałam tylko kątem oka jakiś niewyraźny zarys kobiecej sylwetki. My-

ślałam, że to złudzenie optyczne. - Odwróciła się w stronę Stelli. - Rany, nigdy wcześniej nie mieszkałam w pobliżu prawdziwego ducha. To odjazdowe.

—
Cieszę się, że przynajmniej ty jesteś zachwycona.

Hayley rzeczywiście była zachwycona, ale przede wszystkim dlatego, że znalazła się w tym pokoju. Podobnie jak jej ojciec, uwielbiała książki - to przecie z tego powodu swój mały salon przerobili na „czytelnię”: wzdłuż ścian zamontowali regały i wstawili dwa w miarę wygodne fotele.

Teraz natomiast znalazła się w prawdziwej bibliotece. Po obu stronach okien i wzdłuż ścian wznosiły się piękne półki z ciemnego drewna, wypełnione setkami książek, ale dzięki ciepłej zieleni ścian i kominkowi z kremowego granitu pomieszczenie nie było przytłaczające. Na półce nad paleniskiem stały duże, czarne świeczniki i liczne rodzinne fotografie.

Poza książkami w bibliotece znajdowało się również wiele innych, pięknych przedmiotów: drobiazgi z porcelany, statuetki z brązu oraz elegancki, kominkowy zegar pod kryształowym kloszem. I oczywiście kwiaty, jak we wszystkich innych pokojach w domu: z dużego, szklanego wazonu wychylały się ciemnopurpurowe tulipany.

Stały tu także rozłożyste fotele, kryte jasnobrązową skórą, i taka sama sofa.

Chociaż z sufitu zwieszały się potężne kandelabry i wszystkie półki były podświetlane, w kilku miejscach umieszczono także staroświeckie lampy z witrażowymi abakami.

Gdyby Hayley dano do dyspozycji tak wielki pokój, nie miałaby pojęcia, jak go urządzić, aby był piękny i elegancki, a jednocześnie również przytulny jak

„czytelnia” w jej rodzinnym domu.

Ale Roz wiedziała. Roz, w opinii Hayley, była absolutnie genialna.

—

To najpiękniejszy pokój w całym domu - oświadczyła dziewczyna po chwili.

- Oczywiście, wiem, e mówię tak o ka dym pomieszczeniu, w którym siedzę dłu ej ni pięć minut. Ale ta biblioteka naprawdę zasługuje na złoty medal. Mimo e wygląda jak z fotografii w kolorowym magazynie, człowiek czuje się tu swobodnie. Bez najmniejszego skrepowania mogłabym się zdrzemnąć na tej kanapie.

—

Tak, wiem, co masz na myśli. - Stella odło yła na bok album z fotografiami, który właśnie skończyła przeglądać. - Hayley, pamiętaj, ebyś przypadkiem nie wygadała się przy dzieciach o tym, co tu robimy.

—

Oczywiście. Mo esz być spokojna. - Dziewczyna wróciła do stołu i opadła na fotel. - Słuchaj, a mo e zorganizujemy seans spirytystyczny? To by dopiero była bomba!

—

A tak mi jeszcze nie odbiło - odparła Stella. W tym samym momencie w bibliotece pojawił się David.

—

Przekąska dla łowców duchów - oznajmił, stawiając tacę na stole. - Kawa, herbata, wybór ciast i ciasteczek.

—

Widzę, e cię to bawi?

—

Pewnie, e tak. Ju nie mogę się doczekać, kiedy podwinę rękawy i zabiorę się do tych papierów. Fajnie by było poznać wreszcie jej imię. - Postu-kał

palcem w laptop Stelli. - A po co ci komputer?

—

Do zestawiania faktów, dat, naszych teorii. Sama jeszcze nie wiem. To mój pierwszy dzień w takiej pracy.

Roz weszła do biblioteki, dźwigając przed sobą wielkie pudło. Na jej policzku widniała smuga kurzu, we włosach połyskiwały białe pasma pajęczyny.

—

Rachunki domowe, prosto ze strychu. Jest tam tego du o więcej, ale ta partia pójdzie na pierwszy ogień.

Postawiła pudło na siole i uśmiechnęła się szeroko.

—

Czeka nas niezła zabawa. Czemu wcześniej nie przyszło mi to do głowy? No, dobrze. Od czego mamy zacząć?

—

Chciałam zorganizować seans spirytystyczny - oznajmiła Hayley. - Mo e po prostu ta dama sama by nam powiedziała, kim jest i czemu jej dusza została uwięziona w tych murach. Na tym właśnie polega problem z duchami. Gubią się w pętli czasu i niekiedy nawet nie mają świadomości, e nimi są. Jak wam się to podoba?

—

Seans. - David energicznie zatarł dłonie. - W porządku. Gdzie mój turban?

Hayley wybuchnęła śmiechem, natomiast Stella zaczęła głośno pukać w stół.

—

Czy moglibyśmy powściągnąć tę wesołość? Uwa am, e powinniśmy zacząć od rzeczy bardziej przyziemnych. Spróbujmy umiejscowić ją w czasie.

—

Nigdy nie badałem wieku ducha - stwierdził David. - Ale chętnie się do tego zabiorę.

—

Postaramy się określić okres, w którym yła, na podstawie jej stroju -

powiedziała Stella, spoglądając na niego spod oka.

—

Sprytne - zawyrokowała Hayley. - Ale nie zdą yłam zauwa yć, w co była ubrana.

—

Popielata suknia - zaczęła wyliczać Roz. - Zapięta pod szyję. Długie rękawy.

—

Czy ktoś z was mógłby to narysować? - spytała Stella. - Nieźle sobie radzę z figurami geometrycznymi, ale na pewno nie zdołałabym naszkicować postaci.

—

Ona jest stworzona do tego zadania - oznajmił David, poklepując Roz po ramieniu.

—

Mo esz ją narysować, Roz?

—

Z pewnością mogę spróbować.

—

Mam tu notatniki. - Stella podała jej jeden z dużych bloków.

—

Oczywiście, e masz notatniki - skwitowała Roz z uśmiechem na ustach. -

Zało ę się te , e idealnie naostrzyłaś ołówki.

—

Inaczej trudno byłoby nimi pisać. Davidzie, kiedy Roz będzie się zajmować rysowaniem, mo e opowiesz nam o swoich spotkaniach z... myślę, e na razie będziemy ją nadal nazywać Oblubienicą.

—

Nie było ich zbyt wiele. I widywałem ją tylko w dzieciństwie, gdy urzędowałem tu z Harperem.

—

A kiedy ujrzałeś ją po raz pierwszy?

—

No, có . Tego się nigdy nie zapomina, prawda? - Mrugnął szelmowsko w stronę Stelli, po czym nalał sobie kawy i wygodniej rozsiadł się w fotelu. -To było wtedy, gdy pierwszy raz zostałem na noc u

Harpera. Udawaliśmy, e ju śpimy, eby Roz nie wpadła do pokoju i nie popsowała nam zabawy. Rozmawialiśmy więc szeptem..

—
Tak wam się tylko zdawało - wtrąciła Roz, nie odrywając oczu od szkicownika.

—
Myślę, e było to wiosną. Pamiętam, e mieliśmy pootwierane okna i e do pokoju wpadał lekki powiew wiatru. Poznałem Harpera w szkole i, chocia chodził do młodszej klasy, od razu się zaprzyjaźniliśmy. Kiedy zostałem u niego tej nocy, znaliśmy się nie dłu e ni kilka tygodni. Le eliśmy więc w ciemnościach, przekonani, e rozmawiamy cichym szeptem. I wtedy właśnie Harper opowiedział mi o zjawie. Myślałem, e zmyśla, by mnie przestraszyć, ale przysięgał na wszystkie świętości, e nic a nic nie kłamie. e naprawdę widział Oblubienicę ju wiele razy.

Jeszcze jakiś czas gadaliśmy o duchach, a w końcu zasnęliśmy. Pamiętam, e gdy się obudziłem, miałem niejasne wra enie, e ktoś głaszcze mnie po głowie. Pomyślałem, e to Roz. A poniewa poczułem się skrępowany, tylko trochę uchyliłem powieki. - Wypił du y łyk kawy. - I wtedy ją zobaczyłem.

Podeszła do łó ka Harpera, pochyliła się tak, jakby całowała go w głowę, a potem usiadła na bujanym fotelu stojącym w kącie i zaczęła śpiewać. Nie mam pojęcia, czy wydałem z siebie jakiś dźwięk, czy te się poruszyłem, w ka dym razie ona na mnie spojrzała. A potem się uśmiechnęła. Kiedy słuchałem jej śpiewu, myślałem, e płacze, a tymczasem ona się uśmiechała! Patrząc na mnie, przyło yła palec do ust, jakby chciała, ebym zachował milczenie. I zaraz zniknęła.

—
I co zrobiłeś? - spytała Hayley szeptem.

—
Naciągnąłem kołdrę na głowę i tak przele ałem do rana.

—
Bałeś się jej? - zainteresowała się Stella.

—
Dziewięćolatek i duch w jednym pokoju? No pewnie. Zawsze miałem wra liwą naturę, więc to oczywiste, e w pierwszej chwili się przestraszyłem.

Ale mój lęk nie trwał długo. Następnego dnia miałem wra enie, e to tylko sen - i to bardzo przyjemny. Ta kobieta przecie głaskała mnie po głowie i śpiewała kołysankę. A na dodatek była bardzo ładna. Nie pobrząkiwała łań-

cuchami ani nie była jak potępieniec. Raczej przypominała anioła, więc szybko doszedłem do wniosku, e nie ma czego się bać. Z samego rana opowiedziałem wszystko Harperowi, a on stwierdził, e musimy być braćmi, bo ponoć Oblubienica nigdy się nie ukazała nikomu spoza jego rodziny.

David uśmiechnął się do wspomnień.

—

Poczułem się bardzo dumny i nie mogłem ju się doczekać, kiedy ją znowu zobaczę. I rzeczywiście, jak zostawałem tu na noc, jeszcze kilka razy ją widywałem. Ale gdy skończyłem trzynaście lat, owe - nazwijmy je, odwiedziny - ustały.

—

Czy kiedykolwiek coś do ciebie mówiła?

—

Nie, jedynie śpiewała. I zawsze tę samą piosenkę.

—

Widywałeś ją tylko w sypialni?

—

Nie. Pewnego razu biwakowaliśmy w ogrodzie. Było upalne lato. Tak długo męczyliśmy Roz, e pozwoliła nam spać w namiocie. Nie spędziliśmy tam jednak całej nocy, bo Mason zranił się w stopę. Pamiętasz, Roz?

—

Owszem. Druga nad ranem, a ja pakuję czwórkę dzieciaków do samochodu i jadę do szpitala, by jednemu z nich zało yli szwy.

—

Zaczęliśmy urzędować w tym namiocie, rozstawionym na zachodnim krańcu posiadłości, jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu. Około dziesiątej było nam ju wszystkim niedobrze od hot dogów i ptasiego mleczka. Wtedy zaczęliśmy sobie opowiadać straszne historie o duchach. W powietrzu latało mnóstwo świetlików. Było tak gorąco, e mieliśmy na sobie tylko majtki.

Młodszy zasnęli, ale Harper i ja długo jeszcze gadaliśmy. W końcu i mnie musiało zmorzyć, bo pamiętam, jak Harper szarpał mnie za ramię. „Popatrz, to ona”, wyszeptał. I rzeczywiście, zobaczyłem Oblubienicę wędrującą przez ogród.

—
O, Bo e - mruknęła Hayley i przysunęła się bliżej do Davida. -1 co było dalej?

—
Zaczął mnie namawiać, ebyśmy za nią poszli, a ja próbowałem wybić mu to z głowy i przy okazji nie stracić twarzy. Obudziliśmy dzieciaki. Wtedy Harper powiedział, e za nią idzie, a my wszyscy możemy sobie zostać, skoro jesteśmy takimi śmierdzącymi tchórzami.

—
Co oczywiście sprawiło, e natychmiast ruszyliście razem z nim - rzuciła Stella.

—
aden szanujący się chłopak nie pozwoli, eby przyłgnęła do niego etykieta śmierdzącego tchórza. Wszyscy więc wysunęliśmy się z namiotu. Mason nie miał wtedy więcej ni sześć lat, jednak dzielnie truchtał z tyłu, próbując za nami nadążyć. Poniewa księżyc był w pełni, widzieliśmy ją wyraźnie, ale Harper zarządził, byśmy nie podchodzili za blisko, eby ona nas nie spostrzegła.

Było duszno, powietrze stało i nie poruszał się ani jeden listek. Oblubienica przechodziła przez ścieki i krzewy zupełnie bezszelestnie. Tej nocy wyglądała inaczej ni zwykle, ale dopiero du o później zdałem sobie sprawę, o co chodziło.

—
O co? - Hayley złapała Davida za ramię. - Co się zmieniło w jej wyglądzie?

—
Miała rozpuszczone włosy. Jak widywałem ją wcześniej, były zawsze upięte, ale tej nocy spływały jej po plecach i ramionach. Poza tym miała na sobie coś białego i powiewnego, tak e wyglądała na prawdziwego ducha. Dlatego zacząłem się jej bać - zacząłem się bać bardziej, ni kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Po chwili zeszła ze ścieki i skierowała się na klomb, ale jakby płynęła nad kwiatami, bo w ogóle się pod nią nie ugiwały. W uszach świszcział mi mój własny oddech i chyba zwolniłem kroku, bo nagle się zorientowałem, e Harper jest daleko z przodu. Oblubienica kierowała się natomiast w stronę stajni i dawnej powozowni.

—
Powozowni? - pisnęła Hayley. - To tam, gdzie mieszka Harper!

—
Owszem. Chocia wtedy tam nie mieszkał - zaśmiał się David. - Miał nie więcej ni dziesięć lat. Kiedy doszła do powozowni, odwróciła się i zaczęła rozglądać wokół. Stałem w miejscu jak wryty i

miałem wrazenie, e cała krew ze mnie odpływa.

—

Wyobra am sobie! - wtrąciła Hayley.

—

Wyglądała na kobietę ogarniętą szaleństwem i to było najbardziej przera ające. Zanim zdą yłem zdecydować, czy ruszać za Harperem, czy uciekać jak śmierzący tchórz, usłyszałem wrzask Masona. Pomyślałem, e wpadł w ręce Oblubienicy, i sam omal nie zacząłem wrzeszczeć. W tym momencie nadbiegł Harper. Okazało się, e Mason zranił stopę o ostry kamień.

Kiedy zerknąłem raz jeszcze w kierunku powozowni, zjawy ju tam nie było.

—

Masonowi zało yli a sześć szwów. - Roz podała notatnik Stelli. - Myślę, e mniej więcej tak ona wygląda.

—

Masz rację - przyznała Stella, wpatrując się w szkic wychudzonej kobiety o smutnych oczach. - Co o tym sądzisz, Davidzie?

—

Zgadzam się.

—

Hayley?

—

Tak mi się pokazała.

—

W porządku. Mamy więc dość prostą suknię, mocno wciętą w pasie, się-

gającą wysoko pod szyję, zapinaną z przodu. Rękawy z bufkami nad łokciem i bardzo obcisłe przy nadgarstkach. Spódnica gładko opadająca na biodra i lekko rozszerzająca się ku dołowi. Włosy, skręcone w loki, upięte wysoko na czubku głowy. Zaraz zacznę szukać w Internecie, ale z pewnością mo emy zało yć, e ta suknia jest z późniejszego okresu ni lata sześćdziesiąte dziewiętnastego wieku. Pamiętajcie Scarlett O'Harę i jej krynoliny? Natomiast po roku tysiąc dziewięćset dwudziestym spódnice były ju du o krótsze.

—
Moim zdaniem ta suknia pochodzi z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku - powiedziała Hayley. Kiedy wszyscy na nią spojrzeli, lekko wzruszyła ramionami. - W głowie siedzi mi mnóstwo nikomu nieprzydatnych wiadomości. To fason zwany „klepsydrą”, obowiązywał w rozpasanych latach dziewięćdziesiątych.

—
Doskonale. Zobaczmy, co nam powie Internet. - Stella wprowadziła odpowiednie hasło do wyszukiwarki.

—
Muszę się wysiusiać. Nie róbcie nic wa nego beze mnie. - Hayley wypadła z pokoju o tyle spieszenie, o ile pozwalał jej stan.

Stella zaczęła przeglądać wyszczególnione witryny i znalazła jedną, ukazującą modę kobiecą na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

—
Era późnowiktoriańska - mruknęła pod nosem. - Mamy suknie klepsydry. Te pokazane na zdjęciach są elegantsze, ale niewątpliwie to ten sam fason.

Przeszła na stronę ukazującą stroje z początku dwudziestego wieku.

—
Spójrzcie. Te suknie mają inne rękawy, du o szersze u góry. Zaczęła oglądać stroje sprzed 1890 roku.

—
Nie, tu są tiurniury. A więc Hayley ma rację. Mówimy o latach dziewięćdziesiątych.

—
Tysiąc osiemset dziewięćdziesiątych? - Hayley wpadła do pokoju. - A więc punkt dla mnie.

—
Nie tak szybko - wtrąciła Roz. - Je eli ta kobieta była słu ącą, to zapewne nie ubierała się zgodnie z najnowszą modą.

—

Do diabła! - wykrzyknęła Hayley.

—

- Ale mimo to możemy założyć, że mamy do czynienia z okresem pomiędzy 1890 a, powiedzmy, 1910, prawda? - stwierdziła Stella. - Wobec tego, przyjmując,

jeśli Oblubienica ma mniej więcej dwadzieścia pięć lat, przypuszczalnie urodziła się pomiędzy 1865 a 1885 rokiem. - Sapnęła gniewnie. - Zbyt duży rozrzut czasowy, zbyt szeroki margines błędny.

—

Włosy - rzucił David. - Nawet jeśli była słuchającą i donoszącą po kimś suknie, zapewne czesała się zgodnie z panującą modą.

—

Doskonale. - Stella zaczęła poszukiwać odpowiedniej strony. - Mam. Ta fryzura wyszła z mody około 1895 roku. Jeśli więc przyjmujemy, że Oblubienica układała włosy zgodnie z obowiązującymi kanonami, możemy zawęzić interesujący nas czas do lat 1890-1895. No może 1898, jeśli nie interesowała się nowinkami. A więc załóżmy, że zmarła w tym czasie, w wieku...

powiedzmy, dwudziestu dwóch do dwudziestu sześciu lat.

—

Zacznijmy od Biblii naszej rodziny - zdecydowała Roz. - Dowiemy się, czy jakaś pani Harper - albo z urodzenia, albo po mężu - mieszcząca się w tej grupie wiekowej, zmarła w owej dekadzie.

Położyła przed sobą księgę oprawną w czarną, ozdobnie wytłaczaną skórę.

Widać było, że ktoś - zapewne sama Roz - regularnie i starannie konserwuje oprawę.

Roz przeszła do stron z genealogią rodu Harperów.

—

Najwcześniejsze zapiski pochodzą z 1793 roku, kiedy to John Andrew Harper poślubił Fionę MacRoy. Z tego związku przyszło na świat ośmioro dzieci.

—

Ośmioro? - Hayley wybałuszyła oczy. - Święty Boże.

—

No właśnie. Sześciu do wieku dorosłego - ciągnęła Roz. - enili się i mnożyli, mnożyli, mnożyli.

- Delikatnie przewracała cienkie strony. - Tutaj widzę kilka dziewczynek urodzonych w latach 1865-1870. I mamy niejaką Alice Harper Doyle, zmarłą w czasie porodu w październiku 1893 roku, w wieku dwudziestu dwóch lat.

-
To straszne - jęknęła Hayley. - Była młodsza ode mnie.

-
A wcześniej zdążyła już urodzić dwoje dzieci. W czasach przed Margaret

*Sanger życie kobiet nie było lekkie.

* Margaret Sanger (1879-1966) - znana amerykańska propagatorka planowania rodziny i kontroli urodzin. Prowadziła w niej akcje uświadamiające w najuboższych środowiskach, domagała się zalegalizowania w Stanach Zjednoczonych środków antykoncepcyjnych i prawa kobiety do przerywania ciąży.

-
Czy może być, że owa Alice mieszkała w tym domu? - spytała Stella. - Tu właśnie umarła?

-
Niewykluczone. Popatrzmy... Poślubiła Daniela Francisa Doyle'a, z Natchez, w 1890 roku. Później sprawdzimy jej akt zgonu. Znalazłam jeszcze trzy inne kobiety, które zmarły w interesującym nas okresie, ale nie zgadza się ich wiek. Gdy zaś chodzi o Alice - była najmłodszą siostrą Reginalda Harpera.

Reginald miał jeszcze dwie inne siostry, ale żadnych braci. To on odziedziczył posiadłość i dom. Spora różnica wieku dzieli Reggiego i jego siostry.

Prawdopodobnie skutek poronień.

Hayley wydała z siebie jakiś niewyraźny dźwięk i Roz spojrzała bystro na dziewczynę.

-
Jeśli ma cię to przygnębiać, przestaniemy.

-
Nie, nie. Wszystko w porządku - zapewniła ją Hayley. - A więc Reginald był jedynym męskim potomkiem tej gałęzi rodziny?

—
Owszem. Miał mnóstwo kuzynów i któryś z nich zapewne przejąłby posiadłość po jego śmierci, gdyby nie urodził mu się syn. Reginald miał kilka córek, a potem, w 1892, doczekał się i syna.

—
A co z jegooną? - wtrąciła Stella. - Mo e to ona jest Oblubienicą?

—
Nie. Zmarła w 1925 roku. Do yła późnego wieku.

—
A więc najpierw sprawdzmy tę Alice - zdecydowała Stella.

—
Zobaczymy te , co uda nam się znaleźć na temat słu ących, które pracowały tu w tamtym okresie. Nie zdziwiłabym się, gdyby Reggie chętnie zabawiał

się z jakąś niańką czy pokojówką w czasie, gdy ona rodziła mu potomstwo.

Ostatecznie był mę czyzną.

—
Ej e! - zaprotestował David.

—
Wybacz, skarbie. Powinnam powiedzieć, e był mę czyzną z rodu Harperów i ył w czasach, kiedy ka dy bogaty d entelmen miał kochanki i nie wahał

się wziąć do ó ka słu ącej, jeśli miał taki kaprys.

—
To ju brzmi trochę lepiej. Ale i tak fatalnie.

—
Czy mamy pewność, e to on ze swoją rodziną mieszkał w tym domu w interesującym nas okresie? - spytała Stella.

Harper House zawsze należał do męskiego potomka rodziny - odrzekła Roz.

-I o ile mnie pamięć nie myli, to właśnie Reginald zmienił oświetlenie z gazowego na elektryczne. Mieszkał tu a do śmierci, to jest... - zerknęła na zapiski w księdze - ...do 1919 roku, i wtedy dom przeszedł w ręce jego syna, Reginalda juniora, który w 1916 roku poślubił Elizabeth Harper McKinnon, swoją daleką kuzynkę.

-

W porządku. A więc musimy sprawdzić, czy Alice zmarła w tym domu, lub czy w tym czasie zmarły tu jakieś słujące mniej więcej w jej wieku. -Stella wprowadziła odpowiednie dane do komputera. - Roz, czy wiesz, kiedy te... z braku lepszego określenia, nazwijmy je nawiedzeniami... kiedy one się zaczęły?

-

Nie mam pojęcia i gdy teraz o tym myślę, wydaje mi się to bardzo dziwne.

Powinam to wiedzieć, ba, powinam mieć dużo o więcej informacji na temat tej kobiety. Historia rodziny Harperów jest doskonale udokumentowana, poza tym wiele interesujących opowieści przekazywano ustnie z pokolenia na pokolenie. Tymczasem mamy tu ducha, który od ponad stu lat wędruje po domu, a ja właściwie nic o nim nie wiem. Mój tata nazywał ją jedynie Oblubienicą.

-

Co w takim razie o niej wiesz?

-

- Wiem, jak wygląda. Znam jej ulubioną piosenkę. Widywałam ją, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką. Przychodziła do mojego pokoju i śpiewała mi kołysankę, tak jak podobno pokoleniom dzieci przede mną. Jej śpiew...

działał kojąco. Miała w sobie zawsze dużo o łagodności. Parę razy próbowałam z nią rozmawiać, ale nigdy nie odezwała się do mnie ani słowem. Siedziała i po prostu się uśmiechała. A niekiedy płakała. Dziękuję, skarbie - rzuciła w stronę Davida, który dołał jej kawy. - Kiedy byłam nastolatką, ju mi się nie pokazywała, a ja miałam wtedy inne rzeczy w głowie i zupełnie o niej nie myślałam. Pamiętam natomiast doskonale, kiedy zobaczyłam ją po raz kolejny...

-

Nie trzymaj nas w niepewności - rzuciła rozemocjonowana Hayley.

-

To się wydarzyło wczesnym latem, pod koniec czerwca. Od niedawna byliśmy z Johnem małństwem i przyjechaliśmy na jakiś czas do tego do-mu. Na dworze panował upał, a powietrze

wydawało się przesycone lepką wilgocią. Nie mogłam zasnąć, wyszłam więc z domu do ogrodu. Byłam niespokojna i poirytowana. Zastanawiałam się, czy tego wieczoru nie zaszłam w ciążę. Oboje z Johnem bardzo pragnęliśmy dziecka i ostatnio nie mogłam myśleć o niczym innym. Kiedy wyszłam, usiadłam w starym fotelu bujanym z tekowego drewna. Wpatrywałam się w księżyc i modliłam, by moje marzenia o dziecku wreszcie się spełniły.

Westchnęła cicho.

Miałam zaledwie osiemnaście lat. W każdym razie, kiedy tam siedziałam, zjawiała się Oblubienica. Nie widziałam ani nie słyszałam, by nadchodziła. Po prostu nagle znalazła się naprzeciwko mnie. Uśmiechała się leciutko. Coś w tym uśmiechu absolutnie utwierdziło mnie w przekonaniu, że zaszłam w ciążę, i zaczęłam płakać z radości. Parę tygodni później poszłam do lekarza, ale już wiedziałam, że noszę pod sercem Harpera.

Jakie to urocze. - Hayley z trudem powstrzymywała łzy.

Potem zawsze pokazywała mi się na początku ciąży, kiedy jeszcze nie byłam pewna, czy rzeczywiście spodziewam się dziecka. Ale jak się pojawiała, od razu wiedziałam. Gdy Mason, mój najmłodszy syn, skończył dwanaście lub trzynaście lat, przestałam ją widywać.

A więc niewątpliwie ma jakiś związek z dziećmi - orzekła Stella, podwójną linią podkreślając słowo „ciąża” w swoich notatkach. - Pokazuje się dzieciom, matkom małych dzieci albo kobietom w ciąży. Teoria o śmierci w czasie porodu wydaje się całkiem przekonująca. - Skrzywiła się lekko. -

Przepraszam, Hayley. Nie powinniśmy o tym mówić.

Coś ty, wcale mi to nie przeszkadza. Może to rzeczywiście Alice. Może odnajdzie spokój, jeśli przywrócimy jej to samość.

Cóż - Stella zerknęła na duże pudła - w takim razie zabierajmy się do pracy.

Tej nocy znów śnił się jej cudowny ogród z błękitną dalią uparcie tkwiącą na środku klombu, na którym jej być nie powinno.

Kwiat rosnący w nieodpowiednim miejscu jest jedynie chwastem.

Ponownie usłyszała gniewny głos, który jednak nie był jej własnym.

—

To prawda - wymamrotała. - Ale ta dalia jest taka piękna. Taka silna i pełna ycia.

To tylko ułuda. Jeśli tu pozostanie, rozrośnie się i twoja praca pójdzie na marne. Stracisz wszystko, co osiągnęłaś. Czy podejmiesz takie ryzyko dla jednego pięknego kwiatu? Kwiatu, który i tak zginie, gdy nadejdzie pierwszy przymrozek?

—

Sama nie wiem, co robić. - Rozglądając się po ogrodził-, Stella zaczęła masować ramiona, bo niespodziewanie poczuła chłód. - Mo e po prostu zmienię projekt? Z tej dalii zrobię centralny punkt rabaty.

Nagle rozległ się huk gromu, a niebo zasnuły czarne chmury, tak samo jak pewnego straszego wieczoru, gdy gotowała sos w swojej kuchni.

Ogarnął ją niewysłowiony smutek.

Widzisz? Czy jeszcze kiedykolwiek w yciu chciałabyś pogrą yć się w rozpaczy? Pamiętaj, e masz dzieci, więc natychmiast usuń ten kwiat. Zniszcz go. Wy-rwij z korzeniami. Póki nie jest jeszcze za późno! Czy nie rozumiesz, e ta rośli-na próbuje zdusić wszystko wokół? e kradnie światło? Piękno bywa trujące.

Stella obudziła się wstrząsana dreszczami.

Wiedziała, e jakaś siła wdziera się nawet w jej sny.

W kolejny dzień wolny od pracy Stella zabrała dzieci do zoo, gdzie czekali ju ojciec wraz z Jolene. Nie minęła godzina, a chłopcy objadali się nieprzytomnie lodami, ciągnęli za sobą masę balonów i wymachiwali gumowymi pytonami.

Stella dawno temu uznała, e głównym przywilejem dziadków jest roz-puszczanie wnuków, nie zamierzała więc interweniować.

Następnym punktem programu była wizyta w terrarium. Stella grzecznie podziękowała za tę przyjemność i oddała synów pod wyłączną opiekę ojca.

—

Wasza mama zawsze bała się wę y - oznajmił chłopcom Will.

—

I wcale się tego nie wstydzę. Ale wy ruszajcie śmiało. Ja tu poczekam.

—

Dotrzymam ci towarzystwa - zdecydowała Jolene, poprawiając jasnoniebieską baseballówkę. - Zdecydowanie wolę zostać tutaj, ni oglądać boa dusiciele.

—

Ach, te dziewczyny! - Will wymienił z wnukami pobła liwe spojrzenia. - No dobrze. Wszyscy mę czyźni ruszają do gniazda wę y!

Z okrzykiem bojowym na ustach pobiegli w stronę terrarium.

—

Ojciec tak doskonale się nimi zajmuje - powiedziała Stella. - Bardzo się cieszę, e mieszkamy tak blisko i chłopcy mogą się regularnie z wami spotykać.

—

My te jesteśmy bardzo szczęśliwi z tego powodu. Przysięgam, twój ojciec przez ostatnich parę dni sam zachowywał się jak dziecko, gdy planował

dzisiejszą wyprawę. Jest z waszej trójki bardzo dumny.

—

Du o oboje straciliśmy, e nie byliśmy razem w czasach mojego dzieciństwa.

—

Ale teraz mo ecie wiele nadrobić.

Gdy ruszyły w stronę pobliskiej ławki, Stella spojrzała na Jolene spod oka.

—

Nigdy nie wypowiadasz się na temat mojej matki. Nigdy jej nie krytykujesz.

—

Skarbie, w ciągu ostatnich dwudziestu siedmiu lat setki razy gryzłam się w język.

—

Ale dlaczego?

—

Có , kochanie. Jeśli jest się drugą oną, a do tego macochą, najrozsądniej zachować pewne rzeczy dla siebie. Najważniejsze, e wyrosłaś na silną, inteligentną kobietę, dzielnie wychowującą dwóch najbardziej uroczych, najmądrzejszych i najpiękniejszych chłopców na ziemi. Czemu więc właściwie miałabym krytykować twoją matkę?

Ona krytykuje cię przy każdej okazji, skomentowała w myślach Stella.

—

Czy ju ci kiedyś mówiłam, e małżeństwo z tobą to najlepsza rzecz, która przytrafiła się ojcu w całym jego życiu?

—

Parę razy. Ale zawsze chętnie tego słucham.

—

Pozwól więc, e dodam, i jesteś równie jedną z najlepszych rzeczy, które przytrafiły się w moim życiu. I w życiu chłopców.

—

Ojej. - Oczywiście Jolene wyraźnie zwilgotniały. - Zupełnie mnie rozczuliłaś. -

Sięgnęła do torebki i wyjęła obszytą koronką chusteczkę. - To piękne słowa.

Najpiękniejsze. - Pociągnęła nosem i osuszyła chusteczką łzy, jednocześnie próbując uściskać Stellę.
- Bardzo cię kocham. Zawsze cię kochałam.

—
Wiem. Zawsze to czułam. - Teraz ju i Stella zaczęła płakać. - Bo e, popatrz, do jakiego stanu się doprowadziłyśmy.

—
Niekiedy płacz jest równie dobry jak seks. Czy spływa mi po twarzy tusz do rzęs?

—
Nie. Rozmazał się tylko odrobinę w kąciuku oka. - Stella znalazła jednorazową chusteczkę i delikatnie usunęła smugę. - Ju . Wyglądasz super.

—
I tak się te czuję. A teraz, zanim znowu się rozryczę, powiedz, co u ciebie słychać.

—
W pracy wszystko układa się rewelacyjnie. Wkrótce wielkie otwarcie sezonu wiosennego, dwoję się więc i troję. Chłopcy są szczęśliwi, mają coraz więcej przyjaciół w szkole. Między nami mówiąc, podejrzewam, e Gavin zadurzył

się w małej blondyneczce o kręconych włosach. Chodzi z nim do klasy i ma na imię Melissa. Ilekroć mój syn o niej wspomina, czerwienieją mu uszy.

—
Jakie to urocze. Nie ma jak pierwsze zadurzenie, co? Pamiętam, kiedy mi się to przytrafiło. Oszalałam na punkcie pewnego chłopaka, który miał mnóstwo piegów i wicherek na głowie. Gdy mi przyniósł ropuchę w pudełku od butów, omal nie umarłam z radości.

—
Ropuchę!

—
Có , skarbie, miałam osiem lat i mieszkałam na farmie, taki prezent był więc jak najbardziej odpowiedni. Ostatecznie ten pierwszy ukochany o enił się z moją przyjaciółką. Byłam druhną na ich ślubie i musiałam wło yć najohydniejszą ró ową sukienkę: podobną do krynoliny i w dodatku z falbana-mi, wyglądałam więc jak wielopiętrowy tort z ró owym lukrem.

Stella wybuchnęła śmiechem, a Jo machnęła niedbale ręką.

—

Właściwie nie wiem, czemu się nad tym rozwodzę - pewnie dlatego, e tak traumatycznego prze ycia nigdy się nie zapomina, nawet gdy wydarzyło się trzydzieści lat temu. Teraz mój ukochany i moja przyjaciółka mieszkają na drugim końcu miasta. Czasami spotykamy się na kolacji. On wciąż ma mnóstwo piegów, natomiast wicherek zniknął razem z resztą jego włosów.

—

Zapewne znasz tu bardzo du o ludzi i wiele o nich wiesz.

—

Przyznaję, e gdy idę do Wal-Marl, spotykam zawsze co najmniej tuzin znajomych.

—

A co ci wiadomo o zjawie widywanej w domu Harperów?

—

Hm. - Jolene wyjęła puderniczkę oraz szminkę i zaczęła poprawiać makija . -

Tyle tylko, e odkąd sięga ludzka pamięć, duch nawiedza tę posiadłość. A czemu pytasz?

—

Wiem, e to zabrzmia idiotycznie, szczególnie z moich ust, ale... ja ją widziałam.

—

Coś podobnego! - Jo z trzaskiem zamknęła wieczko. - Musisz mi wszystko opowiedzieć.

—

Nie ma wiele do opowiadania.

Zrelacjonowała jednak Jolene swoje prze ycia i wyjaśniła, co postanowili zrobić w sprawie ducha.

—

Ale to ekscytujące! Jesteście prawdziwymi detektywami! Mo e twój tata i ja moglibyśmy wam jakoś pomóc? Wiesz, jak on uwielbia bawić się tym swoim komputerem. - Zaciśnęła dłoń na ramieniu Stelli. - Zało ę się, e owa nieszczęsna kobieta została zamordowana; zarąbana na śmierć siekierą i po-chowana w płytkim grobie. Albo jej poćwiartowane zwłoki wrzucono do rzeki.

—
Brr, co za makabra! Chciałam ci jednak zwrócić uwagę, e nasz duch jest w jednym kawałku. Na dodatek istnieje du e prawdopodobieństwo, e to kobieta z rodziny Harperów, która umarła przy porodzie.

—
Ach, tak - mruknęła Jolene, wyraźnie zawiedziona. - W ka dym razie opowiedz o tym tacie. Oboje mamy mnóstwo wolnego czasu i chętnie przyłą-
czymy się do zabawy.

—
Jeszcze kilka miesięcy temu nigdy bym nie uwierzyła, e zacznę się interesować duchami - wyznała Stella. - Ostatnio coraz częściej robię rzeczy zupełnie do mnie niepodobne.

—
A czy mają one jakiś związek z wysokim, barczystym mę czyzną o zniewalającym uśmiechu?

Stella zmru yła powieki.

—
Czemu o to pytasz?

—
Moja daleka kuzynka, Lucille, kiedyś ją u nas poznałaś, kilka dni temu jadła kolację w pewnej restauracji i podobno widziała cię tam z bardzo przystojnym facetem. Nie podeszła, bo była ze swoim najnowszym przyjacielem, który nie jest tak do końca rozwiedziony. W zasadzie nie jest do końca rozwiedziony ju od półtora roku. To właśnie cała Lucille. A więc, co to za przystojniak?

—
Logan Kitridge.

—
Och, to rzeczywiście wyjątkowo atrakcyjny mę czyzna. Wydawało mi się jednak, e go nie lubisz.

—
Nigdy nie mówiłam, e go nie lubię, tylko e cię ko z nim współpracować.

Teraz jednak nasze stosunki w pracy układają się ju du o lepiej, no i zaczęliśmy się spotykać na

gruncie towarzyskim. Prawdę mówiąc, od paru dni się zastanawiam, czy miałabym ochotę znowu się z nim umówić.

—

A nad czym tu się zastanawiać? Albo tego chcesz, albo nie.

—

Właściwie chcę, ale... Słuchaj, wiem, e nie powinnam cię nakłaniać do plotkowania...

Jolene przysunęła się bli ej pasierbicy.

—

Skarbie, kogo miałabyś do tego nakłaniać, jeśli nie mnie?

—

Chciałabym wiedzieć, zanim się zaangażuję, czy Logan spotyka się z wieloma kobietami.

—

Jednym słowem jesteś ciekawa, czy nie jest podrywaczem.

—

Myślę, e tak to mo na nazwać.

—

Mę czyzna o wyglądzie Kitridge'a na pewno mógłby przebierać w kobietach, ale nigdy nie słyszałam o jego wyczynach na tym polu. Kiedy ludzie, a właściwie głównie kobiety, mówią o Loganie, zastanawiają się, jak ona mogła go wypuścić z rąk albo czemu jakaś sprytna kobieta jeszcze go nie zło-wiła. Masz zamiar go złowić?

—

Nie. W adnym razie.

—

Mo e w takim razie on zamierza złowić ciebie?

—

Myślę, e na razie oboje badamy grunt. - W tym momencie Stella zauwa yła ojca i chłopców wychodzących z terrarium. - Oto wracają pogromcy groźnych gadów. Jo, nie mów o tym przy

dzieciach, dobrze?

—

Będę milczeć jak grób.

W dniu rozreklamowanego wcześniej otwarcia wiosennego sezonu ju o ósmej rano „Eden” był przygotowany jak na bitwę. Stella zwarła swoje zastępy starannie przeszkolonych rekrutów i razem z Roz sprawdziła wszystkie zapasy.

Pole walki zostało idealnie przygotowane do starcia.

O dziesiątej tłumy szturmujących miłośników ogrodów kłębiły się w centrum i w szklarniach, a dzwonki kas brzęczały jak szalone.

Stella wędrowała od sektora do sektora, zatrzymując się na dłużej tam, gdzie w danej chwili była akurat najbardziej potrzebna. Odpowiadała na pytania pracowników i klientów, podawała wózki, często sama pomagała załadować zakupy do bagażników samochodów.

I raz po raz, niczym prawdziwy generał, wydawała polecenia przez walkie-talkie.

—

Przepraszam, czy pani tu pracuje?

Stella odwróciła się i ujrzała kobietę w luźnych dżinsach i znoszonej bawełnianej bluzie.

—

Tak. Mam na imię Stella. W czym mogę pani pomóc?

—

Nie mogę znaleźć orlików ani naparstnicy, ani... nie mogę znaleźć połowy roślin z mojej listy. Wszystko jest poprzestawiane.

—

Rzeczywiście, przeprowadziliśmy drobną reorganizację. Z przyjemnością pomogę pani odnaleźć wszystko, czego pani szuka.

—

Ju jeden wózek zdążyłam załadować. Nie chciałabym go ciągnąć ze sobą po całym terenie.

—

Widzę, że czeka panią sporo pracy w ogrodzie - zauważyła Stella radośnie. -

Zrobiła pani doskonale zakupy. Steve? Czy mógłbyś wziąć ten wózek i oznakować go dla pani...

—

Haggerty - odparła kobieta i zmarszczyła brwi. Pamiętaj, chłopcze, ebyś go dobrze przypilnował. Nie pozwól nikomu podebrać roślin z mojego wózka.

Du o czasie poświęciłam na ich wybór.

—

Oczywiście, pani Haggerty. Jak się pani miewa ostatnio?

—

Doskonale. A co tam u twoich rodziców, Steve?

—

Wszystko dobrze, dziękuję. - Chłopak chwycił za rączkę wózka. - Pani Haggerty ma jeden z najpiękniejszych ogrodów w hrabstwie - poinformował

Stellę.

—

Postanowiłam zrobić nowe klomby. Pilnuj dobrze tych roślin, Steve, bo będziesz miał ze mną do czynienia. Więc gdzie, do diabła, są teraz orliki?

—

Tędy, proszę.

—

Jest pani tą nową dziewczyną zatrudnioną przez Rosalind?

—

Owszem.

—

Z Północy?

—

Przyznaję się do winy, wysoki sędzie.

Kobieta zacisnęła usta i rozejrzała się po centrum z wyraźną irytacją.

—

Rzeczywiście, wszystko tu poprzestawialiście.

—

Mam nadzieję, e nowy system oszczędzi klientom czasu i zachodu.

—

Mnie niczego dziś nie zaoszczędził. Proszę chwilę poczekać. - Poprawiła rondo słomkowego, sfatygowanego kapelusza, by słońce nie świeciło jej w oczy, po czym pochyliła się nad doniczkami z krwawnikiem.

—

Jak ju tu jestem, to wezmę trochę roślin dla mojej córki. - Chwyciła trzy doniczki i ruszyła dalej. Stella cały czas opowiadała o kwiatach i w końcu udało jej się wciągnąć panią Haggerty w rozmowę. Napełniły drugi wózek i połowę trzeciego, zanim wyszły z sektora z roślinami wieloletnimi.

—

Muszę przyznać, e wiesz du o o ogrodnictwie, Stello.

—

Pani te jest prawdziwą znawczynią tematu.

Klientka zatrzymała się i ponownie rozejrzała wokół, ale tym razem w za-myśleniu.

—

Z powodu nowego układu prawdopodobnie kupiłam dwa razy tyle, ile zamierzałam.

Stella uśmiechnęła się promiennie.

—

Naprawdę?

—

Bardzo sprytne. Podoba mi się. Czy twoja rodzina została na Północy?

—

Nie. Mój tata i jego ona mieszkają w Memphis. Stąd się oboje wywodzą.

—

Doprawdy? Proszę, wpadnij do mnie kiedyś, oprowadzę cię po swoim ogrodzie. Roz ci powie, jak do mnie trafić.

—

Z największą przyjemnością. Bardzo dziękuję.

Gdy wybiło południe, Stella podejrzewała, że przeszła już co najmniej piętnaście kilometrów.

Po trzeciej przestała się zastanawiać, jaki dystans przedreptała, ile kilogramów przeniosła z miejsca na miejsce, na ile pytań zdołała odpowiedzieć.

Zaczęła natomiast marzyć o długim, chłodnym prysznicu i dużej kieliszku wina.

—

Ale odjazd - rzuciła Hayley w biegu. Właśnie ściągała wózki z parkingu.

—

Kiedy ostatni raz zrobiłaś sobie przerwę?

—

Nie przejmuj się. Du o się dzisiaj nasiedziałam za ladą. Gawędziłam z klientami. Prawdę mówiąc, musiałam rozprostować nogi.

—

Zamykamy mniej więcej za dwie godziny. Ruch już się zdecydowanie zmniejszył. Znajdź więc Harpera lub dobierz sobie kogoś z pracowników i sprawdź nasze zapasy.

—

Oczywiście. Ej e, czy to przypadkiem nie cię arówka pana Mięśniaka? Stella zerknęła przez ramię i spostrzegła samochód Logana.

—

Pana Mięśniaka?

—

To do niego pasuje, prawda? No, dobra. Muszę zabierać się do pracy.

Stella te powinna wrócić do swoich zajęć, stała jednak i przyglądała się, jak Logan zakręca przy stertach worków z ziemią i nawozami, zatrzymuje samochód i wyskakuje z kabiny. Drugimi drzwiami wysiedli jego pracownicy.

Logan zamienił z nimi kilka słów i ruszył w stronę Stelli.

—
Klient zdecydował się na ściólkę cedrową. Zabieram ćwierć tony.

—
Który klient?

—
Jameson. Podrzucimy mu to jeszcze dzisiaj. Jutro przyniosę ci dokumenty.

—
Równie dobrze mo esz je przygotować w tej chwili.

—
Muszę wszystko dokładnie skalkulować, a na to potrzebuję więcej czasu. A jeśli mu dzisiaj nie zawieziemy tej cholernej ściółki, będzie niezadowolony.

Stella otarła czoło ramieniem.

—
Masz szczęście, e jestem zbyt zmęczona, aby zrzędzić.

—
Spory ruch.

—
Istne szaleństwo. Co mnie bardzo cieszy. Zało ę się, e pobiliśmy wszelkie rekordy sprzeda y. Tyle e nie czuję ju nóg. A tak przy okazji, pomyślałam, e chętnie wpadłabym obejrzeć twój dom.

—
Bardzo proszę. - Obrzucił ją uwa nym spojrzeniem. - Dziś wieczorem jestem wolny.

Dzisiejszy wieczór odpada. Co byś powiedział na środę? Po zamknięciu

„Edenu”? Oczywiście, jeśli Roz zechce popilnować chłopców.

—
Środa będzie bardzo dobra. Koło wpół do siódmej?

—
Doskonale. To do zobaczenia.

Odwrócił się i ruszył w stronę cię arówki, Stella natomiast pomyślała, e nigdy w yciu nie przeprowadziła dziwniejszej rozmowy o seksie.

Wieczorem, gdy dzieci ju zjadły kolację i zajęły się zabawą, Stella wreszcie mogła wziąć wymarzony prysznic. Jak tylko opadło z niej największe zmęczenie i osłabł ból w mięśniach, ogarnęła ją euforia.

Ten dzień był prawdziwym triumfem!

Wciąż się co prawda niepokoiła, czy ich asortyment jest odpowiednio zrównoważony - czy nie mają niektórych roślin za dużo, innych zaś za mało.

Doszła jednak do wniosku, e nie powinna podawać w wątpliwość intuicji Roz.

Wyszła z kabiny, włożyła szlafrok frotte, zawinęła mokre włosy w ręcznik, po czym tanecznym krokiem wybiegła z łazienki.

W drzwiach pokoju ujrzała kobiecą postać i z przestachu krzyknęła na całe gardło.

—
Przepraszam! Przepraszam! - Roz z trudem powstrzymała śmiech. - Tym razem masz przed sobą istotę z krwi i kości.

—
O Bo e. - Wciąż jeszcze ugiwały się pod nią kolana, szybko przysiadła więc na skraju łóżka. - O mały włos nie dostałam zawału.

—
Mam coś, co z miejsca postawi cię na nogi. - Roz wyciągnęła zza pleców butelkę szampana.

—
Dom Perignon? Super! Od razu mi lepiej.

—
Mamy co świętować. Hayley ju czeka w saloniku naprzeciwko. Pozwolę jej nawet wypić pół kieliszka bąbelków bez adnego zrzędzenia.

—
W Europie kobietom w cią y podobno zaleca się picie kieliszka wina raz w tygodniu. Mo emy więc dziś udawać, e jesteśmy we Francji.

—
No dobrze, idziemy. Chłopców wysłałam ju pod opiekę Davida. Urządzili jakiś turniej gier komputerowych.

—
Dziękuję. Jeszcze przez pół godziny mogą poszaleć. Potem jednak będę musiała ich zapakować do wanny i do łó ek. Czy to kawior? - spytała, gdy znalazła się w saloniku.

—
Roz mówi, e nie wolno mi nawet spróbować. - Hayley pochyliła się nad srebrną miseczką pełną czarnych, połyskliwych kulek i mocno pociągnęła nosem. - Bo to mo e zaszkodzić dziecku. Prawdę mówiąc, wcale nie jestem pewna, czy w ogóle miałabym na coś takiego ochotę.

—
Doskonale. Więcej zostanie dla mnie. O rany, szampan i kawior. Jest pani szefową z wielką klasą, pani Harper.

—
To był wspaniały dzień. Początek sezonu zawsze wprawia mnie w lekkie przygnębienie. - Roz wprawnie otworzyła szampana. - Wszystkie moje ma-leństwa odchodzą w obce ręce. Oczywiście, w czasie pracy jestem zbyt zaję-

ta, eby się nad tym zastanawiać. - Napełniła trzy wysmukłe kieliszki. - Pod koniec dnia zaś powtarzam sobie, e przecie po to zało yłam firmę ogrodniczą, aby sprzedawać rośliny i czerpać z tego zyski. Tylko e gdy wracam do domu, znowu ogarnia mnie melancholia. Ale dziś jest inaczej.

—
Podala kieliszki Stelli i Hayley.

—
Nie mogę w tym momencie przytoczyć odpowiednich danych, ale i tak wiem, e nigdy dotąd „Eden” nie zarobił tyle pieniędzy jednego dnia.

—
O dziesięć procent więcej ni podczas otwarcia w zeszłym roku - wtrąciła Stella. - Tak się składa, e mogę przytoczyć odpowiednie dane.

—
Oczywiście! - Roz parsknęła śmiechem, po czym, ku zdumieniu Stelli, objęła ją ramieniem i ucałowała w policzek. - Oczywiście, e mo esz. Stello, wykonałaś wspaniałą pracę. I ty te , Hayley. Obie zasługujecie na medale.

—
Muszę przyznać, Stello, e i sobie, i „Edenowi” sprawiłam wspaniały prezent w dniu, w którym przyjął cię do pracy.

—
O, rety! - Stella spróbowała szampana. -W adnym razie nie zamierzam polemizować z twoją opinią. - Pociągnęła kolejny łyk, poczuła przyjemne szczypanie na języku i przysunęła sobie kawior. - Niemniej, choć chętnie przypisałabym sobie całą zasługę za te dziesięć procent, nie mogę tego zrobić. Przede wszystkim mamy wspaniały towar. Jesteście z Harperem niezwykle utalentowanymi ogrodnikami. Dlatego mój wkład w obecny wzrost sprzeda y wynosi najwy ej połowę z tych dziesięciu procent.

—
Świetnie się dziś bawiłam - wtrąciła Hayley. - Co prawda było mnóstwo ludzi, ale mi to odpowiadało. Wszyscy sprawiali wra enie zadowolonych.

Pewnie przebywanie wśród roślin tak dobrze nastraja ludzi.

—
A ja uwa am, e uszczęśliwione miny naszych klientów zawdzięczamy działowi obsługi. To znaczy tobie - powiedziała Stella, trącąc kieliszkiem kieliszek Hayley.

—
Tworzymy dobry zespół - stwierdziła Roz. - Jutro rano przejrzymy dokładnie zapasy. Zobaczmy, nad czym powinniśmy jak najszybciej popracować z Harperem. - Chwyciła małeńką grzanekę i nałó yła na nią kawioru. -Ale dziś wieczorem będziemy jedynie świętować nasz sukces.

—
Słuchajcie, to najwspanialsza praca, jaką miałam w yciu - oznajmiła Hayley. - I bynajmniej nie uwa am tak dlatego, e mogę popijać wytwornego szampana i patrzeć, jak opychacie się kawiozem.

—

Ja natomiast chciałabym poruszyć inny temat - odezwała się Roz. -

Sprawdziłam akt zgonu Alice Harper Doyle. Zgodnie z oficjalnym wpisem nasza Alice zmarła w Natchez, w domu, w którym mieszkała z mężem i dwojgiem dzieci.

Do diabła! - Stella ściągnęła brwi. - Z drugiej strony, to byłoby zbyt proste.

W takim razie musimy dalej przedzierać się przez rachunki i inne zapiski rodzinne, by znaleźć dane o wszystkich kobietach mieszkających w Harper House w owym czasie - zdecydowała Roz.

Poważne zadanie - mruknęła Stella.

Ej, damy radę! - oświadczyła rozentuzjasmowana Hayley. - Takie optymistki jak my zdołają poradzić sobie ze wszystkim. I wiecie co? Trochę myślałam o tej sprawie. David powiedział, że widział, jak zjawy zmierzały w stronę stajni i powozowni. Może więc miała romans z którymś ze stajenych? Pokłócili się i on ją zamordował. Podobno nagła śmierć może uwięzić duchy na tym padole.

Morderstwo... - powtórzyła Roz. - To niewykluczone.

Jakbym słyszała swoją macochę. Pozwoliłam sobie napomknąć jej o naszych poszukiwaniach. - Stella zwróciła się w stronę Roz. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

W adnym razie. Ja z kolei zastanawiałam się, czy teraz, gdy postanowi-

łyśmy ustalić jej to samość, Oblubienica nie ukazuje się którejś z nas, by wskazać, gdzie powinniśmy szukać.

Ja natomiast miałam sen. - eby dodać sobie animuszu, Stella wypijała do końca zawartość kieliszka. - Coś na kształt kontynuacji tego sprzed paru tygodni. Szczegóły już mi się zatarły w pamięci, wiem jednak, że rzecz się działa w zaprojektowanym przeze mnie ogrodzie, w którym niespodziewanie

wyrośla błękitna dalia.

—

Czy dale w ogóle bywają błękitne? - zdziwiła się Hayley.

—

Owszem - odrzekła Roz. - Choć bardzo rzadko. Mo na jednak wyhodować hybrydy w rozmaitych odcieniach błękitu.

—

Ten kwiat nie przypominał adnego, jaki kiedykolwiek widziałam w yciu -

ciągnęła Stella. - Był olbrzymi i nienaturalnie intensywnego koloru. W moim śnie znalazła się równie Oblubienica. Co prawda jej nie widziałam, ale wyraźnie czułam jej obecność.

—

Słuchajcie, mo e ona miała na imię Dalia?! - wykrzyknęła Hayley.

—

Jest to jakaś myśl - uznała Roz. - Niewykluczone, e duchy potrafią nam coś komunikować we śnie.

Stella dołała sobie szampana i wypła kolejny, spory łyk.

—

Nie widziałam jej, ale słyszałam, co do mnie mówi. A przede wszystkim bardzo wyraźnie wyczuwałam jej obecność - mroczną, budzącą lęk. Oblubienica chciała, ebym zniszczyła kwiat. I z jakiegoś powodu była bardzo roz-gniewana. Nie rozumiem jednak, jak w ogóle mogła wtargnąć do mojego snu?

—

Nie wiem - powiedziała Roz. -I, prawdę mówiąc, nie chcę się nad tym zastanawiać.

—

Miałam wra enie, e doszło do naruszenia mojej prywatności - wyznała Stella. - Kiedy się obudziłam, byłam pewna, e zjawa nie tylko wtargnęła do mojego snu, ale przez cały czas znajdowała się w moim pokoju.

—

To straszne - zgodziła się Hayley. - Sny są czymś bardzo osobistym, nikt nie powinien się nimi

interesować, o ile sami nie chcemy podzielić się ich treścią. Czy sądzisz jednak, e ten kwiat miał coś wspólnego z Oblubienicą?

Zupełnie nie pojmuję, czemu chciała, ebyś go zniszczyła.

—
Ja te nie umiem tego wyjaśnić. Tym bardziej e dalej to moje ulubione kwiaty, a niebieski jest moim ulubionym kolorem.

—
Przestańmy się teraz nad tym zastanawiać - zaproponowała Roz. - Nie ma sensu nawzajem się straszyć przed nocą. Zajmiemy się naszą zjawą innego wieczoru.

—
A gdy ju mowa o wieczorach... - wtrąciła Stella. - Mam pewne plany na środę po pracy. Oczywiście, jeśli zechciałybyście popilnować chłopców przez parę godzin.

—
Myślę, e we dwie poradzimy sobie bez trudu - powiedziała Roz.

—
Kolejna randka z panem Mięśniakiem?

Roz parsknęła śmiechem i nało yła sobie na grzankę kolejną porcję kawioru.

—
Rozumiem, e chodzi o Logana.

—
To najnowszy wymysł Hayley - oznajmiła Stella. - A wracając do sprawy, umówiłam się z Loganem, eby obejrzeć jego dom i ogrody. Jestem ciekawa, jak postanowił je zagospodarować. - Kolejny raz wysączyła szampana. -

—
Chocia tak naprawdę jadę tam, eby uprawiać seks. Jeśli wcześniej nie zmienię zdania. Lub o ile Logan nie postanowi inaczej. Tak więc macie teraz pełen obraz sytuacji - zakończyła, odstawiając pusty kieliszek.

—
Nie wiem, co właściwie miałybyśmy ci na to odpowiedzieć - odezwała się Roz po dłu szej chwili

milczenia.

—

Baw się dobrze - zasugerowała Hayley. -1 pamiętaj, eby się zabezpieczyć -
dorzuciła, spoglądając wymownie na swój wielki brzuch.

—

Mówię wam o tym tylko dlatego, eby sytuacja była absolutnie jasna. Źle bym się czuła, prosząc o opiekę nad moimi dziećmi, a jednocześnie w jakiś sposób was oszukując.

—

Stello - odrzekła Roz - to twoje prywatne ycie. Nie powinno nikogo

—

obchodzić.

—

Oczywiście - zgodziła się Hayley, wysączając ostatnie krople szampana. -

Choć nie ukrywam, e z wielką przyjemnością wysłucham szczegółów. Jeśli chodzi o seks, to zapewne przez wiele najbliższych miesięcy mogę o nim jedynie pomarzyć. Gdybyś więc zechciała się ze mną podzielić prze yciami...

—

Będę miała to na uwadze. A teraz, je eli pozwolicie, zagonię chłopców do łó ek. Dzięki za urocze przyjęcie, Roz.

—

Wszystkie sobie na to zasłu yłyśmy.

—

Gdy Stella znalazła się za progiem saloniku, usłyszała głos Rosalind:

—

Pan Mięśniak?

I zaraz potem głośny śmiech.

Kiedy w środę po pracy wskakiwała pod prysznic, nękało ją poczucie winy, e pozostawia dzieci pod opieką obcych osób, a sama wybiera się na randkę z Loganem.

Chocia nie, poprawiła się w duchu. To w adnym razie nie randka, lecz jedynie krótka, niezobowiązująca wizyta.

Jakkolwiek to jednak nazywała, gryzło ją sumienie. Bo to nie ona będzie dzisiaj podawać chłopcom kolację, kłaść ich spać i wysłuchiwać sprawozdania z przebiegu dnia.

Z drugiej strony nie musi im przecie poświęcać ka dej wolnej chwili swojego ycia, stwierdziła, wychodząc spod prysznic. Bo tak naprawdę byłoby to chore i wcale nie słu yłoby jej synom. Czemu więc uwa ała się za egoistkę?

Bo zostawiała Gavina i Luke'a, eby spotkać się z mę czyzną?

„Wybaczcie, chłopcy, ale mamusia ma ochotę na gorący seks”.

Och, nie!

Mo e w takim razie powinna odwołać spotkanie z Loganem?

Jednak skończyła trzydzieści trzy lata - ba, w sierpniu skończy ju trzydzieści cztery - miała więc prawo do fizycznego związku z mę czyzną, który jej się podobał i który ją podniecał.

Owinęła się szczelnie szlafrokiem i usiadła przed lustrem, eby się uma-lować.

Niemal w tym samym momencie rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi.

—

Mamo!

—

Słucham?

Pukanie nabrało tempa serii z karabinu maszynowego.

—

Mamo, czy mogę wejść? Czy mogę?

Poderwała się, otworzyła drzwi do łazienki i ujrzała zarumienionego Luke'a, zaciskającego dłonie w pięści.

—
Co się stało?

—
On znowu tak na mnie patrzy.

—
Och, synku!

—
Naprawdę. Wciąż robi tę straszną minę, mamusiu. Tę... straszną... minę.

Stella doskonale wiedziała, o czym mówił Lukę: o zmrużonych oczach i pogardliwym uśmiechu, którymi Gavin od dawna torturował młodszego brata.

Stella nawet kiedyś przyłapała starszego syna ćwiczącego ów wyraz twarzy przed lustrem.

—
Więc po prostu nie patrz na niego.

—
Ale jak na niego nie patrzę, to wtedy wydaje z siebie ten paskudny dźwięk.

Ów „paskudny” dźwięk był zjadliwym sykiem, który Gavin mógł produkować bez przerwy przez wiele godzin. Stella kilkakrotnie słyszała ów syk i szybko doszła do wniosku, a nawet najbardziej wytrawny agent CIA w końcu by się załamał, gdyby musiał słuchać takich odgłosów przez dłuży czas.

—
Zaraz. - Jak, na Boga, miała wprawić się w romantyczny nastrój, jeśli nieustannie musiała rozstrzygać spory pomiędzy dziećmi? Szybko przebiegła przez hol i wpadła do saloniku, gdzie chłopcy teoretycznie powinni w spokoju oglądać kreskówki.

Ty idiotko, upominała się w myślach. Jak mogłaś uwierzyć, a wszystko przebiegnie bez najmniejszych zakłóceń?

Gavin leżał na podłodze w swojej ulubionej pozycji - na brzuchu - i spod przydługiej szopy jasnoblonde włosów patrzył na nią wzrokiem niewiniątka.

W przyszłym tygodniu chłopcy maszerują do fryzjera, zdecydowała Stella w duchu.

Synek trzymał w ręku model sportowego samochodu i machinalnie obracał

palcem jego kółka, wpatrując się przy tym w migające na ekranie kreskówki. W

połbli u le ały inne poprzewracane autka, jakby przed chwilą doszło do potężnego karambolu.

—

Mamusiu, jakoś dziwnie na mnie patrzysz.

—

Tak, wiem, Gavinie. Bo chcę, żebyś natychmiast się uspokoił.

—

Ale przecie ja nic nie robię!

Stella miała ochotę wrzasnąć, na szczęście, w ostatniej chwili, zdołała się powstrzymać. Spokojnie, powtarzała sobie w myślach. Natychmiast się uspokój.

Nie wolno ci wydzierać się na dzieci tak, jak matka wydzierała się na ciebie.

—

Jeśli natychmiast nie przestaniesz, spędzisz wieczór sam, zamknięty w pokoju.

—

Ale ja nie...

—

Gavin! - przerwała zdecydowanie protesty syna. - Nie wolno ci stroić żadnych min do brata. Masz na niego nie syczeć. Dobrze wiesz, że on tego nie lubi i, oczywiście, tylko dlatego to robisz. Dostyc.

Gavin spojrzał gniewnie na matkę i z całej siły uderzył samochodzikiem w poprzewracane już auta.

—

Dlaczego to ja zawsze dostaję od ciebie burę?

—

No, właśnie. Dlaczego?

—

Bo on się zachowuje jak maluch.

—

Wcale się tak nie zachowuję, ty kutasie.

—

Lukę! - Zaszokowana, a jednocześnie z trudem powstrzymując śmiech, Stella odwróciła się w stronę młodszego syna. - Gdzie usłyszałeś to słowo?

—

Nie pamiętam. A czy to coś brzydkiego?

—

Tak. Nie chcę, ebyś je powtarzał - odparła i w tej samej chwili kalem oka spostrzegła, e Gavin znowu robi swoją słynną minę.

—

Posłuchaj, ja mogę zmienić plany na wieczór - oznajmiła niemal piesz-czotliwym tonem. -Ale wtedy zamiast się bawić, zabierzesz się razem ze mną do porządków w swoim pokoju. Czy tego właśnie chcesz?

—

Nie. - Chłopiec spuścił wzrok i zaczął dźgać palcem powywracane autka. -

Ju nie będę robić tej miny.

—

W takim razie, jeśli nie macie nic przeciwko temu, pójdę się przebrać. Kiedy wychodziła, usłyszała, jak Lukę szepcze do brata:

—

Czy wiesz, co to jest „kutas”?

—

Skaczą sobie dzisiaj do oczu. - Stella ostrzegła Roz.

—

Wszyscy bracia robią tak od czasu do czasu. - Roz zerknęła przez okno na chłopców hasających po

trawniku z psem. - Ale wygląda na to, e ju się pogodzili.

—

Ka dy z nich tylko czeka na odpowiedni moment, eby dopaść drugiego.

—

Zobaczymy, czy uda się nam ich spacyfikować. Jeśli nie, skuję ich i po-rozsadzam w oddzielnych kątach. Mam kajdanki jeszcze po moich chłopcach. Trzymam je ze względów sentymentalnych.

Stella parsknęła śmiechem.

—

Masz wolną rękę. Ale gdyby naprawdę stali się niezdolni, natychmiast do mnie zadzwoń. Przyjadę, eby ich poło yć spać.

—

Niczym się nie przejmuj. Jedź i baw się dobrze. Ju ja sobie poradzę z zapakowaniem ich do łó ek.

—

Jesteś pewna?

—

Oczywiście. Pamiętasz, jak dojechać do Logana?

—

Tak. Dzięki.

Wsiadła do samochodu i pomachała wszystkim ręką na po egnanie. Cieszyła się na przeja d kę. Przez otwarte okno wpadał lekki wietrzyk, na drzewach pojawiły się ju drobne, świe e listki, derenie okryły się kwiatami. Do Tennessee zawitała wiosna. W powietrzu unosił się zapach magnolii. A trudno uwierzyć, e tam, gdzie poprzednio mieszkała, ludzie jeszcze muszą odgarniać śnieg.

Przejechała obok centrum i natychmiast wróciła myślami do pracy. Podczas weekendu na pewno pojawi się mnóstwo klientów. Będą przechadzać się po terenie, rozmawiać z obsługą, przebierać w roślinach - niespiesznie, z wdziękiem typowym dla południowców. Wolne tempo sprawiało, e niekiedy Stella miała ochotę sama wszystko zrobić. Okazało się jednak, e dłu sze wypisywanie zamówienia nie przeszkadza nikomu oprócz niej samej.

A przygotowany przez nią grafik pracy gwarantował, e nie zabraknie rąk do obsługi klientów.

Natomiast Luke i Gavin spędzą sobotę u Willa i Jolene. Z tego powodu jednak Stella nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia, gdy zarówno chłopcy, jak i dziadkowie byli szczerze zachwyceni tą perspektywą.

Pokonała ostatni zakręt i wówczas ujrzała dom.

Był wspaniały.

Nieco zapuszczony, wymagający remontu, ale piękny.

Na pociętym tarasami wzniesieniu stała piętrowa budowla o wielu dużych oknach, wzniesiona z cedrowych bali. Na zadaszonej, szerokiej werandzie Stella zobaczyła huśtawkę, a także ławkę o wysokim oparciu i stary fotel bujany.

Logan obsadził tarasy krzewami: wawrzynami o błyszczących liściach, staromodną wawrzynką oraz wielkimi azaliami, na których uformowały się już tłuste pąki.

Powyżej rosła magnolia, jeszcze bardzo młodziutka, oraz dereń okryty różowymi kwiatami.

Stella zatrzymała się na podjeździe, obok ciężarówka. Do werandy prowadziła niewielka ścieżka, a w jej pobliżu leżała sterta dużych kamieni - najwyraźniej Logan zamierzał założyć równie ogródek skalny. Kawalek dalej, na linii drzew, dostrzegła idealne do tego miejsce.

Wzdłuż podjazdu ona osobiście posadziłaby więcej krzewów, a obok nich lilie i być może irysy.

Dom oraz huśtawka na werandzie wymagały odmalowania. Przydałby się tam także stół, a w pobliżu magnolii ogrodowa ławka. Tutaj też powinna być druga ścieżka. Może wyłożyć ją łupkiem albo jedynie kamieniami polnymi, między którymi rosłby dziki tymianek.

Stella weszła na werandę, wzięła głęboki oddech i zapukała.

Wydawało jej się, że minęło mnóstwo czasu, zanim otworzył drzwi.

Uśmiechnęła się na jego widok - wyglądał bardzo męsko w spłowiałych dżinsach i białym t-shirtcie.

Wyciągnęła przed siebie doniczkę z kłęczkami dalii.

—

Proszę, to dla ciebie. Mam nadzieję, że zrobisz z nich dobry użytek.

—

Na pewno. Dzięki. Wchodź, proszę.

—

Bardzo podoba mi się twój dom. Złapałam się nawet na tym, e w myślach zaczęłam obsadzać ogród różnymi roślinami...

Urwała gwałtownie, bo nagle znalazła się w kompletnie pustym pomieszczeniu - je eli nie liczyć powalanego sadzą du ego kominka.

—

O czym to mówiłaś?

—

Wspaniały widok - odrzekła, bo nic innego nie przyszło jej do głowy, a wielkie okna rzeczywiście sprawiały, e ogród niemal wchodził do domu.

—

Obecnie nie korzystam z tego pokoju.

—

To dość oczywiste.

—

Zrobię tu remont, kiedy znajdę na to czas i ochotę. Wyjdźmy więc mo e stąd, zanim się rozpłaczesz.

—

Czy tak tu wyglądało, gdy kupiłeś dom?

—

Chodzi ci o wnętrza?

Przeszli do następnego pokoju, który zapewne był kiedyś jadalnią. Tu równie nie stały adne meble, a ściany pokrywała spłowiała, obłędna tapeta.

—

Dębowe podłogi były przykryte dywanową wykładziną - powiedział po chwili Logan. - Przeciekał dach, więc na sufitach porobiły się wielkie plamy.

Ściany zostały równie zaatakowane przez termity. Zrobiłem z nimi porządek zeszłej zimy.

—

A co tu będzie?

—
Jeszcze nie zdecydowałem.

Przeszli do kolejnego pomieszczenia i Stella a gwizdnęła z wra enia.

—
Pomyślałem, e tutaj będzie nam wygodniej. - Odstawił doniczkę z daliaami na granitowy blat w kolorze piaskowym.

Stella nie miała wątpliwości, e Logan osobiście zaprojektował tę kuchnię.

Piaskowy kolor blatów był zharmonizowany z kolorem gresu na podłodze i barwą ścian. Szafki wykonane z ciemnego drewna, a drzwiczki z matowego szkła. Na szerokim parapecie okiennym, tu nad zlewozmywakiem, stały terakotowe doniczki pełne ziół. W kącie znajdował się niewielki kominek.

Kontuar w kształcie litery L oddzielał część kuchenną od jadalnej, gdzie ustawiono sofę pokrytą czarną skórą i dwa du e fotele. Olbrzymie okna wychodziły na ogród.

—
Bardzo tu pięknie - odezwała się Stella. - To twoje dzieło?

W tej chwili, na widok jej pełnego zachwyty spojrzenia, Logan chętnie by powiedział, e własnoręcznie kopał piach, z którego potem wykonano szkło na szyby.

—
W du ym stopniu. W zimie jest du o mniej pracy w firmie, mogę więc zajmować się domem. Poza tym znam kilku dobrych fachowców. Napijesz się czegoś?

—
Tak. Poproszę.

Podeszła do kontuaru i wzięła z rąk Logana kieliszek wina.

—
Bardzo mi się podoba kolorystyka kuchni. Jest tu ciepło i przytulnie.

—
Poprzednia kobieta, którą zaprosiłem, stwierdziła, e barwy są zbyt

przytłumione.

—
Nie znała się. - Stella pokręciła głową. - Są wspaniałe, bardzo naturalne.

Pasują do ciebie i do tego miejsca. - Zerknęła na dużą deskę do krojenia, na której leżały świeże jarzyny. - Rozumiem, czemu kuchnia jest dla ciebie taka ważna. Widzę, że zajmujesz się gotowaniem, i ci chyba przeszkodziłam.

Może więc przejdę się z kieliszkiem po domu, a ty w tym czasie spokojnie zjesz kolację.

—
Nie jesteś głodna? Mam w lodówce piękny filec z tuńczyka, który w takim razie się zmarnuje.

—
O, rety. Nie zamierzałam wpraszać się na kolację. Ja tylko...

—
Lubisz tuńczyka z rusztu?

—
Owszem. Bardzo.

—
Doskonale. Chcesz zjeść przed czy po? Poczwała, jak krew napływa jej do twarzy.

—
Ja... hm...

—
Przed czy po tym, jak oprowadzę cię po domu?

Powiedział to tak rozbawionym tonem, i nie miała wątpliwości, że zrozumiał, o czym pomyślała.

—
Po - odrzekła i dla dodania sobie odwagi wypłała potężny łyk wina. -Może zaczniemy od ogrodu, dopóki jeszcze jest widno.

Wyprowadził ją na werandę i Stella od razu się rozluźniła, bo zaczęli rozmawiać o ogrodnictwie. Logan wyjaśnił, gdzie zamierza założyć warzywnik, gdzie skalniak, a gdzie zrobić oczko z roślinami wodnymi.

—
Znam pewnego doskonałego murarza. Z trzech stron ogrozi moją posiadłość murem ze starej klinkierowej cegły.

—
Ogród otoczony murem. Ale ci zazdroszczę! Zawsze marzyłam o czymś takim. W Michigan nie było to mo liwe. Obiecałam sobie jednak, e gdy tylko kupię tu dom, to na pewno sprawię sobie taki prezent.

Stella rozglądała się z uwagą. Widziała, jak du o cię kiej pracy wło ono ju w ten dom i ogród. I e jeszcze sporo wysiłku trzeba będzie wło yć w remont.

Mę czyzna, który miał ochotę podjąć takie wyzwanie, bez wątpienia byl wart zainteresowania.

—
Zazdroszczę ci i szczerze podziwiam za to, czego ju tu dokonałeś. Jeśli potrzebna ci będzie dodatkowa para rąk do pomocy, nie wahaj się po mnie zadzwonić. Stęskniłam się za pracą w ogrodzie.

—
Wpadnij, kiedy tylko będziesz miała ochotę. I weź ze sobą chłopaków. Dla nich te znajdę robotę.

Kiedy pytająco uniosła brwi, powiedział:

—
Dzieci mi nie przeszkadzają, jeśli to masz na myśli.

—
A czemu właściwie ty nie masz dzieci?

—
Kiedyś wierzyłem, e do tej pory ju będę miał. - Wyciągnął rękę i dotknął

włosów Stelli, zadowolony, e tym razem ich nie upięła. - Ale nie wszystko w yciu układa się tak, jak planujemy.

Ruszyli z powrotem w stronę domu.

—
Niektórzy mawiają, e rozwód jest jak śmierć - rzuciła Stella.

—
Nie sędę. - Logan pokręcił zdecydowanie głową. - To po prostu zakoń-

czenie jakiegoś etapu. Człowiek popełnia błąd, widzi to, naprawia go i zaczyna od nowa. W tym wypadku oboje - i ja, i moja była ona - popełniliśmy błąd. Niestety, zdaliśmy sobie z tego sprawę dopiero po ślubie.

—
Większość mę czyzn nie zostawia suchej nitki na swoich eks.

—
Strata czasu i energii. Najpierw przestaliśmy się kochać, potem przestaliśmy się lubić. I tego tylko ałuję - e nie mogliśmy pozostać przyjaciółmi -

odrzekł, otwierając przeszkłone drzwi do kuchni. - W końcu przestaliśmy być mał eństwem, co nam obojgu wyszło na zdrowie. Ona została na Północy, a ja wróciłem w rodzinne strony. Spędziliśmy razem kilka lat. Nie wszystkie były złe.

—
Rozsądne podejście.

Ale przecie mał eństwo to najpowa niejszy związek w yciu, pomyślała.

Kiedy się rozpada, muszą pozostać blizny.

Logan tymczasem ponownie napełnił kieliszki i wziął Stellę za rękę.

—
Chodź, poka ę ci dom.

Ich kroki niosły się echem po pustych pomieszczeniach.

—
Zamierzam jeden z pokoi przeznaczyć na bibliotekę i pracownię.

—
A gdzie teraz pracujesz?

—
Zazwyczaj w sypialni. Niekiedy w kuchni. Tutaj jest łazienka, ale wymaga kapitalnego remontu.

Schody są w dobrym stanie, trzeba je tylko wycyklinować.

Poprowadził Stellę na górę.

—

Ja w twojej sytuacji miałabym na pewno segregatory pełne planów, szkiców, zdjęć z czasopism poświęconych urządzeniu wnętrz. - Spojrzała na Logana spod oka. - Ty, oczywiście, nie masz nic podobnego.

—

Mam wiele różnych pomysłów i sporo czasu, by się nad nimi zastanowić.

Moja mama kupowała stare meble, po czym sama je odnawiała. Dom był ni-mi zavalony, szczególnie stołami, bo miała do nich jakąś dziwną słabość.

Cieszę się więc, e chwilowo mogę się rozkoszować pustą przestrzenią.

—

A co się stało z tymi meblami, gdy twoi rodzice się stąd wyprowadzili? -

Posłał jej zdziwione spojrzenie, więc wyjaśniła szybko: - Ktoś mi wspomniał, e wyjechali do Montany.

—

Owszem, mają sympatyczny domek w Helena, a mój ojciec ponoć codziennie chodzi na ryby. Tak przynajmniej twierdzi mama. Te najulubieńsze zabrała ze sobą, wypełniła po brzegi całą potężną cię arówkę. Część pozosta-

łych sprzedała, część podarowała mojej siostrze i mnie. Trzymam je w wynajętym magazynie. Będę musiał pewnego dnia tam się wybrać, zobaczyć, co mi się mo e przydać.

—

Wówczas szybciej zdecydujesz, jak urządzić pozostałe pomieszczenia.

Niektóre sprzęty mogą się stać istotnymi punktami odniesienia dla całego wystroju.

—

Punktami odniesienia... - Oparł się o ścianę i popatrzył na Stellę z uśmiechem.

—

Och, dobrze. Ju siedzę cicho.

—
Ale ja z przyjemnością słucham twojego głosu.

—
W tej sprawie nie mam nic więcej do powiedzenia. A więc, co jest w następnym pomieszczeniu?

—
Coś w rodzaju mojego biura. - Wskazał na pobliskie drzwi. - Raczej nie miałabyś ochoty tam zaglądać.

—
Potrafię wiele znieść.

—
Nie jestem pewien, czy to samo mogę powiedzieć o sobie. - Pociągnął ją w stronę innego pokoju. - Tylko byś się zdenerwowała, gdybyś zobaczyła, gdzie i jak przechowuję dokumenty. To zdecydowanie popsułoby nam nastrój. Jaki sens miałyby oprowadzanie cię po ogrodzie w charakterze gry wstępnej, jeśli chwilę później świadomie naraziłbym na wstrząs twoje poczucie estetyki?

—
Spacer po ogrodzie to gra wstępna?

W odpowiedzi Logan uśmiechnął się jedynie i pociągnął ją do kolejnego pomieszczenia.

Sypialnia, podobnie jak kuchnia, odzwierciedlała jego osobowość. Była przestronna, urządzona w prosty sposób, z wielkimi oknami wychodzącymi na taras. Ściany pomalowano na słomkowy kolor, doskonale komponujący się z ciepłym tonem drewnianej podłogi i mansardowego sufitu, w który wbudowano trzy świetliki, wpuszczające teraz do wnętrza ró owe światło zachodu. Łó ko z kutego elaza, przykryte kapą w czekoladowym odcieniu, było wyjątkowo szerokie. Nad nim zaś widniały trzy rysunki ołówkiem przedstawiające ogrody. Stella przyjrzała się im uwa nie i dostrzegła sygnaturę w dolnym rogu.

—
To naprawdę twoje dzieło? Są wspaniałe.

—
Niekiedy utrwalam swoje projekty. I czasami wychodzą z tego nie najgorsze szkice.

—
Nie najgorsze? Przecie dobrze wiesz, e to świetne kompozycje. - Nie mogła pojąć, jak tak wielkie dłonie mogły wykonać tak delikatne i subtelne rysunki. - Wiesz, nieustannie mnie czymś zaskakujesz. Jesteś pełen kontrastów.

Odwróciła się ku niemu i wskazała na szkice.

—
To kolejna błękitna dalia.

—
Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem, co masz na myśli. Mówisz o tej dalii ze swojego snu?

—
Snów. Dziwnie niepokojących, wzbudzających lęk. Sama dalia była piękna, ale w adnym razie nie spodziewałam się, e ujrzę ją w swoim ogrodzie.

Podobnie jest z twoimi rysunkami.

—
Wiesz, ju od jakiegoś czasu chciałem, ebyś zjawiała się w tej sypialni.

Wypiła kolejny łyk wina.

—
I oto jestem. Mo e więc powinniśmy porozmawiać o naszych oczekiwaniach i o tym, jak...

Logan podszedł do niej i zdecydowanym ruchem przyciągnął Stellę do siebie.

—
A mo e po prostu zasadźmy kolejną błękitną dalię i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Czemu nie? - pomyślała, gdy zaczął ją całować. A zaraz potem zwróciła się ku niemu i przywarła do niego całym ciałem.

Logan delikatnie wyjął kieliszek z dłoni Stelli i zaczął gładzić jej włosy.

—
Kręci mi się w głowie - wyszeptała. - Działasz na mnie zniewalająco.

—
A więc powinnaś się położyć - oznajmił i uniósł ją w ramionach. Stella należała do kobiet, które chętnie brało się w objęcia: była delikatna, kobieca i miękka.

—
Mam ochotę dotykać każdego skrawka twojego ciała - wyznał, kładąc ją na łóżku. - Nawet kiedy mnie denerwujesz, budzisz we mnie pożądanie.

—
W takim razie musisz bez przerwy mnie pożądać.

—
Święta prawda. Twoje włosy doprowadzają mnie do obłądzenia. - Zanurzył twarz w rudych lokach.

—
Mnie też. - Stella poczuła przyjemne mrowienie w dole brzucha. - Ale prawdopodobnie z zupełnie innych przyczyn.

Chwytał delikatnie zębami jej skórę na szyi.

—
Jesteśmy dorosłymi ludźmi... - zaczęła Stella.

—
Dzięki Bogu - wszedł jej w słowo.

—
Chciałam przez to powiedzieć... - W tym samym momencie Logan zaczął gładzić jej ramiona, a potem biodra, uda, dłonie. - Och, nieważne.

W końcu znowu przywarł ustami do jej warg - gwałtownie i zachłannie.

Stella poczuła falę pożądania. Podciągnęła t-shirt Logana i z przyjemnością dotknęła gorącego, nagiego ciała.

Same mięśnie, pomyślała z rozkoszą.

Logan tymczasem zaczął pieścić jej piersi i nie mogła już się doczekać, kiedy wreszcie poczuje go w sobie. On jednak rozkoszował się smakiem jej ciała i wpatrywał w te intensywnie niebieskie, niemal

fiołkowe oczy.

W końcu wyszeptał jej imię i jednym zdecydowanym ruchem znalazł się na niej. Wkrótce obojgiem wstrząsnął dreszcz rozkoszy. Logan spojrział na Stellę i pomyślał, e nigdy w yciu nie widział równie pięknej kobiecej twarzy.

Le eli spleceni w uścisku. Loganowi wciąż waliło serce. Jaka kobieta nie czułaby się dumna, e tak mocarnego mę czynę doprowadziła do utraty tchu?

Zachwycona Stella zaczęła gładzić go po plecach. Logan jęknął cicho i przetoczył się na bok.

Kiedy spojrział na jej nagie ciało, poczuła się zawstydzona i zaczęła naciągać na siebie prześcieradło. Tymczasem Logan zrobił coś zdumiewającego i wzruszającego zarazem.

Chwycił jej dłoń i w milczeniu zaczął całować palce.

W końcu powiedział:

—

Czas, eby cię nakarmić.

—

Ja natomiast powinnam zadzwonić do domu i sprawdzić, co słyhać u chłopców.

—

Oczywiście. - Poderwał się szybko, poklepał ją delikatnie po udzie, a następnie złapał swoje spłowiałe d insy. - Idę do kuchni, zająć się kolacją.

W progu odwrócił się i posłał jej przeciągłe spojrzenie.

—

O co chodzi? - Niby niedbałym ruchem próbowała zasłonić piersi.

—

Podobasz mi się taka zarumieniona.

—

Ach, tak. - Zastanawiała się, co na to odpowiedzieć, ale wyszedł ju z sypialni i pogwizdując, ruszył w dół po schodach.

Naprawdę potrafił gotować. Z niewielką pomocą Stelli przyrządził delikatnego tuńczyka z rusztu, przyprawiany ziołami ry oraz duszone w oliwie kawałki papryki i grzybów. Był kucharzem, który wszystkie składniki łączył na oko, wybierając je spontanicznie, i niewątpliwie doskonale się przy tym bawił.

I osiągał zachwycające rezultaty.

Stella natomiast nie wyobrażała sobie, jak można w ogóle przygotować coś smacznego, nie odmierzając starannie wszystkich produktów.

To doskonale odzwierciedlało dzielące ich różnice. Tak głębokie, że w gruncie rzeczy nigdy nie powinna siedzieć z nim przy tym stole - czy leżeć nago w łóżku.

Seks był... fantastyczny. Po takim seksie powinna się czuć zrelaksowana i swobodna. A tymczasem była spięta i zaenowana.

Przeżyli razem coś tak intensywnego, pełnego pasji, a potem on po prostu zerwał się z łóżka i zabrał do gotowania. Jakby właśnie skończyli partię tenisa.

To twój problem, twój problem, powtarzała sobie w duchu.

Wciąż coś zbyt drobiazgowo analizowała, zbyt obsesyjnie próbowała zaszkladkować każdy fakt. Gdyby jednak tego nie robiła, jak miałyby funkcjonować?

—

Smakuje ci?

Oderwała się od niespokojnych myśli. Logan wpatrywał się w nią pilnie swoimi kocimi oczami.

—

Wszystko jest przepyszne - odrzekła, demonstracyjnie unosząc do ust spory kawałek tuńczyka. - Nie mogę jednak pojąć, jak można gotować w taki sposób. Dorzucasz jedno do drugiego pod wpływem impulsu, tu potrząśniesz, tam zamieszasz, sypniesz szczyptę tego i owego - i gotowe. Skąd wiesz, że to, co ugotowałeś, ma odpowiedni smak?

Jeżeli rzeczywiście o tym myślała, siedząc z tą smętną miną nad talerzem, gotów byłby zjeść pełną garść ziemi.

—

Nie wiem. Ale zazwyczaj ma. A w każdym razie na ogół jest smaczne. Musi się jak najszybciej dowiedzieć, czy jej zwarzony humor ma coś wspólnego z seksem jako takim, czy też z pewną nową

jakością, do jakiej uprawianie tego seksu ich doprowadziło. Postanowił jednak, e przez chwilę będzie grał

według jej reguł.

—

Je eli ju zamierzam gotować - a skoro nie chcę wysiadywać co wieczór w restauracjach, to nie mam wyboru - musi mi to sprawiać przyjemność.

Gdybym miał się kierować sztywnymi regułami, natychmiast bym się zniechęcił.

—

Ja natomiast wpadam w panikę, je eli nie kieruję się sztywnymi regułami.

Czy danie nie będzie zbyt mdłe lub za ostre? Rozgotowane lub na wpół

surowe? Zanim podałam coś na stół, byłabym ju jednym wielkim kłęb-kiem nerwów. - Na jej twarzy pojawił się wyraz z troskania. - Ja tutaj nie pasuję, prawda?

—

Zdefiniuj „tutaj”.

—

Tutaj, właśnie tu. - Zaczęła wymachiwać rękami. - Nie pasuję do tej pięknie zaprojektowanej kuchni, w której jem z tobą pyszny posiłek, do tego uroczego, zapuszczonego domu, do tej sypialni i palnego pasji seksu.

Logan rozparł się na krześle i pociągnął potę ny łyk wina.

—

Jeszcze nigdy nie słyszałem podobnej definicji tego słowa. Musi pochodzić z Północy.

—

Dobrze wiesz, co mam na myśli! - wykrzyknęła. - To nie jest... nie jest...

—

Dostatecznie zaplanowane, zorganizowane i uporządkowane?

—

Nie traktuj mnie protekcjonalnie.

—
Nie jestem protekcyjny, ale zirytowany. O co ci właściwie chodzi, Rudzielcu?

—
Sprawiasz, e mam w głowie zamęt.

—
Och, tylko tyle? - Wzruszył ramionami i znowu zabrał się do jedzenia.

—
Uważasz, e to zabawne?

—
Nie. Wiem jednak, e jestem głodny i e nic nie mogę poradzić na twój problem. A nawet ten twój zamęt bardzo mi odpowiada, bo kiedy go odczuwasz, przestajesz postrzegać życie w alfabetycznym porządku.

Spojrzała na niego zmrużonymi oczami.

—
Po pierwsze, jesteś arogancki i irytujący. Po drugie - apodyktyczny i uparty, po trzecie...

—
Ty natomiast jesteś pedantyczna i przesadnie spięta, ale ju mnie to nie denerwuje tak, jak kiedyś. Słuchaj, mam wrażenie, e między nami rodzi się coś interesującego. adne z nas tego nie szukało, ale się stało. Ty wyraźnie musisz poddać całą sytuację wiwisekcji. Choć nie mam pojęcia czemu. I dziwnie mi to nie przeszkadza.

—
Więcej ryzykuję od ciebie. Natychmiast wyprostował się na krześle.

—
Nigdy nie zrobiłbym nic, by w jakikolwiek sposób skrzywdzić twoje dzieci.

—
Gdybym sądziła, e jesteś do tego zdolny, nasza znajomość nigdy nie do-szłaby do tego etapu.

To znaczy jakiego?

—

Upojnego seksu i kolacji przy kuchennym stole.

—

Widzę, e chyba lepiej zniosłaś seks ni ten posiłek.

—

To prawda. Poniewa nie mam pojęcia, czego ode mnie oczekujesz, i nie jestem pewna, czego właściwie oczekuję od ciebie.

—

Czyli masz takie uczucie, jakbyś nagle zabrała się do spontanicznego

—

gotowania.

—

Zdaje się, e znasz mnie lepiej ni ja ciebie.

—

Nie jestem szczególnie skomplikowany.

—

Och, daj spokój. Jesteś jak cholerny labirynt, w którym nie obowiązują adne reguły geometrii. Pod względem zawodowym nale ysz do najbardziej twórczych, wszechstronnych i znających się na rzeczy architektów krajobrazu, z jakimi zetknęłam się w yciu, jednak większość pracy koncepcyjnej wykonujesz w biegu, notując pomysły na małych karteczkach, które upychasz po kieszeniach lub wozisz przyklejone do deski rozdzielczej cię a-rówki.

—

Moja praca na tym nie cierpi.

—

Najwyraźniej. Problem w tym, e powinna. Uwielbiasz chaos - a ten dom jest tego najlepszą ilustracją.

—
Chwileczkę! - Machnął w jej stronę widelcem. - Gdzie ty tu widzisz chaos?

Mój dom jest niemal całkowicie pusty.

—
No właśnie! Masz cudowną kuchnię, stylową sypialnię...

—
Stylową? - Wyraźnie nie spodobało mu się to słowo. - O Jezu!

—
A poza tym same puste pokoje. Normalny człowiek zastanawiałby się dzień i noc, jak je urządzić, ty jednak tego nie robisz. Ty po prostu... po prostu. ..

uciekasz od problemu.

—
Nigdy w yciu nie uciekałem od adnych problemów - oświadczył stanowczo Logan.

—
Poza tym znasz się na winie, a jednocześnie czytasz komiksy. To nie ma adnego sensu.

—
Oczywiście, e ma, jeśli weźmiesz pod uwagę, e ja po prostu lubię zarówno wino, jak i komiksy.

—
Byłeś onaty i ewidentnie na tyle zaangażowany w związek, eby opuścić swoje ukochane Południe.

—
A po cholere miałbym się enić, jeśli nie byłbym gotów robić tego, co uszczęśliwia drugą stronę? A przynajmniej podjąć taką próbę.

—
Kochałeś ją - powiedziała Stella, kiwając głową. - A mimo to rozwód nie pozostawił na tobie trwałych śladów. Mał ężstwo się nie udało, więc je zakończyłeś. W jednej chwili jesteś arogancki i obcesowy, a w następnej ciepły i yczliwy. Dobrze wiedziałeś, po co tu dzisiaj przysłałam, a jednak zada-

Jeś sobie trud, by przygotować posiłek - co było z twojej strony bardzo miłym gestem.

—

O, rany, Rudzielcu, ty mnie wykończysz. Chętnie powiedziałbym, e jesteś rozkoszna, ale w tej chwili robisz na mnie wra enie obłąkanej.

Choć Logan jawnie z niej podkpiwał, Stella była zbyt nakręcona, eby się zatrzymać.

—

Uprawiamy cudowny, pełen pasji seks, a ty potem tak, ot, wyskakujesz z łó ka, jakbyśmy robili to co noc, od lat. Niczego ju nie rozumiem.

Kiedy zdecydował, e Stella ju skończyła, chwycił kieliszek i przez chwilę sącył wino w zamyśleniu.

—

Zobaczmy, czy dobrze zrozumiałem, co przed chwilą powiedziałaś - odezwał

się wreszcie. - Choć na początku muszę zaznaczyć, e w twojej przemowie równie nie zauwa yłem adnego geometrycznego porządku.

—

Och, zamknij się!

Chwycił jej dłoń, zanim Stella zdą yła poderwać się od stołu.

—

Nie, nie ruszaj się. Teraz moja kolej. Gdybym nie pracował w taki sposób, w jaki pracuję, nie mógłbym wykonywać swojego zawodu. A w ka dym razie nie sprawiałoby mi to takiej wielkiej frajdy. Odkryłem to ju dawno temu, gdy mieszkałem na Pólnocy. Moje mał eństwo okazało się pomyłką. Nikt tego nie lubi, ale ostatecznie wszyscy ludzie popełniają błędy w yciu. Spie-przyliśmy nasz związek, naprawiliśmy więc, co się dało, i ka de z nas zaczęło od nowa.

—

Jednak...

—

Szsz. Jeśli jestem arogancki i obcesowy, to dlatego, e w danym momencie mam na to ochotę. Jeśli jestem yczliwy, to dlatego, e chcę bądź uwa am, e tak właśnie powinienem się zachować w określonej sytuacji.

Jednym haustem wypił wino i przy okazji zauważył, że Stella niemal nie tknęła swojego.

—

O czym to mówiłaś dalej? Ach, tak. O swojej wizycie w moim domu.

Owszem, wiedziałem, po co przyszłaś. Nie jesteśmy już nastolatkami. Po

dałem ci i kilka razy dałem ci to niedwuznacznie do zrozumienia. Gdybyś nie była gotowa na seks ze mną, nie zapukałabyś do moich drzwi. Gdy zaś chodzi o kolację, przygotowałem ją z paru powodów. Po pierwsze, lubię jeść. Po drugie, chciałem coś dla ciebie ugotować i chciałem, żebyś usiadła przy moim stole. Przed, po czy w trakcie. W zależności od tego, jak rozwinęły się wieczór.

—

Jakimś cudem sprawiłaś, że to wszystko zabrzmiało logicznie - powiedziała Stella pojednawczym tonem.

—

Jeszcze nie skończyłem. Zgadzam się z tobą - seks był wspaniały - protestuję jednak przeciw określeniu „wyskakujesz”. Wstałem, ponieważ gdybym dłużej trzymał cię w ramionach, musiałbym poprosić, żebyś została. Ty nie mogłabyś zostać. A i ja nie wiem, czy byłbym na to gotowy. Jeśli zaś na-le ysz do kobiet, którym po seksie trzeba opowiadać rzeczy w rodzaju: „Kochanie, było fantastycznie”...

—

Nie, nie jestem. - W jego poirytowanym tonie brzmiała taka nuta, że Stella miała ochotę parsknąć śmiechem. - Sama potrafię to ocenić i wiem, że dziś, na gorze, powaliłam cię na kolana.

Pogłaskał ją po nadgarstku.

—

I vice versa - odparł.

—

W porządku, niech ci będzie. Rzecz w tym, że gdy kobieta idzie po raz pierwszy do łóżka z mężem czyżną, jest podekscytowana, ale i odczuwa lęk. A już naprawdę ogarnia ją strach, gdy po seksie odkrywa, że ten mąż czyżna poruszył w niej jakąś ukrytą strunę. Coś w niej rozbudził. Tak się dzisiaj stało i dlatego jestem przerażona.

—

Jasne postawienie sprawy.

—
Jesteśmy jak ogień i woda. To niebezpieczne połączenie. Musimy oboje się nad tym zastanowić. Przykro mi, że z naszego spotkania zrobiłam wielki problem.

—
Rudzielcu, ty ze wszystkiego robisz wielki problem. Taka się ju urodziłaś.

Ale teraz, gdy się ju przyzwyczailem, uważam to nawet za interesujące.

—
Dziękuję. W takim razie pomogę ci posprzątać i zaraz zbieram się do domu.

Gdy wstała z krzesła, chwycił ją za ramiona, oparł plecami o lodówkę, a potem zaczął gwałtownie całować - wkładając w ten pocałunek całą swoją frustrację, namiętność i tęsknotę.

—
Niech to będzie dla ciebie kolejny problem do przemyślenia - powiedział na pożegnanie.

Roz nie wtrącała się do cudzych spraw. Chętnie słuchała plotek, gdy do niej docierały, ale nigdy nikogo o nic nie wypytywała. Nie pozwalała, by ktokolwiek mieszał się do jej życia, i postępowała tak samo wobec innych ludzi.

Dlatego, choć cisnęło jej się na usta wiele pytań, nie zadała Stelli żadnego z nich.

Za to pilnie ją obserwowała.

Stella nadal wykonywała swoje obowiązki ze spokojem oraz niezwykłą efektywnością i Roz doszła do wniosku, że ta kobieta umiała zachować spokój i rozsądek nawet w czasie cyklonu.

Była to godna podziwu, choć i nieco przerażająca cecha.

Roz bardzo polubiła Stellę i, co oczywiste, sędowała na nią mnóstwo obowiązków związanych z prowadzeniem firmy. Uwielbiała te obu chłopców. Bo to nie sposób było nie dostrzec ich uroku, czupurności, inteligencji i radosnego usposobienia.

Prawdę mówiąc, tak ju przywykła do obecności w domu dzieci, Stelli i Hayley, że nie wyobrażała sobie, by nagle mogła zostać bez któregoś z nich.

Ale nie pozwalała sobie na wścibstwo. Dlatego nie zadała ani jednego pytania, gdy Stella powróciła po wieczorze u Logana z miną kobiety, która zaznała rozkoszy.

Chętnie jednak słuchała, co na ten temat ma do powiedzenia Hayley.

—
Nie chciała wiele powiedzieć - aliła się dziewczyna, gdy wraz z Roz wrywały chwasty z rabaty kwiatowej w ogrodzie. - A ja lubię opowieści z so-czystymi szczegółami. Powiedziała jedynie, e ugotował dla niej kolację. No a kiedy facet gotuje dla kobiety, to albo chce ją zaciągnąć do łó ka, albo się w niej zakochał.

—
Albo po prostu jest głodny.

—
- Kiedy facet jest głodny, to dzwoni po pizzę. Myślę, e Logan się w niej zakochał. - Zawiesiła głos, czekając wyraźnie na komentarz Roz. Gdy się nie doczekała, wyrzuciła w końcu: - A co ty o tym myślisz? Przecie znasz go od lat.

—
Nie mam pojęcia, co mu chodzi po głowie. Mogę ci tylko powiedzieć, e dla mnie nigdy nie ugotował kolacji.

—
Czy jego ona była wredną suką?

—
Nie wiem. Nigdy jej nie poznałam.

—
Zało my, e była. Mo e głęboko zraniła Logana i wzbudziła w nim niechęć do kobiet. A teraz zjawi się w jego yciu nasza Stella, zawróci mu w głowie i uleczy z ran.

—
Roz uśmiechnęła się do dziewczyny.

—
Jesteś jeszcze bardzo młodziutka, skarbie.

—
Zamiłowanie do romantycznych historii wcale nie zale y od wieku. A... hm...

—
twój drugi mą ... to był kawał łajdaka, prawda?

Był... jest... kłamcą, oszustem i złodziejem. Poza tym ma w sobie wiele zniewalającego uroku.

—

Czy złamał ci serce?

—

Nie. Zranił moją dumę i cholernie mnie wkurzył. Co w mojej opinii jest jeszcze gorsze. Ale to stara historia, Hayley. Mam zamiar posadzić tu kilka roślin z gatunku *Silene armeria* - ciągnęła. - Mają długi okres kwitnienia i ładnie wypełnią to miejsce.

—

Przykro mi z powodu twojego męża.

—

Zupełnie niepotrzebnie.

—

Wiesz, zaczęłam o nim mówić, bo dziś rano przyszła do sklepu pani Peebles.

—

Ach, Rosanne. - Roz przez chwilę przyglądała się rabacie, a potem chwyciła trójkątną łopatkę i wykopała kilka dołków na flance. - Czy w ogóle coś kupiła?

—

Kręciła się przez godzinę. Powiedziała, e jeszcze wróci.

—

To normalne. Czego więc chciała? Bo przecie nie chodziło jej o rośliny.

—

Szybko na to wpadłam. To wyjątkowo wścibska osoba. Mam wrażenie, e jej głównym celem w życiu jest zbieranie i rozsiewanie plotek, niekoniecznie nieszkodliwych. Takie typy spotyka się wszędzie na świecie.

—

Zapewne.

—

Skądś się dowiedziała, e mieszkam u ciebie, i e łączą nas więzi rodzinne, próbowała więc wziąć mnie na spytki. Ode mnie nie tak łatwo cokolwiek wyciągnąć, ale pozwoliłam jej rozpuścić język.

—

Sprytne dziewczę.

—

Najwyraźniej ta kobieta chciała, bym ci przekazała, e Bryce Clerk pojawił się w Memphis.

Dłoń, w której Roz trzymała sadzonkę, drgnęła nagle.

—

Doprawdy? - spytała niemal szeptem Rosalind.

—

Powiedziała, e Clerk mieszka w Peabody i założył jakieś dochodowe przedsiębiorstwo, choć akurat ten temat potraktowała w bardzo enigmatyczny sposób. Utrzymuje natomiast, e twój były mąż zamierza przenieść się tu na stałe i wynająć jakieś biura. Ponoć wygląda na człowieka, któremu się do skonałe powodzi.

—

Zapewne udało mu się złowić kolejną idiotkę.

—

Ty nie jesteś idiotką, Roz.

—

Ale byłam. Na szczęście przez bardzo krótki czas. Có , to nie moja sprawa, co ten facet zamierza robić w yciu. Nie nale ę do osób, które dwa razy dadzą się sparzyć na tym samym.

Starannie posadziła roślinę i wzięła następną.

—

Widzisz lepkie plamy na łodygach? - zwróciła się do Hayley. - Są pułapką na muchy. Co stanowi dobrą ilustrację stwierdzenia, e rzeczy atrakcyjne bywają niebezpieczne.

Stojąc pod prysznicem, Roz doszła do wniosku, e nie będzie zawracać sobie głowy sukinsynem, którego w przyływie głupoty kiedyś poślubiła. Kobieta ma prawo popełnić parę pomyłek w yciu -

nawet jeśli wynikają one z samotności czy pró ności.

Ma do tego prawo, stwierdziła w duchu Roz, pod warunkiem, e wyciągnie z własnych błędów odpowiednie wnioski.

Włoyła świeą koszulę, przejechała dłońmi po wilgotnych włosach i zaczęła studiować swoje odbicie w lustrze. Wciąż mogła wyglądać bardzo atrakcyjnie, jeśli włoyła w to odrobinę wysiłku. Gdyby chciała, bez trudu znalazłaby sobie męczyznę - i to nie takiego, który uwaaby ją za idiotkę i próbował bezkarnie wyciągać pieniądze. Być mo e Bryce podkopał jej pewność siebie na jakiś czas, ale teraz ju wszystko było w porządku.

Zanim pojawił się jej drugi mą, nie potrzebowała męczyzny, by wypełniał

wolny czas w jej yciu. Nie potrzebowała tego i teraz. Wszystko wróciło do stanu miłej równowagi. Jej synowie wiedli szczęśliwe ycie, biznes rozkwitał.

Miała kilkoro przyjaciół, których lubiła, i wielu znajomych, których tolerowała w swoim otoczeniu.

A teraz na dodatek zamierzała odkryć to samość ducha, od ponad wieku nawiedzającego jej dom.

Raz jeszcze przeczesła palcami włosy i ruszyła na spotkanie w bibliotece.

Kiedy znalazła się u stóp schodów, usłyszała pukanie do drzwi, poszła więc je otworzyć.

—

Logan! Jaka miła niespodzianka!

—

Hayley nie uprzedziła, e mnie zaprosiła?

—

Nie, ale to bez znaczenia. Wchodź, proszę.

—

Wpadłem na nią dzisiaj w sklepie i zapytała, czy nie miałbym ochoty uczestniczyć w waszych poszukiwaniach. Jak e mógłbym się oprzeć pokusie tropienia ducha?

—

Rozumiem. Muszę cię jednak ostrzec, e Hayley ostatnio obsadziła cię w roli pana Rochesterera, a Stellę - w roli Jane Eyre.

—

Ach, tak.

Roz tylko się uśmiechnęła.

—

Stella wciąż jest na górze z chłopcami - pakuje ich do łódek. Może miałbyś ochotę do nich zajrzeć? Po prostu kieruj się hałasem.

Ruszyła w stronę biblioteki, zanim Logan zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

Nie wtrącała się w cudze sprawy, co nie oznaczało, że od czasu do czasu nie miała ochoty odrobinę dopomóc losowi.

Logan stał przez chwilę w zamyśleniu, w końcu jednak zaczął wchodzić po schodach.

Jeszcze nie znalazł się na piętrze, kiedy zrozumiał, co Roz miała na myśli, mówiąc o hałasie. Usłyszał głośnie śmiechy, piski i szybki tupot stóp. Chwilę później stanął w drzwiach otwartego pokoju.

Niewątpliwie była to sypialnia chłopców. I choć panował tam większy porządek niż w jego pokoju, gdy był w wieku Gavina czy Luke'a, nic nie stało tu pod sznurek. Na podłodze leżały zabawki, na półkach i komodzie - stosy książek. W powietrzu unosił się zapach mydła, szamponu i świecowych kredek.

Stella siedziała na dywanie i bezlitośnie łaskotała Gavina, podczas gdy nagusieńki Luke biegał po pokoju, wydając z siebie wojownicze okrzyki przez dłonie złożone w trąbkę.

—

Jak się na mnie mówi? - spytała Stella, gdy jej starszy syn wybuchnął

niepohamowanym chichotem.

—

Mama!

Mruknęła gniewnie i znowu zaczęła przebierać palcami po brzuchu chłopca.

—

Spróbuj jeszcze raz, mizerny, słaby człowieczku. Jak się na mnie mówi?

—

Mama, mama, mama, mama, mama! - Próbował się wyrwać z jej objęć, ale na próżno.

—
Nie słyszałam.

—
Cesarzowa - wyrzucił, dławiąc się ze śmiechu.

—
I co dalej? Jak nie powiesz, tortury zostaną przedłu one.

—
Wspaniała Cesarzowa Całego Wszechświata!

—
ebyś więcej o tym nie zapomniał! - Przez bawełnianą pi amę cmoknęła go w pupę. - A teraz przejdziemy do ciebie, maleńka abko! - Podniosła się i, zacierając dłonie, ruszyła w stronę popiskującego Luke'a.

Sama jednak pisnęła głośno, gdy ujrzała Logana stojącego w progu.

—
O, Bo e! Ale mnie przestraszyłeś!

—
Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać w torturach, Wasza Wysokość.

Cześć, chłopie. - Skinął głową w stronę le ącego na podłodze Gavina. - Jak leci?

—
Pokonała mnie, dlatego muszę iść do łó ka. Takie jest prawo królestwa.

—
Chyba coś podobnego obito mi się o uszy. - Schylił się, podniósł pi amę z motywami z komiksu o X-Manie i spojrzał pytająco na Luke'a. - To waszej mamy?

Lukę wybuchnął śmiechem, nie przestając skakać po pokoju.

—
Niee. To moja pi ama. Ale nie muszę jej wkładać, póki mama mnie nie złapie.

Rzucił się w stronę łazienki, lecz Stella zdołała go chwycić za minię.

—

Nieszczęsny chłopcze. Przede mną nigdy nie uciekniesz! - Uniosła go nad głowę. - A teraz wskakuj w pi amę i do łó ka. - Odwróciła się i zerknęła na Logana. - Czy coś...

—

Zostałem zaproszony na... zebranie w bibliotece.

—

Będziecie mieli przyjęcie? - spytał Lukę, biorąc z rąk Logana pi amę. - Takie z ciastkami?

—

To nie przyjęcie, tylko zebranie, i tylko dla dorosłych.

—

David robi pyszne ciastka - poinformował Logana Gavin. - O wiele lepsze ni mama.

—

Gdyby to nie była prawda, spotkałaby cię sroga kara. - Stella odwróciła się w stronę siedzącego na łó ku syna i delikatnie pchnęła go na plecy.

—

Ale za to ty jesteś ładniejsza od Davida.

—

Mądre dziecko. Loganie, czy mógłbyś wszystkim powiedzieć, e niedługo zejdem na dół? Jeszcze tylko kilka minut im poczytam przed snem.

—

A czy pan Logan mógłby nam poczytać?

—

Mógłbym. Co teraz czytacie?

—

„Kapitana Pantalona". - Lukę pobiegł po książkę i wcisnął ją Loganowi do ręki.

—
Czy on to jest jakimś supermanem? Oczywiście Luke'a zrobiły się wielkie jak spodki.

—
Nie słyszał pan o kapitanie Pantalonie?

—
Niestety, nie. - Obracał ksią kę w dłoni, ale nie odrywał wzroku od chłopca.

Nigdy wcześniej nie czytał dzieciom. To mogłoby być zabawne. - Mo e gdybym poczytał, to bym się czegoś dowiedział. O ile Cesarzowa nie ma nic przeciwko temu.

—
Och... janie...

—
Proszę, mamó! Proszę! - odezwali się chłopcy zgodnym chórem.

—
No dobrze - zgodziła się Stella, czując dziwny ucisk w oładku. - Ja tymczasem uporządkuję łazienkę.

Zabrała się do wycierania mokrej podłogi i zbierania zabawek, które chłopcy brali ze sobą do wanny, wsłuchując się przy tym w niski głos Logana, zabarwiony lekką wesołością.

Rozwiesiła wilgotne ręczniki, wrzuciła gąbki do plastikowej siatki, eby obeschły, i niemal w tej samej chwili poczuła przejmujący chłód.

Na półce zaczęły się przewracać jej kremy i lotiony, jakby ktoś je gniewnie pchnął. Stella rzuciła się, by je złapać, zanim pospadają na podłogę.

Ka de pudełko i tubka były zimne niczym bryłka lodu.

Instynktownie stanęła w drzwiach prowadzących do sypialni chłopców, by osłonić dzieci.

Ujrzała Logana, który siedział na krześle pomiędzy łó kami i czytał ciepłym głosem o zwariowanych przygodach kapitana Pantalona. Chłopcy le eli otuleni kołdrami i powoli odpływali w sen.

Pozwalała, by to lodowate zimno smagało ją po plecach, bo chciała, eby Logan spokojnie dokończył rozdział.

—

Dziękuję ci - powiedziała, gdy zamknął książkę. Sama była zdziwiona, że stać ją na tak spokojny głos.
- Chłopcy, powiedzcie dobranoc panu Kittridge'owi.

Ostro nie weszła do pokoju. Kiedy okazało się, że chłód za nią nie podąży, podeszła do Logana i zmusiła się do uśmiechu.

—

- Za parę minut zejść na dół. «

—

Dobrze. Do zobaczenia, panowie.

To wieczorne czytanie dzieciom bardzo go odprężyło i wprowadziło w pogodny nastrój. Kapitan Pantaloni? Niezła zabawa. Chętnie od czasu do czasu zatrudni się w roli lektora.

Podszedł do szczytu schodów i nagle ogarnęło go wrazenie, że coś wysysa powietrze z jego płuc. W plecy uderzyła go potęga na falę zimną, popychając gwałtownie do przodu. W ostatniej chwili złapał się poręczy, zatoczył na ścianę i ześliznął kilka stopni w dół. Przed oczami wirowały mu czarne płatki. Wsunął

z całej siły ramię pod poręcz, a i tak miał wrazenie, że zaraz spadnie.

Kącikiem oka pochwycił jakiś cień - niewyraźny zarys kobiecej sylwetki, która emanowała zimną furją.

I zaraz zniknęła.

W uszach zaświszczał mu własny ciężki oddech, poczuł strugi potu spływające po plecach. Chociaż kolana się pod nim ugięły, próbował za wszelką cenę utrzymać się na nogach. I w takim stanie ujrzała go Stella.

Jej uśmiech zniknął, gdy tylko zerknęła na twarz Logana.

—

O co chodzi? - Podbiegła do niego. - Co się stało?

—

Ona - ta wasza zjawa - czy kiedykolwiek przestraszyła chłopców?

—

Nie. Wręcz przeciwnie. Działa na nich... kojąco. I jest bardzo opiekuńcza.

—
W porządku. W takim razie chodźmy na dół. - Chwycił ją mocno za rękę.

—
Masz lodowatą dłoń.

—
Co ty powiesz?

—
Chciałabym wiedzieć dlaczego.

—
Zaraz się dowiesz.

Gdy rozsiedli się w bibliotece wokół stołu zarzuconego dokumentami i no-tatkami, Logan wzmocnił się duym kieliszkiem brandy i opowiedział wszystkim o niedawnej przygodzie. Roz ze zdumieniem wysłuchiwała jego słów.

—
W ciągu tych wszystkich lat dla nikogo nie stanowiła zagrożenia. Ludzie niekiedy jej się bali lub czuli nieswojo na jej widok, ale nigdy nikt nie został

fizycznie zaatakowany.

—
Czy duchy w ogóle mogą fizycznie atakować? - wtrącił David.

—
Nie zadawałbyś takich pytań, gdybyś stał ze mną u szczytu tych schodów.

—
Niektóre upiory mogą unosić przedmioty w powietrzu - wtrąciła Hayley. -

Ale zazwyczaj pokazują się w domach, gdzie mieszkają nastolatki. Jakoś dziwnie pobudza je pokwitanie. W tym wypadku nie ma o tym mowy. Może któryś z przodków Logana zrobił jej coś złego, postanowiła więc się zemścić.

—

Byłem w tym domu tysiące razy. Nigdy wcześniej nie zawracała sobie mną głowy.

—

Dzieci - powiedziała Stella cichym głosem, spoglądając znad notatek. - To musi mieć jakiś związek z dziećmi. Wiemy, e szczególnie interesują ją mali chłopcy. Jest w stosunku do nich bardzo opiekuńcza. Kiedy pokazywała mi się na początku, była jedynie smutna. Pierwszy raz wpadła w gniew, gdy wybierałam się na kolację z Loganem.

—

Przedło łaś mę czynę nad swoje dzieci - wyjaśniła Roz i natychmiast uniosła pojednawczo dłoń. - Nie twierdę, e rzeczywiście tak postąpiłaś. Ale musimy patrzeć na to jej kategoriami. Kiedyś mówiłyśmy o napadach złości Oblubienicy, pamiętasz, Stello? Du o myślałam na ten temat i przypomniam-

łam sobie, e okazywała gniew, kiedy okazjonalnie umawiałam się z mę czy-znami, a chłopcy byli jeszcze mali. Nigdy jednak nie zaatakowała mnie tak ostro. Z drugiej strony z adnym z owych mę czyzn nie łączyło mnie nic po-wa nego.

—

Jakim cudem mogłaby wiedzieć, co do kogo czuję?

Sny, pomyślała Stella. Była w moich snach. Zna moje myśli.

—

Nie ma sensu w ogóle rozwa ać tej kwestii - wtrącił David. - Po prostu uznajmy, e ona uwa a, i ciebie i Logana łączy głębokie uczucie. I z jakichś względów bardzo jej się to nie podoba. To oczywiste, bo jedynymi osobami, na które się zezłościła, jesteście wy dwoje. Dlaczego tak ją to gniewa? Czy jest zazdrosna?

—

Zazdrosny duch. - Hayley zaczęła bębnić palcami po stole. - Tego nam tylko brakowało. A więc Oblubienica czuje do ciebie sympatię jako do samotnej matki z dziećmi. Pomaga ci się nimi opiekować, śpiewa im do snu. Kiedy jednak w twoim yciu pojawia się mę czyzna, wpada w szał. To jest tak, jakby mówiła: „Nie chcę, ebyś miała miłą, tradycyjną rodzinę, taką w której są mama, tata i dzieci - bo mnie nie było to dane”.

—

Ja i Logan w adnym razie nie jesteśmy... On jedynie czytał chłopcom historyjkę przed snem.

—

A więc robił coś, co często robią ojcowie - zauważyła Roz.

—

Kiedy... kiedy Logan im czytał, ja porządkowałam łazienkę. I ona się tam zjawiła. Czułam wyraźnie jej obecność. A potem... potem moje kremy zaczęły spadać z półki.

—

Jasna cholera - mruknęła Hayley.

—

Stałam w drzwiach do pokoju chłopców. Tam nic złego się nie działo. Z

ich sypialni dobiegało przyjemne ciepło, natomiast w plecy uderzały mnie lodowate fale. Ona nie chciała przestraszyć dzieci. Jedynie mnie.

Mimo to jutro kupię monitor głosu i ustawię w pokoju dzieci, postanowiła Stella w duchu. Od tej pory chcę słyszeć, co się dzieje w ich sypialni.

—

Jesteśmy na właściwym tropie, Stello. Przecie wiesz. - Roz położyła dłonie na stole. - Nie znalazłyśmy nic, co by potwierdzało, że ta kobieta pochodziła z rodziny Harperów. Ktoś w tym domu jednak ją znał, wiedział, co robiła i kiedy umarła. Czy jej śmierć została zatuszowana? Ukryta? To by tłumaczyło, czemu się tu pokazuje.

—

Założy się, że miała dziecko. - Hayley odruchowo przycisnęła dłoń do brzucha, - Moje zmarła, wydając je na świat, moje musiała je oddać i serce pękło jej z bólu. Zapewne wpędził ją w kłopoty jakiś mąż czyżna z rodu Harperów. Bo czemu miałyby się pokazywać w tym domu, jeśli tu nie mieszkała lub...

—

Nie zakończyła życia - skończyła za nią Stella. - W czasie gdy umarła, dom należał do Reginalda Harpera. Roz, jak do diabła może się powiedzieć, czy Reggie miał kochankę lub nieślubne dziecko?

Logan był zakochany jedynie dwa razy w życiu. Tylko dwukrotnie doświadczył

prawdziwej miłości. Po raz pierwszy, gdy był nastolatkiem i zarówno on, jak i jego dziewczyna nie umieli sobie poradzić z własnymi uczuciami. Ich miłość wypaliła się w ogniu namiętności i wzajemnej zazdrości. Chociaż gdy teraz wracał myślami do tamtych czasów, wspominał Lisę Annę Lauer z ciepłą nostalgią.

A potem pojawiła się Rae. Był już wówczas nieco starszy i mądrzejszy.

Spotykali się przez dwa lata, zanim podjęli decyzję o małżeństwie. Oboje tego chcieli, a jednak ludzie, którzy znali Logana, dziwili się, że zdecydował się na zaręczyny i ślub, a przede wszystkim na przeprowadzkę na Północ.

Logan nie rozumiał, czemu wzbudzało to takie zaskoczenie. Kochał Rae, a ona chciała mieszkać na Północy. Uwierzył więc - jak się okazało naiwnie - że potrafi zadomowić się w każdym miejscu w kraju.

Teoretycznie miał tam bardzo dobrą pracę. Czuł się jednak nieszczęśliwy w betonowym, pełnym zgiełku mieście.

Był zbyt małomiasteczkowy, pomyślał, gdy wraz z pracownikami kończył

przybijać deski na szczycie pergoli. Dlatego nie pasował do wielkomiejskiego krajobrazu.

Powoli te umierało jego małżeństwo. Zaczęło się od drobiazgów. Gdy patrzył na to z perspektywy czasu, wiedział, że powinni sobie z nimi poradzić, pójść na pewne kompromisy. Tymczasem pozwolili, by owe drobiazgi narzynały, rozrastały się do ropiejących narośli, a w końcu stały się barierą nie do przebycia.

Rae była tam w swoim żywiole, on nie. W gruncie rzeczy czuł się nieszczę-

śliwy, ją zaś gnębiło, że Logan nie może się zaaklimatyzować. Jak kaka da po-wa na, nieleczone choroba, poczucie nieszczęścia zaatakowało cały układ.

Rozpad związku bolał. Stella nie miała racji, uważając, że rozwód nie pozostawił na nim trwałych śladów. Tyle że z niektórymi bliźniami może na spokojnie żyć dalej.

Klient życzył sobie, aby pergolę porastała wistaria. Logan poinstruował

pracowników, gdzie i jak ją rozmieścić, a sam przeszedł do niewielkiego stawu, który miał zostać obsadzony roślinami.

Wciągnął wysokie, rybackie kalosze, wszedł do wody, aby pozatapiać pojemniczki z pałkami. Gdyby usunął pojemniki, pałki szybko by się rozpleniły i wydusiły wszystkie inne rośliny, a tak będą jedynie

przyjemnym wiejskim akcentem, w ten na sposób obsiadł się i trzema liliami wodnymi i tatarakiem.

Wyszedł ze stawu i spojrzął na swoją pracę - był zadowolony z jej rezultatów.

Ponownie zaczął myśleć o miłości. A więc kochał dwa razy w życiu. No i teraz coś się w nim znowu budziło. Mógł to jeszcze stłumić. I zapewne powinien to zrobić.

Czy może wziąć sobie na głowę taką kobietę, jak Stella, a do tego jej ab-surdalnie uroczych synów? Przecie ze swoim skrajnie odmiennym podejściem niemal do wszystkiego w życiu wkrótce oboje doprowadziliby się do szału. Ich uczucia zapewne nie wypaliłyby się szybko - choć gdy miał ją w łoku, ogarniał

go płomień - tylko powoli zwiędłyby i uschły - jak jego związek z Rae. A to byłoby o wiele boleśniejsze.

Do tego należało mieć jeszcze na względzie szczęście i dobro dwóch małych chłopców.

Może więc ta zjawka miała rację, gdy z całej siły kopnęła go w tyłek?

Wprost nie mógł uwierzyć, że naprawdę rozmyśla o spotkaniu z duchem.

Zawsze miał bardzo sceptyczny stosunek do tak zwanych zjawisk nadprzyrodzonych. A właściwie, nazywając rzeczy po imieniu, absolutnie nie wierzył w duchy. Oczywiście, słyszał o nawiedzonych domach, ale zawsze uważał to za element lokalnego kolorytu - barwną opowieść, tak wysoko cenioną na Po-

łudniu. Uważał, że to część dziedzictwa kulturowego. Duchy mogła zobaczyć jedynie osoba nie całkiem trzeźwa lub wysoce podatna na pewne emocje.

Ale on nie był pijany i nie poddawał się łatwo sugestiom. A mimo to czuł

lodowate tchnienie zjawki i jej potężny, niewytłumaczalny gniew. Chciała zrobić mu krzywdę, rozdzielić go z chłopcami i ich matką.

Czy jednak owa widmowa dama na pewno wiedziała, co jest najlepsze dla Stelli i jej dzieci? Czy jeżeli Logan teraz się usunie, tamci troje naprawdę będą szczęśliwsi?

Zadzwonił telefon komórkowy, który miał u paska. Ponieważ już w zasadzie skończył pracę, nie zignorował swoim zwyczajem sygnału.

—

Kitridge.

—

Logan? Tu Stella.

Poczuł drobne ukłucie w sercu i to go zirytowało.

—

Tak... tak... Mam te cholerne formularze w cię arówce.

—

Jakie formularze?

—

Te, z powodu których zaraz zaczniesz mi suszyć głowę.

—

Nie dzwonię do ciebie, by z jakiegokolwiek powodu suszyć ci głowę. -Jej głos zabrzmiał nagle chłodno i oficjalnie, co tylko zwiększyło jego irytację.

—

Có , przykro mi, ale nie mam czasu na pogawędki. Moje plany są bardzo napięte.

—

Wiem o tym i dlatego dzwonię, by się dowiedzieć, czy jeszcze dziś zdołasz się umówić na konsultację. Mam tu klientkę, której zale y na kontakcie. Uda ci się po południu z nią zobaczyć?

—

Gdzie?

Podła mu adres. Okazało się, e to dwadzieścia minut drogi z miejsca, w którym właśnie się znajdował.

—

Dobrze. O drugiej.

—

Przeka ę to klientce. Nazywa się Marsha Fields. Czy potrzebne ci jeszcze jakieś dodatkowe informacje?

—

Nie.

—

To doskonale.

Usłyszał głośne kliknięcie i bardzo go wkurzyło, e to nie on rozłączył się pierwszy.

Kiedy Logan zmierzał tego wieczoru w stronę domu, był zmęczony, spocony, ale ju w du o lepszym nastroju. Cię ka fizyczna praca zazwyczaj poprawiała mu humor, a tego dnia nie narzekał na brak roboty. Jedynie w czasie potę nej ulewy zrobili sobie przerwę na lunch. Usiedli w przegrzanej cię arówce i kiedy deszcz walił w przednią szybę, oni raczyli się kanapkami z wołowiną na zimno, które popijali słodką herbatą.

Praca u Marshy Fields zapowiadała się bardzo interesująco. Ta kobieta miała bardzo sprecyzowane pomysły, a Loganowi podobała się większość z nich, postanowił więc je starannie rozrysować i udoskonalić w kilku szczegółach.

Poniewa okazało się, e kuzynka Marshy ze strony matki jest kuzynką ojca Logana, konsultacja trwała du o dłu ej ni zazwyczaj i przebiegała w miłej atmosferze, która stała się niemal kordialna, gdy Marsha obiecała, e poleci jego usługi znajomym.

Tak więc wyjechał z za ostatniego zakrętu przed swoim domem w bardzo dobrym nastroju, który jednak natychmiast się zwarzył, gdy Logan ujrzał samochód Stelli zaparkowany na podjeździe.

Nie chciał teraz z nią się widzieć. Jeszcze nie poukładał sobie wszystkiego w głowie, a jej dzisiejszy telefon tylko dodatkowo zagmatwał sprawę. Miał ochotę na prysznic, zimne piwo i odrobinę samotności. A potem zamierzał zjeść kolację i przy akompaniamencie ulubionej muzyki rozło yć się z pracą na kuchennym stole.

Ten scenariusz nie przewidywał obecności jakiegokolwiek kobiety.

Zaparkował obok auta Stelli z silnym postanowieniem, e powie jej parę słów do słuchu. Nie ujrzał jej jednak nigdzie w zasięgu wzroku. Czy by była kobietą, której się wydaje, e jak przespała się z facetem, to mo e wmeldować się do niego pod jego nieobecność? Nie, to niemo liwe, zdecydował i w tym samym momencie usłyszał szum wody płynącej z ogrodowego wę a.

Wsunął ręce do kieszeni i skręcił za róg domu.

Stała na patio w szarych, eleganckich spodniach i luźnej niebieskiej koszuli. Włosy ściągnęła w koński ogon, co wydało mu się nagle szalenie seksowne. Poniewa jakiś czas temu słońce wyszło z za chmur, wsunęła na nos przeciwsłoneczne okulary o szarych szklach.

Podlewała rośliny w doniczkach, starając się przy tym nie zamoczyć szarych płóciennych pantofli.

—

Dziś padało! - wykrzyknął.

—

Ale nie dość - odparła, nie odrywając się od swego zajęcia. Kiedy skończyła, zakręciła wodę, wciąż trzymając wąż w dłoni.

—

Zdaję sobie sprawę, e masz określony styl pracy oraz przeró ne humory. To nie moja sprawa. Nie yczę sobie jednak, ebyś rozmawiał ze mną w taki sposób, jakbym była jakąś idiotką, która musi zadzwonić do swojego chłopaka w czasie pracy, by szepnąć mu kilka czułych słów, lub obsesyjnym współpracownikiem nękającym cię bez przerwy drobiazgami. Bo nikiem takim nie jestem.

—

To znaczy nie jesteś moją dziewczyną czy moim współpracownikiem?

Wyraźnie zauwa ył, e Stella zaciska zęby.

—

Je eli się z tobą kontaktuję w godzinach słu bowych, to znaczy, e mam wa ny powód. Tak jak dziś rano.

Miała rację, oczywiście, ale nie zamierzał tego otwarcie przyznać.

—

Dostaliśmy tę pracę u Marshy Fields.

—

Hip, hip, hura.

Przygryzł usta, bo rozbawił go jej kwaśny ton.

—

Opracuję dla niej projekt i kosztorys. Dostaniesz kopię jednego i drugiego.

Czy to ci odpowiada?

—

To mi odpowiada. Natomiast nie odpowiada mi...

—

Gdzie są dzieci?

To pytanie całkowicie wybiło ją z rytmu.

—

Mój tata zabrał je po szkole. Przenocują dzisiaj u dziadków, bo wieczorem jadę z Hayley do szkoły rodzenia.

—

O której godzinie?

—

Co o której godzinie?

—

Jedziesz do tej szkoły?

—

Mamy być tam o wpół do dziewiątej. Słuchaj, nie przyszedłam tu na towarzyską pogawędkę. Zdecydowanie uważam, e...

Logan postąpił w jej stronę, a Stella się cofnęła, patrząc na niego spod przymrużonych powiek.

—

Nawet o tym nie myśl! Nie mam w tej chwili ochoty na żadne pocałunki.

—

W takim razie może jej nabierzesz, jak już zacznę.

—

Słuchaj, ja nie artuję. - Skierowała w jego stronę wylot węża. - Trzymaj się ode mnie z daleka.

—

Zrozumiałem twój punkt widzenia. A teraz, jeśli chcesz, to włączaj wodę.

Wypociłem się dziś za trzech. Przyda mi się mały prysznic.

—

Daj spokój! - Znów cofnęła się kilka kroków. - To wcale nie jest śmieszne.

—

Kiedy mówisz tym tonem, od razu się podniecam.

—

Nie mówię adnym tonem.

—

Tonem jankeskiej nauczycielki. Będę bardzo ałował, jeśli kiedyś go utracisz.

Spróbował wyrwać z jej dłoni wąż, ale była szybsza i puściła wodę. Ostry strumień uderzył go w pierś i Stella z trudem opanowała chichot.

—

Dość tych zabaw, Logan. Naprawdę nie jest mi do śmiechu. Ociekając wodą, zamarkował ruch w lewo, po czym rzucił się na nią od drugiej strony. Pisnęła głośno, upuściła wąż i zaczęła uciekać.

Logan pochwycił ją w pasie i unióśł w górę. Stella zaczęła wrywać się i kopać, po czym a się zakrzusiała z wra enia, gdy wylądowała na trawie u jego boku.

—

Puść mnie, ty wariacie.

—

A niby dlaczego? Wdzierasz się na prywatny teren, podlewasz moje rośliny, wygłaszasz mi kazania... u siebie mogę robić wszystko, na co mam ochotę.

—

Przestań. Jeszcze nie powiedziałam wszystkiego, co miałam do powiedzenia.

—

Nie wątpię, e nawet po kilku godzinach zdołasz podjąć przerwany wątek.

—

Jesteś mokry i spocony, a ja za chwilę będę miała na spodniach niespie-ralne plamy z trawy, a do tego...

Przywarł ustami do jej warg.

—
Nie mogę... nie mogę... nie w ogrodzie...

Nagle jednak wszystkie argumenty umknęły jej z głowy.

—
Chcesz się założyć?

Bardzo jej powiedział, czemu więc miał się opierać temu pragnieniu? Powiedział

tej kobiety cierpiącej na obsesję porządku, która jednocześnie baraszkowała na podłodze z dziećmi. Kobieta a do bólu rozsądnej, która jednak potrafiła pozwolić sobie na odrobinę szaleństwa. Kobieta, która podlewała mu kwiaty, besztając go niemiłosiernie.

Która drżała pod dotknięciem jego dłoni.

Zaczął zachłannie pieścić jej piersi, przesuwać ustami po szyi, ramionach, dłoniach.

Stella wiedziała, że to szaleństwo, ale nie mogła się opanować. Logan pachniał tak seksownie: potem i wilgotną ziemią. Wsunęła dłonie w jego włosy i przyciągnęła jego usta do swoich.

—
Twój pasek - szepnęła po chwili. - Wpija mi się...

—
Przepraszam.

Podniósł się lekko, by go odpiąć, i spojrzał na jej twarz. Rude loki wymknęły się spod gumki, cera była zaróżowiona, oczy zasnuwała lekka mgła. I w tym momencie poczuł, że już nie jest w stanie zdusić w sobie uczucia do tej kobiety.

—
Stello...

Nie wiedział, co ma jej powiedzieć. Słowa uwięzły mu w gardle. Wtedy ona uśmiechnęła się powoli.

—
Może ci pomogę? - zaproponowała.

Odpięła guzik dżinsów i zdecydowanym ruchem rozpięła zamek.

Przywarła do niego całym ciałem, wodziła językiem po jego nagim torsie, gładziła dłońmi plecy i cudownie szerokie ramiona.

A potem usiadła na nim, pozwoliła, by się w nią zagłębił, i zaczęła szalony taniec.

Leżała w jego objęciach - naga, wilgotna, oszołomiona. Miała wrażenie, że są dwójką rozbitków ocalałych z jakiejś potężnej katastrofy morskiej.

Odwróciła głowę i przytuliła policzek do jego piersi. Wprost nie mogła uwierzyć, że kochała się z mężczyzną w ogrodzie, w pełnym świetle dnia.

—

To kompletne szaleństwo - wymruczała, nie ruszając się jednak z miejsca. -

A gdyby tak ktoś przyszedł?

—

Jeśli ktoś zjawia się nieproszony, musi być gotowy na wszelkie ewentualności.

—

Czuję się, jakbym miała szesnaście lat. Do diabła, przecie nawet jak byłem nastolatką, nie robiłam takich rzeczy! Muszę odzyskać trzeźwość myślenia.

A przede wszystkim ubranie.

—

Poczekaj chwilę.

Delikatnie odsunął ją na bok, po czym wstał. Najwyraźniej nie przejmował się tym, że chodzi po ogrodzie kompletnie nagi.

—

Słuchaj, ja naprawdę przyszedłam tu, żeby z tobą porozmawiać.

—

Nie rozmawiać, lecz zmyć mi głowę. I całkiem nieźle ci poszło.

—

Ale jeszcze nie skończyłam. - Przewróciła się na bok i chwyciła gumkę do włosów. - Zrobię to jednak, gdy tylko się ubiorę i...

W tym momencie zaczęła krzyczeć, jakby ją mordowali. Po jej ciele spływały strugi zimnej wody z wę a.

—

Pomyślałem, e nam obojgu przyda się odrobina otrzeźwienia.

Bez względu na okoliczności, nigdy by się nie zdobyła na to, by biegać z gołą pupą po trawie. Przycisnęła więc brodę do kolan i zaczęła obrzucać Logana wyjątkowo wymyślnymi wyzwiskami.

On tymczasem pękał ze śmiechu.

—

Skąd taka grzeczna dziewczynka zna podobne przekleństwa? I jak mam teraz całować usta splamione równie plugawymi słowami?

Po czym uniósł wąż nad własną głowę i zrobił sobie szybki prysznic.

—

Od razu czuję się lepiej. Miałabyś ochotę na piwo?

—

Nie, nie chcę adnego cholernego piwa. Natomiast marzę o ręczniku. Ty szaleńcu, kompletnie przemoczyłeś mi ubranie!

—

Wrzucimy je do suszarki. - Odrzucił wąż , a następnie podniósł jej spodnie, bieliznę i koszulę. - Chodź do środka. Tam dostaniesz ręcznik.

Poniewa leniwym krokiem ruszył przez patio w stronę drzwi, nie miała innego wyjścia, tylko za nim podą yć.

—

Masz szlafrok? - spytała ostro.

—

A co, do diabła, miałbym robić ze szlafrokiem? Poczekaj chwilę, Rudzielcu.

Ociekająca wodą Stella zaczęła dr eć z zimna.

Na szczęście Logan zjawił się chwilę później, niosąc dwa duże prześcieradła kąpielowe.

—
Powinny ci wystarczyć. Wytrzymaj się dobrze, a ja tymczasem zajmę się twoim ubraniem.

Zniknął za wąskimi drzwiami, które najprawdopodobniej prowadziły do pomieszczenia gospodarczego, a chwilę później Stella usłyszała szum suszarki.

—
Mo e w takim razie napijesz się wina? - zapytał, ponownie zjawiając się w kuchni. - Albo herbaty lub kawy?

—
Posłuchaj, Logan...

—
Rudzielcu, przysięgam, e jeszcze adnej kobiety w yciu nie musiałem wysłuchiwać tak długo jak ciebie. Więc tym trudniej mi zrozumieć, czemu się w tobie zakochałem.

—
Nie yczę sobie, eby... Słucham?

—
Zaczęło się od włosów. - Otworzył lodówkę i wyjął piwo. - Zaraz potem zauroczył mnie twój głos. - Zdjął kapsel i pociągnął potę ny łyk prosto z butelki. - A w końcu dołączyło się mnóstwo innych drobiazgów. Nie umiem ich dokładnie zdefiniować.

—
Ty... ty sądzisz, e jesteś we mnie zakochany? I okazujesz to, rzucając mną o ziemię niczym jakiś maniak seksualny, by po wszystkim oblać mnie zimną wodą z ogrodowego wę a?

Pociągnął kolejny łyk.

—
W owej chwili wydawało mi się to bardzo odpowiednie.

—
Có za czarujący gest!

Wcale nie zamierzałem być uroczy. Tak jak nie zamierzałem się w tobie zakochać. Prawdę mówiąc, gdy sobie to uświadomiłem, od razu straciłem humor.

—

Doprawdy? - W jej oczach zaczęły migotać niebieskie ogniki.

—

Ale teraz ju czuję się du o lepiej.

—

To doskonale. Więc mo e przynieś mi ubranie.

—

Jeszcze nie zdą yło wyschnąć.

—

Nie szkodzi.

—

Ludzie z Północy ciągle gdzieś się spieszą. - Oparł się leniwie o kontuar. -

Jest jeszcze jedna rzecz, o której dzisiaj rozmyślałem.

—

To mnie absolutnie nie obchodzi.

—

Uświadomiłem sobie, e do tej pory byłem zakochany tylko dwa razy. I e za ka dym razem... có , nie owijajmy w bawełnę, za ka dym razem wszystko się spieprzyło. Niewykluczone, e zmierzamy w tę samą fatalną stronę.

—

Niewykluczone, e właśnie dotarliśmy do fatalnego końca.

—

O nie. Na razie jesteś wkurzona i przera ona, bo nie szukałaś mę czyny.

—

Niczego nie szukałam.

—

To tak jak ja. - Odstawił piwo, po czym ujął jej twarz w dłonie. - Mo e zdołałbym jeszcze stłumić w sobie to uczucie. Mo e nawet powinienem to zrobić. Ale kiedy na ciebie patrzę, kiedy cię dotykam, ogarnia mnie coraz większe po ądanie.

Musnął delikatnie wargami jej czoło, po czym się odsunął.

—

- Ilekroć ju mi się wydaje, e choć trochę pojęłam, jaki jesteś naprawdę, znowu mnie czymś zaskakujesz - powiedziała cicho. - Ja kochałam tylko raz i otrzymałam wtedy wszystko, czego pragnęłam. Teraz zaś nie mam pojęcia, czego pragnę i potrzebuję. I na dodatek nie wiem, czy wystarczy mi odwagi, by rzucić się w wir uczuć.

—

Jeśli lak dalej pójdzie, mo e pchnę cię we właściwym kierunku i podejmę decyzję za ciebie.

—

Ja nie daję się tak łatwo popychać. - Tym razem to ona do niego podeszła i chwyciła go za rękę. - Jestem bardzo wzruszona, e powiedziałaś, co do mnie czujesz. Potrzebuję jednak czasu, by dojść do ładu z samą sobą.

Ubranie ju było suche, ale niemiłosiernie wygniecione, natomiast jej włosy skrzyły się w tak mocne loki, e teraz sprawiały wra enie, jakby było ich dwa razy tyle co zwykle.

Stella wysiadła z samochodu i serce w niej zamarło, gdy ujrzała, e Roz i Hayley siedzą na ławce przed domem i popijają coś z wysokich szklanek.

—

Tylko się przebiorę! - wykrzyknęła. - Zaraz do was przyjdę.

—

Nie musisz się spieszyć - odparła Hayley. Odprowadziła Stellę wzrokiem do drzwi, a potem zwróciła się w stronę Roz. - Wiesz, co to znaczy, gdy kobieta zjawia się w domu w pogniecionym ubraniu i plamach od trawy na spodniach?

—

Przypuszczam, e Stella była u Logana.

—
To oznacza drobne r nięcie w ogrodzie.

Roz wypła łyk mro onej herbaty i parsknęła śmiechem..

—
Hayley! Na Boga! Co za język!

—
Czy kiedykolwiek robiłaś to na świe ym powietrzu? Roz westchnęła lekko.

—
W strasznie zamierzchłych czasach.

Stella doskonale wiedziała, e Roz i Hayley rozmawiają na jej temat, i natychmiast się zaczerwieniła. Wpadła do swojego pokoju, szybko zdjęła wygniecione ubranie i wrzuciła do pralki.

—
Nie mam się czego wstydić - mruknęła pod nosem, otwierając szafę.

Wła yła świe ą bieliznę i od razu poczuła się lepiej. Ale kiedy sięgała po bluzkę, owionął ją lodowaty chłód.

Zamarła, pewna, e tym razem polecą w jej stronę jakaś lampa lub wazon.

Gdy jednak przez dłu szą chwilę nic się nie wydarzyło, Stella zebrała się na odwagę i spojrzała przez ramię. I wtedy po raz pierwszy wyraźnie zobaczyła Oblubienicę. Cała postać zdawała się jakby utkana z dymu - przeświecało przez nią światło z okna - niemniej widoczne były przepełnione smutkiem oczy, złociste loki i długa suknia.

Oblubienica stała w drzwiach łączących łazienkę z sypialnią chłopców.

Tym razem jej twarz nie wyra ała gniewu czy choćby dezaprobaty, ale malował się na niej wyraz bezbrze nej rozpaczy.

Strach Stelli ustąpił miejsca współczuciu.

—
Tak bardzo chciałabym ci pomóc. - Przyciskając bluzkę do piersi, niepewnie postąpiła do przodu. - Dowiedzieć się, kim byłaś, co cię spotkało i czemu jesteś tak bardzo smutna.

Zjawia łośnie kiwnęła głową w stronę pustego pokoju chłopców.

—
Ale nikomu ich nie oddałam ani nigdzie nie odesłałam. - Stella usłyszała swój własny głos. - Nigdy bym tego nie zrobiła. Dzieci są całym moim życiem. Dzisiejszy wieczór spędzają u dziadków. To dla nich wielka frajda -

będą się nieprzytomnie objadać lodami i robić wszystko, na co mają ochotę.

Mój ojciec i jego ona bardzo kochają Luke'a i Gavina, rozpieszczają ich i hołubią. Ale jutro obaj wrócą do domu.

Niepewnie podeszła jeszcze krok w stronę zjawy.

—

Chłopcy uwielbiają odwiedziny u dziadków, ale gdy ju tam pójdą, nagle robi się tu strasznie cicho, prawda?

Na Boga, czy by oszalała? Próbowала wciągnąć ducha w rozmowę!

—

Chcemy się dowiedzieć, kim byłaś. Powiedz coś, co mogłoby nam pomóc.

Czy nie mogłabyś zdradzić mi swojego imienia?

Wyciągnęła przed siebie drżąca rękę, która bez trudu przeniknęła przez widmową postać. Stella poczuła lodowate zimno i ostry, jakby elektryczny wstrząs. Przez chwilę jeszcze widziała przepełnione smutkiem oczy, a zaraz potem zjawa zniknęła.

—

Przecież je eli mo esz śpiewać, to mo esz i mówić! - wykrzyknęła Stella, choć w pokoju było ju pusto.

Roztrzęsiona, ubrała się do końca, spięła włosy i usiadła przed lustrem, by poprawić makijaż. Była niemal pewna, że za chwilę, oprócz własnego odbicia, ujrzy tak e tamtą, widmową twarz.

Nic takiego jednak się nie wydarzyło.

Stella wsunęła stopy w zamszowe pantofle i ruszyła w dół po schodach.

Trzeba zostawić zmarłych za sobą, pomyślała, i przygotować się na przyjęcie nowego życia.

Wiosna zadomowiła się na dobre, a temperatura - w mniemaniu Stelli -osiągnęła subtropikalne wartości. Klienci wciąż napływali tłumnie do „Edenu” i choć większość z nich przybywała tu teraz głównie po to, by przejść się po pięknym terenie i pogawędzić z obsługą, i tak codziennie z centrum wyjeżdżało mnóstwo krzewów, drzew ozdobnych oraz donic i skrzynek z kwiatami.

Stella pilnie czuwała nad zaopatrzeniem i uzupełniała puste miejsca na stołach zapasami ze szklarni, a także obsadzała wielkie donice i skrzynki nowymi kompozycjami. Nieustannie wydzwaniała do dostawców nawozów, nasion traw, pożywk, ściółek i tym podobnych. Zaczęła też nękać Roz, by wystawić na sprzedaż trochę młodszych roślin.

—

W adnym razie - usłyszała w odpowiedzi. - Dopiero w przyszłym roku.

—

Ale jak tak dalej pójdzie, zaraz zabraknie nam orlików, skalnicy, lilii azjatyckich... - Machnęła swoim notesem. - Roz, wyprzedaliśmy już ponad trzydzieści procent roślin wieloletnich. Jeśli z obecnymi zapasami uda się nam dotrzeć do końca maja, będziemy mogli się uznać za szczęściarzy.

—

Za moment sprzedaż znacznie spadnie - oznajmiła Roz, wsadzając do płaskich skrzynek flance goździków skalnych. - Jeśli zacznę wystawiać zbyt młode rośliny, klienci nie będą zadowoleni.

—

Ale...

—

Posłuchaj. Na przykład te goździki zaczną kwitnąć dopiero w przyszłym roku. A klienci lubią kwiaty, Stello. Chcą natychmiast upiększyć swoje ogrody i tarasy, przecie dobrze o tym wiesz. Nie mają ochoty czekać miesiącami na efekty.

—

Wiem, oczywiście, jednak...

—

Sukces cię oszołomił. - Nie zdejmując roboczych rękawic, Roz potarła nos palcem. - Podobnie jak wszystkich innych pracowników. Na Boga, Ruby promienieje, jakby znowu została babcią, Steve natomiast - ilekroć mnie spotyka - ma ochotę przybić piątkę.

—
Kochają to miejsce.

—
Ja równie . I nie ukrywam, e jeszcze nigdy nie mieliśmy tak dobrego roku.

Częściowo zawdzięczamy to pogodzie - wiosna była piękna. Ale przede wszystkim nasz sukces jest wynikiem ciężkiej pracy wyjątkowo kompetentnej i entuzjastycznej pani menedżer. Nie zapominaj jednak, Stello, e w tym fachu najważniejsza jest jakość. Dość ma znaczenie drugorzędne.

—
Jasne. Masz rację. Ale robi mi się zimno na myśli, e czegoś nam z pewnością nie i będziemy zmuszeni odsyłać klientów do konkurencji.

—
Nie będzie to konieczne, jeśli obsługa zachowa dość przytomności umysłu, by zaproponować w zamian coś równie atrakcyjnego.

—
Jasne - odparła Stella z westchnieniem.

—
A jeżeli rzeczywiście będziemy musieli zarekomendować inne centrum...

—
Zachwycimy klienta naszym dążeniem do zapewnienia mu pełnej satysfakcji.

—
To tłumaczy, czemu ty jesteś właścicielką tego interesu, a ja jedynie menedżerem.

—
To, Stello, wiąże się przede wszystkim z faktem, e się tu urodziłam i wychowałam. Za parę tygodni sezon wiosenny dobiegnie końca. Klienci zjawiający się w drugiej dekadzie maja szukają głównie kompozycji w donicach i skrzynkach, lub ewentualnie chcą zastąpić nowymi flancami rośliny, które im z jakichś powodów zwiędły. Gdy zaś nadejdą czerwcowe upały, będziesz się modlić, eby po obniżonych cenach upchnąć wiosenno-letnie zapasy i zrobić miejsce na rośliny jesienne.

—
W Michigan właściwie nie należy wsadzać niczego do ziemi przed drugą dekadą maja.

Roz zaczęła obsadzać kolejną skrzynkę.

—

Tęsknisz za Północą?

—

Ze względu na lojalność wobec Kevina chciałabym odpowiedzieć, e tak.

Tylko e to nieprawda. Wcale nie miałabym ochoty tam wrócić. Z Michigan nie wią e mnie nic oprócz wspomnień.

Wspomnienia były jednak bardzo wa ne. Przecie nie tylko ona straciła mę a

- człowieka, którego kochała - ale przede wszystkim jej synowie stracili ojca.

Gavin wciąż go pamiętał, lecz dla Luke'a Kevin był ju tylko jakąś mityczną postacią. Jakie to niesprawiedliwe! Je eli Stella zdecyduje się na bli szy związek z Loganem, póki chłopcy są jeszcze tacy mali, wówczas...

Będzie nielojalna wobec zmarłego mę a.

Przechodząc przez centrum pełne klientów przebierających w roślinach ustawionych na stołach, zauwa yła, e Hayley usiłuje podnieść wielką czerwoną donicę z białymi niecierpkami.

—

Ani mi się wa ! - wykrzyknęła.

Na jej podniesiony głos wiele głów uniosło się ze zdziwieniem, Stella nie zwróciła jednak na to uwagi i przemaszerowała szybko przez salę. Podparła się pod boki i ze złością spojrzała na dziewczynę.

—

Co ty wyprawiasz?!

—

Pomyślałam, e ta donica będzie ładnie wyglądać na ladzie, przy kasie.

—

Zapewne będzie. Ale czy pomyślałaś, w którym jesteś miesiącu? Hayley spojrzała na swój przypominający du ą piłkę brzuch.

—

Raczej trudno o tym zapomnieć.

—

Je eli chcesz przynieść donice z kwiatami, masz poprosić kogoś o pomoc.

—

Przecie jestem silna jak wół.

—

I za miesiąc rodzisz.

—

Uśłuchaj jej, skarbie. - Jedna z klientek poklepała Hayley po ramieniu. -

Zawsze lepiej dmuchać na zimne. A poza tym, gdy ju dziecko znajdzie się na tym świecie, będziesz cały czas zabiegana. Skorzystaj więc z okazji i pozwól, eby inni cię teraz rozpieszczali.

—

Muszę nieustannie mieć na nią oko - powiedziała Stella. - Wyjątkowo piękna ta lobelia, prawda?

Kobieta spojrzała na swój wózek.

—

Rzeczywiście. Zachwyił mnie jej głęboki błękit. Pomyślałam, e obok posadzę czerwono kwitnącą szałwię, a z tyłu mo e orliki?

—

Świetny wybór.

—

Na końcu rabaty mam jeszcze trochę miejsca i nie bardzo wiem, co będzie tam dobrze wyglądać. - Przygryzła wargę, przebiegając wzrokiem po wielu kwitnących roślinach ustawionych na stołach. - Je eli macie trochę czasu, chętnie skorzystałabym z waszej pomocy.

—

Od tego właśnie tu jesteśmy - odparła Stella. - Mamy wspaniałe wielobarwne malwy, dość wysokie, by umieścić je za orlikami. Natomiast gdyby chciała pani stworzyć kontrastujące tło dla szałwii, proponuję te margerytki.

Stella poleciła Hayley wybrać kilka margerytek, sama zaś pokazała klientce jeszcze inne kwiaty. W końcu wspólnymi siłami zaczęły zapełniać wózek.

—

Ju nie mogę się doczekać, kiedy zasadzę te wszystkie kwiaty w ogrodzie.

Moi sąsiedzi zzielenieją z zazdrości.

—

Proszę ich wówczas przysłać do nas.

—

Ju nieraz tak robiłam. Zaopatruję się w tej firmie od dnia, gdy powstała.

Kiedyś mieszkałam zaledwie półtora kilometra stąd, ale dwa lata temu przeniosłam się do Memphis. Mimo e teraz muszę przejechać ponad dwadzieścia kilometrów, i tak korzystam z waszych usług, bo wiem, e tu zawsze znajdę coś niezwykłego.

—

Bardzo miło nam to słyszeć. Czym jeszcze mogłybyśmy pani służyć? Potrzebuje mo e pani nawozu lub świe jej ściółki?

—

Nie, ale... ponieważ wózek jest ju całkiem pełny, czy któryś z tych silnych młodzieńców mógłby mi dopchać go do kasy, a potem pomóc załadować rośliny do bagażnika?

—

Oczywiście, natychmiast się tym zajmę - powiedziała Stella, po czym posłała Hayley znaczące spojrzenie. - A ty się zachowuj!

—

Jesteście siostrami? - spytała klientka, gdy Stella ruszyła przed siebie.

—

Nie. To moja szefowa. A dlaczego pani pyta?

—

Pewnie dlatego, e patrząc na was, przypomniałam sobie, jak często zdarza mi się strofować moją młodszą siostrę, szczególnie gdy się o nią niepokoję.

—
Naprawdę? - Hayley zerknęła w stronę oddalających się pleców Stelli. - W

—
takim razie pewnie łączy nas coś w rodzaju siostrzanych uczuć.

—
Stella wiedziała, e niewielki wysiłek fizyczny jest korzystny dla cię arnych kobiet, w adnym razie jednak nie chciała się zgodzić, by po całym dniu pracy Hayley maszerowała do domu na piechotę. Dlatego co wieczór pakowała ją do samochodu i odwoziła na miejsce.

—
Kiedy ja lubię spacerować.

—
Po kolacji będziesz sobie mogła pospacerować po ogrodzie. Nie ma jednak mowy, ebyś chodziła taki szmat drogi i to jeszcze przez las, dziecino. Nie w twoim obecnym stanie.

—
Czy zamierzasz mnie tak prześladować przez następne cztery tygodnie?

—
Jak najbardziej.

—
Wiesz, co powiedziała pani Tyler, ta kobieta, której pomagałyśmy wybierać rośliny?

—
Nie.

—
e pewnie jesteśmy siostrami, bo tak mnie męczysz, jak ona swoją młodszą siostrę. Kiedyś mi się to podobało - teraz mnie irytuje.

—
Trudno.

—
Umiem o siebie zadbać.

—
Wiem. Zamierzam jednak ci w tym pomagać.

—
Je eli ty mnie nie strofujesz, robi to Roz. Niedługo ludzie zaczną ją brać za moją matkę - westchnęła Hayley, po czym zrzuciła buty z nóg.

—
Bolą cię stopy?

—
Nie, wszystko w porządku.

—
Mam fantastyczny el do stóp. Jak tylko przyjedziemy, zrobimy z niego u ytek, a potem pole ysz chwilę z nogami do góry.

—
Teraz ju prawie nie mogę sięgnąć do własnych stóp. Czuję się...

—
Gruba, niezdarna i powolna - skończyła za nią Stella.

—
Oraz niemiła i zrzędząca. - Dziewczyna odgarnęła z twarzy wilgotne od potu pasma włosów. Najchętniej ogoliłaby się teraz na łyso. - A do tego wiecznie zgrzana.

—
Stella natychmiast podkręciła klimatyzację, a Hayley ogarnęły wyrzuty sumienia i ledwo zdołała powstrzymać łzy.

—
Jesteś dla mnie taka miła - wszyscy są dla mnie wyjątkowo mili - a ja odpłacam wam niewdzięcznością. Ale wciąż czuję się taka zmęczona i na dodatek mam wra enie, e ju do końca ycia będę chodzić w cią y.

—
Obiecuję ci, e nie będziesz.

—
I poza tym... Stello, pamiętasz, jak ostatnio w szkole pokazywali nam poród na wideo? Ja po prostu nie dam rady przez to przejść. Nie dam rady.

—
Będę przy tobie, Hayley. Wszystko pójdzie dobrze. Nie powiem ci, e będzie lekko, bo nie będzie. Ale to wyjątkowo ekscytujące przeżycie. Zachwycające.

Wjechały na podjazd i zobaczyły chłopców grających w baseball z Harperem.

—
I warte tego wysiłku - dodała Stella, wskazując głową na synów. - Gdy tylko weźmiesz dziecko w ramiona, zrozumiesz, co mam na myśli.

—
Nie umiem sobie wyobrazić, e będę mamą. Kiedyś mogłam. Ale im bliżej porodu, tym trudniej mi to pojąć.

—
To naturalne. Nikt nie może sobie wyobrazić cudu. I to normalne, e się denerwujesz. Dziwiłabym się, gdyby było inaczej.

—
Denerwowanie się wychodzi mi doskonale.

Kiedy tylko Stella zaparkowała przed domem, do samochodu podbiegli chłopcy.

—
Mamo! Mamo! Gramy w baseball i odbiłem piłkę ju cały milion razy.

—
Cały milion? - Stella spojrzała na Luke'a szeroko otwartymi oczami. - To musiałeś chyba pobić jakiś rekord.

—
Chodź pograć z nami, mamusiu! - Gavin zaczął ciągnąć ją za rękę, podczas gdy Parker obskakiwał jej nogi. - Proszę!

—

Dobrze, choć obawiam się, że o milionie odbić nawet nie mam co marzyć.

Harper podskoczył do samochodu od strony Hayley.

—

Pomóc ci?

Dziewczyna nie mogła wsunąć nabrzmiałych stóp w buty i łzy wściekłości napłynęły jej do oczu.

—

Jestem cię arna, a nie sparali owana - odparowała.

Przestała zawracać sobie głowę butami i zaczęła niezdarnie wysiadać z samochodu. Zanim zorientowała się, co robi, odtrąciła wyciągniętą dłoń Harpera.

—

Po prostu zostaw mnie w spokoju, dobrze?

—

Przepraszam. - Natychmiast wsunął ręce do kieszeni.

—

Duszę się, gdy wszyscy wiszą mi nad głową przez cały boży dzień -

oznajmiła i energicznie ruszyła w stronę domu, starając się nie kołysać przy tym na boki.

—

Ona jest zmęczona, Harper - wtrąciła miękko Stella. - Zmęczona i rozdrażniona. To normalne na tym etapie ciąży.

—

Może powinna przestać pracować.

—

Gdybym jej to zaproponowała, wpadłaby w szal. Praca pozwala jej zapomnieć o tym, co ją czeka. A wszyscy pilnujemy, żeby się nie forsowała -

co to dodatkowo ją irytuje. Podejrzewam, że czuje się osaczona.

—

Mamo!

Uniosła dłoń, by powstrzymać niecierpliwość chłopców.

—

Ofuknęłaby ka dego, kto w takiej sytuacji chciałby jej podać rękę. To nie było nic osobistego.

—

Jasne. No, dobrze. Pójdę doprowadzić się do porządku. - Odwrócił się w stronę chłopców, wrywających sobie nawzajem plastikowy kij. - Pogramy później - obiecał. -1 czeka was sromotna pora ka.

Duszne i gorące popołudnie stanowiło pierwszą zapowiedź nadchodzącego lata. Mimo działającej klimatyzacji, lekkiego stroju i wysoko upiętych włosów, Stella pocila się w swoim małym biurze.

Właśnie skończyła opracowywać harmonogram prac na nadchodzący tydzień, gdy ktoś zapukał do drzwi.

—

Proszę! - powiedziała i sięgnęła po termos z mro oną kawą, którą teraz przygotowywała ka dego ranka. W drzwiach stanął Logan i Stella poczuła miły dreszcz. - Cześć. Myślałam, e pracujesz dziś u pani Fields.

—

Wygoniła mnie ulewa.

—

Naprawdę? - Odwróciła się w stronę maleńkich okien i ujrzała ścianę deszczu. - Nie zauwa yłam.

—

Te liczby i tabele muszą być bardzo absorbujące.

—

Tylko dla wybranych.

—

Słuchaj, to idealny dzień na wagary. Mo e wyjdziemy pobiegać w deszczu, Rudzielcu?

—

Nie mogę. - Szerokim gestem wskazała na biurko. - Mam mnóstwo pracy.

—

Uwijałaś się jak w ukropie przez całą wiosnę. Jestem pewien, e Roz nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli weźmiesz sobie parę godzin wolnego w to deszczowe popołudnie.

—

Roz nie. Ale ja tak.

—

Coś podobnego przemknęło mi przez głowę. - Uniósł nieforemny pojemnik na ołówki, niewątpliwie wykonany przez dziecko. - Gavin czy Luke?

—

Gavin, w wieku siedmiu lat.

—

Unikasz mnie, Stello?

—

Nie. No mo e trochę - przyznała. - Ale naprawdę ostatnio jestem bardzo zajęta. I tu, i w domu. Hayley pozostały tylko trzy tygodnie do porodu i staram się mieć ją cały czas na oku.

—

Myślisz, e mogłabyś sobie wygospodarować kilka wolnych godzin, powiedzmy w piątek wieczór? Poszlibyśmy do kina.

—

W piątki zazwyczaj zabieram gdzieś dzieci.

—

Doskonale. Właśnie wyświetlają nowy film Disneya. Przyjadę po was o szóstej. Przed kinem pójdziemy na pizzę.

—

Och, ja... To było podstępne z twojej strony.

—

Cel uświęca środki.

—

Loganie, czy kiedykolwiek byłeś w kinie z dwójką dzieci?

—

Nie. To będzie dla mnie całkiem nowe, interesujące doświadczenie. -

Podszedł do niej, chwycił ją pod łokcie i unióś w górę bez większego wysiłku. - Zacząłem za tobą tęsknić.

Pochylił się i zaczął ją całować, jednocześnie gładząc dłonią po plecach.

Stella zarzuciła mu ręce na szyję i ochoczo oddała pocałunek. Po jakimś czasie jednak wróciła jej przytomność umysłu i oderwała się od Logana.

—

Wygląda na to, e ja te się za tobą stęskniłam. Wiesz, du o ostatnio rozmyślałam.

—

W to nie wątpię. - Pociągnął ją za kosmyk włosów, który wymknął się z węzła. - Do zobaczenia w piątek.

Kiedy wyszedł, Stella z powrotem usiadła za biurkiem.

—

Tylko jakoś nie mogę sobie przypomnieć, co było tematem tych rozmyślań - mruknęła.

To rzeczywiście było interesujące doświadczenie. Głównie dlatego, e Logan nadspodziewanie dobrze poradził sobie w nowej sytuacji. Od razu nawiązał z chłopcami dobry kontakt i szybko się okazało, e mają wiele wspólnych tematów do omówienia. Stella zazwyczaj swobodnie włączała się do dyskusji synów na temat komiksów i baseballu, ale w rozmowie z Loganem chłopcy zaczęli poruszać tak skomplikowane kwestie, e szybko przestała się orientować, o czym właściwie mówią.

W pewnej chwili odniosła nawet wra enie, e Spiderman będzie grał na trzeciej bazie w dru ynie Atlanta Braves.

—

Mogę sam zjeść pięćdziesiąt kawałków - oznajmił Lukę, gdy na stole pojawiła się du a pizza. - A

zaraz potem wsunąć pięć dużych kubelków popcornu.

—

Wtedy na pewno byś się porzygał!

Stella uznała za stosowne poinformować Gavina, że przy jedzeniu nie należy rozmawiać o takich rzeczach, ale Logan popsuł jej szyki.

—

Lepiej się wyrzygać tu po zjedzeniu pizzy, bo wtedy ma się w brzuchu więcej miejsca na kukurydzę.

Mądrość tego stwierdzenia wprawiła chłopców w szczerzy zachwyt.

—

Ej! - Lukę przybrał nagle wojowniczą minę. - Gavin ma na swoim kawałku więcej pepperoni. Ja mam tylko dwa plasterki, a on a trzy.

Gavin już zaczął pogardliwie wykrzywiać usta i mruczyć oczy, gdy Logan włączył się do akcji.

—

Rzeczywiście. To niesprawiedliwe. Ale zaraz temu zaradzimy. - Pochwyił

plasterek kiełbasy z kawałka Gavina i wrzucił sobie do ust. - Teraz macie po równo.

To wywołało ogólną wesołość. Chłopcy łakomie pochłonęli pizzę, narobili dookoła mnóstwo bałaganu i zanim w końcu dotarli do kina, byli już tak roz-brykani, że Stella zaczęła się niepokoić.

—

Pamiętajcie, że macie być cicho w czasie filmu - upomniała całą trójkę ostrym głosem.

—

Postaram się - odparł Logan powąnym głosem. - Ale czasami po prostu nie mogę się powstrzymać od gadania.

Chłopcy znowu zaczęli chichotać i uspokoili się dopiero wtedy, gdy dostali po dużym kubelku popcornu.

Stella wiedziała, że niektórzy mężczyźni starają się na siłę przypodobać dzieciom, aby w ten sposób zdobyć serce ich matki. Ale wiedziała, że są i tacy, którzy z radością bawią się z dziećmi, bo są one dla nich interesującą nowością.

Logan był bardzo swobodny w kontakcie z chłopcami i wyraźnie nie przeszkadzało mu, że musi

oglądać film w towarzystwie dwóch gadających małpek.

W połowie filmu, zgodnie z przewidywaniami, Lukę zaczął się niespokojnie kręcić. Dwie szklanki coli i jeden mały pęcherz - trzeba było temu jak najszybciej zaradzić. Ale Lukę nigdy nie chciał wyjść w czasie filmu, by nie ominęła go adna wa na scena, Stellę czekała więc dłu sza przeprawa.

Ju się nachylała, by rozpocząć dyskusję, gdy niespodziewanie uprzedził ją Logan. Nie usłyszała, co szepnął Luke'owi do ucha, ale chłopiec zachichotał i podniósł się bez najmniejszego sprzeciwu.

—

Zaraz wracamy - oznajmił Logan cicho i wyprowadził Luke'a za rękę z sali.

O, rany. Ten mę czyzna z własnej, nieprzymuszonej woli zabrał jej synka do toalety! Poczowała, jak napływają jej do oczu łzy. Nie mogła go za to nie pokochać.

Dwóch bardzo szczęśliwych chłopców wdrapało się na tylne siedzenie samochodu Logana. Gdy tylko Stella zapięła im pasy, zaczęli podskakiwać i ywo rozprawiać o co ciekawszych fragmentach filmu.

—

Chłopaki... - Logan oparł się ramieniem o kierownicę i odwrócił w ich stronę

- ...przygotujcie się na to, e za chwilę pocałuję waszą mamę.

—

A dlaczego chcesz ją pocałować? - zainteresował się Lukę.

—

Bo, jak zapewne sami zauwa yliście, jest ładna i miła.

Pochylił się w jej stronę z rozbawieniem w oczach, a gdy podstawiała mu policzek, delikatnie obrócił jej głowę i miękko pocałował w usta.

—

Ty nie jesteś ładny - zauwa ył Lukę. - Dlaczego więc ona ciebie pocałowała?

—

Dlatego, synu, e ze mnie niezły kawał faceta.

Mrugnął łobuzersko we wsteczne lusterko i wówczas spostrzegł, e Gavin przygląda mu się w pełnym powagi zamyśleniu.

Kiedy dojechali do domu, Lukę był ju bardzo śpiący.

—

Zaniosę go na górę - zaproponował Logan.

—

Nie, ja to zrobię. - Stella pochyliła się, by odpiąć pas synka. - Nie jestem pewna, czy powinieneś znowu pokazywać się na górze.

—

Ona musi się do tego przyzwyczaić. - Odsunął Stellę i wziął Luke'a w ramiona. - Chodź, królu pizzy, zabieram cię do łó ka.

—

Nie jestem wcale zmęczony.

—

Jasne.

Rozespany chłopiec poło ył głowę na ramieniu Logana.

—

Pachniesz inaczej ni mama. I masz twardszą skórę.

—

Co ty powiesz?

Roz usłyszała ich kroki i wyszła do holu.

—

Widzę, e wszyscy świetnie się bawili. Loganie, Stello, jak ju poło ycie chłopców, przyjdźcie do biblioteki na drinka. Chciałabym z wami porozmawiać.

—

Oczywiście.

—

Wezmę go od ciebie. - Stella wyciągnęła ręce, ale Logan ju zaczął wchodzić po schodach.

—
Otworzę tymczasem butelkę wina - powiedziała Roz. - Dobranoc, skarbie -
rzuciła do Gavina.

Kiedy Stella dogoniła Logana, zdejmował właśnie Luke'owi trampki z nóg.

—
Ja to zrobię - powiedziała szybko. - A ty idź i dotrzyмай towarzystwa Roz.

Logan dalej zajmował się chłopcem, zastanawiając się przy tym, czy nerwowy ton Stelli wynika ze strachu przed duchem, czy te ma coś wspólnego z jego zachowaniem. Zerknął w jej stronę, ale w tym momencie jego uwagę przyciągnął stojący obok matki Gavin, nienaturalnie spokojny i milczący.

—
Dobrze, zapakuj do łódki Luke'a. Bo zdaje się, że ja i Gavin mamy ze sobą do pogadania, prawda?

Chłopiec wzruszył ramionami.

—
Może.

—
On też musi iść spać.

—
To nie potrwa długo. Zapraszam do mojego biura - zwrócił się do Gavina, wskazując na łazienkę.

—
Loganie... - zaczęła Stella ostrzegawczym tonem.

—
Wybacz. To męska rozmowa - oznajmił, zamykając jej drzwi przed nosem.

Przysiadł na brzegu wanny i uważnie nie spojrzał na chłopca. Uznał, że i dla niego, i dla Gavina będzie lepiej, jeżeli rozmówią się w cztery oczy.

—
Czy nie podobało ci się, że pocałowałem twoją mamę?

—
Nie wiem. Mo e. Kiedyś, jak byłem młodszy, widziałem, jak całowała jednego pana. Poszła z nim na kolację czy coś takiego, a my zostaliśmy z opiekunką. Kiedy się obudziłem, zobaczyłem, e on ją całuje. Ja go nie lu-biłem, bo bez przerwy się do nas uśmiechał. - Gavin groteskowo rozciągnął usta, by to zademonstrować.

—
W takim razie ja te go nie lubię.

—
Czy całujesz wszystkie dziewczyny, które są ładne?

—
No, có ... w swoim yciu nacałowałem się trochę dziewczyn. Ale twoja mama jest wyjątkowa.

—
Dlaczego?

—
Ten chłopiec wymagał jasnych, szczerych odpowiedzi, zdecydował Logan. A więc postara się ich udzielić.

—
Bo na jej widok coś szczególnego dzieje się z moim sercem. Dziewczyny wywołują w nas ró ne dziwne reakcje, ale gdy chwytają cię za serce, to znaczy, e są wyjątkowe.

—
Gavin zerknął w stronę drzwi, a potem znowu spojrział na Logana.

—
- Mój tata często ją całował. Dobrze to pamiętam. H

—
I powinieneś pamiętać.

—
Ku własnemu zdumieniu poczuł, e ma ochotę pogłaskać chłopca po głowie.

—
Uznał jednak, e nie byłby to najlepszy moment.

—
W tym domu mieszkał niejeden duch i Logan miał tego pełną świadomość.

—
Twój tata na pewno bardzo ją kochał. Ona te go gorąco kochała. Wiem, bo mi o tym sama powiedziała.

—
Tatusz nie może do nas wrócić. Myślałem, że może to zrobić, choć mama upierała się, że nie. A gdy zaczęła przychodzić do nas ta pani, co śpiewa, my-

ślałem, że i tata kiedyś przyjdzie. Jednak się nie pokazał.

Zapewne nie ma dla dziecka większej tragedii niż utrata któregoś z rodziców.

On przecie był już starym koniem, a nie mógł sobie wyobrazić śmierci mamy lub ojca.

—
Nie pokazał się, ale na pewno nad wami czuwa. Wierzę, że gdy odchodzą od nas ludzie, którzy nas kochali, to nadal się nami opiekują. Wasz tata zawsze będzie się wami opiekował.

—
W takim razie musiał widzieć, że całujesz mamę, bo nią te się opiekuje.

—
Myślę, że widział - zgodził się Logan. - Sądzę jednak, że nie jest z tego powodu zagniewany czy zasmucony, bo wie, że bardzo chce, aby była szczęśliwa. Może jak się lepiej poznamy, tobie te nie będzie przeszkadzać, że całuję twoją mamę.

—
Czy z sercem mamy te dzieje się coś dziwnego, kiedy na ciebie patrzy?

—
Mam taką głęboką nadzieję, bo byłoby mi ciężko, gdyby się okazało, że to uczucie jest jednostronne. Słuchaj, Gavinie, nie wiem, czy umiem ci to dobrze wytłumaczyć. Jeszcze nigdy tego nie robiłem ani nawet się nad tym nie zastanawiałem. Chcę jednak, abyś coś wiedział. Jeśli wszyscy zdecydujemy, że razem, we czwórkę, bylibyśmy szczęśliwi, twój tata będzie nadal twoim tatą. Zawsze. Ja to rozumiem i szanuję.

—
Okay. - Chłopiec uśmiechnął się i uściśnął wyciągniętą dłoń Logana. -W

ka dym razie lubię cię o wiele bardziej niż tamtego pana.

—

Dobrze wiedzieć.

Kiedy wyszli z łazienki, Lukę już spał otulony prześcieradłem. Stella posłała Loganowi pytające spojrzenie, on jednak tylko uniósł brwi, a potem odsunął się na bok, aby mogła położyć Gavina do łóżka.

Chwilę później wyszli do holu i Logan z rozmysłem chwycił ją za rękę.

—

Jeśli chcesz wiedzieć, to go zapytaj - uprzedził jej wszelkie pytania. - To jego sprawa.

—

Nie chcę tylko, aby był nieszczęśliwy.

—

Czy kiedy go kładłaś, wyglądał na nieszczęśliwego?

—

Nie... raczej nie.

Ledwo stanęli u szczytu schodów, owiał ich lodowaty podmuch. Logan odruchowo otoczył Stellę ramieniem i przycisnął mocno do siebie. Fala chłodu przemknęła gwałtownie obok nich i nie minęło kilka sekund, a usłyszeli cichy śpiew.

—

Złości się tylko na nas - szepnęła Stella, gdy Logan wykonał taki ruch, jakby miał zamiar wrócić do pokoju chłopców. - Dzieciom nigdy nie zrobiłaby krzywdy. Zostawmy ją w spokoju. Mam na dole monitor głosu, usłyszę, gdyby mnie potrzebowali.

—

Jak ty tu możesz spać?

—

O, dziwnie, nie mam z tym żadnych problemów. Z początku, oczywiście, nie wierzyłam w jej istnienie, więc nie mogłam spędzać mi snu z powiek. Teraz natomiast wiem, że kocha chłopców i nad nimi czuwa. Tej nocy, kiedy nocowali u dziadków, przysłała do mojej sypialni i płakała. Bardzo było mi jej żal.

—
Rozmawiacie o naszej zjawie? - spytała Roz, gdy weszli do biblioteki. - To dobrze, bo i ja chcę o niej pogadać. - Podała im kieliszki napełnione winem.

Gdy Stella włączyła głośnik aparatu ustawionego w pokoju chłopców, Roz zamyśliła się na chwilę. - Dziwnie się czuję, słysząc znów ten śpiew po tak wielu latach.

—
Mnie natomiast przyprawia on o dreszcze - przyznał Logan, wpatrując się w urządzenie.

—
Przywykniesz do tego - zapewniła Stella. - A gdzie Hayley?

—
Była zmęczona... trochę rozklejona i rozdrganiona - odrzekła Roz. - Poszła na górę z wielką szklanką bezkofeinowej coli i zapowiedziała, że poczyta przed snem. Już z nią przedyskutowałam, co trzeba, więc może spokojnie usiąść.

Wskazała Stelli jeden z foteli stojących przy niskim stoliku, na którym znajdował się duży talerz z winogronami, i drugi z cienkimi krakersami i serem brie.

Sama też rozsiadła się wygodnie, po czym skubnęła zielone grono.

—
Postanowiłam zadziałać nieco energiczniej w sprawie naszej tajemniczej rezydentki.

—
Chcesz odprawić egzorcyzmy? - spytał Logan, zerkając w stronę głośnika, z którego płynął cichy śpiew.

—
Nie aż tak energicznie. Chcemy poznać jej historię i dowiedzieć się, co łączy ją z tym domem. Ale nie posuwamy się zbyt szybko do przodu, głównie dlatego, że nie umiemy właściwie się do tego zabrać.

—
Nie możemy poświęcić tej sprawie zbyt wiele czasu - zauważyła Stella.

—
Co dodatkowo przemawia za zaangażowaniem kogoś do pomocy. Pochłania nas praca, a do tego

jestemy amatorami. Powinniśmy więc zwrócić się do osoby, która zna się na rzeczy i ma czas na odpowiednie poszukiwania.

—

Koniec koncertu na dziś - oznajmił Logan, gdy cichy śpiew umilkł.

—

Niekiedy Oblubienica przychodzi do chłopców kilka razy w ciągu nocy. -

Stella podsunęła mu talerzyk z krakersami. - Czy znasz kogoś, kto podjąłby się tego zadania, Roz?

—

Jeszcze nie wiem, czy by się podjął. Na razie popytałam tu i ówdzie o fachowca zajmującego się odtwarzaniem rodzinnych dziejów. Polecono mi pewnego naukowca z Memphis, doktora Mitchella Carnegie. Swego czasu był wykładowcą na uniwersytecie w Charlotte, przeniósł się tu parę lat temu.

Od czasu do czasu wygłasza gościnnie jakiś wykład na uniwersytecie w Memphis, ale głównie poświęcił się pisaniu książek. Przede wszystkim biografii.

—

To rzeczywiście może być odpowiedni człowiek - stwierdziła Stella, rozsmarowując odrobinę brie na krakersie. - Profesjonalista na pewno osiągnie lepsze rezultaty od nas.

—

Nie wiadomo - wtrącił Logan. - To zależy od tego, jaki ma stosunek do duchów.

—

Zamierzam umówić się z nim w najbliższym czasie - oznajmiła Roz, unosząc kieliszek do ust. - Wkrótce więc się dowiemy, co sądzi o tej sprawie.

Chocia Harper miał wra enie, e ryzykuje ycie, postanowił pilnie wypełnić instrukcje. Odszukał więc Hayley w centrum. Siedziała za ladą, na wysokim stołku, otoczona doniczkami z barwnymi kwiatami. Miała na sobie... koszulę?

tunikę?... jakkolwiek się to nazywało, w kolorze ostrej czerwieni, a w uszach du e, srebrne koła, które wynurzały się spod włosów, ilekroć poruszyła głowę.

Wysoki kontuar zasłaniał jej brzuch, tak więc wcale nie wyglądała na kobietę w ciąży. Jedyne w jej oczach widać było lekkie zmęczenie. No i jej twarz wydawała się lekko obrzmiała - mo e z braku snu, a mo e dlatego, e Hayley przybrała na wadze. Tak czy owak, Harper uznał, e nie jest to odpowiedni temat do rozmowy. Prawdę mówiąc, od jakiegoś czasu Hayley reagowała złością na ka de wypowiedane przez niego słowo.

Nie spodziewał się więc, e tym razem będzie inaczej. Obiecał jednak, e dla sprawy da się nawet ukrzy ować.

Począł, a dziewczyna załatwi klientów, zebrał się na odwagę i podszedł do lady.

—

Cześć.

Spojrzenie, jakim go obrzuciła, nie zachęcało specjalnie do dalszej rozmowy.

—

Cześć. Co cię wyciągnęło z twojej jaskini?

—

Skończyłem na dzisiaj. A przed chwilą zadzwoniła do mnie mama i poprosiła, ebym cię po pracy przywiózł do domu.

—

Có , ja jeszcze nie skończyłam - rzuciła wojowniczo. - Po centrum wciąż kręci się parę osób, poza tym do moich sobotnich obowiązków nale y zamknięcie sklepu.

Harper zauwa ył w duchu, e nie takiego tonu u ywała, gdy zwracała się do klientów. Zaczynał powoli podejrzewać, e ten jest zarezerwowany tylko dla niego.

—

Tak, ale Roz powiedziała, e pilnie potrzebuje cię w domu. Larry i Bill mają obsłu yć maruderów i wszystko pozamykać.

—

O co jej mo e chodzić? I właściwie dlaczego nie zadzwoniła bezpośrednio do mnie?

—

Nie mam pojęcia. Jestem tylko posłańcem. - Wolał się nie zastanawiać, jak niekiedy kończą posłańcy. - Uprzedziłem ju o wszystkim Larry'ego. Mo-emy więc jechać.

Hayley powoli zaczęła się zsuwać ze stołka. Harpera a świerzbiły ręce, eby jej pomóc, ale doszedł do wniosku, e gdyby spróbował, natychmiast odrąbałaby mu dłonie.

—

Mogę iść do domu na piechotę - oświadczyła.

—

Jezu, daj spokój. - Wcisnął ręce do kieszeni i posłał jej gniewne spojrzenie. -

Czemu stawiasz mnie w trudnej sytuacji? Je eli pozwoliłbym ci wrócić pieszo, mama urwałaby mi głowę. A jak ju skończyłaby ze mną, ty te dostałabyś za swoje. Więc po prostu się zbierajmy.

—

Och, niech ci będzie.

Nie miała pojęcia, czemu jest tak zbuntowana i zła. Czemu czuje się tak strasznie zmęczona i obolała. Pomimo zapewnień lekarza, e wszystko przebiega jak najbardziej prawidłowo, bała się, e coś będzie nie tak - z nią albo z maleństwem.

Dziecko urodzi się chore lub zdeformowane, tylko dlatego e ona...

Właściwie nie wiedziała dlaczego. Cokolwiek jednak się wydarzy złego, będzie to jej wina.

Chwyciła torebkę i wypadła na zewnątrz.

—

Do końca mojej pracy zostało zaledwie pół godziny - rzuciła gderliwie, walcząc z drzwiami niskiego, sportowego samochodu. - Jaka sprawa mo e być tak pilna, e nie mo na poczekać trochę ponad trzydzieści minut?

—

Nie wiem.

—

Chyba nie skontaktowała się jeszcze z tym facetem od badania dziejów rodziny?

Harper usiadł za kierownicą i ruszył z miejsca. -Nie.

—

Ty jakoś nie wydajesz się zainteresowany tą sprawą. Dlaczego nie przychodzisz na nasze spotkania w sprawie Oblubienicy?

—

Na pewno przyjdę, jeśli tylko będę miał coś ciekawego do powiedzenia. Od Hayley dolatywał bardzo seksowny zapach, co wprawiło go w rozdrażnienie.

Na szczęście przejazdka była krótka.

Wjechał szybko na podjazd i ostro zakręcił przed domem.

—

Jeżdżąc równie szybko taką szpanerską zabawką, wprost prosisz się o mandat.

—

To nie jest żadna szpanerska zabawka, tylko doskonale skonstruowany, bezpieczny samochód sportowy. I wcale nie jechałem bardzo szybko. Co, do cholery, jest we mnie takiego, e nieustannie się mnie czepiasz?

—

Wcale się ciebie nie czepiam, zrobiłam jedynie drobną uwagę. Dobrze chociaż, e nie zdecydowałeś się na czerwony kolor. - Otworzyła drzwi i zdołała wystawić nogi na zewnątrz. - Większość facetów chce, eby takie auto rzucało się w oczy równie ostrą barwą. Podejrzewam, e mandaty nie wysypują się jeszcze z tego schowka tylko dlatego, e twój samochód jest czarny.

—

Od dwóch lat nie dostałem adnego mandatu za przekroczenie prędkości.

Hayley tylko prychnęła kpiąco.

—

No, dobrze. Od osiemnastu miesięcy, ale...

—
Czy mo esz na pięć sekund zaprzestać tej sprzeczki i pomóc mi wydostać się z twojego cholernego auta? Nie mogę się podnieść.

Niczym sprinter ruszył w stronę jej drzwi. Nie bardzo wiedział, jak ma sobie poradzić z tym zadaniem. Z początku chwycił ją za ręce i próbował wyciągnąć na zewnątrz, szybko jednak się przestraszył, e w ten sposób mo e... coś uszkodzić.

Pochylił się więc, chwycił ją pod pachy i uniósł ostro nie.

W tym momencie poczuł ruchy tego czegoś, co znajdowało się w jej brzuchu.

To było... fantastyczne.

Hayley szybko od niego odskoczyła.

—
Dzięki - rzuciła.

Czuła się strasznie upokorzona, e nie mogła ju zapanować nad swoim ciałem na tyle, by samodzielnie wydostać się z tego głupiego auta. Choć, oczywiście, gdyby Harper nie wcisnął jej do swojej idiotycznej zabawki, nigdy nie musiałaby prze ywać takiego wstydu. To wszystko jego wina.

Teraz marzyła jedynie o zjedzeniu półkilogramowego opakowania lodów waniliowych i posiedzeniu w chłodnej kąpieli. Najchętniej ju do końca ycia.

Gwałtownie otworzyła drzwi wejściowe i energicznie wkroczyła do środka.

—
Niespodzianka!

Ten okrzyk sprawił, e serce podjechało jej do gardła, a płatający ostatnio figle pęcherz o mało nie zawiódł.

W salonie z sufitu zwieszały się girlandy z ró owej i niebieskiej bibułki, a w kątach tańczyły pękate białe balony. Na wysokim stole piętrzyły się pięknie opakowane pudełka z artystycznie zawiązanymi kokardami na wierzchu. W

pokoju roiło się od kobiet. Była Stella, Roz, wszystkie dziewczyny pracujące w centrum, a nawet kilka stałych klientek.

—
Czemu masz taką przera oną minę, skarbie? - Roz podeszła do Hayley i objęła ją ramieniem. - Chyba

nie sądziłaś, e pozwolimy ci urodzić dziecko, nie obdarowawszy cię wcześniej wyprawką.

—

Wyprawka... - Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie, a jednocześnie po jej policzkach zaczęły płynąć łzy.

—

Chodź i siadaj na reprezentacyjnym miejscu. Zanim przejdziemy do konkretów, mo esz wypić kieliszek magicznego szampańskiego ponczu zro-bionego przez Davida.

—

To jest... - Podeszła do ustawionego na środku fotela, przystrojonego tiulem i balonami. - Nie mam pojęcia, co powiedzieć.

—

W takim razie usiądę obok ciebie, by dodać ci otuchy, kochanie. Mam na imię Jolene, jestem macochą Stelli. - Nieznajoma starsza kobieta poklepała Hayley po dłoni, a potem pogłaskała po brzuchu. - I straszną gadułą.

—

Proszę bardzo. - Stella podała przyjaciółce kieliszek ponczu.

—

Dziękuję. Bardzo wam dziękuję. To najmiłsza rzecz, jaką ktokolwiek, kiedykolwiek dla mnie zrobił.

—

Wypłacz się spokojnie, skarbie. - Jolene podała dziewczynie obszytą koronką chusteczkę. - A potem zaczniemy się pysznie bawić.

I rzeczywiście, zabawa była doskonałą. W pokoju bez przerwy rozlegały się głośnie ochy i achy, gdy Hayley wyciągała z pudełek maleńkie, cudne ubranka, mięciutkie jak puch kołderki, ręcznie dziergane buciki i całe stada pluszowych zwierzątek. Potem wszyscy zajadali się tortem, a na koniec odbyły się róż ne śmieszne gry i zabawy.

Po raz pierwszy od wielu dni Hayley wreszcie się odprę yła.

—

Jeszcze nigdy tak dobrze się nie bawiłam. - Rozentuzjasmowana, wpatrywała się w górę prezentów, które Stella ponownie poukładała na stole. - Wiem, e to było przyjęcie przede wszystkim dla mnie,

ale inne panie chyba te nie uznają tego czasu za stracony, jak sądzicie?

—

artujesz? - Stella siedziała na podłodze i starannie składała ozdobny papier, w który były pozawijane pudełka. -To świetne przyjęcie!

—

Czy zamierzasz poskładać te wszystkie papiery? - spytała Roz.

—

Pewnego dnia Hayley będzie się cieszyć, e je zachowała. A składam jedynie te, których nie podarła na strzępy.

—

Przykro mi, ale nie mogłam się powstrzymać. Byłam taka podniecona.

Muszę zapamiętać, co od kogo dostałam, eby powysłać kartki z podziękowaniami.

—

Podczas gdy ty dobierałaś się do prezentów, zrobiłam odpowiednią listę.

—

To oczywiste, e zrobiłaś listę, skarbie. - Roz naląła sobie kolejny kieliszek ponczu, rozsiadła się w fotelu i wyciągnęła przed siebie nogi. - Bo e, jestem skonana.

—

Musiałyście się bardzo napracować, eby przygotować tę wspaniałą niespodziankę. - Hayley poczuła ogromne wzruszenie. - Wszyscy są tacy... O, rany, ju zapomniałam, e ludzie potrafią być równie dobrzy. Tylko popatrzcie na te wszystkie cuda. Na przykład na tę ółtą sukieneczkę w misie! I na huśtawkę dla maleństwa! Stello, nie wiem, jak ci za nią dziękować.

—

Ja swego czasu zginęłabym marnie bez huśtawki.

—

Jak to uroczo z waszej strony, e zorganizowałyście dla mnie to przyjęcie.

Nawet sobie nie wyobra acie, jaka wam jestem wdzięczna.

—
Zapewne nie masz wątpliwości, kto to wszystko zorganizował. - Roz kiwnęła głową w stronę Stelli.
- Tak nami wszystkimi dyrygowała, e David zaczął ją nazywać generałem Rothchildem.

—
Muszę podziękować Davidowi za przepyszne desery. Wprost nie mogę uwierzyć, e zjadłam a dwa kawałki tortu. Mam wra enie, e zaraz pęknę.

—
Jeszcze przez chwilę nie pękaj, bo to nie koniec imprezy. ebym ja mogła ci dać prezent, musimy iść na górę.

—
Ale przecie ju samo przyjęcie...

—
To był wysiłek zbiorowy - odparła Roz. - Mam nadzieję, e spodoba ci się niespodzianka czekająca na ciebie na piętrze.

—
Nakrzyczałam na Harpera - wyznała Hayley, gdy wszystkie trzy ruszyły na górę po schodach.

—
Nie ty pierwsza i nie ostatnia.

—
Ale teraz bardzo tego ałuję. On wam pomagał, a ja urządziłam mu istne piekło. Powiedział, e bez przerwy się go czepiam, i miał świętą rację.

- Przy najbli szej okazji go za to przeprosisz. - Roz skierowała się w stronę zachodniego skrzydła, minęła pokój Stelli, a potem sypialnię Hayley. -Proszę, skarbie, to dla ciebie - powiedziała, otwierając następne drzwi.

—
O Bo e! O mój Bo e! - Dziewczyna przycisnęła dłonie do ust i z niedowierzaniem zaczęła rozglądać się wokół.

Ściany pokoju pomalowano na jasno ółty, ciepły kolor, a w oknach zawie-szono koronkowe firanki.

Piękna kołyska z ciemnego drewna o czerwonym połysku bez wątpienia była antykiem. Obok stał le aczek, o którym Hayley marzyła od dłu szego czasu, a na który sama nigdy nie mogłaby sobie pozwolić.

Kołyskę, komodę i fotel bujany jedynie ci wypo yczam, bo są w naszej rodzinie od prawie dziewięćdziesięciu lat. Ale cała reszta nale y do ciebie. Ten stolik do przewijania, pościel i ręczniki. Stella wybrała dla ciebie dywanik i lampę. Natomiast Harper z Davidem odmalowali pokój i znieśli meble ze strychu.

Hayley nie wiedziała, co powiedzieć, więc tylko potrząsała z niedowierzaniem głową.

Kiedy przyniesiemy tu wszystkie dzisiejsze prezenty, będziesz miała piękny pokój dziecinny - odezwała się Stella, delikatnie głaszcząc ją po plecach.

Jestem zachwycona. Nigdy nawet nie śmiałam marzyć, e spotka mnie tyle dobroci. Tak bardzo... tak bardzo brakuje mi taty. Im bli ej do porodu, tym bardziej tęsknię za ojcem. Od dawna jestem smutna i przera ona, i niemiłosiernie się nad sobą rozczulam. A dzisiaj nagle taka niespodzianka. I nie chodzi mi wcale o prezenty, choć wszystko jest śliczne i bardzo mi się podoba, tylko o to, jak wiele serca okazałyście i mnie, i mojemu dziecku.

Nie jesteś sama na świecie, Hayley. - Roz poło yła dłoń na brzuchu dziewczyny. - Ani ty, ani twoje maleństwo.

Wiem. Teraz ju wiem. Zapewne poradzilibyśmy sobie tylko we dwoje.

Cię ko pracowałam, by zapewnić sobie i dziecku pewne bezpieczeństwo.

Nigdy jednak nie przypuszczałam, e ktoś tak się o nas zatroszczy. Jestem głupia.

Nie. Po prostu jesteś w cią y - odrzekła Stella.

To zapewne wiele wyjaśnia. - Hayley zaśmiała się poprzez łzy. -Ale ju niedługo będę mogła korzystać z tej wymówki. I nigdy, przenigdy nie zdołam wam się odwdzięczyć za to, co zrobyliście.

Nigdy.

—

Myślę, e jeśli twoje dziecko będzie nosić po nas imiona, uznamy rachunki za wyrównane - rzuciła Roz nonszalanckim tonem. - Szczególnie jeśli urodzisz chłopca. Rosalind Stella... trochę mu będzie cię ko na początku w szkole, ale nie widzę innego wyjścia.

—

Ej e, a czemu nie Stella Rosalind? Roz spojrzała znacząco na Stellę.

—

To jeden z tych nielicznych wypadków, kiedy starszeństwo popłaca.

W nocy Hayley na palcach przeszła do pokoju dziecinnego. Tylko po to, eby podotykać wszystkich pięknych rzeczy i z rękami splecionymi na brzuchu usiąść na fotelu.

—

Przepraszam, kochanie, e byłam ostatnio taka nieznośna - zaczęła szeptać. -

Ju czuję się du o lepiej, bo wiem, e nie zginiemy. Czuwają nad tobą dwie dobre wró ki. Najwspanialsze kobiety, jakie spotkałam w yciu. Mo e nie zdołam im się odwdzińczyć za to wszystko, co dla nas zrobiły, ale przysięgam, e nie ma rzeczy, której bym nie zrobiła na prośbę jednej lub drugiej. Czuję się taka bezpieczna w tym domu. Przykro mi, e się ciebie ba-

łam, moje maleństwo. e tak bardzo się zamartwiałam.

Zamknęła oczy i zaczęła się lekko bujać.

—

Tak chciałabym ju trzymać cię w ramionach. Ubierać w te wszystkie prześliczne ciuszki, wdychać twój zapach i kołysać się z tobą na tym fotelu.

W pokoju nagle zapanował chłód i Hayley poczuła gęsią skórkę na ramionach. Nie ogarnął jej jednak strach, ale wielkie współczucie. Otworzyła oczy i spojrzała na kobietę stojącą przy kołysce.

Tego wieczoru miała na sobie, długą białą koszulę nocną, ubłoconą na dole.

Rozpuszczone włosy spływały jej na plecy złocistymi splątanymi pasmami.

Patrzyła te jakoś inaczej ni zwykle - w tym spojrzeniu był cień obłędu.

—

Ty nie miałaś nikogo, prawda?

Ręce Hayley lekko drżały, cały czas jednak gładziła się po brzuchu, patrzyła na zjawę i nie przestawała mówić.

—

Nikt ci nie pomógł, kiedy ogarnął cię strach. Gdybym była pozostawiona sama sobie, pewnie te postradałabym zmysły. I a się boję myśleć, co wówczas stałoby się z moim dzieckiem. Na pewno bym nie przeżyła, gdyby ktoś mi je zabrał. Dlatego myślę, e trochę cię rozumiem.

W tym momencie Hayley usłyszała cichy jęk. Chwilę później została sama w pokoju.

W poniedziałek Hayley znów siedziała na swoim stołku za ladą. Kiedy poczuła łupanie w krzyżu, zupełnie je zlekceważyła. Dopiero gdy musiała poczłapać do łazienki, poprosiła jedną z dziewczyn o zastępstwo.

Od samego rana miała wrazenie, e jej pęcherz skurczył się do rozmiarów ziarnka grochu.

Po wyjściu z toalety nie skierowała się w stronę lady, tylko ruszyła do biura Stelli. Chciała nie tylko rozprostować nogi, ale i załatwić pewną sprawę.

—

Czy mogę ju teraz zrobić sobie przerwę na lunch? - spytała. - Chciałabym znaleźć Harpera i przeprosić go za swoje humory. - Bała się tej rozmowy, jednak nie mogła jej ju dłużej odwlekać. - W niedzielę nigdzie nie udało mi się go znaleźć, ale dziś zapewne siedzi w swojej jaskini.

—

Jasne. Nie ma problemu. Ach, posłuchaj. Wpadłam przed chwilą na Roz i dowiedziałam się, e dzwoniła ju do tego historyka, doktora Carnegie.

Umówiła się z nim na koniec tygodnia, więc mo e sprawa posunie się naprzód... - Stella urwała i spojrzała na Hayley zmrużonymi oczami. - Jutro któraś z nas zawiezie cię na wizytę u lekarza. Teraz ju nie powinnaś sama prowadzić.

—

Jeszcze się mieszczę za kierownicą. Chocia z trudem, dodała w duchu.

—

Tak czy owak, pojedziesz ze inna albo z Roz. Mysie le , e nie powinnaś ju spędzać lak du o czasu w sklepie.

—

Je eli masz zamiar pozbawić mnie pracy, to najlepiej od razu zamknij mnie u czubków. Daj spokój, Stello. Wiele kobiet pracuje a do ostatniej chwili.

Poza tym, niemal przez cały dzień siedzę na tyłku. Cieszę się więc, e aby znaleźć Harpera, będę musiała trochę się przespacerować.

—

A więc się przespaceruj - zgodziła się łaskawie Stella. - Tylko niczego nie dźwigaj. Absolutnie niczego.

—

Zrzęda, okropna, męcząca zrzęda! - powiedziała Hayley ze śmiechem i ruszyła w stronę cieplarni.

Zatrzymała się przed wejściem. Wcześniej dokładnie sobie obmyśliła, co powie. Wiedziała, e Harper przyjmie jej przeprosiny - ostatecznie otrzymał

bardzo staranne wychowanie, a do tego miał dobre serce. Ale Hayley bardzo zale ało, by zrozumiał, e traktowała go tak niemiło, bo nie panowała nad swoimi emocjami.

Wzięła głęboki oddech i weszła do środka. Uwielbiała panujący tu zapach.

Miała nadzieję, e pewnego dnia Harper lub Roz nauczą ją, jak hodować rośliny.

Harper siedział przy swoim stole, jak zwykle pochylony nad pracą. Miał na głowie słuchawki i wybijał stopą jakiś szybki rytm.

Bo e, ale to przystojny facet, jęknęła Hayley w duchu. Gdyby poznała go w księgarni, zanim jeszcze wszystko w jej yciu uległo zmianie, ju by się postarała, eby go usidlić. Te czarne, gęste włosy, mocno zarysowana szczęka i du e, marzycielskie oczy. No i ręce - ręce artysty o długich, wysmukłych palcach.

Gotowa była się zało yć o du e pieniądze, e Harper wodzi za nos z tuzin kobiet, a następny ich tuzin tylko czeka na podobną szansę.

Ruszyła przed siebie, a on niemal w tym samym momencie odwrócił się w jej stronę.

—

Chryste, Harper! Byłam pewna, e uda mi się ciebie zaskoczyć.

—

Co takiego? Co mówisz? - Zerwał gwałtownie słuchawki z uszu. - Co powiedziałaś?

—

Byłam pewna, e nie usłyszysz moich kroków.

—

Ja... -Wcale jej nie usłyszał. Poczł jej zapach. - Czy jestem ci do czegoś potrzebny?

—

Owszem. Chciałam cię bardzo przeprosić, e w ciągu ostatnich kilku tygodni rzucałam ci się do gardła, gdy tylko otworzyłeś usta. Zachowywałam się jak najwredniejsza jędz.

—

Nie. No, mo e tak. Ale nie ma o czym mówić.

Podeszła bli ej, eby zobaczyć, czym się zajmuje. Dla niej był to jedynie pęk związanych razem łodyg.

—

Byłam nieustannie rozdra niona. Bałam się, jak sobie poradzę, jak się wszystko potoczy. Nie mogłam pojąć, czemu jestem taka gruba i brzydka.

—

Nie jesteś gruba. I w adnym razie nie jesteś brzydka.

—

To bardzo miło z twojej strony, ale cię a nie przytępiła mojego wzroku.

Dobrze wiem, na co patrzę w lustrze ka dego ranka.

—

W takim razie na pewno wiesz, jaka jesteś piękna. Spojrzała na niego rozbawiona.

—

Muszę przedstawiać sobą obraz nędzy i rozpaczy, jeśli czujesz się w obowiązku flirtować z cię arną kobietą cierpiącą na napady złego humoru.

—

Ja wcale nie... ale skąd... W ka dym razie najwa niejsze, e ju się czujesz lepiej.

—

Du o lepiej. W końcu zrozumiałam, e za bardzo się nad sobą u alam. Kiedy twoja mama i Stella

zorganizowały dla mnie to wyprawkowe przyjęcie, w pierwszym odruchu się poryczałam. Ale potem doskonale się wszystkie bawiłyśmy. Czy kiedykolwiek poznałeś macochę Stelli?

—

Nie.

—

To niesamowita kobieta. Umiałyby rozbawić najgorszego ponuraka. Tak pękałam ze śmiechu, e o mało nie wypchnęłam z siebie dziecka. Natomiast pani Haggerty...

—

Pani Haggerty? Nasza pani Haggerty była na tym przyjęciu?

—

Nie jedyna spośród klientek. No więc ona wygrała taki śmieszny konkurs, który polegał na tym, by wypisać jak najwięcej tytułów piosenek zawierających słowo „baby”. Nigdy nie zgadniesz, co się znalazło na jej liście.

—

W porządku. Poddaję się z góry.

—

„Baby Got Back”.

—

Nie artuj! Pani Haggerty знаła tytuł rapowej piosenki?

—

Owszem. A potem osobiście ją wykonała.

—

Teraz ju zmyślasz.

—

Słowo honoru. Niemal posusiałam się ze śmiechu. Ale z tego wszystkiego zaczynam zapominać, po co tutaj przysłam. Ty zrobiłeś wszystko, eby po-móc w przygotowaniu dla mnie tej wspaniałej niespodzianki, a ja warczałam i zrzędziłam. Jak słusznie zauwa yłeś, czepiałam się ciebie na ka dym kroku.

I za to bardzo cię przepraszam.

—

Naprawdę nie ma sprawy. ona jednego z moich przyjaciół parę miesięcy temu urodziła dziecko. Przysięgam, e pod koniec ciąży miała długie kły, a nawet kilka razy jej oczy zaświeciły się na czerwono.

Hayley wybuchnęła śmiechem i przycisnęła dłoń do brzucha.

—

Mam nadzieję, e nie dojdę do takiego stadium przed...

Urwała gwałtownie, bo poczuła dziwny skurcz. Nawet go usłyszała - usłyszała ciche „pyk”.

A chwilę później poczuła, e coś cieknie jej po nogach.

Harper wydał z siebie jakiś dziwny, gardłowy dźwięk, po czym zerwał się ze stołka i zaczął coś opowiadać bez ładu i składu, podczas gdy Hayley ze zdumieniem wpatrywała się w kału ę na podłodze.

—

Oo - powiedziała.

—

Hm... nic się nie stało... wszystko w porządku... Mo e powinienem... mo e powinnaś...

—

Och, na Boga jedyne, Harper! Ja się nie posusiałam. Po prostu odeszły mi wody.

—

Wody? Jakie wody? - zamrugał gwałtownie oczami, po czym zbladł jak płótno. Ach, te wody. O, Jezu. O, Ho e. Jasna cholera! Usiądź. Usiądź

natychmiast... a ja tymczasem sprowadzę...

Karetkę pogotowia. Albo lepiej cały oddział piechoty morskiej.

—

...moją matkę.

—

Myślę, e powinnam pójść z tobą. To stało się odrobinę za wcześnie. -

Zmusiła się do uśmiechu, eby nie zacząć wrzeszczeć. - Kilka tygodni. Pewnie dziecku ju się znudziło w brzuchu i chce wrzescie obejrzeć świat. Podaj mi rękę, dobrze? O, rany, Harper, umieram ze strachu.

—

Wszystko będzie dobrze. - Objął ją mocno ramieniem. - Oprzyj się na mnie.

Czy coś cię boli?

—

Nie. Jeszcze nie.

Harper był przeraony i robiło mu się niedobrze. Dzielnie jednak podtrzymywał Hayley, a nawet odwrócił się do niej z radosnym uśmiechem i delikatnie dotknął jej brzucha.

—

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, maleństwo.

—

O, Bo e. - Gdy weszli do centrum, twarz Hayley promieniała. - To jest po prostu wspaniałe.

Stella nie mogła jedynie urodzić dziecka za Hayley. Wszystko inne zdołałaby zrobić. Dziewczyna nie zdążyła spakować szpitalnej torby, ale Stella miała przygotowaną listę potrzebnych rzeczy, więc wioząc Hayley do szpitala, zadzwoniła do Davida i wydała odpowiednie polecenia. Następnie zatelefonowała do lekarza i powiadomiła o fazie porodu, a potem zostawiła wiadomość w poczcie głosowej komórki ojca i na sekretarce jego telefonu domowego z prośbą, by wraz z Jolene zaopiekowali się chłopcami. A jednocześnie przez ten cały czas pomagała Hayley w ćwiczeniach oddechowych, bo zaczęły się ju pierwsze skurcze.

—

Je eli kiedykolwiek będę wychodzić za mąż, kupować dom czy wybierać się na wojnę, mam nadzieję, e zajmiesz się opracowaniem szczegółów.

Stella zerknęła na Hayley, która delikatnie masowała sobie brzuch.

—

Mo esz na mnie liczyć. Wszystko w porządku?

—

Aha. Jestem tylko przerażona i podniecona, i... O, rany, ja rodzę dziecko!

—

Na pewno będzie wspaniałe.

—

Wyczytałam w książkach, że w czasie porodu kobiety wyprawiają różne rzeczy, więc gdybym zaczęła na ciebie wrzeszczeć lub ci wymyślać...

—

Nie przejmuj się. Nie wezmę tego do siebie.

Kiedy Roz dotarła do szpitala, Hayley już leżała w salce porodowej. Wiszący naprzeciw łóżka telewizor był włączony i właśnie leciał jakiś stary odcinek

„Przyjaciół”. Poniżej, na stoliku, stała urocza kompozycja z białych róż.

Niewątpliwie dzieło Stelli.

—

Jak tam radzi sobie nasza przyszła mama?

—

Podobno wszystko przebiega dość szybko. - Zarumieniona Hayley wyciągnęła rękę w stronę Roz. - I wszystko jest w porządku. Skurcze są coraz częstsze, ale nie bardzo bolesne.

—

Nie chciała znieczulenia - poinformowała Stella.

—

Ach, tak. - Roz poklepała dziewczynę po dłoni. - Zawsze jeszcze, kochana, będziesz mogła zmienić zdanie, jeśli dojdiesz do wniosku, że to dla ciebie za wiele.

—

Może to głupie i będę gorzko żałować, ale chciałabym czuć narodziny mojego dziecka. Au! To akurat poczułam.

Stella złapała ją za rękę i poinstruowała, jak oddychać. Gdy skurcze minęły, Hayley zamknęła oczy i właśnie w tym momencie do pokoju wkroczył David.

—
Czy to tu odbywa się przyjęcie? - Postawił neseser, torbę i wazonik pełen ółtych stokrotek, a potem pochylił się nad Hayley i ucałował ją w policzek. -

Chyba nie wykopiesz mnie stąd tylko dlatego, e jestem facetem?

—
Chcesz zostać? - spytała z zachwytem w głosie Hayley. - Naprawdę?

—
A jak myślałaś? - Z kieszeni marynarki wyciągnął niewielki aparat cyfrowy.

- Niniejszym ogłaszam się nadwornym fotografem.

—
Hm... - Hayley przygryzła lekko wargę. - Nie jestem pewna, czy to najlepszy pomysł.

—
Nie martw się, złotko. Nie sfotografuję niczego, co trzeba by cenzurować ze względu na dzieci. A teraz proszę o szeroki uśmiech.

Zarejestrował kilka ujęć, a potem ustawił Stellę i Roz przy łó ku i foto-grafował dalej.

—
Ach, Stello, niemal zapomniałem. Logan odbierze dziś chłopców ze szkoły i weźmie do siebie.

—
Co takiego?!

—
Twoi rodzice są na jakimś turnieju golfowym. Oczywiście chcieli natychmiast wracać do domu, ale powiedziałem, eby sobie nie zawracali gło-wy, bo sam zajmę się chłopcami. Ale potem przyjechał Logan, wpadł na Harpera... on zresztą te zaraz się tu zjawi.

—
Logan? - zdumiała się Hayley. - Logan tu będzie?

Nie, Harper. Logan ma dy ur przy chłopcach. Powiedział, e zabierze ich ze sobą i zagoni do pracy. Mamy się nie przejmować. Prosił te , eby go informować o przebiegu wydarzeń.

—

Nie wiem, czy... - zaczęła Stella, ale urwała, bo zaczęły się kolejne skurcze.

Pilnie pomagała Hayley w oddychaniu, a jednocześnie niepokoiła się o dzieci. Co Logan miał na myśli, mówiąc, e zagoni chłopców do roboty?

I jak sobie poradzi, gdy zaczną się kłócić - co, oczywiście, musi wcześniej czy później nastąpić? Jak zdoła ich przypilnować, jeśli weźmie ich ze sobą do pracy? Mogą utopić się w oczku wodnym, spaść z drzewa lub - na Boga - obciąć sobie nogę lub rękę jakimś ostrym narzędziem!

Kiedy więc przyszedł lekarz, aby sprawdzić stan Hayley, wybiegła z pokoju i zadzwoniła do Logana.

—

Kitridge.

—

Tu Stella. Moi chłopcy...

—

Uhm. Mają się dobrze, są pod moją opieką. Ej e! Gavin, przestań biegać za bratem z tą piłą! - Stella krzyknęła nerwowo, a wówczas w słuchawce rozległ

się głośny śmiech Logami. - Przecie artuje. Kazałem im kopać dół. Są szczęśliwi jak świnki taplające się w błocie i co najmniej tak samo brudni.

Czy mamy ju kolejne dziecko?

—

Nie. W tej chwili przyszedł lekarz. Ale przy poprzednim badaniu stwierdził

rozwarcie na osiem centymetrów.

—

Rozumiem, e to dobra wiadomość.

—

Bardzo dobra. Hayley radzi sobie doskonale - jakby rodziła co najmniej raz na tydzień. Jesteś pewien, e z chłopcami wszystko w porządku?

—
Sama posłuchaj.

Z oddali dobiegły Stellę radosne chichoty i podniesione głosy chłopców wyliczających, co mogliby zakopać w dole. Słonia. Brontozaura. Grubego pana Kelso ze sklepu spo ywczego.

—
Nie powinni nazywać pana Kelso „grubym”.

—
Nie mamy teraz czasu dla kobiet. Zadzwoń, gdy ju się urodzi dziecko.

Rozłączył się i Stella mogła jedynie wpatrywać się gniewnie w głuchy telefon. Odwróciła się gwałtownie i niemal zderzyła z Harperem. A raczej ze snopem czerwonych lilii, które trzymał w obu dłoniach.

—
Harper? Jesteś gdzieś tam?

—
Tak. Czy wszystko w porządku? Co się dzieje? Mo e się spóźniłem?

—
Hayley ma się świetnie, właśnie jest u niej lekarz. I mamy jeszcze mnóstwo czasu.

—
No to dobrze. Przyniosłem lilie, bo to egzotyczne kwiaty, a poza tym ona lubi czerwony kolor. A przynajmniej tak mi się wydaje.

—
Są przepiękne. Chodź, zaprowadzę cię.

—
Mo e nie powinienem do niej wchodzić? Mo e lepiej ty je zanieś.

—
Nie wygłupiaj się. Urządziliśmy tam sobie prawdziwe przyjęcie. Hayley to towarzyska dziewczyna, a im więcej wokół ludzi, tym mniej będzie myślała o bólu. Kiedy wychodziłam, David właśnie

wrzucił do odtwarzacza płytę Red Hot Chili Peppers i włożył do umywalki pełnej lodu butelkę szampana, eby się dobrze schłodził.

Stella wepchnęła go do środka. W pokoju nadal rozbrzmiewała muzyka Red Hot Chili Peppers, David natomiast od razu skierował aparat w stronę drzwi, by uwiecznić Harpera spoglądającego nerwowo zza wielkiego naręczka czerwonych lilii.

—

Och, to najpiękniejsze kwiaty, jakie widziałam w życiu. - Nieco blada, ale rozpromieniona Hayley spróbowała usiąść na łóżku.

Stella pomogła Harperowi ustawić lilię na stole.

—

Będziesz miała na czym się koncentrować w czasie skurczów.

—

Doktor powiedział, że zbliżam się do ostatniej fazy. Już wkrótce będę mogła przeć.

Harper podszedł do łóżka.

—

Dobrze się czujesz? - spytał.

—

Trochę zmęczona. To dość ciężka praca, ale nie taka straszna, jak sądziłam.

O, rany! Stello! - jęknęła i gwałtownie zacisnęła palce na ręce Harpera.

Roz stała w nogach łóżka. Spojrzała na swojego syna, trzymającego dłoń Hayley, zerknęła na jego twarz. Coś gwałtownie zacisnęło się w jej wnętrzu, po czym boleśnie rozkurczyło. Westchnęła głęboko i zaczęła masować stopy dziewczyny.

Ból się wzmagał. Stella obserwowała skurcze na monitorze i ogarniało ją współczucie. Mimowolnie mięśnie jej brzucha zaczęły się zaciskać. Ta dziewczyna jest jak z elaza, pomyślała. Hayley była już bardzo blada, a jej twarz pokrywała cienka warstwa potu. Chwilami tak mocno ścisnęła nadgarstek Stelli, że ta zagryzała wargi.

Minęła godzina, potem druga. Skurcze stały się już bardzo częste, a oddechy Hayley przypominały sapanie lokomotywy. Stella ocierała twarz dziewczyny kostkami lodu, Roz natomiast masowała jej ramiona.

—
Harper! Pomasuj Hayley brzuch! - rozkazała pani generał Rothchild. Spojrzał na nią tak, jakby mu poleciła osobiście odebrać poród.

—
Co takiego?!

—
Delikatnie, okrę nymi ruchami. To jej pomo e. David, ta muzyka...

—
Nie, muzyka niech zostanie - poprosiła Hayley, po czym z całej siły ścisnęła dłoń Stelli. - Zrób głośniej, Davidzie, na wypadek gdybym zaczęła wrzeszczeć. Och, szlag by to trafił! Chcę ju przeć. Chcę wydusić z siebie to dziecko, i to natychmiast!

—
Jeszcze za wcześnie. Skoncentruj się na oddychaniu, Hayley. Jak dotąd idzie ci doskonale. Roz, chyba potrzebujemy lekarza.

—
Te tak pomyślałam - odparła Roz ju z korytarza.

—
Kiedy nadszedł czas, by przeć, i lekarz usiadł pomiędzy nogami Hayley, Stella zauwa yła, e obaj męczyźni lekko pozielenieli.

—
Harper! Stań za nią i podeprzyj jej plecy!

—
Ja... ale ja... - Harper ju wycofywał się w stronę drzwi, matka jednak zastąpiła mu drogę.

—
Musisz zobaczyć cud narodzin - oznajmiła i pchnęła go w stronę łó ka.

—
Idzie ci świetnie. Jesteś niesamowita - zapewniała tymczasem Stella dziewczynę. - A teraz weź głęboki oddech. Policz do dziesięciu i przyj!

—
Wielki Bo e! - David tak głośno przełknął ślinę, e usłyszeli to wszyscy obecni w pokoju. - Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Muszę jak najszybciej zadzwonić do mojej mamy. Do diabła, muszę jej wysłać cię arówkę pełną kwiatów!

—
Jezu! - Harper jęknął w tym samym momencie co Hayley. - Widać główkę.

Dziewczyna zaczęła śmiać się przez łzy.

—
Spójrzcie na te włoski! O, Bo e. O, Jezu. Czy nie możemy teraz wy-ciągnąć całego dziecka?

—
Jeszcze tylko ramionka, skarbie, i będzie po wszystkim. Jedno dodatkowe mocne parcie, dobrze? Posłuchaj, to płacz twojego maleństwa!

Hayley po raz ostatni wytężyła siły i na świat przyszła nowa istota.

—
To dziewczynka - powiedziała cicho Roz, ocierając wilgotne policzki. -Masz prześliczną córeczkę, Hayley.

—
Dziewczynka. Córeczka! - Hayley wyciągnęła ramiona. Kiedy lekarz połozył

jej dziecko na brzuchu, by Roz mogła przeciąć pępowinę, świeżo upieczona matka głaskała maleństwo po całym ciałku. - Ale jesteś piękna. Prześliczna.

Nie, nie zabierajcie jej!

—
Położona musi ją umyć. To potrwa tylko chwilę - uspokoiła ją Stella, po czym pochyliła się i pocałowała Hayley w czubek głowy. - Gratuluję, mamusiu.

—
Tylko jej posłuchajcie! - Hayley jedną ręką chwyciła dłoń Harpera, a drugą dłoń Stelli. - Nawet jej płacz jest piękny.

—

Dwa tysiące dziewięćset dwadzieścia cztery gramy - oznajmiła poło na, niosąc tłumoczek w stronę lóka. - Czterdzieści pięć centymetrów i pełne dziesięć punktów w skali Apgar.

—

Słyszałaś, kochanie? - Hayley przytuliła córeczkę i zaczęła całować ją po buzi. - Swój pierwszy wyciu test zdałaś śpiewająco. O, rany! Słuchajcie, ona na mnie patrzy. Witaj! Witaj, skarbie. Jestem twoją mamą. Tak się cieszę, e wreszcie cię widzę!

—

Proszę wszystkich o szeroki uśmiech! - David przypomniał sobie o swojej roli. - Czy ju zdecydowałaś, jak jej dasz na imię?

—

Będzie miała na pierwsze Lily, bo urodziła się, gdy patrzyłam na lilie i wdychałam ich zapach. Na drugie Rosę - na cześć Rosalind, a na trzecie Star

- na cześć Stelli. A więc panie i panowie, oto Lily Rosę Star.

Stella weszła do domu wyczerpana, ale uszczęśliwiona. Chocia teoretycznie chłopcy powinni ju le eć w łó kach, spodziewała się, e wybiegną na jej powitanie, a tymczasem musiała się zadowolić towarzystwem Parkera. Podniosła psa za łapy i ucałowała w mokry nos.

—

Nigdy nie zgadniesz, co się dziś stało, mój kochany futrzaku! Urodziło nam się kolejne dziecko! Nasza pierwsza dziewczynka!

Odgarnęła włosy z twarzy i nagle poczuła wyrzuty sumienia. Roz wyszła ze szpitala jakiś czas przed nią i pewnie teraz u erała się na górze z chłopcami.

Ruszyła energicznie w stronę schodów, gdy w holu niespodziewanie pojawił się Logan.

—

Wielki dzień.

—

Rzeczywiście - przyznała.

Nie spodziewała się, e go tutaj spotka, i dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, e po kilku godzinach asystowania przy porodzie jej makija spłynął wraz z potem. No i nie czuła się zbyt świe o.

—

Nie wiem, jak ci dziękować, e zająłeś się chłopcami.

—

Nie ma sprawy. Wykopali kilka bardzo przyzwoitych dołków. Obawiam się jednak, e będziesz musiała spalić ich ubrania.

—

Nie szkodzi. Mają jeszcze kilka w zapasie. Czy teraz siedzi przy nich Roz?

—

Nie. Roz urzęduje w kuchni z Davidem, który zabrał się do pichcenia. Oboje wspominali coś o kolacji z szampanem.

—

Znowu szampan? W szpitalu niemal mogliśmy się w nim kąpać. W takim razie lecę na górę skoszarować oddziały.

—

Chłopcy śpią jak zabici. Zasnęli jeszcze przed dziewiątą. Kopanie dołów mo e wykończyć ka dego faceta.

—

Powiedziałeś, e ich odwieziesz, ale nie przypuszczałam, e równie uło ysz do snu.

—

Byli skonani. Wzięliśmy szybki prysznic, a potem wczólgali się do łó ek i odpłynęli w ciągu pięciu sekund.

—

O, rany. Masz u mnie dług wdzięczności.

—

Płać od razu.

Chwycił ją w ramiona i zaczął namiętnie całować. Oderwał się od jej ust dopiero po dłu szej chwili.

—

Zmęczona? - zapytał.

—

Tak. Ale było warto.

Pogładził Stellę po włosach, drugą ręką cały czas przyciskając ją do siebie.

—

A jak nowo narodzona panna i jej mama?

—

Obie mają się świetnie. Hayley jest niesamowita. Trzymała się dzielnie przez całe siedem godzin porodu. Dziecko co prawda urodziło się parę tygodni wcześniej, ale jest w idealnej formie. Gavin, przecie chłopak, był zaledwie kilkadziesiąt gramów cię szy - choć potrzebowałam dwa razy tyle czasu co Hayley, by nakłonić go do przyjścia na świat.

—
Patrząc na Hayley i jej maleństwo, nabrałaś ochoty na następne dziecko?

Stella gwałtownie zbladła.

—
Hm... Cóż ...

—
Widzę, że cię przeraziłem - rzucił rozbawionym tonem i ponownie otoczył ją ramieniem. - A teraz chodźmy zobaczyć, co dziś mamy w menu oprócz szampana.

Nie przeraził jej. Ale faktem jest, że poczuła się nieswojo. Ostatecznie dopiero co zaangażowała się w nowy związek, a ten mąż czyżna już wspominał o dzieciach.

Co prawda mogła to być jedynie niewinna uwaga, całkiem naturalna w zaistniałych okolicznościach. Lub po prostu art.

Niemniej, bez względu na prawdziwe intencje, słowa Logana zmusiły ją do myślenia. Czy rzeczywiście chciałaby mieć więcej dzieci? Po śmierci Kevina odrzuciła taką możliwość. Niewątpliwie fizjologicznie była zdolna do urodzenia kolejnego dziecka. Ale przecie sama fizjologia to nie wszystko.

Miała już dwóch bardzo wywych synów. I wyłącznie na nią spadała odpowiedzialność za ich emocjonalne i materialne bezpieczeństwo. Kolejne dziecko musiałoby oznaczać poważy związek z mąż czyżną niespokrewnionym z chłopcami, a także tworzenie nowych relacji z tym mąż czyżną, takich jak małżeństwo, wspólna przyszłość, dzielenie ze sobą nie tylko tego, co by chciała, ale również budowanie nowych wartości - i podążanie w nowym kierunku.

A przecie przyjechała do Tennessee, bo tu tkwiły jej korzenie - bo szukała oparcia w tradycji. Poza tym chciała być w pobliżu ojca, a przede wszystkim pozwolić chłopcom cieszyć się miłością dziadków.

Jej matka nigdy nie interesowała się Lukiem i Gavinem - prawdopodobnie dlatego, że przerażała ją myśl o byciu babcią. Stella sądziła, że posiadanie wnuków burzyło jej wizerunek kobiety wiecznie młodej i ponętnej.

Jak natomiast zareagowałaby jej matka, gdyby w zasięgu jej wyczułonego radaru pojawił się taki mąż czyżna jak Logan? Bez wątplenia zrobiłaby wszystko, aby go zdobyć.

Ale jeżeli właśnie z tego powodu Stella przeżywała rozterki, to znaczy, że sprawy miały się gorzej, niż przypuszczała. Może to nie był główny powód, ale odgrywał dość istotną rolę. W innym wypadku w ogóle by się nad tym nie zastanawiała.

Prawdę powiedziawszy, nie czuła animozji do adnego ze swoich ojczymów, chocia z adnym nie była związana emocjonalnie. Ile miała lat, gdy matka wyszła drugi raz za mą ? Mniej więcej tyle, co teraz Gavin.

Nowy związek matki oznaczał dla Stelli przede wszystkim zmianę szkoły i przyjaciół. Wyprowadzili się do innego domu w innej dzielnicy. No i przez czas jakiś Carla prze ywała euforię, e wreszcie zdobyła upragniony status mę atki.

A jak długo trwało to mał eństwo? Trzy lata? Cztery? Do tego nale ało jeszcze doły kolejny rok tumultu emocjonalnego - batalii rozwodowej, ratowania szczątków miłości własnej, następnej zmiany szkoły i środowiska.

Potem matka zatrzymała się na etapie „chłopaków". To jednak równie spowodowało komplikacje - rzucanie się na ślepo w wir uczuć i gorzkie roz-stania.

Na szczęście, gdy Carla trzeci raz zdecydowała się wyjść za mą , Stella była ju w college'u. Mo e właśnie dlatego ten związek przetrwał niemal dziesięć lat.

Nie było ju dziecka, siłą rzeczy zmieniającego dynamikę układu. Niemniej w końcu i tak doszło do rozwodu, w którym strony nie oszczędzały się nawzajem -

i to niemal w tym samym czasie, kiedy Stella została wdową.

To był okropny rok pod ka dym względem - a dla Carli zakończył się kolejnym krótkotrwałym, burzliwym mał eństwem.

Dziwne, ale nawet teraz, będąc dorosłą kobietą, Stella nie mogła wybaczyć matce, e przedkładała swoje własne potrzeby nad dobro dziecka.

Na szczęście ona nie postępuje tak w stosunku do własnych synów, zapewniała się w duchu. Nie jest egoistyczna ani bezmyślna. Nie zapomina o dzieciach tylko dlatego, e rodzi się w niej silne uczucie do Logana.

Niemniej wszystko to następowało zbyt szybko. Powinna zwolnić tempo, by lepiej rozeznac się we własnych pragnieniach.

Poza tym nie powinna zapominać, e Logan wcale nie poprosił jej o rękę ani, na Boga, nie twierdził, e chciałby mieć z nią dzieci. To ona sama rozdmuchała do groteskowych rozmiarów jakąś całkiem niewinną uwagę.

Czas wreszcie wziąć się w garść. Stella poderwała się od biurka, zanim jednak zdą yła sięgnąć do klamki, drzwi otworzyły się na całą szerokość i stanęła w nich Roz.

—

Właśnie miałam zamiar cię poszukać - powiedziała Stella. - Za chwilę muszę się zbierać, eby przywieźć do domu nasze dziewczyny.

—
Bardzo chciałabym pojechać z tobą. Nawet zamierzałam przełożyć dzisiejsze spotkanie... - Rozzerknęła szybko na zegarek, jakby ponownie rozważała tę możliwość.

—
To byłoby bez sensu. Jak wrócisz od doktora Carnegie, wszystko w domu uspokoi się na tyle, a będziesz mogła bez stresu spędzić więcej czasu z córeczką Hayley.

—
Przyznaję, a ja nie mogę się doczekać, kiedy wezmę nasze maleństwo na ręce. No dobrze, a teraz, gdy już omówiliśmy sprawy organizacyjne, powiedz mi, czym się tak gryziesz.

—
Słucham? - Stella otworzyła szufladę i wyciągnęła torebkę. - Skąd ci w ogóle przyszło do głowy, a się czymś gryzę?

—
Twój zegarek jest wywrócony na drugą stronę, a więc kręciłaś paskiem. A to oznacza, a jesteś przygnębiona. Czy w firmie dzieje się coś, o czym nie wiem?

—
Nie. - Zła na siebie, Stella odwróciła zegarek. - Nie. To nie ma nic wspólnego z pracą. Po prostu myślałam o Loganie i o mojej matce.

—
A co on ma wspólnego z twoją matką?

Roz podniosła termos Stelli, otworzyła go, powąchała zawartość i wlała odrobinę mroonej kawy do zakrętki.

—
Nic. A właściwie nie wiem. Podać ci kubek?

—
Nie, dziękuję. Chcę tylko troszeczkę.

—
Sądzę... wydaje mi się... zastanawiam się... do diabła, płaczę się jak ostatnia idiotka. - Stella wyjęła

szminkę z kosmetyczki, podeszła do zawieszzonego na ścianie lustro i zaczęła poprawiać kontur ust. - Roz, pomiędzy mną i Loganem rodzi się coś poważnego.

—
Musiałabym być ślepa, eby tego nie widzieć. Czy chcesz, ebym powiedziała teraz „No i?”, czy wolałabyś, ebym się nie wtrącała do cudzych spraw?

—
No i... nie wiem, czy jestem już gotowa na poważny związek. I czy Logan tak naprawdę jest na to gotowy. Zdumiewa mnie, e w ogóle się polubiliśmy, a co dopiero... - Odwróciła się do przyjaciółki. - Nikt nigdy nie wzbudzał we mnie takich uczuć jak Logan. Podnieca mnie, denerwuje i... masz rację, wywołuje przygnębiające myśli.

Wrzuciła szminkę do torebki i energicznie zaciągnęła zamek.

—
Z Kevinem wszystko wydawało się proste i oczywiste. Byliśmy młodzi, zakochani i nie istniały między nami żadne bariery. Nie znaczy to, e się nie kłóciliśmy czy nie musieliśmy rozwiązywać różnych problemów, ale nasze wspólne życie przebiegało bez komplikacji.

—
Cóż, im dłużej żyjesz, tym więcej złych sytuacji napotykasz na drodze.

—
Tak, wiem. Problem w tym, e boję się miłości - obawiam się przekroczenia granicy od „to jest moje” do „to jest nasze”. I mam pełną świadomość, e brzmi to przeraźliwie egoistycznie.

—
Może. Ja jednak uważam taki stan za całkiem naturalny.

—
Sama już nie wiem. Roz, moja matka była zawsze bardzo poplątana emocjonalnie. A ja gdzieś w racjonalnej warstwie zdaję sobie sprawę, e czę-

sto postępuję w życiu tak, a nie inaczej, eby odciąć się od matki. To głupie.

—
Jeżeli takie postępowanie jest dla ciebie korzystne, to nie widzę żadnego problemu.

—
Zazwyczaj jest. Nie chcę jednak uciekać od czegoś, co mogłoby się okazać wspaniałe, tylko dlatego, e moja matka rzuciłaby się w to bez zastanowienia.

—
Skarbie, ka da z nas na określonym etapie ycia prze ywa ró ne rozterki.

Spójrz na mnie czy na Hayley.

—
Jasne. Masz świętą rację - odparła Stella ze śmiechem.

—
A skoro ju się zaprzyjaźniłyśmy, mo emy oczywiście wspierać się na wzajem w rozmaitych sytuacjach. Nie zmienia to jednak faktu, e ka da z nas ma własne ycie. - Roz odło yła zakrętkę termosu na biurko i pieszczotliwie oklepała Stellę po policzku.

—
No, dobra. Jadę do domu, eby się doprowadzić do porządku.

—
Dziękuję, Roz. Przywiozę Hayley z dzieckiem, a potem zostawię obie w rękach Davida i wrócę do firmy. Wiem, e brakuje nam obsługi.

—
W adnym razie. Zostań w domu z Hayley i Lily. Harper poradzi sobie z klientami. Ostatecznie niecodziennie do domu wprowadza się noworodek.

I właśnie o nowo narodzonym dziecku rozmyślała intensywnie Roz, usiłując znaleźć miejsce parkingowe w pobli u mieszkania Mitchella Carnegic. Od czasu gdy w Harper House pojawiło się ostatnie niemowlę, minęło ju wiele lat.

Ciekawe, jak na tę nową sytuację zareaguje Oblubienica?

A jak ona sama zdoła się pogodzić z sytuacją, e jej pierworodny syn zakochał się w samotnej kuzynce i jej maleńkiej córeczce? Harper prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy z własnych uczuć, a Hayley z pewnością nie miała o nich pojęcia. Ale matka natychmiast wychwyci takie rzeczy; matka bez trudu widzi wszystko w twarzy własnego syna.

Roz postanowiła, e zastanowi się nad tą sprawą innym razem, i zaczęła kląć siarczyście, bo mimo

szczerych wysiłków nie mogła znaleźć ani skrawka wolnego miejsca przy chodniku.

Udało jej się zatrzymać dopiero trzy przecznice dalej. Szlag by to trafił!

Ponieważ uznała, że powinna włożyć buty na wysokim obcasie, zanim dojdzie na miejsce, już nie będzie czuła nóg i na dodatek się spóźni - a nienawidziła niepunktualności.

Najchętniej scedowałaby to spotkanie na Stellę. Ostatecznie doszła jednak do wniosku, że jest to sprawa zbyt osobistej natury, by powierzać ją komuś innemu, nawet bardzo zaufanemu menedżerowi. Chodziło przecież o jej własny dom i rodzinę Harperów.

Zatrzymała się na rogu, czekając na zmianę świateł.

—

Roz!

Na dźwięk tego głosu wszystkie włosy zjechały jej na głowie. Z twarzą zastygłą w lodowatą maskę odwróciła się i przesunęła wzrokiem po szczupłym, przystojnym mężczyźnie, szybko zmierzającym w jej stronę.

—

Tak mi się wydawało, że to ty! Bo przecież nikt inny nie mógłby wyglądać równie świeżo i pięknie w tak gorące popołudnie.

Człowiek, którego kiedyś nieopatrznie poślubiła, chwycił jej rękę w obie dłonie.

—

Twój widok naprawdę zapiera dech w piersi!

—

Natychmiast puść mnie, Bryce, albo wylądujesz głową na chodniku i przy okazji najesz się sporo wstydu.

Jego twarz o regularnych rysach natychmiast stępsła.

—

Miałem nadzieję, że po tylu latach będziemy mogli znów się zaprzyjaźnić.

—

Nigdy nie byliśmy i nigdy nie będziemy przyjaciółmi. - Wyjęła z torebki chusteczkę i ostentacyjnie wytarła rękę, której dotykał. - Nie mam ochoty zadawać się z kłamliwymi sukinsynami.

—
Ka dy mo e popełnić błąd. Ale zdaje się, e ty nale ysz do kobiet, które nie wiedzą, co to przebaczenie.

—
Masz rację. Zapewne po raz pierwszy w całym twoim ałosnym yciu.

Ruszyła energicznie przed siebie, on jednak nie dawał za wygraną. Miał na sobie buty od Ferragamo i garnitur włoskiego kroju - najprawdopodobniej od Canalego. W ka dym razie Canali był jego ulubionym projektantem strojów w czasach, gdy to ona pokrywała wszystkie wydatki.

—
Nie rozumiem, czemu jesteś taka zdenerwowana, Roz, skarbie. Mogę to tłumaczyć jedynie tym, e wciąż jeszcze ywisz do mnie jakieś uczucia.

—
Owszem, Bryce. A najsilniejszym z nich jest obrzydzenie. Zostaw mnie więc w spokoju, bo zawołam policjanta i ka ę cię aresztować za nagabywanie.

—
Chciałbym tylko dostać jeszcze jedną szansę... W tym momencie Roz stanęła jak wryta.

—
Niedoczekanie twoje. Ciesz się, e zamiast gnić za kratkami, mo esz chodzić swobodnie po ulicach, a zamiast więziennego kombinezonu nosisz ten kosztowny garnitur.

—
Nie rozumiem, czemu traktujesz mnie w taki sposób. Ostatecznie wszystko potoczyło się według twojego scenariusza - wyrzuciłaś mnie na bruk bez grosza przy duszy.

—
Czy mówiąc „bez grosza przy duszy”, masz równie na myśli owe sześć tysięcy pięćdziesiąt osiem dolarów i dwadzieścia dwa centy, które zabrałaś z mojego konta na tydzień przedtem, zanim wykopałam cię ze swojego domu?

Och, przecie doskonale wiem o tych pieniądzech - dodała, gdy spojrzał na nią zdumiony. - Pozwoliłam, eby uszło ci to na sucho, bo uznałam, e powinnam zapłacić za własną głupotę. Teraz jednak znikaj natychmiast z moich oczu, bo jeśli nie, przysięgam, e gorzko tego po ałujesz.

Energicznie ruszyła przed siebie i nawet słowa „zimna suka” nie zdołały zachwiać jej determinacją.

Co nie zmieniało faktu, że to spotkanie wyprowadziło Roz z równowagi.

Trzęsły jej się dłonie i kolana. Dlaczego Bryce samym swoim widokiem mógł ją sprowokować do tak emocjonalnej reakcji - nawet jeśli tą reakcją była wściekłość?

Ano dlatego, że wciąż odczuwała głęboki wstyd.

Wstyd, że dała się zwieść takiemu mężczyźnie. że wpuściła go do swojego domu i serca. Pozwoliła się oczarować - a potem oszukać. Roz dobrze zdawała sobie sprawę, że Bryce ukradł jej coś więcej niż pieniądze. Zabrał jej poczucie własnej godności. A spotkanie z nim przykro jej uświadomiło, że wciąż jeszcze tej godności w pełni nie odzyskała.

Kiedy weszła do budynku, w którym mieścił się apartament historyka, dziękowała Bogu, że hol jest klimatyzowany. Szybko wsiadła do windy i nacisnęła guzik trzeciego piętra.

Była zbyt wzburzona, by zastanawiać się nad swoim wyglądem. Od razu więc zapukała do drzwi, po czym zaczęła wystukiwać stopą nerwowy rytm.

Mężczyzna, który stanął w progu, był w rzeczywistości jeszcze atrakcyjniejszy niż na zdjęciach zamieszczanych na skrzydełkach jego książek, z których kilka Roz pobieżnie nie przerzuciła, zanim umówiła się na spotkanie. Tego dnia był

ubrany w dżinsy i koszulę z podwiniętymi rękawami. Bardzo wysoki i szczupły, miał ciemnozielone oczy przysłonięte okularami w rogowej oprawie. Jego niezwykle gęste, brunatne włosy okalały podługną twarz o ostrych, męskich rysach i silnie zarysowanej szczęce, lekko zapuchniętej i zasinionej z jednej strony.

Kiedy otworzył drzwi, był boso i ten drobny fakt sprawił, że Roz nagle poczuła się strasznie zgrzana i przesadnie wystrojona.

—

Doktor Carnegie?

—

Tak jest, pani... hm... Harper. Bardzo przepraszam, ale straciłem rachubę czasu. Proszę wejść i nie rozglądać się wokół - poprosił z rozbrajającym uśmiechem. - Mówiąc, że straciłem rachubę czasu, mam na myśli i to, że zapomniałem posprzątać. Moje więc przejdziemy od razu do mojego gabinetu.

Jego wygląd będę mógł rzucić na karb artystycznego nieładu. Czy podać pa-ni coś do picia?

—

Chętnie napiję się czegoś zimnego. Wszystko jedno czego.

Oczywiście, gdy szybko prowadził ją przez salon, uwa nie wszystko obejrzała. Wielka, brązowa sofa była zawałona książkami i gazetami, podobnie jak niski stolik, prawdopodobnie pochodzący z epoki georgiańskiej. Na pięknym tureckim dywanie obok piłki do koszykówki walało się kilka koszulek, tak znoszonych, e nawet aden z jej synów by się do nich nie przyznał. Jedną ścianę zajmował największy ekran telewizyjny, jaki widziała w yciu.

Chocia Carnegie starał się jak najspieszniej przeprowadzić ją przez mieszkanie, Roz udało się równie zerknąć na kuchnię. Sterta brudnych talerzy piętrzących się na jednym z blatów jednoznacznie sugerowała, e niedawno odbyła się tu impreza dla wielu osób.

—
Jestem właśnie w połowie książki - tłumaczył gospodarz. - A wówczas sprawy domowe stają się dla mnie zupełnie nieważne. Niestety, moja ostatnia ekipa sprzątająca zrezygnowała z pracy. Podobnie zresztą, jak i parę innych przed nimi.

—
Zupełnie nie pojmuję dlaczego - rzuciła Roz, rozglądając się po gabinecie.

W zasięgu wzroku nie dało się dostrzec ani skrawka wolnego miejsca, a powietrze przesiąknięte było zapachem tytoniu. Na parapecie okiennym w wyszczerbionej doniczce dogorywała diffenbachia. Z totalnego chaosu papierów zalegających biurko wyłaniały się płaski monitor komputera i ergonomiczna klawiatura.

Doktor Carnegie opró nił jedno z krzeseł, bezceremonialnie zrzucając na podłogę wszystko, co się na nim znajdowało.

- Zaraz wracam - rzucił i wypadł z pokoju.

Roz tymczasem mimowolnie uniosła brwi na widok na wpół zjedzonego sandwicza i szklanki jakiegoś płynu - być mo e herbaty - stojącej wśród śmieci zalegających biurko. Zerknęła na monitor komputera, ale prze yła drobne rozczarowanie, bo ujrzała jedynie wygaszacz ekranu. Dość jednak interesujący -

przeró ne postaci z kreskówek grały w koszykówkę.

—
Mam nadzieję, e odpowiada pani mro ona herbata - powiedział gospodarz, wchodząc z powrotem do gabinetu.

—
Tak, dziękuję bardzo. - Wzięła z jego rąk szklankę, ywiąc przy tym nadzieję, e w przeciągu ostatniej dekady ktoś choć raz ją umył. - Doktorze Carnegie, pan morduje tę roślinę.

—
Jaką roślinę?

—
Diffenbachię, na parapecie.

—
Słucham? Ach, tak. Zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, e w ogóle mam jakąś roślinę. - Spojrzał zdumionym wzrokiem na opadające liście. -Ciekawe, skąd się tu wzięła. No tak, zdaje się, e nie wygląda zbyt dobrze.

—
Chwycił doniczkę i, ku przera eniu Roz, zamierzał wrzucić ją do przepelnionego kosza na papiery.

—
Na Boga jedyne, co pan wyprawia?! Czy pogrzebałby pan ywcem własnego kota?

—
Ja nie mam kota.

—
Proszę mi ją dać. - Podniosła się z miejsca i wyrwała mu z dłoni doniczkę. -

—
Ta nieszczęsna roślina umiera z pragnienia i gorąca. Ma kompletnie przesuszoną bryłę korzeniową.

—
Postawiła doniczkę obok krzesła, na którym ponownie usiadła.

—
Zajmę się nią - oznajmiła, energicznie zakładając nogę na nogę. - A teraz, doktorze Carnegie...

—
Mitch. Je eli zamierza pani zabrać moją roślinę, musi pani zwracać się do mnie per „Mitch”.

—
Gdy się z panem skontaktowałam, wyjaśniłam, e chciałabym zlecić panu zbadanie historii mojej rodziny, ze szczególnym uwzględnieniem pewnej osoby.

Tak. - Wyjątkowo zasadnicza kobieta, zdecydował w duchu. - A ja powiedziałem pani, e zajmuję się genealogiami osób prywatnych tylko wtedy, gdy coś mnie zafrapuje w dziejach rodziny. Jak ju wcześniej wspominałem, jestem teraz bardzo zajęty swoją nową książką, nie mogę więc poświęcić wiele czasu na poboczne badania.

—

Jak do tej pory nie podał mi pan swojej stawki.

—

Pięćdziesiąt dolarów za godzinę plus wydatki. Stella poczuła niemiły skurcz brzucha.

—

To adwokackie honorarium.

—

Na ogół opracowanie historii rodziny nie trwa zbyt długo, szczególnie jeśli się wie, do jakich źródeł nale y sięgnąć. W większości wypadków wystarczy na to czterdzieści godzin - choć, oczywiście, wszystko zale y od tego, jak daleko trzeba się cofnąć w czasie. Je eli sprawa jest wyjątkowo skomplikowana, mo na umówić się o dzieło. Ale, jak ju wspomniałem...

—

W tym wypadku chodzi o sprawię sprzed mniej więcej wieku.

—

A więc mówimy o groszach. I jeśli chodzi o tak krótki okres, zapewne pani sama poradziłaby sobie bez trudu. Mogę wskazać pani odpowiednie źródła.

Zupełnie za darmo.

—

Nie. Ju wiem, e potrzebuję profesjonalisty, chętnie więc podyskutuję o warunkach. Skoro pomimo braku czasu zdecydował się pan ze mną spotkać, myślę, e dobrze byłoby, gdyby wysłuchał pan, co mam do powiedzenia, a dopiero potem wyrzucił mnie za drzwi.

Tak jest, zasadnicza do bólu, pomyślał.

—

W adnym razie nie przyszłoby mi do głowy, eby panią wypraszać. Wy-słucham wszystkiego z największą uwagą. Je eli nie jest to wyjątkowo pilna sprawa, za kilka tygodni zapewne będę ju

dysponował większą ilością czasu.

Zaczął grzebać pod biurkiem i w końcu wyciągnął duży notes i długopis.

—

A więc... Rosalind? Jak bohaterka „Wieczoru Trzech Króli”?

—

Nie. Jak aktorka Rosalind Russel - odparła ze śmiechem Roz. - Mój tata był jej fanem.

Zapisał jej imię i nazwisko na górze kartki.

—

Mówi pani, że chodzi o sprawę mniej więcej sprzed stu lat. Jestem przekonany, że pani należy do rodziny, która przechowuje wiele dokumentów, zapisków, rachunków, nie mówiąc już o przekazach ustnych.

—

Owszem. Nawet sporo. Niestety, mam powody sądzić, że niektóre opowieści są niepełne lub uległy przekłamaniu. Oczywiście, oczekuję, że zerknie pan na dokumenty, które są w moim posiadaniu, choć sami już dość starannie je przeczesałismy.

—

Sami?

—

Ja i pozostali domownicy.

—

A więc chce pani zdobyć informacje o pewnym określonym przodku.

—

Nie jestem pewna, czy ta kobieta należała do naszej rodziny, ale najprawdopodobniej mieszkała w moim domu. I jestem w zasadzie pewna, że w nim zmarła.

—

Ma pani akt jej zgonu? -Nie.

Wsunął okulary głębiej na nos i zaczął coś notować.

—

Widziała pani jej grób?

—

Nie. Jej ducha. - Uśmiechnęła się słodko. - Czy by człowiek, który zajmuje się historiami rozmaitych rodów, nie wierzył w duchy?

—

Jeszcze nigdy na adnego się nie natknąłem.

—

Je eli podejmie się pan tego zadania, będzie ku temu okazja. Ile za yczyłby pan sobie, doktorze Carnegie, za zidentyfikowanie i odtworzenie historii zjawy?

Odchylił się na krześle i zaczął stukać ołówkiem w pierś.

—

Czy pani sobie ze mnie kpi?

—

- Za pięćdziesiąt dolarów za godzinę plus wydatki? W adnym razie. Jestem pewna, e mógłby pan napisać bardzo ciekawą książkę o duchu nawiedzającym dom rodziny Harperów, oczywiście gdybym wyraziła zgodę na laka publikację.

—

Zapewne.

—

I, jak przypuszczam, byłby to dla pana ciekawy materiał badawczy. Mo e więc to ja powinnam za dać od pana honorarium. - Znowu obdarzyła go tym samym zniewalającym uśmiechem.

—

Najpierw muszę skończyć rzecz, nad którą obecnie pracuję, dopiero wtedy będę mógł się zaangażować w następną książkę. Wbrew temu, co mo na pomyśleć na podstawie wyglądu mojego mieszkania, zawsze doprowadzam do końca to, co zaczynam.

—
W takim razie powinien pan zacząć zmywać naczynia.

—
Prosiłem, aby się pani nie rozglądała. Po pierwsze, chciałbym powiedzieć, że prawdopodobieństwo, iż pani dom nawiedza duch, wynosi mniej więcej jeden do dwudziestu milionów.

—
Chętnie postawię jednego dolara, o ile jest pan gotów zaryzykować te miliony.

—
Po drugie, jeżeli podejmę się tej sprawy, będę wymagał dostępu do wszystkich dokumentów rodzinnych oraz pani pisemnej zgody na sprawdzenie wszelkich danych znajdujących się w archiwach stanowych lub federalnych.

—
Oczywiście.

—
Chętnie zrzeknę się honorarium za... powiedzmy... pierwsze dwadzieścia godzin badań. Póki się nie przekonamy, z czym naprawdę mamy do czynienia.

—
Za czterdzieści.

—
Trzydzieści.

—
Zgoda.

—
Chciałbym te obejrzeć pani dom.

—
Może w takim razie przyjechałby pan do nas na kolację w przyszłym tygodniu? Jaki dzień odpowiadałby panu najbardziej?

—
Zaraz... Niech sprawdzę. - Odwrócił się w stronę komputera i sprawnie przebiegł palcami po klawiszach. - Wtorek?

—
W takim razie zapraszam na siódmą. Nie siadamy do stołu w strojach wieczorowych, przydałyby się jednak panu buty. - Roz wzięła w rękę doniczkę z więdnącą diffenbachią, po czym podniosła się z krzesła. - Dziękuję, e zechciał pan poświęcić mi swój cenny czas - powiedziała, wyciągając rękę.

—
Naprawdę ma pani zamiar zabrać tę roślinę?

—
Oczywiście. I w adnym razie nie zamierzam jej panu oddawać, bo znowu skazałby ją pan na powolną śmierć. Czy mam panu powiedzieć, jak dojechać do Harper House?

—
Jakoś trafię. Mam nawet wra enie, e kiedyś ju tamtędy przeje d ałem. -

—
Odprowadził Roz do drzwi. - Rozsądne kobiety zazwyczaj nie wierzą w duchy. Praktyczne nie płaciłyby za przesłedzenie historii ycia rzeczzonego ducha. A pani robi na mnie wra enie wyjątkowo rozsądnej i praktycznej kobiety.

—
Natomiast rozsądni mę czyźni zazwyczaj nie mieszkają w chlewie i nie przyjmują boso potencjalnych klientów. Tak więc oboje musimy podjąć pewne ryzyko. Na pana miejscu przyło yłabym lód na to zasinienie na szczęce.

—
Podejrzewam, e jest bolesne.

—
Rzeczywiście. Mściwe małe... - urwał gwałtownie. - Zostałem sfaulowany przy próbie rzutu. Grałem w kosza.

—
Rozumiem. A więc do zobaczenia we wtorek, o siódmej.

Na pewno się stawię. Do widzenia, pani Harper.

Logan wpatrywał się w maleńką istotę mru ącą oczy w słońcu. Widział ju w swoim yciu niemowlęta, nawet parę razy miał z nimi bli szy kontakt. Takie nowo narodzone stworzenia przypominały mu swoim wyglądem ryby. Dziecko Hayley miało na szczęście du o czarnych włosków, było więc podobne do ludzkiej istoty - chocia trochę nie z tego świata.

Gdyby obok stał Gavin, a nie dumna matka, powiedziała by, e to maleństwo wygląda na owoc związku Aaquamana z Wonder Woman.

Syn Stelli natychmiast by pojął, co Logan ma na myśli.

Niemowlęta zawsze go onieśmiały. Patrzyły w taki sposób na człowieka, jakby poznały wszystkie tajemnice świata i zamierzały cię tolerować tylko dopóty, dopóki nie staną się dość niezale ne, by yć własnym yciem.

Hayley spoglądała na niego wyczekująco. Oczywiście, nie mógł jej przedstawić swojej teorii o bliskim związku dwójki komiksowych bohaterów. Musiał

koniecznie wymyślić coś innego.

—

Wygląda, jakby przybyła z Wenus, gdzie trawa jest błękitna, a niebo utkane ze złotego pyłu - oznajmił. Miał nadzieję, e wyraził się dość poetycznie.

—

Ach, jakie to piękne - rozpromieniła się Hayley. - W nagrodę mo esz wziąć ją na ręce.

—

Mo e wstrzymam się do czasu, a trochę urośnie. Hayley zaśmiała się i wyjęła Lily z nosidełka.

—

Taki wielki facet jak ty nie powinien się bać jednej maleńkiej kobiety.

Proszę. Pamiętaj tylko, eby podtrzymywać jej główkę.

—

Ma bardzo długie nogi jak na swoje rozmiary. - Dziecko jak na zamówienie machnęło nó kami. - Jest śliczna. Bardzo podobna do ciebie.

—

Wciąż nie mogę uwierzyć, e to ja ją urodziłam. - Hayley troskliwie poprawiła córeczce czapkę. - Czy teraz mogę ju obejrzeć prezent?

—

Jasne. Jesteś pewna, e nie zaszkodzi jej to mocne słońce?

—

Celowo przypiekamy maleństwo.

—

Co robicie?

—

Lily urodziła się z ółtaczką fizjologiczną i kąpiele słoneczne są dla niej zbawienne. Stella mówiła, e tak samo było z Lukiem. - Hayley wzięła upominek i zaczęła odwijać ozdobny papier. - Ona i Roz wiedzą absolutnie wszystko na temat dzieci. Mogę zadać najgłupsze pytanie, a na pewno jedna z nich będzie znała odpowiedź. Lily i ja mamy wielkie szczęście.

Trzy kobiety, jedno niemowlę. Ledwo dziecku się odbije, i któraś ju leci, eby wziąć je na ręce.

—

Logan... - Hayley spojrzała na niego z wahaniem. - Myślisz, e nasze ycie toczy się w określony sposób, bo tak jest nam pisane, czy dlatego, e świadomie dokonujemy pewnych wyborów?

—

Sądzę, e dokonujemy pewnych wyborów, bo tak jest nam pisane.

—

Ostatnio sporo się nad tym zastanawiałam. Kiedy trzeba wstawać kilka razy w ciągu nocy, ma się wiele czasu na rozmyślania. Zdecydowałam się opuścić Little Rock i przyjechać tutaj w nadziei, e Rosalind da mi pracę. Ale równie dobrze mogłam wylądować w Alabamie - mam tam bli szą krewną ni Roz.

A jednak znalazłam się właśnie tutaj i teraz sądzę, e kierowało mną przeznaczenie. e Lily miała się urodzić w tym domu i znaleźć się pod opieką Stelli i Roz.

—

Wszyscy byśmy wiele stracili, gdybyś pojechała w inną stronę.

—
Czuję się tutaj jak w rodzinie. Bardzo mi tego brakowało po śmierci taty.

Sądzę - jestem pewna - e we dwie te byśmy sobie poradziły. Ale cieszę się, e nie musimy. e Lily ma szansę na lepsze ycie.

—
Jak ma się dzieci, człowiekowi zmienia się perspektywa. Hayley uśmiechnęła się promiennie.

—
To prawda. Jestem zupełnie inną osobą, ni byłam rok wcześniej - ba, nawet tydzień temu.

Otworzyła pudełko i wydała z siebie dźwięk, który Loganowi wydał się typowo kobiecy.

—
Ale śliczna lalka-dzidzius! I jaka mięciutka!

Poło yła sobie lalkę na rękę, w taki sam sposób, w jaki Logan trzymał Lily.

—
Jest większa od twojej córeczki.

—
Ale ju niedługo to się zmieni. Prześliczna zabawka! I jaką ma uroczą czapeczkę!

—
Jeśli za nią pociągniesz, włączy się pozytywka.

—
Naprawdę? - Zachwycona Hayley pociągnęła za czubek ró owej czapeczki i rozległy się delikatne dźwięki kołysanki. - Fantastyczna. - Wspięła się na palce i pocałowała Logana w policzek. - Lily będzie zachwycona. Bardzo ci dziękuję.

—
Doszedłem do wniosku, e dziewczynka nie mo e mieć za du o lalek.

Odwrócił się, bo usłyszał trzask drzwi wychodzących na patio. Z domu wypadł Parker, a za nim wybiegło dwóch rozkrzyczanych chłopców. Oni kiedyś te byli tacy maleńcy, pomyślał ze zdziwieniem Logan. I równie bezbronni jak...

ryba wyjęta z wody. Chłopcy natychmiast podbiegli do niego.

—

Zobaczyliśmy twoją cię arówkę — wyjaśnił Gavin. - Czy przyjechałeś zabrać nas ze sobą do pracy?

—

Ju skończyłem na dziś.

Na twarzach obu ukazał się przekomiczny wyraz głębokiego rozczarowania.

Patrząc na te nieszczęśliwe miny, Logan natychmiast zmienił swoje weekendowe plany.

—

Ale w sobole zamierzam się zabrać do budowy altany w ogrodzie i przydałoby mi się dwóch niewolników do pomocy.

—

My mo emy być twoimi niewolnikami - zaproponował Lukę, ciągnąc Logana za nogawkę. - A ja nawet wiem, co to altana. Taki domek, który obsadza się kwiatami.

—

No, proszę. A więc mam szansę na pomoc niewolników-ekspertów. Zobaczymy, co na to wasza mama.

—

Na pewno się zgodzi. W sobotę musi iść do pracy, bo Hayley jest na ma-ciorze.

—

Na urlopie macierzyńskim - wyjaśniła Hayley.

—

Pojąłem - mruknął Logan.

—

Czy mogę na nią popatrzeć? - Lukę znowu pociągnął go za nogawkę.

—

Jasne. - Logan przykucnął z dzieckiem w ramionach. - Jest bardzo maleńka, prawda?

–
I jeszcze nic nie umie robić. - Gavin w zamyśleniu postukał lekko palcem Lily w policzek. - Tylko płacze i śpi.

Lukę tymczasem nachylił się do ucha Logana.

–
Hayley ją karmi mlekiem z własnego cycka - oznajmił konspiracyjnym szeptem.

Logan z miną pełną powagi skinął powoli głową.

–
Mam wra enie, e ju słyshałem o podobnym wypadku. Choć trudno mi w to uwierzyć.

–
Ale to najprawdziwsza prawda. Dlatego dziewczyny je mają. Znaczą się, cycki. A chłopaki nie, bo nie mogą robić mleka, nawet jeśli bardzo du o go piją.

–
Ach, tak, To wszystko wyjaśnia.

–
Gruby pan Kelso te ma cycki - wtrącił Gavin, wprawiając tym brata w niezwykłą wesołość.

Stella podeszła do drzwi i ujrzała Logana z niemowlęciem w ramionach, otoczonego przez jej synów. Wszyscy trzej uśmiechali się od ucha do ucha.

Padalo na nich słońce przeświecające przez szkarłatne liście czerwonego klonu, a nieopodal lilie cieszyły oczy niezwykłymi barwami i egzotycznymi kształtami.

W powietrzu unosił się ich zapach, zmieszany z aromatem wczesnych ró , werbeny i świe o ściętej trawy.

Patrzac na tę uroczą scenkę, pomyślała: rety!

I mo e nawet bezwiednie powiedziała to głośno, bo w tym samym momencie Logan spojrzal w jej stronę. Kiedy ich oczy się spotkały, posłał jej ciepły uśmiech.

Chwilę później podniósł się i podszedł do Stelli.

–

Twoja kolej - powiedział, oddając jej dziecko.

—

Ojoj! - Wyciągnęła ręce po Lily. - Chodź do mnie, moja śliczna. - Cmoknęła dziecko w czoło. - Jak się dzisiaj sprawuje nasz skarb? - zwróciła się do Hayley.

—

Jest grzeczna jak aniołek. I tylko popatrz, Stello, co dostała od Logana.

Tak jest, to typowo kobieca sprawa, pomyślał Logan, gdy Stella wydała z siebie niemal taki sam okrzyk, jak wcześniej Hayley.

—

Wspaniała!

—

A popatrz na to! - Hayley pociągnęła za czapeczkę i rozległa się delikatna melodyjka.

—

Mamo! Mamo! - Lukę puścił nogawkę Logana i zaczął tarmosić matkę.

—

Jedną chwilę, kochanie.

Kobiety jeszcze przez chwilę zachwycaly się Lily i jej lalką, Lukę zaś niecierpliwie przewracał oczami i nerwowo przebierał nogami.

—

Myślę, e czas, abyśmy razem z Lily ucięły sobie krótką drzemkę - powiedziała w końcu Hayley i włożyła córeczkę do nosidełka. - Dziękuję raz jeszcze za uroczy prezent, Loganie.

—

Cieszę się, e ci się podobał. Trzymaj się.

—

Lalki są głupie - stwierdził autorytatywnie Gavin. Był jednak na tyle uprzejmy, e poczekał, a Hayley się oddali.

—

Doprawdy? - Stella naciągnęła mu daszek baseballówki na oczy. -A czym są w takim razie te wszystkie ludziki walające się po twoich półkach i biurku?

—

No, co ty, mamó! To nie adne lalki, tylko figurki superbohaterów!

—

Coś mi się widać pomyliło.

—

Chcemy zostać niewolnikami i budować altanę - oznajmił Luke, łapiąc Stellę za łokieć, by zwrócić na siebie jej uwagę. - Mo emy?

—

Niewolnikami?

—

Jutro zabieram się do budowy altany - wyjaśnił Logan. - Przydałaby mi się pomoc, a chłopcy zgłosili się na ochotnika. Podobno cię ko pracują w zamian za kanapki z serem i lody.

—

Prawdę mówiąc, zamierzałam zabrać ich ze sobą do pracy.

—

Altana, mamusiu. Proszę, proszę! - Luke wpatrywał się w nią tak błagalnie, jakby chodziło o skonstruowanie promu kosmicznego, którym potem polecą na Plutona. - Ja jeszcze nigdy, przenigdy nie budowałem altany.

—

No nie wiem...

—

Mo e więc przyjmujemy salomonowe rozwiązanie - zaproponował Logan. -

Ty zabierzesz chłopców ze sobą rano, a ja wpadnę po nich w okolicach południa.

Stella poczuła ostre ściskanie w dołku. To zabrzmiało wyjątkowo naturalnie, jakby byli prawdziwą rodziną. Tak ją oszołomiła ta świadomość, e ledwo docierały do niej prośby i błagania synów.

—
No, dobrze - wykrztusiła w końcu. - Je eli jesteś pewien, e nie będą ci przeszkadzać.

Uśmiechnął się lekko, słysząc jej oficjalny ton.

—
Je eli tylko spróbują, natychmiast ich wykopię. Tak jak teraz. Chłopcy -

spojrzał na Luke'a i Gavina - mo e pójdziecie sprawdzić, co robi Parker, bo chciałbym zamienić z waszą mamą kilka słów na osobności?

Gavin zrobił zdegustowaną minę.

—
Chodźmy, Lukę. On na pewno znowu chce ją pocałować.

—
Rety, nie zdawałem sobie sprawy, e moje zamiary są a tak przejrzyste -

jęknął teatralnie Logan, po czym uniósł palcem podbródek Stelli i przycisnął usta do jej warg.

—
Witaj, Stello.

—
Cześć, Loganie.

—
Czy powiesz mi, co się w tej chwili kłębi w twojej głowie, czy mam zga-dywać?

—
Bardzo wiele. I zarazem nic w szczególności.

—
Gdy stanęłaś w drzwiach, robiłaś wra enie ogłuszonej.

—

Ogłuszonej? Niezbyt często mo na usłyszeć to słowo w dzisiejszych czasach.

—

Mo e przejdziemy się kawałek?

—

W porządku.

—

Nie chcesz wiedzieć, czemu przyszedłem tu dzisiejszego popołudnia?

—

eby przynieść Lily lalkę.

Ruszyli przed siebie wirową ście ką. Dolatywały do nich głosy chłopców i szczekanie psa oraz świst plastikowego kija baseballowego Luke'a.

—

Owszem. I eby wprosić się do was na kolację, bo zdaję sobie sprawę, e teraz tylko w ten sposób mogę zjeść posiłek w twoim towarzystwie. Zapewne jeszcze przez jakiś czas nie zdołam cię odciągnąć od tego maleństwa.

Musiała się uśmiechnąć.

—

Najwyraźniej moje intencje są równie przejrzyste. Ale maleńkie dziecko w domu to taka radość! Je eli uda mi się wykraść ją Hayley i porwać sprzed nosa Roz, mogę się nią bawić jak... jak lalką. Rany, te wszystkie słodkie ciuszki! Poniewa nie mam dziewczynki, nie zdawałam sobie sprawy, jaka wciągająca mo e być zabawa w przebieranki.

—

Kiedy zapytałem, czy na widok Lily nabrałaś ochoty na kolejne dziecko, spanikowałaś.

—

Wcale nie.

—

No dobrze, ale byłaś spięta. Dlaczego?

—
To chyba normalne, jeśli się jest kobietą w średnim wieku i matką dwóch dorastających chłopców.

—
Uhm. I kolejny raz się naje yłaś, kiedy usłyszałaś, e chcę jutro zabrać dzieci do siebie.

—
Nieprawda. Po prostu ju zaplanowałam..

—
Nie wciskaj mi kitu, Rudzielcu.

—
Sprawy rozwijają się zbyt szybko i to w kierunku, w którym nie planowałam iść.

—
Je eli zamierzasz planować ka de posunięcie, to mo e powinienem ci wyrysować jakąś pieprzoną mapę ycia.

—
Dziękuję bardzo. Sama mogę ją sobie wyrysować. I nie rozumiem, czemu się irytujesz. Zapytałeś, to ci szczerze odpowiedziałam. - Przystanęła przy bujnie pnącej się do góry passiflorze. - Tym bardziej e słyszałam, i na Południu obowiązuje powolne tempo.

—
Irytujesz mnie od chwili, gdy pierwszy raz cię ujrzałem.

—
Wielkie dzięki za niezwykle komplement.

—
To powinno dać mi do myślenia - ciągnął Logan. - Od początku byłaś niczym dra niące swędzenie między łopatkami - dokładnie w tym miejscu, gdzie samemu nie mo na się podrapać, bez względu na to jak bardzo człowiek by się wyginał. Prawdę mówiąc, mnie równie odpowiadałoby wolniejsze tempo. Zazwyczaj nie widzę sensu w poganianiu ycia. Ale widzisz, Stello, człowiek nie mo e sobie zaplanować, jak, kiedy i w kim się zakocha. A ja akurat zakochałem się w tobie.

—

Loganie...

—

Widzę, e to cię śmiertelnie przera a. Mogą istnieć ku temu dwa główne powody. Albo nie odwzajemniasz moich uczuć i boisz się mnie zranić, albo ty te jesteś we mnie zakochana i czujesz lęk. - Zerwał dorodny kwiat passiflory i wetknął Stelli we włosy. Był to niezwykle romantyczny gest, ostro kontrastujący z napięciem w jego głosie. - Osobiście przychyliam się do tego drugiego. Nie tylko dlatego, e mi tak wygodniej, ale ponieważ dobrze wiem, co się dzieje i z tobą, i ze mną, kiedy się całujemy.

—

To jedynie po ądanie. Najzwyklejsza chemia.

—

Doskonale znam ró nicę pomiędzy po ądaniem a miłością. - Chwycił ją gwałtownie za ramiona. - I ty tak e. Oboje ju kiedyś byliśmy zakochani, więc dobrze znamy to uczucie.

—

Mo e masz rację. Tym bardziej więc nie powinniśmy się spieszyć. Znałam Kevina cały rok, zanim pomyśleliśmy o powa nym związku, a musiał minąć następny, ebyśmy zaczęli planować wspólną przyszłość.

—

Mnie i Rae zabrało to tyle samo czasu. I co, Stello? Oboje jesteśmy sami. Z

ró nych powodów, ale to niewiele zmienia. Oboje wiemy, e w takich sprawach nikt nie mo e liczyć na adne gwarancje, bez względu na to, jak wiele czasu i wysiłku poświęci na opracowanie planów.

—

Masz rację. Ale to niezgodne z moją naturą. Poza tym nie chodzi jedynie o mnie.

—

Nie jestem idiotą, Stello - powiedział, przesuwając dłońmi po jej ramionach.

- Co więcej, zdołałbym na siłę zaprzyjaźnić się z twoimi dziećmi, jeśli dzięki temu mógłbym cię zdobyć. Rzecz w tym, e szczerze ich polubiłem. Miło mi, jak się kręcą w pobli u.

—

Wiem. - Tym razem to Stella ścisnęła go za ramiona. - Wiem - powtórzyła. -

Bez trudu rozpoznaję, czy ktoś tylko udaje sympatię do moich dzieci, czy rzeczywiście ma dla nich cieplejsze uczucia. Tu nie chodzi o ciebie, tylko o mnie.

—

Nie podoba mi się to, co mówisz.

—

Rozumiem. Ale jestem szczerą. Doskonale zdaję sobie sprawę, co czuje dziecko, którego matka rzuca się w ramiona pierwszego lepszego mężczyzny.

Oczywiście, w adnym razie nie uważam ciebie za pierwszego lepszego - do-dała spiesznie, widząc wściekłość w oczach Logana. - Rzecz w tym, że teraz chłopcy są dla mnie najwłaśniejsi.

—

A dlaczego uważasz, że i dla mnie nie mogliby się stać wami? Jeśli uważasz,

że nie umiałbym być dla nich dobrym ojcem, wówczas rzeczywiście to ty masz poważny problem.

—

Potrzeba czasu, aby...

—

Wiesz, co trzeba zrobić, by taka roślina stała się równie silna? - Wskazał

palcem na passiflorę. - Krzyknąć ją z innymi.

—

Tak. Ale to wymaga czasu.

—

Od czegoś trzeba zacząć. Nie kocham twoich synów tak mocno jak ty. Ale mógłbym ich pokochać, gdybyś mi dała szansę. Dlatego proszę cię, abyś za mnie wyszła.

—

O, Boże. Nie mogę... my nie... - Zaczęła nerwowo łapać ustami powietrze. -

Małeństwo! Nie mogę złapać tchu.

—

To dobrze. Dzięki temu może przez najbliższe pięć minut uda ci się zachować milczenie. Kocham cię i bardzo lubię twoich chłopców. Gdyby jeszcze parę miesięcy temu ktoś mi powiedział, że będę chciał wziąć sobie na głowę upierdliwego rudzielca i dwójkę rozwrzeszczanych dzieciaków -

umarłbym ze śmiechu. A tymczasem popatrz, co się stało. Mógłbym zaproponować, abyśmy zamieszkali razem na jakiś czas i zobaczyli, czy wszystko się ułoży, ale wiem, że na to byś się nie zgodziła. Więc po prostu zrobimy, co mamy zrobić, a potem spokojnie zajmijmy się życiem.

—
Tak po prostu to zrobimy? Jakbyśmy mieli się wybrać po nową cię arówkę?

—
Nowe cię arówki, w odróżnieniu od małżeństwa, mają z reguły doskonały pakiet gwarancyjny.

—
Twoje romantyczne podejście przyprawia mnie o zawrót głowy.

—
Mógłbym przyjść tu z pierścieniem i paść przed tobą na kolana. I prawdopodobnie bym tak zrobił, gdyby nie doszło do tej rozmowy. Stello, przecie wiem, że mnie kochasz.

—
Coraz powoli się zastanawiam, dlaczego.

—
Mnie to nie przeszkadza. Wiem natomiast, że moglibyśmy stworzyć sobie wspaniałe wspólne życie. - Skinął głową w stronę, z której dochodził świst plastikowego kija. - Nie jestem ich ojcem, ale mógłbym stać się dla nich dobrym ojczymem. I nigdy bym adnego z was nie skrzywdził, ani chłopców, ani ciebie.

—
Wiem. Nie mogłabym cię pokochać, gdybyś nie był dobrym człowiekiem.

—
Nie jestem jednak przekonana, czy małżeństwo to dobre wyjście dla ciebie i dla mnie.

—
Wcześniej czy później cię namówię - rzucił pogodniejszym tonem. Odsunął

się na krok i zaczął kręcić na palcu pasmo jej rudych włosów. - Ale jeśli zdecydujesz się

dostatecznie szybko, wówczas będziesz mogła zdecydować, jak zaplanować pokoje w moim domu. Bo w najbliższy deszczowy dzień mam zamiar się do nich zabrać.

Spojrzała na niego z mrużonymi oczami.

—
To chwytaj poniżej pasa.

—
Ju kiedyś powiedziałem, że cel uświęca środki. Bądź moja, Stello. - Musnął wargami jej usta. - Bądźmy rodziną.

—
Loganie... - Bardzo chciała się do niego przytulić, ale rozsądek zwyciężył. - Zastanówmy się nad tym przez chwilę. Wspomniałeś o rodzinie. I słusznie.

Dzisiaj widziałam, jak trzymałeś w ramionach Lily.

—
-No i?

—
Ja już jestem po trzydziestce i wychowuję ośmioletkę oraz sześciolatka. Do tego mam absorbującą pracę, z której nie zamierzam rezygnować. Wcale nie jestem pewna, czy chciałabym urodzić jeszcze jedno dziecko. Ty tymczasem nie masz własnych dzieci, a powinieneś je mieć.

—
Zastanawiałem się nad tym. Fajnie byłoby mieć z tobą dziecko, gdybyśmy oboje doszli do wniosku, że tego właśnie pragniemy. Ale już od samego początku mógłbym uważać się za szczęściarza - na dzień dobry dostałbym cię i dwóch w miarę odchowanych chłopców. Ja nie muszę z góry wszystkiego planować. Nie chcę wiedzieć, jak ma wyglądać chociażby

moje życie w przyszłości. Na razie wiem, że cię kocham. I to mi wystarcza.

—
Loganie. - Czas na odrobinę logiki, zdecydowała w duchu. - Musimy usiąść i spokojnie omówić tę sprawę. Przecież, na Boga, ty nawet nie znasz moich rodziców, a ja nie znam twoich.

Mo emy temu bardzo szybko zaradzić. Przynajmniej w przypadku twojego taty i jego ony. Zaprośmy ich na kolację. Wybierz tylko dzień.

—

Przecie ty w ogóle nie masz mebli w domu! - Złapała się na tym, e zaczyna mówić podniesionym tonem, spróbowała więc się opanować. - Ale to niewa ne.

—

Dla mnie niewa ne.

—

Rzecz w tym, e przeskakujemy wiele podstawowych etapów normalnego związku.

Choć gdyby ją ktoś w tej chwili zapytał, co to są za etapy, nie miałyby zielonego pojęcia.

Mał eństwo, kolejne wielkie zmiany w yciu chłopców, perspektywa na-stępnego dziecka... Jak miała za tym wszystkim nadą yć?

—

Tak lekko opowiadasz o wzięciu sobie na głowę dwójki dzieci. Przecie ty nie masz pojęcia, co to znaczy mieszkać pod jednym dachem z dwoma ma-

łymi chłopcami!

—

Sam byłem kiedyś małym chłopcem, Rudzielcu. I wiesz co - zrób tę listę podstawowych etapów, ebyśmy mogli je odbębnić jeden po drugim, je eli odczuwasz taką potrzebę. Chcę tylko, ebyś tu i teraz odpowiedziała na jedno pytanie: czy ty mnie kochasz?

—

Przecie ju zdecydowałeś, e tak.

—

Ale chcę to usłyszeć z twoich ust.

Bo e, on nawet nie wyobra ał sobie, jak trudno jej wypowiedzieć tak wa ne słowa!

—

Kocham cię. Kocham, ale...

—
To mi na razie wystarczy. - Pochylił i mocno ją pocałował. - No, dobrze. Pa-miętaj o tej liście, Rudzielcu. I zacznij się zastanawiać, w jakim kolorze chciałabyś mieć ściany w salonie. Powiedz chłopcom, e jutro po nich przyjadę.

—
Ale... przecie zamierzałeś zostać na kolacji...

—
Mam coś wa nego do załatwienia. - Odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie.

Przede wszystkim musiał jakoś wyładować irytację. To potę ny cios dla męskiego ego, gdy kobieta, którą się kocha i z którą chce się spędzić resztę ycia,

kontestuje

propozycję

mał eństwa

za

pomocą

mnóstwa

zdroworozsądkowych argumentów.

Przez najbli szą godzinę ćwiczył w domowej siłowni, wyciskając z siebie siódme poty, wypijając hektolitry wody i przeklinając dzień, w którym zakochał

się w upartym, krnąbrnym rudzielcu.

Oczywiście, gdyby nie była uparta, krnąbrna i tak do bólu rozsądna, prawdopodobnie wcale by się w niej nie zakochał. Co oznaczało, e jakkolwiek patrzeć, to ona ponosi całą winę za zamieszanie w jego yciu.

A taki był szczęśliwy, zanim ją poznał. Nawet ten dom wcale nie wydawał

mu się pusty, póki Stella go nie odwiedziła. Ona i te jej dzieciaki! Jakim cudem przyszło mu do głowy, eby z własnej, nieprzymuszonej woli zapraszać na sobotę dwóch hałaśliwych chłopaków, którzy zapewne co chwila będą się pakować w kłopoty?!

Szlag by to trafił! Musi jeszcze pojechać po lody.

Jestem człowiekiem straconym, pomyślał, wchodząc pod prysznic. Czy ju nie zdecydował, w którym miejscu ogrodu ustawić podwójną huśtawkę? Czy nie zabrał się do projektowania domku na drzewie?

Zaczynał rozumować jak ojciec dzieciom.

Miło było trzymać to niemowlę w ramionach, ale posiadanie własnego dziecka nie wydawało mu się najistotniejsze. Zresztą, skąd wiadomo, co on czy Stella będą myśleli na ten temat za rok o tej samej porze.

Logan przypomniał sobie wcześniejszą rozmowę z Hayley. Dokonujemy pewnych wyborów, bo tak nam jest pisane. Albo dlatego, e tego właśnie, do cholery, chcemy! - poprawił się w duchu, wciągając czyste d insy.

Szybko sprawdził coś w ksią ce telefonicznej, a piętnaście minut później był

ju w Memphis. Nawet nie zadał sobie trudu, eby wysuszyć włosy.

Will wypił łyk poobiedniej, bezkofeinowej kawy i ledwo spróbował cytry-nowego tortu be owego (który ze względów zdrowotnych Jolene wydzielała mu po małym kawałku), gdy rozległo się głośne pukanie do drzwi.

—

A kó to mo e być, u diabła?

—

Nie mam pojęcia, skarbie. Mo e poszedłbyś sprawdzić?

—

Je eli ktoś chce się wprosić na tort, pamiętaj, e mam dostać większy kawałek.

—

Jeśli to chłopak Bowersów do koszenia trawnika, powiedz, e ma w lodówce parę puszek zimnej coli.

Will bez zastanowienia otworzył drzwi, nie ujrzał jednak wyrosniętego nastolatka, tylko barczystego mę czynę, którego twarz wyra ała głęboką irytację. Instynktownie Will zastawił sobą wejście.

—

Czym mogę panu słu yć? - zapytał nieufnie.

—

Nazywam się Logan Kitridge i właśnie poprosiłem pana córkę o rękę.

—

Kto przyszedł, kochanie? - Poprawiając ręką włosy, Jolene podeszła do drzwi. - Ach, to pan Logan Kitridge, nieprawda? Spotkaliśmy się parę razy u Roz. Ale to było dawno temu. Znam trochę pańską mamę. Prosimy do środka.

—

On twierdzi, e właśnie poprosił Stellę o rękę.

—

Doprawdy?! - Jolene się rozpromieniła, a jej oczy zabłyśły z ciekawości. -

Có za cudowna nowina. Zapraszamy na kawę i tort.

—

Nie wiemy jeszcze, czy powiedziała „tak” - zauważył Will.

—

A od kiedy to Stella odpowiada na pytania najzwyczajszym „tak” albo „nie”?

- rzucił Logan.

Will parsknął śmiechem.

—

Święta prawda. To cała moja córka.

Usiedli w salonie, jedli tort, pili kawę i krąyli wokół najwajniejszego tematu, rozmawiając o matce Logana, Roz i nowo narodzonym dziecku Hayley.

W końcu Will rozparł się wygodniej w fotelu.

—

Powinienem więc zapytać, jak zamierza pan utrzymać moją córkę i wnuki.

—

Ostatnim razem, gdy odpowiedziałem na podobne pytanie, ojciec dziewczyny maglował mnie na ten temat przez dwa lata bez przerwy. Nie są-

dziłem, e w moim wieku będę musiał znowu przez to przechodzić.

—

Oczywiście, e nie będziesz musiał — roześmiała się Jolene i uderzyła mę a lekko po ramieniu. - On tylko artuje. Stella bez najmniejszego problemu mo e samodzielnie utrzymać siebie i chłopców. A ty z kolei nie zjawiłbyś się tu taki zirytowany, gdybyś jej nie kochał. Chciałabym jednak zadać ci pewne istotne pytanie, o ile nie masz nic przeciwko temu. Jak będziesz się czuł w roli „przyszywanego" ojca tych chłopców?

—

Przypuszczam, e tak samo, jak pani w roli ich „przyszywanej" babci. A jeśli będę miał du o szczęścia, zaczną mnie darzyć takim samym uczuciem, jakim darzą panią. Wiem, e uwielbiają spędzać czas z dziadkami, i słyszałem nawet, e ciasteczka babci Jo są równie pyszne jak ciasteczka Davida. A to ju nie lada komplement.

—

Bardzo kochamy dzieci Stelli - wtrącił Will. - Są oczywiście oczkiem w głowie naszej córki. Kevin te uwielbiał synów. To był dobry człowiek.

—

Mo e wszystko byłoby prostsze, gdyby nale ał do wrednych, kłamliwych sukinsynów. Gdyby Stella go zostawiła, a nie straciła na skutek tragicznego wypadku. Nie wiem. Ale to i tak nie ma w tej chwili znaczenia, bo prawdę mówiąc, cieszę się, e Kevin był dobrym mę em i kochającym ojcem. Mogę yć z duchem mojego przedwcześnie zmarłego poprzednika, jeśli to pan ma na myśli.

—

Uwa am, e to bardzo rozsądne podejście. - Jolene z aprobatą poklepała Logana po dłoni. - Świadczy o twoim dobrym charakterze. Prawda, Will?

Will mruknął coś niezrozumiale, po czym zamyślił się na kilka chwil.

—

Czy je eli o eni się pan z moją córką, udzieli nam pan rabatu rodzinnego na prace w ogrodzie?

Logan uśmiechnął się szeroko.

—

Mo emy uznać to za integralną część kontraktu mał eńskiego.

—

To się świetnie składa, bo od pewnego czasu myślę o przebudowie naszego patio.

—

Pierwsze słyszę - mruknęła Jolene.

—

Kiedyś, na jakiejś wystawie ogrodniczej, widziałem taki wzór w jodełkę, ułożony z klinkieru. Bardzo mi się spodobał. Czy umiałby pan coś podobnego zrobić?

—

Kilka takich już ułożyłem w życiu. Od razu mogę zerknąć na ogród, jeśli pan chce.

—

Doskonały pomysł - uznał Will, podnosząc się od stołu.

Stella gryzła się, trapiła i denerwowała. Spodziewała się, e gdy Logan przyjedzie po chłopców, znowu będą dyskutować o zaletach i wadach mał-
eństwa.

Wiedziała, e jest na nią zły. I najprawdopodobniej ura ony. Ale jednocześnie była pewna, e się zjawi koło południa, eby zabrać chłopców do siebie. Obiecał to Luke'owi i Gavinowi, więc z pewnością dotrzyma słowa.

Mo na mu było ufać i dlatego Stella bez najmniejszych oporów powierzała dzieci jego opiece - wiedziała, e odpowiednio zadba o chłopców.

Choć zapewne dziś nie obejdzie się bez kolejnej sprzeczki. Oboje byli zbyt nakręceni, by przeprowadzić spokojną, rozsądną rozmowę na tak osobisty temat.

Ale Stella nie miała nic przeciwko sprzeczkom. Dzięki nim zazwyczaj ujawniały się w pełni wszystkie uczucia, krystalizowały poglądy. A i jedno, i drugie było jej potrzebne, by zdecydować, jakie rozwiązanie jest najlepsze dla wszystkich stron.

Tymczasem Logan zjawił się w pogodnym, niemal radosnym nastroju.

Przyszedł do nich na parking, skąd Lukę i Gavin zabierali pozostawione przez klientów wózki - za ka-
dy odprowadzony na miejsce dostawali po ćwierć dolara.

—

Gotowi do cię kiej pracy godnej prawdziwych mę czyzn? - spytał na dzień dobry.

Potakując jeden przez drugiego, chłopcy natychmiast porzucili wózki na rzecz o wiele bardziej interesującego zajęcia. Lukę z dumą pokazał Loganowi plastikowy młotek, który przytroczył sobie do szlufki szortów.

—

Z pewnością się przyda. Dobry pracownik zawsze zjawia się z własnymi narzędziami. Podrzucę ci ich po południu do domu.

—

A jak sądzisz, o której...

—

To zale y, jak długo zdołają pracować. - Pomacał biceps Gavina. - Widzę, e ten wytrzyma cały dzień

cię kiej harówki.

—

A sprawdź moje! Sprawdź moje! - Luke napiął ramię. Logan posłuchał prośby i gwizdnął z aprobatą.

—

A więc na razie - rzucił w stronę Stelli. I to wszystko.

Stella gryzła się, trapiła i denerwowała przez całą resztę dnia. Nie była głupia

- doskonale wiedziała, e na to właśnie liczył Logan.

Kiedy wróciła do domu po pracy, wokoło panowała niezwykła cisza, co wcale jej się nie spodobało. Poszła do łazienki i pod prysznicem splukała z siebie trudy dnia, potem pobawiła się z Lily i wypła kieliszek wina. Zaczęła wędrować bez celu po pokojach i wówczas właśnie zadzwonił telefon.

—

Halo?

—

Dzień dobry. Czy rozmawiam ze Stellą? -Tak. Kto...

—

Mówi Trudy Kitridge. Mama Logana. Przykazał mi, ebym do ciebie zadzwoniła. Powiedział, e mniej więcej o tej porze wracasz z pracy.

—

Ja... uch... O, Bo e! Dobry Bo e! Matka Logana?!

—

Logan zawiadomił nas, e poprosił cię o rękę. Wprost nie wierzyliśmy własnym uszom!,

—

Tak, ja równie byłam zaskoczona, pani Kitridge, ale prawdę powiedziawszy, my jeszcze nie podjęliśmy... to znaczy ja jeszcze nie podjęłam...

adnej decyzji.

—
Ostatecznie kobiecie nale y się czas do namysłu. Muszę cię jednak ostrzec, skarbie, e jak ten chłopak coś sobie postanowi, to jest nieustępliwy jak buldog. Oznajmił, e chcesz poznać jego rodzinę, zanim powiesz „tak” lub

„nie”. Uważam, e to bardzo miło z twojej strony. Oczywiście, poniewa teraz mieszkamy w Montanie, nie jest to takie proste. Ale przypuszczam, e zjawimy się u Logana na Święto Dziękczynienia, a potem na Bo e Narodzenie pojedziemy do córki, do Charlotte. Mamy tam wnuki, dlatego chętnie odwiedzamy ją właśnie w tym czasie.

—
Oczywiście. Nie miała pojęcia, bladego pojęcia, co powinna powiedzieć.

Przecie , na Boga, w ogóle nie była przygotowana na podobną rozmowę.

—
Logan mówił mi, e masz dwóch synków. Podobno to świetne chłopaki.

Więc jak dobrze pójdzie, będziemy mieli teraz wnuki równie w Tennessee.

—
Och. - adne inne słowa nie mogły bardziej trafić jej do serca. - Jak e miło to słyszeć. Jeszcze pani nie poznała ani ich, ani mnie, a...

—
Logan was zna, a ja wychowałam swojego syna na męczyznę, który wie, co dobre. Je eli pokochał ciebie i twoich chłopców, to my te was pokochamy.

Słyszałam, e pracujesz u Rosalind Harper.

—
Owszem. Pani Kitridge...

—
Och, koniecznie mów mi „Trudy”. No i jak ci się podoba w Tennessee?

Przez następne dwadzieścia minut Stella prowadziła towarzyską pogawędkę z mamą Logana. Gdy w końcu odłożyła słuchawkę, była oszołomiona, ubawiona, wzruszona i wyczerpana.

Opadła bezwładnie na kanapę, a chwilę później usłyszała warkot cię arówki Logana.

Z trudem się powstrzymała, by nie ruszyć biegiem w stronę drzwi, po czym rozsiadła się w salonie z czasopiśmie ogrodniczym na kolanach, jakby nic się nie wydarzyło.

Mo e później napomknie, tak zupełnie mimochodem, o rozmowie z jego matką. A mo e tego nie zrobi, eby jeszcze przez jakiś czas się pomęczył.

Owszem, to przemiłe z jego strony, e zaaran ował tę rozmowę, ale mógł, na Boga, ją uprzedzić! Wówczas przez pierwsze pięć minut nie bełkotałaby bez ładu i składu jak ostatnia idiotka.

Parę minut później chłopcy wbiegli do domu z wdziękiem batalionu rekrutów.

—

Wybudowaliśmy calutką altanę! - Spocony i utyłany ziemią Gavin wpadł do salonu i chwycił Parkera w ramiona. -I do tego zasadziliśmy rośliny, które ją obrosną.

—

Jamnik.

Znając sposób przekręcania wyrazów przez Luke'a, domyśliła się, e chodziło o jaśmin. Dobry wybór.

—

I miałem jeszcze drzazgę - pochwalił się Lukę, unosząc w górę wskazujący palec zaklejony plastrem. - Straaasznie wielką. Z początku myśleliśmy, e trzeba ją będzie wycinać no em. Ale w końcu daliśmy sobie radę inaczej.

—

Rany! Widzę, e twoje ycie wisiało na włosku. Zaraz potraktujemy twoją ranę antybakteryjną zasypką.

—

Logan ju to zrobił. A ja wcale nie płakałem. A potem jedliśmy lody.

—

I jeździliśmy w taczce - wtrącił Gavin. - A ja u ywałem najprawdziwszego młotka.

—

Coś takiego. A więc mieliście bardzo pracowity dzień. Czy Logan nie zamierza do nas wpaść?

—

Nie, powiedział, e ma inne zajęcia. I popatrz, mamó! - Gavin pogrzebał w kieszeni i wyciągnął wyjątkowo wymięty banknot pięciodolarowy. -Ka dy z nas dostał po jednym. Logan powiedział, e

skoro tak dobrze pracujemy, mo emy przestać być niewolnikami i zostać tanią siłą roboczą.

W tym momencie Stella ju nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

—

To rzeczywiście powa ny awans. Moje gratulacje. A teraz czas na kąpiel.

—

Po kąpeli rzucimy się na jedzenie jak stado arłocznych prosiaków. -Lukę wsunął rękę w jej dłoń. - Tak powiedział Logan, kiedy przyszedł czas na lunch.

—

Mo e takie rzucanie się na prowiant ograniczycie tylko do miejsca pracy.

Chłopcy rozprawiali o Loganie i swoich przygodach przez cały czas kąpeli i kolacji. A potem byli ju tak skonani, e nawet nie chcieli dodatkowej godziny zabawy, na którą Stella zawsze im pozwalała w sobotę.

Zanim wybiła dziewiąta, spali ju głębokim snem i pierwszy raz od niepamiętnych czasów nie miała nic do roboty.

Była więc zachwycona, gdy usłyszała płacz Lily.

Wyszła do holu i ujrzała Hayley, która zmierzała w stronę schodów, próbując uciszyć popiskującą córeczkę.

—

Jest głodna. Pomyślałam, e posiedzę w salonie i pooglądam telewizję w czasie karmienia.

—

Nie masz nic przeciwko temu, ebym dotrzymała ci towarzystwa?

—

Będę zachwycona. Czuję się dziś strasznie samotna. Dom był taki opustoszały - David na cały weekend wyjechał nad jezioro, ty i Roz siedziałyście w pracy, a chłopcy szaleli u Logana. - Hayley usiadła na sofie, rozpięła koszulę i przystawiła dziecko do piersi. - Ju lepiej, maleńka, prawda? W

końcu wło yłam Lily w nosidełko i poszłyśmy na długi spacer.

—

Zapewne obu wam dobrze zrobił. Co chciałaś pooglądać?

—
Nic konkretnego. Doszłam do wniosku, e muszę posłuchać ludzkiego głosu.

—
A czy ja te mogę się przyłączyć? - Roz wsunęła się do salonu i z szerokim uśmiechem na twarzy podeszła do Lily. - Chciałam na nią zerknąć. Popatrzcie tylko, jak dzielnie ssie!

—
Rzeczywiście, apetyt jej dopisuje - przyznała Hayley. - A poza tym, dzisiaj się do mnie uśmiechnęła. Wiem, fachowcy twierdzą, e to jedynie sprawa gazów w brzuszku, ale...

—
A co oni tam wiedzą! - Roz wyciągnęła się na fotelu. - Przecie nie mo na sprawdzić, co się dzieje w główce takiego maleństwa.

—
Logan poprosił, ebym za niego wyszła.

Stella sama nie wiedziała, czemu to z siebie wykrztusiła.

—
Jasna cholera! - wykrzyknęła Hayley. Zaraz jednak zni yła głos i zaczęła uspokajać Lily. - Kiedy? Jak? Gdzie? Co za niesamowita, wspaniała nowina.

Musisz nam wszystko opowiedzieć.

—
Nie ma wiele do opowiadania. Poprosił mnie wczoraj.

—
Wtedy, jak poszłam położyć dziecko? Czułam, e coś się szykuje.

—
Sądzę, e nie zamierzał tego zrobić. To tak jakoś samo wyszło. A potem się na mnie wkurzył, bo próbowałam mu wykazać racjonalne powody, dla których nie powinniśmy podejmować adnych pospiesznych decyzji.

—

A co to za powody? - zainteresowała się Hayley.

—

Znają się zaledwie od stycznia - wtrąciła Roz, patrząc Stelli prosto w oczy. -

Oboje byli ju z kimś związani, dźwigają więc бага niekoniecznie dobrych doświadczeń.

—

Tak. - Stella odetchnęła z ulgą. - Właśnie to miałam na myśli.

—

Kiedy kogoś kochasz, to kochasz. Niewa ne, czy znasz go od pięciu lat czy od pięciu miesięcy - nie dawała za wygraną Hayley. - A na dodatek Logan fantastycznie dogaduje się z twoimi dziećmi. Chłopcy za nim przepadają. A skoro oboje macie ju za sobą jedno mał ężstwo, powinniście wiedzieć, jak unikać pewnych pułapek, na co zwracać uwagę, a czym się nie przejmować.

Teraz ju nic z tego nie rozumiem. Właściwie to ty go kochasz czy te nie?

—

Tak. Kocham, ale... wszystko wygląda inaczej, kiedy człowiek jest młody i nie ma adnych zobowiązań. Wówczas mo na podejmować ka de ryzyko. A co zrobię, jeśli on będzie chciał mieć dzieci, a ja nie? Muszę się zastanowić nad takimi sprawami. Muszę wiedzieć, czy w ogóle byłabym skłonna rozwa ać mo liwość urodzenia kolejnego dziecka, a przede wszystkim, czy dzieci, które ju mam, czułyby się przy nim szczęśliwe i bezpieczne. Razem z Kevinem opracowaliśmy plan...

- I wasz plan diabli wzięli - zauwa yła Roz. - Oczywiście, niełatwo się zdecydować na kolejne mał ężstwo. Mnie to zajęło wiele lat, a na dodatek dokonałam fatalnego wyboru. Mimo to jestem przekonana, e gdybym w twoim wieku zakochała się w mę czyźnie, który by mnie bawił, z radością zajmował

się moimi dziećmi w sobotę i jeszcze był dobry w łó ku, bez wahania bym się za niego wydała.

—

Ale przecie przed chwilą podałaś powody, które przemawiają za tym, by nie spieszyć się z taką decyzją.

—

Podalam powody, które zapewne ty bierzesz pod uwagę, Stello. Ale jest jeszcze coś, co obie rozumiemy, a przynajmniej powinnyśmy rozumieć.

Miłość to niezwykle cenna rzecz, którą często zły los kradnie nam sprzed nosa. Ty dostałaś szansę,

eby ją przy sobie zatrzymać. Uważaj, masz wiele szczęścia.

Znowu śnił się jej ogród, a w nim błękitna dalia obsypana wielkimi, nabrzmiętymi pąkami. Na samej górze jeden duży kwiat kołysał się delikatnie, trącony lekkim wiatrem. Ogród, chociaż już nie taki uporządkowany, mienił się wieloma barwami i zachwycał różnorodnością kształtów.

Stała w tym ogrodzie z Loganem, który mocno przytulał ją do siebie. Z oddali słyszała śmiech dzieci i radosne ujadanie psa.

A zaraz potem leżeli na trawie i kochali się w ciepłych promieniach słońca.

Palcami wyczuwała rysy jego twarzy. Nie był piękny jak królewicz z bajki, ale cudownie męski i taki kochany. Czuli przyjemne dreszcze, gdy ich ciała ocierały się o siebie nawzajem.

Jak mogli tworzyć tak idealną jedność, tak bardzo różniąc się od siebie?

Nagle pączki błękitnej dalii buchnęły kwiatami. Było ich tak dużo. Za dużo.

Wszystkie inne rośliny pogrążyły się w cieniu. Dalia stała się zbyt agresywna, zbyt rozrośnięta.

I wówczas Stella usłyszała głos Logana.

Dobrze jej będzie w tym miejscu. Po prostu zmieńmy projekt.

Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, odezwał się inny głos - zimny i ostry.

To jego projekt, jego plan. Nie twój. To jego pragnienia. Nie twoje.

Wykarczuj ten kwiat, zanim zniszczy cały ogród!

Prawda, to nie był jej projekt, Stella widziała to gołym okiem. Według jej założenia ten ogród miał być spokojnym, pełnym uroku zakątkiem.

Chwyła więc za szpadel i zaczęła kopać.

Doskonale. Zniszcz ją. Usuń na zawsze!

Słońce schowało się za ciemnymi chmurami i w powietrzu zapanował zimowy chłód, tak że Stella drżała z zimna, wbijając po raz kolejny szpadel w ziemię.

Logan zniknął. Na jego miejscu natomiast pojawiła się Oblubienica w białej szacie i z rozpuszczonymi włosami. Z zadowoleniem kiwała głową, w jej spojrzeniu czaił się obłęd.

—

Nie chcę zostać sama! - wykrzyknęła Stella. - Nie chcę z tego rezygnować.

Kop! Pospiesz się. Przecież chcesz uniknąć cierpienia. I uchronić dzieci od trujących wpływów.

Pospiesz się. Ten kwiat wszystko zniszczy. Je eli go zostawisz, zabije inne rośliny.

A więc Stella kopała. Pewnie rzeczywiście lepiej usunąć stąd tę dalię. Po prostu wyjmie ją z ziemi i posadzi w innym miejscu.

Kiedy jednak delikatnie wyciągnęła na wierzch korzenie, błękitne kwiaty natychmiast szerniały, lodyga zwiędła, a w rękach Stelli pozostała tylko garstka prochu.

Najlepszym lekarstwem na troski jest praca, a tej nie brakowało. Rok szkolny zbli ał się do końca, sprzedawali ju pełną parą wieloletnie rośliny, a na domiar wszystkiego szefowa działu sprzeda y była na urlopie macierzyńskim.

Stella nie miała więc czasu na analizę dziwnych, niepokojących snów ani na zastanawianie się, czemu mę czyzna, który jednego dnia jej się oświadczył, następnego przepadł jak kamień w wodę. Teraz przede wszystkim zajmowało ją sprawne prowadzenie firmy, dbanie o chłopców i odkrycie to samości ducha.

Sprzedala trzy ostatnie wawrzyny, a potem zabrała się do porządków w sektorze krzewów.

—

Czy zamiast kamelii nie powinnaś przypadkiem przetrzucać papierów?

Wyprostowała plecy, w pełni świadoma, e jest cała mokra od potu, ma uwalane ziemią spodnie, a jej włosy wymykają się niesfornie spod baseballówki, którą próbowała je przytrzymać.

—

Jestem mened erem, więc do moich obowiązków nale y równie dbanie o to, by nasz towar był jak najlepiej wyeksponowany. Czy chcesz czegoś ode mnie?

—

Pracuję nad nowym zleceniem. - Logan pomachał papierami. - Przyjechałem po rośliny i materiały.

—

Doskonale. Zostaw dokumenty na moim biurku.

—

Ani mi się śni tam zapuszczać. - Wcisnął jej zamówienia w rękę. - Moi pracownicy ju zajęli się ładowaniem. Zabieram ten japoński czerwony klon i pięć oleandrów.

Chwycił donicę z drzewkiem.

—

Doskonale - powtórzyła Stella.

Zirytowana rzuciła okiem na formularze, potrząsnęła z niedowierzaniem głową, po czym raz jeszcze dokładnie przeczytała dane klienta.

—
Bierzesz je dla mojego ojca. -Uhm.

—
Z jakiej racji sadzisz oleandry w ogrodzie taty?

—
Na tym polega moja praca. Jolene zaczyna już coś przebąkiwać na temat nowych mebli ogrodowych i fontanny. Mam wrażenie, że gdy kobiety patrzą na pustą powierzchnię, natychmiast mają ochotę ją czymś zapełnić. Dyskusja na ten temat zaczęła się już dwa dni temu.

—
Co ty tam robiłeś dwa dni temu?!

—
Jadłem tort. Słuchaj, muszę już lecieć. Jeśli nie zacznę natychmiast, nie zdążę wziąć prysznic przed spotkaniem z tym profesorem od duchów. 1) <> zobaczenia, Rudzielcu.

—
Stój. Poczekaj! Wczoraj, ni stąd, ni zowąd zadzwoniła do mnie twoja mama.

—
Podobno ty kazałeś jej to zrobić.

—
Jak to, ni stąd, ni zowąd? Przecie powiedziałaś, że powinniśmy poznać nawzajem swoje rodziny. Moi rodzice są kilka tysięcy kilometrów stąd, więc kontakt telefoniczny wydawał mi się najrozsądniejszym wyjściem.

—
Chciałabym te , ebyś mi wyjaśnił... - teraz to ona pomachała papierami- ...i tę historię.

—
Wiem. - Chwytał ją za włosy, przyciągnął do siebie jej twarz i mocno pocałował Stellę w usta. - Jeśli to nie jest dla ciebie dostatecznym wyjaśnieniem, to znaczy, że popełniłem poważny błąd. Na razie.

—
I potem zniknął, a ja sterczałam tam z rozdziawionymi ustami jak ostatnia idiotka - opowiadała Stella, zmieniając pieluszkę Lily, w czasie gdy Hay-ley przebierała się do kolacji.

—
Przecie chciałaś, ebyście poznali nawzajem swoje rodziny - zauważyła dziewczyna. - No więc ty porozmawiałaś z jego mamą, a on z twoim tatą.

—
Wiem, co chciałam, ale rzecz w tym, e on niczego ze mną nie skonsultował, o niczym mnie nie uprzedził. - Podniosła Lily i przytuliła do piersi. -To mnie wkurza.

—
Bardzo bym chciała, eby ktoś mnie zaczął wkurzać w taki sposób - odrzekła Hayley. Odwróciła się bokiem do lustra i westchnęła ciężko na widok wciąż sterczącego brzucha. - Chociaż w książkach piszą coś zupełnie innego, miałam nadzieję, e gdy ju urodzę dziecko, wszystko natychmiast wróci na swoje miejsce.

—
Nic całkowicie nie wraca na swoje miejsce po porodzie. Ale jesteś młoda i energiczna, więc odzyskasz dawną figurę.

—
Mam nadzieję. - Włożyła w uszy swoje ulubione wielkie, srebrne koła. -

Stello, ponieważ jesteś moją najlepszą przyjaciółką i bardzo cię kocham, to coś ci powiem.

—
Och, skarbie...

—
A więc w zeszłym tygodniu, gdy Logan przyniósł Lily lalkę, a ty z chłopcami wyszłaś do nas do ogrodu, wiesz, jak wyglądaliście we czwórkę?

—
Nie.

Jak prawdziwa rodzina. I myślę, e w głębi serca dobrze o tym wiesz. Wam po prostu pisane jest wspólne ycie.

—

Chyba jesteś zbyt młoda jak na Sybillę.

—

To nie ma nic wspólnego z wiekiem. - Hayley zarzuciła sobie pieluszkę na ramię. - Chodź do mnie, maleńka. Zanim pójdziesz spać, mama pochwali się tobą przed wszystkimi. Gotowa? - zwróciła się do Stelli.

—

Mam nadzieję.

Ruszyły korytarzem. Po drodze Stella zgarnęła chłopców, a u szczytu schodów spotkały Roz.

—

Ale wszyscy jesteśmy elegancy.

—

Musieliśmy wło yć nowe koszule - poskar ył się Lukę.

—

Bardzo wam w nich do twarzy. Czy mogę zaanektować na dzisiejszy wieczór tych dwóch przystojniaków? - Roz chwyciła ka dego z chłopców za rękę. -

Zaraz zacznie się burza - zauwa yła, zerkając w okno. - Ach, spójrzcie, zdaje się, e przyjechał doktor Carnegie i to idealnie o czasie. Czym on, na Boga, jeździ? To wygląda jak przerdzewiałe czerwone pudło na kołach.

—

Zdaje się, e to volvo - stwierdziła Hayley, spoglądając ponad ramieniem Roz. - Wyjątkowo stare. To ponoć najbezpieczniejsze auta na świecie. Są tak paskudne, e a piękne. O, rany, tylko popatrzcie! - Hayley znacząco uniosła brwi. - Uwaga, nadciąga kawał seksownego faceta.

—

Zlituj się, Hayley! On mógłby być twoim ojcem.

—

Gorąca sztuka jest gorącą sztuką. - Dziewczyna szelmowsko uśmiechnęła się do Roz.

—

Jak mu gorąco, to mo e powinien dostać szklanę zimnej wody - zasugerował Luke.

—

A Hayley drugą.

Rozbawiona Roz podeszła do drzwi, by przywitać pierwszego gościa.

Mitch Carnegie przyniósł w prezencie butelkę białego wina z dobrego rocznika, sam jednak poprosił o wodę mineralną. Roz doszła do wniosku, e ktoś, kto jeździ samochodem wyprodukowanym mniej więcej w roku własnego urodzenia, musi zachować całkowitą trzeźwość umysłu. Gość kurtuazyjnie zachwyił się niemowlęciem, po czym z powagą uścisnął dłonie chłopców.

Taktownie nie przeszedł od razu do zasadniczego tematu, tylko wdał się w luźną, towarzyską pogawędkę.

Kiedy zjawił się Logan, wszyscy byli ju zrelaksowani i swobodni.

—

Myślę, e nie będziemy czekać na Harpera - zdecydowała Roz. - Mój syn chronicznie się spóźnia albo wręcz trzeba go wciągać na listę zaginionych w akcji.

—

Te jestem ojcem - wtrącił Mitch. - Więc znam ten ból.

—

Nie wiedziałam, e masz dzieci.

—

Tylko syna. Josh ma dwadzieścia lat, studiuje w miejscowym college'u.

Mieszka pani w pięknym domu, pani Harper.

—

Dziękuję. I proszę mówić mi po imieniu. Mój dom jest jedną z moich największych miłości. A oto... - dorzuciła, gdy Harper wpadł od strony kuchni- ...następna.

—

Spóźniłem się, przepraszam. Wypadło mi z głowy. Cześć, Loganie, Stello.

Witajcie, chłopaki. A gdzie Lily?

—

Śpi.

—

Doktorze Carnegie, mój wiecznie spóźniony syn, Harper.

—

Raz jeszcze przepraszam. Mam nadzieję, e nie czekaliście specjalnie na mnie.

—

W adnym razie. - Mitch wyciągnął dłoń. - Miło cię poznać.

—

Mo e więc ju teraz usiądziemy do kolacji. Zdaje się, e David przeszedł

dziś samego siebie.

Na środku stołu, w podłu nej, niskiej misie stała kompozycja z letnich kwiatów. W wysokich srebrnych świecznikach, ustawionych na niewielkim kredensie, paliły się wysmukłe, białe świece. Na ółto-zielonych serwetkach stała elegancka zastawa z białej porcelany, a na ka dym talerzu piętrzyła się ju dobrze schłodzona sałatka z homara. Gdy wszyscy zajęli miejsca, pojawił się David z winem.

—

Kto miałby ochotę na to wspaniałe pinot grigió?

Roz mimowolnie zauwa yła, e Mitch pozostał przy wodzie mineralnej.

—

Doktorze Carnegie, pańska twarz wydaje mi się zaskakująco znajoma -

powiedział Harper, gdy od sałatki przeszli do faszzerowanego schabu. Zmru-ył oczy i przez chwilę przyglądał się Mitchowi. - Wciąż jednak nie wiem, skąd. Czy przypadkiem nie wykładał pan na uniwersytecie w Memphis, gdy jeszcze tam studiowałem?

—

Niewykluczone. Ale prawdę mówiąc, nie przypominam sobie, ebyś

uczęszczał na moje zajęcia.

—

Nie. To chyba jednak zły trop. Choć mo e kiedyś zawędrowałem na któryś z pańskich wykładów... Ale zaraz. Chwileczkę. Ju mam! Josh Carnegie.

Napastnik Memphis Tigers.

—

To mój syn.

—

Uderzające podobieństwo. Rany, co z niego za rakieta. Byłem na meczu z Karoliną Południową, kiedy zdobył dla drużyny trzydzieści osiem punktów.

Ale ten facet ma szybkość!

Mitch uśmiechnął się i potarł siniaka na szczęce.

—

Wiem coś o tym.

Rozmowa zesłała na koszykówkę i Logan wykorzystał ten moment, by nachylić się w stronę Stelli.

—

Twój tata oczekuje ciebie i chłopców w sobotę. Przyjadę po was, bo te zostałem zaproszony na lunch.

—

Doprawdy?

—

Polubiliśmy się. - Chwycił jej dłoń i musnął ustami palce. - Nawet sobie nie wyobraasz, jak łatwo mo na się zaprzyjaźnić, gdy razem sadzi się oleandry.

Stella nawet nie próbowała powstrzymać uśmiechu.

—

Szybko wyczułeś jego słabości.

—

Ty, dzieci, ogród. Tak, chyba rzeczywiście wiem, co w trawie piszczy. Czy przygotowałaś ju dla mnie tę listę, Rudzielcu?

—

Zdaje się, e i bez mojej pomocy skutecznie odbębniasz wszystkie punkty.

Uśmiechnął się łobuzersko.

—

Jolene sądzi, e powinniśmy uczynić zadość tradycji i pobrać się w czerwcu.

Kiedy Stella zaniemówiła z wra enia, odwrócił się w stronę chłopców i wdał w pasjonującą dyskusję na temat nowej serii Marvel Comics.

W czasie deseru z głośnika urządzenia monitorującego pokój Lily dobiegł głośny płacz. Hayley natychmiast zerwała się z krzesła.

—

Obowiązki wzywają. Zejdę z powrotem, gdy ją ju nakarmię i uło ę do snu.

—

A gdy o obowiązkach mowa... - Stella tak e podniosła się z miejsca. -

Chłopcy, czas spać. Jutro czeka was szkoła - dorzuciła, zanim którykolwiek z synów zdołał zaprotestować.

—

To idiotyczne, eby kłaść się do łó ka, jak jeszcze jest widno - oznajmił

Gavin.

—

Có , na tym właśnie polega cię ki los dzieci. A co powinniście zrobić, zanim pójdziemy na górę?

Gavin westchnął teatralnie.

—
Dziękujemy za kolację. Wszystko było przepyszne. Teraz jednak musimy już iść z powodu jakiejś głupiej szkoły.

—
Prawie dobrze - zawyrokowała Stella.

—
Dobranoc. Bardzo mi smakowały paluszki ziemniaczane - powiedział Luke, zwracając się do Davida.

—
Pomóc ci? - spytał Logan.

—
Nie - rzuciła przez ramię, zatrzymała się jednak na moment i spojrzała mu prosto w oczy. - Ale dzięki, e o tym pomyślałeś.

Zabrała Luke'a i Gavina na górę. Kiedy tylko weszli do pokoju, rozległ się huk gromu. Parker natychmiast podkulił ogon pod siebie i czmychnął pod łó ko Luke'a. Stella zaczęła przykrywać chłopców cienkimi kocami i właśnie w tym momencie o szyby uderzyły pierwsze, wielkie krople deszczu.

—
Parker jest strasznym tchórzem. - Luke uło ył się wygodniej na poduszce. -

Czy mo e zostać dziś tutaj na noc?

—
Dobrze, wyjątkowo się zgodzę, bo przy was nie będzie się tak bał. - Po dłu szych staraniach Stelli udało się wywabić psa spod łó ka. Przez chwilę głaskała uspokajająco trzęsącego się zwierzaka, a potem poło yła Parkera na łó ku Luke'a. - Czy tak lepiej?

—
Uhm. Mamo... - Luke urwał i wymienił znaczące spojrzenie z bratem.

—
Słucham? Co tam kombinujecie?

—
Ty zapytaj - szepnął Lukę.

—
Nie. Ty.

—
Ty.

—
O co chcecie mnie zapytać? Je eli wydaliście całe kieszonkowe na komiksy...

—
Czy zostaniesz oną Logana? - wyrzucił z siebie w końcu Gavin.

—
Skąd w ogóle przyszedł wam podobny pomysł do głowy?

—
Słyszeliśmy, jak Roz i Hayley mówiły, e cię o to poprosił - wyjaśnił Lukę, po czym ziewnął szeroko.
- No więc zostaniesz?

Stella przysiadła na łó ku Gavina.

—
Zastanawiam się nad tym. Ale przecie nie podjęłabym takiej wa nej decyzji, nie zapytawszy was wcześniej o zdanie. Musimy przemyśleć wiele spraw, sporo przedyskutować.

—
On jest w porządku i fajnie się z nami bawi, więc mo esz zostać jego oną -

łaskawie zgodził się Lukę.

Stella nie niosła powstrzyma* śmiechu. Mo e więc wcale nie będzie trze ba prowadzić a tak zasadniczych dyskusji, jak jej się zdawało.

—
Mał ęństwo to bardzo powa na sprawa. Obietnica, której nale y dotrzymać do końca ycia.

—
Czy przeprowadzilibyśmy się do jego domu? - Nie dawał za wygraną Luke.

—
Myślę, e tak, je eli...

—
Nam się tam podoba. No i ja lubię, jak Logan trzyma mnie za nogi, głową w dół. A na dodatek on tak wyciągnął drzazgę z mojego palca, e prawie nie bolało. I potem pocałował ranę, jak trzeba.

—
Naprawdę?

—
Będzie naszym „przyszywanym” tatą - oznajmił Gavin, kreśląc palcem kółka na prześcieradle. - Babcia Jo jest naszą „przyszywaną” babcią, a bardzo nas kocha.

—
Oczywiście, e was kocha.

—
Zdecydowaliśmy więc, e je eli mamy mieć „przyszywanego” tatę, to chcemy, eby to był Logan.

—
Widzę, e sporo na ten temat dyskutowaliście - powiedziała Stella. -No, dobrze. Ja te powa nie się nad wszystkim zastanowię i jutro o tym po-rozmawiamy. - Pocałowała Gavina w policzek.

—
Logan mówił, e nasz prawdziwy tata będzie się zawsze nami opiekował.

—
Stella z trudem opanowała łzy.

—
Oczywiście. Oczywiście, e tak, kochanie. - Uściskała starszego synka, a potem przytuliła na chwilę Luke'a. - Dobranoc. Gdybyście mnie potrzebowali, będę ze wszystkimi na dole.

—
Najpierw jednak poszła do swojego pokoju, eby ochłonać, odzyskać równowagę. Dzieci były jej prawdziwym skarbem. Przycisnęła palce do oczu i pomyślała o Kevinie.

„Logan mówił, e nasz prawdziwy tata będzie się zawsze nami opiekował”.

Męczyzna, który to rozumiał, akceptował i umiał wyjaśnić małemu chłopcu, był wyjątkowo wartościowym człowiekiem.

Logan zmienił jej życie. Sprawił, e w jej zacisznym ogrodzie wyrosła porywająca błękitna dalia. Nie ma mowy, eby ją wyrzuciła.

—

Wyjdę za niego! - powiedziała w głos i roześmiała się radośnie.

Usłyszała kolejny huk gromu, a zaraz potem cichy śpiew. Instynktownie weszła do łazienki, by zajrzeć do pokoju chłopców. Oblubienica, w zwiewnej białej szacie i z rozpuszczonymi, potarganymi włosami, stała między ich łó -

kami. Jej głos był kojący i pełen słodczy, ale gdy w rozbłysku błyskawicy zwróciła wzrok na Stellę, w jej oczach błyszczało szaleństwo.

Stella wyraźnie czuła, jak strach chwyta ją w swoje macki. Ruszyła przed siebie, ale odepchnął ją gwałtowny, lodowaty podmuch powietrza.

—

Nie! - Ponownie ruszyła przed siebie, lecz natknęła się na niewidzialny mur.

- Nie! - Zaczęła walić na oślep pięściami. - Nie zdołasz odciąć mnie od dzieci. - Rzuciła się całym ciałem na lodowatą barierę, wołając po imieniu synów, którzy cały czas spali spokojnym, głębokim snem.

—

Ty wiédźmo! Nie wa się ich tknąć!

Wypadła z pokoju, ignorując Hayley, która biegła w jej stronę, i zupełnie nie zwracając uwagi na tupot wielu stóp na schodach. Musi dotrzeć do dzieci, musi przebić się przez tę niewidoczną przeszkodę i być przy swoich chłopcach.

Gwałtownie otworzyła drzwi pokoju od strony korytarza i w tym samym momencie lodowata fala pchnęła ją na przeciwległą ścianę.

—

Co tu się, do cholery, dzieje? - Logan odsunął Stellę i sam ruszył w stronę sypialni chłopców.

—

Ona nie chce mnie wpuścić! - Zdesperowana Stella zaczęła bić pięściami w lodowatą przeszkodę, a w końcu zdrętwiały jej dłonie. - Ma moje dzieci!

Pomócie mi!

Logan uderzył ramieniem w niewidzialną barierę.

—

To jest twarde jak stal!

Uderzył raz jeszcze, tym razem przy pomocy Davida i Harpera. Mitch zerknął w głąb pokoju, ponad ich ramionami i ujrzał białą postać w poświacie niesamowitego światła.

—

W imię Ojca i Syna... - wyszeptał.

—

Trzeba się tam dostać w inny sposób. Biegnijmy do jeszcze jednych drzwi! -

Roz chwyciła Mitcha za ramię i pociągnęła w głąb korytarza.

—

Czy kiedykolwiek wydarzyło się coś podobnego?

—

Nie. Na Boga, Hayley, trzymaj Lily z dala od tego miejsca!

Roztrzęsiona Stella pobiegła za Roz. Trzeba znaleźć jakiś inny sposób, myślała gorączkowo. Siłą nic nie uda się tu zdziałać. Mogłaby godzinami walić w lodową ścianę i miotać wszelkie możliwe groźby - zupełnie bezskutecznie.

O, Boże, błagam! Tam są moje dzieci!

Musi odwołać się do rozsądku. Spróbować z nią porozmawiać. Stella wybiegła w deszcz, otworzyła tarasowe drzwi i z całym impetem rzuciła się w stronę pokoju.

—

Nie możesz ich zatrzymać przy sobie! - krzyknęła, eby przebić się przez nawałnicę. - Należę do mnie! To moje dzieci! Są całym moim życiem!

Padła na kolana, obezwładniona strachem. Widziała ostre światło pulsujące pomiędzy łóżkami chłopców pogrążonych w głębokim śnie.

Przypomniła sobie błękitną dalię. Przypomniła sobie, co usłyszała od dzieci, tu zanim usłyszała śpiew.

—
Nie masz prawa wtrącać się w moje prywatne życie - starała się mówić stanowczym tonem. - To moi synowie i sama zdecyduję, co dla nich najlepsze. Nie ty jesteś ich matką.

Światło bijące od widmowej postaci zaczęło przygasać, a potem Stella ponownie zobaczyła oczy zjawy, tym razem znów przepełnione smutkiem.

—
Oni mnie potrzebują. To krew z mojej krwi i kość z mojej kości. Wyciągnęła przed siebie ręce - zasinione i podrapane.

—
Chcesz, ebym dla nich li utoczyła krwi? I'roszę bardzo. Przycisnęła dłonie do niewidzialnej zapory.

—
To moje dzieci i nie cofnę się przed niczym, eby zapewnić im szczęście i bezpieczeństwo. Przykro mi, e za życia spotkało cię jakieś straszne nieszczęście. Cokolwiek to było - bardzo ci współczuję. Ale nie możesz zabrać tego, co do ciebie nie należy - co jest moje. Nie masz prawa odbierać mi dzieci.

Wyciągnęła przed siebie rękę. Miała wrażenie, e jej dłoń przebija się przez miękką kurtynę zimnej wody, po czym wynurza z drugiej strony. Niewiele myśląc, rzuciła się raz jeszcze w stronę pokoju.

Kiedy znalazła się wewnątrz, zobaczyła, e Logan usiłuje dostać się do środka od strony korytarza. Nie docierał do niej aden dźwięk, ale wyraźnie widziała jego zdenerwowanie i krew spływającą z dłoni.

—
On ich kocha. Będzie dla nich dobrym ojcem, a moi chłopcy zasługują na dobrego ojca. Tak sami postanowili, a ja całym sercem zgadzam się z ich wyborem. I pamiętaj, ju nigdy więcej nie próbuj mnie odsunąć od moich dzieci.

Zjawa popłynęła przez pokój w stronę tarasowych drzwi. Po policzkach płynęły jej łzy. Stella tymczasem podbiegła do chłopców. Położyła drzącą dłoń na głowie Gavina, a drugą dotknęła twarzy Luke'a. Są bezpieczni. Cali i zdrowi.

Ju im nic nie zagraża.

—

Chcę ci pomóc - oznajmiła Stella, gdy znowu poczuła na sobie spojrzenie bezbrze nie smutnych oczu Oblubienicy. - Wspólnie zrobimy wszystko, ebyś odzyskała spokój. Ale jeśli tego chcesz, musisz nam pomóc. Podaj przynajmniej swoje imię.

Widmowa postać zaczęła blednąć, lecz zanim zniknęła na dobre, uniosła jeszcze dłoń do szyby. I po chwili wśród kropel deszczu ukazało się tylko jedno słowo:

AMELIA

Kiedy Logan wpadł do pokoju, Stella szybko położyła dłoń na jego ustach.

—

Cii... Bo ich obudzisz.

A potem oparła twarz o jego pierś i zaczęła cicho szlochać.

Epilog

Amelia - powtórzyła po raz kolejny Stella. Pomimo suchego ubrania i potę nego kieliszka brandy, który wmusiła w nią Roz, wciąż wstrząsały nią dreszcze.

—

Tak właśnie ma na imię. Napisała je na tarasowych drzwiach, tu zanim zniknęła. W adnym razie nie zamierzała skrzywdzić dzieci. Była wściekła na mnie i chciała ochronić chłopców. Myślę, e chyba jest obłąkana.

—

Jesteś pewna, e nic ci nie jest? - dopytywał się Logan, klęczący obok krzesła Stelli.

Zdecydowanie skinęła głową.

—

Potrzebuję trochę czasu, eby dojść do siebie, ale nic mi nie jest.

—

W yciu nie byłam tak przera ona. - Hayley zerknęła w stronę schodów.

—

Czy dzieci na pewno są bezpieczne?

—

Nigdy nie zrobiłaby im nic złego. - Stella poklepała ją po ręku. - Ktoś kiedyś chyba złamał jej serce i doprowadził ją do obłędu. Natomiast dzieci są dla niej największą wartością.

—
Wybaczcie moje słowa, ale to było najbardziej fascynujące, a jednocześnie najbardziej surrealistyczne doświadczenie w moim życiu. - Mitch nerwowo spacerował po salonie. - Gdybym nie ujrzał tego wszystkiego na własne oczy... - Potrząsnął z niedowierzaniem głową. - Jeśli mam się zająć tą sprawą, muszę przejrzeć wszelkie dostępne dokumenty.

Zatrzymał się w miejscu i spojrzał na Roz.

—
Nie potrafię tego zracjonalizować. Ów... hm... nazwę go bytem, z racji braku lepszego określenia... a więc ów byt znajdował się w pokoju dzieci i bronił

nam dostępu do wewnątrz. - Odruchowo pomasażował ramię, którym uderzył w niewidzialny lodowy mur.

—
Cóż, prawdę mówiąc, nie przypuszczałam, że w czasie pierwszej wizyty zaoferujemy ci tak porywające widowisko - powiedziała Roz, nalewając mu kolejną filiżankę kawy.

—
Podchodzisz do tego z wyjątkowym spokojem.

—
Ostatecznie, ze wszystkich tu obecnych ja najdłużej mieszkam w tym domu.

—
Jakim cudem?

—
Ponieważ to mój rodzinny dom. - Rosalind była blada i sprawiała wrażenie zmęczonej, ale w jej oczach zapaliły się wojownicze błyski. - Jej obecność nie może zmienić tego faktu. Chociaż przyznaję, że to, co dziś zobaczyłam, nieco mną wstrząsnęło. Nigdy dotąd nic podobnego się nie wydarzyło.

—
Muszę najpierw skończyć książkę, ale potem będę chciał, abyś mi opowiedziała wszystko, co wiesz

na ten temat. - Mitch powiódł oczami po zebra-nych. - A właściwie,

ebyście wszyscy opowiedzieli mi o swoich

doświadczeniach z tą damą.

—

W porządku. Jakoś to zorganizujemy.

—

Stella powinna jak najszybciej się położyć - zauważył Logan.

—

Nie. Czuję się już coraz lepiej. - Zerknęła w stronę głośnika, z którego dobiegał cichy śpiew. -To, co się dzisiaj stało, wiele zmieniło. I dla mnie, i dla niej. Te moje sny o błękitnej dalii...

—

Błękitnej dalii? - zainteresował się Mitch, ale Stella pokręciła głową.

—

Opowiem o tym, gdy będę spokojniejsza. Jestem jednak pewna, że już się nie powtórzą. Myślę, że Oblubienica pozwoli mi zachować ten kwiat, bo udało mi się z nią porozumieć. Jak matce z matką.

—

Moje dzieci dorastały w tym domu. Nigdy nie próbowała mnie od nich odseparować.

—

Ale ty nie zdecydowałaś się wyjść za mąż, gdy twoje dzieci były jeszcze małe - odrzekła Stella, patrząc Loganowi prosto w oczy.

—

Czy przypadkiem nie pominęłaś jakichś etapów? - zapytał.

—

adnych, które miałyby jakiegokolwiek znaczenie. A wracając do Oblubienicy.

Może odszedł od niej mąż albo porzucił ją kochanek, gdy się dowiedział, że zaszła w ciążę, lub... sama nie wiem. Nie mogę jeszcze jasno myśleć.

—
To tak jak my wszyscy. Mo e czujesz się ju całkiem dobrze, ale wciąż jeszcze dr ysz. - Roz podniosła się z fotela. - Zamierzam zaprowadzić cię na górę i położyć do łóżka. - Widząc, e Logan chce zaprotestować, potrząsnęła stanowczo głową. - Proszę, ebyście wszyscy zostali tak długo, jak macie na to ochotę. Harperze?

—
Oczywiście. - W lot pojmując intencje matki, Harper poderwał się na równe nogi. - Co mogę wam zaproponować do picia?

Stella bez słowa sprzeciwu podążyła za Roz.

—
Jestem rzeczywiście zmęczona. Ale nie musisz iść ze mną na górę - powiedziała, gdy doszły do schodów.

—
Po takim cię kim prze yciu ktoś powinien się tobą zaopiekować. Wiem, e Logan miałby na to ochotę, ale myślę, e dzisiaj powinna być przy tobie kobieta. No, ju . Rozbieraj się.

Szok przerodził się w potę ne zmęczenie, tote Stella posłusznie podporządkowała się poleceniom Roz. Na chwilę jeszcze wpadła do łazienki, by przez drzwi spojrzeć na chłopców.

—
Tak bardzo się dzisiaj bałam. Bałam się, e mi ich zabierze.

—
Jesteś od niej o wiele silniejsza.

—
Jeszcze nigdy nie ogarnęła mnie taka rozpacz. Nawet gdy... - Stella wróciła do swojej sypialni i wsunęła się między prześcieradła. - Gdy zginął Kevin.

Bo ju nic nie mogłam zrobić. Nie mogłam sprowadzić go z powrotem, odwrócić biegu wydarzeń, bez względu na to, jak bardzo bym się starała.

—
A dzisiaj mogłaś coś zmienić, więc to zrobiłaś. Kobiety, a w każdym razie takie kobiety jak my, zawsze wiedzą, jak należy postępować. A teraz spróbuj ju odpocząć. Zanim pójdę spać, zajrzę

jeszcze raz do ciebie i chłopców.

Czy mam zostawić zapalone światło?

—

Nie - Nie ma takiej potrzeby. Dziękuję.

—

No, dobrze. W takim razie wracam na doi.

Stella leżała w ciemności, nasłuchując. Ale jedynym dźwiękiem, który do niej dobiegał, był równy rytm jej własnego oddechu.

Tej nocy - przynajmniej tej nocy - ju nie wydarzy się nic nieoczekiwanego.

Zamknęła powieki i od razu zapadła w sen.

Spokojny. Bez majaków.

Przypuszczała, że Logan przyjedzie do centrum. Ale się nie pojawił. Była pewna, że wpadnie na kolację. Nie przyjechał.

I przez cały dzień nie zadzwonił.

Doszła więc do wniosku, że po takiej nocy musi odpocząć - od niej, od tego domu, od wszelkich dramatycznych wzruszeń. I nie może mieć mu tego za złe.

Wczoraj robił wszystko, by dostać się do dzieci. Teraz już wiedziała o.....

to, co powinna wiedzieć. Kochała go i darzyła szacunkiem. Mogła mu zaufać. Mogła na niego czekać.

Wieczorem, kiedy chłopcy leżeli już w łóżkach, a księżyc zawisł nad horyzontem, usłyszała łomot jego ciężarówki na podjeździe.

Bez wahania pobiegła do drzwi.

—

Jak się cieszę, że przyjechałeś - zarzuciła mu ramiona na szyję, a OH

przytulił ją mocno do siebie. - Musimy porozmawiać.

—

Najpierw wyjdź ze mną przed dom. Mam coś dla ciebie w samochodzie.

—
Czy to nie może poczekać? - Delikatnie wysunęła się z jego objęć. -

Powinniśmy sobie kilka rzeczy wyjaśnić. Chyba wczoraj nie wyraziłam dość jasno...

—
Dobrze wszystko zrozumiałem. - eby zakończyć dyskusję, chwycił Stellę za rękę i pociągnął za sobą.
- Najpierw śmiertelnie mnie przeraziłaś, a potem powiedziałaś, że zostaniesz moją oną. W zaistniałych okolicznościach nie mogłaś dokładnie przedstawić swojego stanowiska. Lecz zanim teraz zagadasz mnie na śmierć, chciałbym ci coś podarować.

—
A więc nie chcesz usłyszeć, że cię kocham?

—
Na to zawsze znajdę czas. - Wziął ją na ręce i niósł bez wysiłku. -

Zamierzasz uporządkować moje życie, Rudzielcu?

—
Zamierzam spróbować. A ty będziesz dezorganizować moje?

—
Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. - Nachylił się i pocałował ją w usta.

—
Wczoraj przeżyliśmy straszną nawałnicę - w każdym tym słowa znaczeniu -

szeptnęła Stella, przytulając policzek do jego policzka. - Na szczęście już minęła.

—
Ta minęła, ale przyjdą następne. Kocham cię, Stello. I zrobię wszystko, abyś była szczęśliwa, choć na pewno nie raz doprowadzę cię do szału. Natomiast chłopcy... Wczorajszej nocy, kiedy nie mogłem do nich wejść...

—
Wiem. - Uniosła jego dłoń i zaczęła całować poranione, Iwanie palec. Kiedy będą starsi, zrozumieją, jakie mieli szczęście, że los dał im dwóch

wspaniałych ojców.

—

Ostatnio zastanawiałem się, kiedy się w tobie zakochałem.

—

A kiedy?

—

W drodze do Gracełand.

—

Nie traciłeś czasu.

—

To wtedy opowiedziałaś mi swój sen.

—

O ogrodzie. I błękitnej dalii.

—

A potem, gdy się dowiedziałem, że ten sen cię prześladowa, wpadłem na pewien pomysł. Więc... -
Sięgnąłem do kabiny i wyjąłem doniczkę. - Poprosiłem Harpera, żeby nad tym popracował.

—

Dalia - wyszeptała. - Błękitna dalia.

—

Jest niemal pewien, że zakwitnie na niebiesko. Ten chłopak ma prawdziwy talent.

Do oczu Stelli napłynęły łzy.

—

Chciałam ją stamtąd usunąć, Loganie. Ona mnie do tego nakłaniała, a ja w końcu doszłam do wniosku, że ma rację. Przecież nie zasadziłam tego kwiatu. On nie należał do mojego ogrodu. A kiedy go wykopałam, umarł, rozpadł się w pył. Jaka ja byłam głupia.

—

W miejsce tej dalii, która zwiędła, zasadzimy kwiat wyhodowany przez Harpera. A wokół niej założymy ogród. Co ty na to?

—

Bardzo mi odpowiada twój pomysł.

—

To dobrze, bo Harper strasznie się namęczył, eby uzyskać głęboki błękit.

Ale, oczywiście, musimy poczekać, a zakwitnie, by ocenić rezultaty.

—

Masz rację. Zasadzimy ją i będziemy spokojnie czekać.

—

Harper pozwolił mi wymyślić dla niej nazwę. Od dziś będzie znana jako Sen Stelli.

Poczuła, jak serce trzepocze jej w piersi.

—

Myliłam się co do ciebie, Loganie. Ty po prostu jesteś ideałem. Wzięła delikatnie doniczkę, jakby to był najcenniejszy klejnot. A potem, ręka w rękę, ruszyli z Loganem na spacer przez zalany księżycową poświatą ogród.

Tymczasem po domu ktoś wędrował bezszelestnie i cichutko szlochał.

Drogi Czytelniku

Nie mam zamiłowań. Ja mam pasje! Ogrodnictwo jest jedną z nich, a wiosna, czyli czas, kiedy trzeba wyjść z domu i zająć się ziemią, to moja ulubiona pora roku.

Mieszkam wśród lasów, u podnóża gór Błękitne Pasma, a tutejsza okolica jest kamienista i surowa. To trudne miejsce dla zagorzałej ogrodniczki. Rozwiąza-

łam częściowo ten problem, podsypując na grządki ziemię, aby znajdowały się duże kamienie, ale kamienie nadal wydostają się na powierzchnię. Każda wiosna to dla mnie walka - walka z kamieniami. I przez większość lat wygrywam.

Mam szczęście, że wyszłam za męża, który lubi prace. A to dlatego, że jeśli chcę posadzić onkile w kamienistej ziemi, muszę zawołać męża z motyką.

I warto! Każdej wiosny, kiedy widzę, jak spod ziemi wyłaniają się onkile, jak zazieleniają się

wierzby, jak kielkują byliny, które zajęły miejsce kamieni, jestem szczęśliwa. Tak samo się czuję, kiedy wychodzę do ogrodu ze szpadlem i nawozami, eby przygotować ziemię na przyjęcie tego, co chcę w danej porze roku zasiać.

Ta cię ka i niezbyt czysta praca, wykonywana w pocie czoła, co roku sprawia mi taką samą przyjemność. Dla mnie ogród jest dziełem, które wciąż się rozwija i nigdy nie kończy, zawsze tak samo ciesząc oko. Prawie dwadzieścia lat temu mój mę czyzna zasadził krzew magnolii przed domem. Teraz, ka dej wiosny, do okien naszej sypialni zagląda ją wspaniałe ró owe kwiaty. A kiedy więdną i opadają, zaczyna kwitnąć coś innego, sprawiając, e się uśmiecham.

Pod koniec długiego dnia, bez względu na to, czy wypełnionego pracą w ogrodzie czy pisaniem, czy te tuzinami codziennych zajęć, które dyktuje nam ycie, nie ma nic lepszego ni spacer w ogrodzie, kojący umysł i serce.

Posadź więc kwiaty i patrz, jak rosna. Satysfakcja dalece przewy sza wło ony wysiłek.

NORA ROBERTS